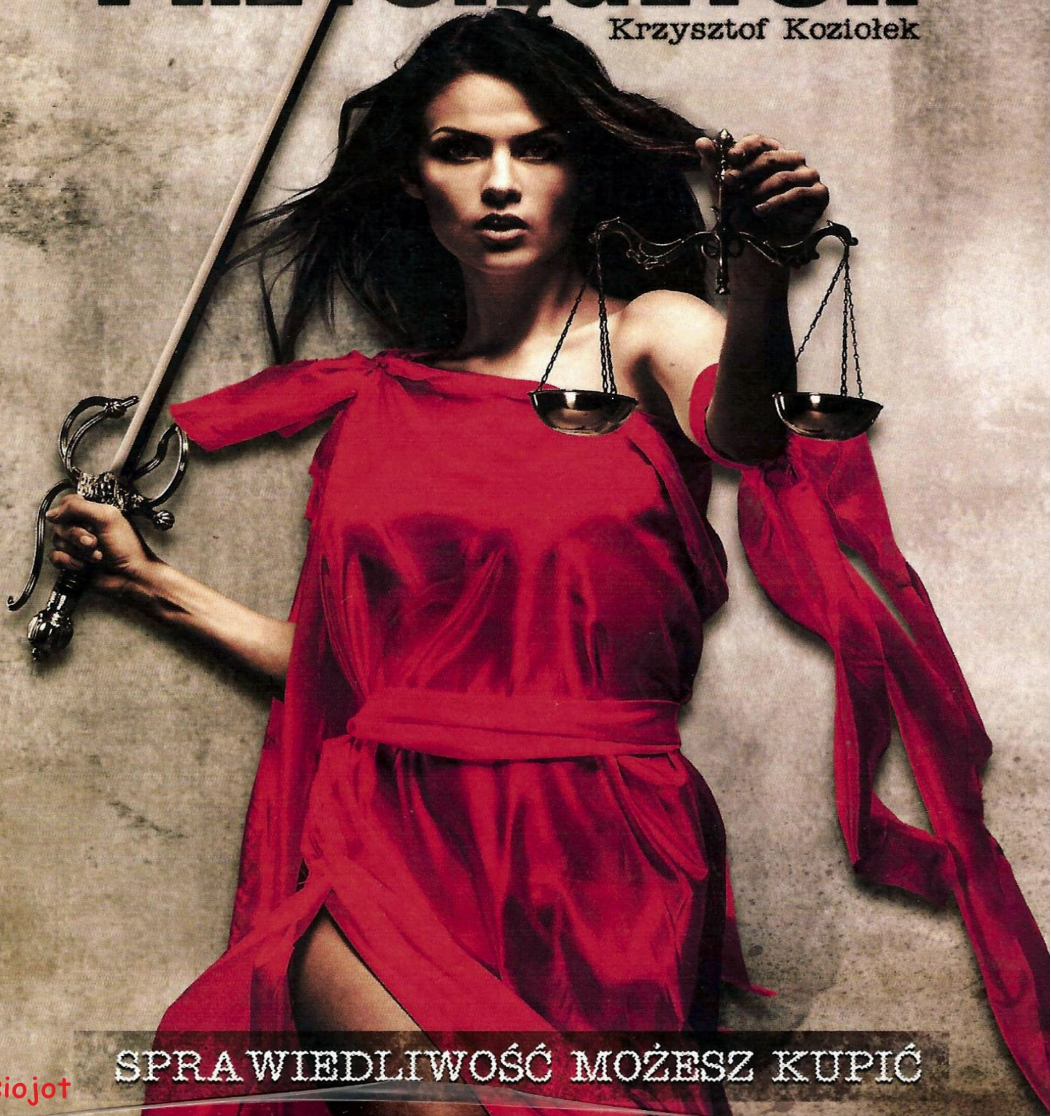


ŁAWA PRZYSIĘGLYCH

Krzysztof Koziołek



SPRAWIEDLIWOŚĆ MOŻESZ KUPIĆ

ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH

Krzysztof Koziołek

*Dedykuję
Braciom*

Sprawiedliwość powinna karać zbrodnię

Prolog

- Wpierdolimy im?! - mężczyzna na siedzeniu pasażera ciemnogramatowego audi A8 trzeciej generacji - z alufelgami, spojlerem większym od statecznika Jumbo Jęta i zestawem głośników dolby surround mogącym obsłużyć największy nawet osiedlowy festyn - zaśmiał się skrzekliwym głosem, prezentując przy tym spróchniałe dwójki. Zresztą, zęby w fatalnym stanie były tylko jednym z elementów fizjonomii tak antypatycznej, że na jej widok każdy normalny obywatel przechodził bez słowa na drugą stronę ulicy, nie chcąc ryzykować spotkania z masą mięśni i zwałami tłuszczu zamiast mózgu. Ale parszywa gęba to jedno, ważniejsze było - jak okazało się już nieraz i jak miało się okazać za kilka chwil - że w środku czaił się prawdziwy potwór, nie człowiek.

- Jacha! - kierowca był tylko nieco mniej brzydki od brata, za to podejście do życia miał równie skrzywione. Innymi słowy, obaj byli ludźmi, których należało unikać jak otwartego ognia w fabryce amunicji.

*

W momencie, w którym Damian Kanclerz podniósł wzrok znad paczki pieluch w rozmiarze 5 plus - która najwyraźniej zamierzała doprowadzić go do szewskiej pasji, klinując się między czterokilogramowym arbuzem a zgrzewką wody mineralnej mocno zmineralizowanej - usłyszał basy targające ciemnogramatowym audi niczym trąba powietrzna domkiem zbitym z byle jakich desek. Chwilę później zobaczy! twarze skryte za przednią szybą i poczuł dreszcz strachu spływający od karku po koniuszki palców u stóp.

Przeczucie go nie myliło.

*

- Patrz, te chuje są z dupami - mężczyzna na siedzeniu pasażera zarechotał, krztusząc się przy tym jak gruzlik.

- Będzie jazda! Zupełnie jak ostatnio, kiedy obiliśmy tego gówniarza na Górczynie! - podniósł otwartą prawą dłoń.

- Ale im wpierdolimy - syknął, przybijając piątkę kierowcy. Sięgnął po jeden z dwóch kijów bejsbołowych leżących na hamulcu ręcznym.

*

- Dziewczyny, wsiadajcie do auta - Kanclerz wydał polecenie żonie i siostrze tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Alarm bezpieczeństwa - rzucił w kierunku szwagra, który stał z drugiej strony wózka z zakupami.

*

- Kto wam pozwolił tutaj zaparkować? - kierowca z audi odcharknął, po czym splunął ze złością.

- Żeby tutaj stanąć, trzeba mieć nasze zezwolenie - wtórował brat, bawiąc się kijem.

- Panowie, nie chcemy problemów... - Kanclerz podniósł obie ręce do góry, trzymając otwarte dłonie w kierunku napastników. Sam gest wykonał nieświadomie, ale w momencie, kiedy trzymał ręce w górze, przed oczami pojawił się obraz z treningu, a w głowie rozbrzmiał głos senseia: „Kiedy zostaniecie zmuszeni do wykorzystania swoich umiejętności i, broniąc się przed napastnikiem, zrobicie mu krzywdę, to właśnie ten gest będzie koronnym argumentem przed sądem. On mówi sam za siebie: Ja nie chcę żadnej awantury”. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie i aż do momentu, w którym Kanclerz mógł zobaczyć zapis z monitoringu, nie zdawał sobie sprawy, że wszystko działo się zaledwie nieco ponad minutę.

Gest, który wykonał, obaj mężczyźni zinterpretowali jako objaw strachu, a to podziałało na nich jak czerwona płachta na byka. Zawsze, kiedy zwietrzyli taką okazję, wykorzystywali ją. Nie inaczej było tym razem, w jednej chwili postanowili rozpocząć polowanie. Ten z fizjonomią upiora z opery zamachnął się na

Kanclerza, zaś drugi z napastników ruszył w stronę szwagra.

Szwagier próbował zasłonić się pieluchami, ale o ile udało mu się sparować pierwszy cios, wymierzony w brzuch, o tyle drugiego - w głowę - nie uniknął. Kij trafił nasadą prosto w nos, dało się słyszeć chrzęst, po czym twarz zalała się krwią. Sekundę później bezwładne ciało padło na polbruk. Kobiety w aucie zaczęły krzyczeć.

Kanclerz dojrzał to kątem oka. Widząc, co stało się ze szwagrem, zrozumiał, że agresorzy nie przyszli po drobne z koszyka, tylko chcą ich po prostu zmasakrować. Wciągnął powietrze, zgarbił się nieco, przyjmując pozycję obronną, obniżonymi żebrami chroniąc narządy wewnętrzne. Jednocześnie wpatrywał się w ruchy przeciwnika, nie spuszczać go z oczu.

- Teraz twoja kolej - mężczyzna uśmiechnął się, nagle przyspieszając.

Kanclerz nic nie odpowiedział, jedyną myślą - ciekawe, co przychodzi człowiekowi do głowy w takim momencie - była ta, że dentysta miałby tu spore pole do popisu. Bez namysłu złapał szalik Stali Miłów leżący na pokrywie bagażnika i sprawnie owinął nim prawe przedramię. Następnie wykonał lekki balans ciałem, zgrabnym ruchem przesuwając ciężar na lewą nogę, po czym nachylił się mocno i prawym przedramieniem sparował uderzenie. Kiedy drewniany kij dotknął ręki, nie poczuł bólu, adrenalina wspomagana grubą wełną klubowego gadżetu zrobiła swoje.

Gdyby Kanclerz miał czas, aby przyjrzeć się twarzy napastnika, zarejestrowałby zdziwienie ogarniające antypatyczną fizjonomię. Mężczyzna był kompletnie zaskoczony tym, że cios nie doszedł celu, czyli głowy. Jednak mocniej nie zdążył się już zdziwić, Kanclerz jednym susem znalazł się za jego plecami, dwa palce prawej dłoni brutalnie wcisnął w nos mężczyzny, rozrywając nozdrza, zaś kantem lewej z całej siły uderzył w głowę na wysokości ucha. Ponieważ do wyprowadzenia uderzenia wykorzystał wcześniejszy skręt tułowia, siła ciosu była z wielokrotniona.

Kiedy poczuł, że ciało wiotczeje i się osuwa, momentalnie odwrócił się, aby skontrolować pozycję drugiego agresora.

Ten był równie zaskoczony, co jego brat chwilę wcześniej.

- Zajebię cię, chuju! - warknął, rzucając kij na ziemię i robiąc krok do przodu.

Kanclerz bez słowa wykonał dwa szybkie kroki, aby zmniejszyć dystans i zająć dogodną dla siebie pozycję.

- Już nie żyjesz, kurwo! - z kieszeni wyciągnął motylek, rozłożył go sprawnie, było widać, że posługiwanie się nożem ma opanowane do perfekcji.

- Kurwa jest rodzaju żeńskiego - wypalił Kanclerz, zanim zdał sobie sprawę z bezsensowności uwagi.

Mężczyzna wyprowadził cios prawą ręką, spod biodra, w ostatniej chwili kierując ostrze w górę, w korpus. Kiedy nóż przesywał miejsce, w którym chwilę wcześniej znajdowała się klatka piersiowa Kanclerza, on był już gdzie indziej. Tym razem jednak wykonał unik w swoje prawo, czyli znalazł się po lewej stronie napastnika. Ponieważ mężczyzna w wyprowadzenie ciosu nożem włożył ogromną siłę, fakt, że trafił w próżnię sprawił, iż stracił równowagę. Kiedy jego ciało zaczęło nieuchronnie zmierzać na spotkanie z ziemią, Kanclerz w ułamku sekundy przełożył ciężar ciała na prawą nogę, dla przeciwwagi przechylając mocno korpus na prawo, po czym podniósł lewą nogę, a następnie wyprostował ją w kolanie z ogromną siłą.

Gdyby uderzył przeciwnika stopą w twarz - a tam celował - niewątpliwie odpłaciliby mu tym samym, co chwilę wcześniej tamten zrobił szwagrowi. Jednakże albo wycelował niedokładnie, albo też lot mężczyzny w kierunku ziemi nagle przyspieszył. Powód był jednak zupełnie nieistotny, liczył się efekt, to, że cios - również wyprowadzony z potężną energią - trafił w grdykę, w jednej chwili miażdżąc krtań.

Mężczyzna, upadając, złapał się dłońmi za szyję, próbując spazmatycznie nabrać powietrza. Kanclerzowi nawet nie przeszło przez myśl, aby udzielać mu pomocy. Kiedy tylko upewnił się, że obaj napastnicy są unieszkodliwieni, podbiegł do szwagra. Sprawdziwszy puls, krzyknął do żony, aby wezwała karetkę i policję. Zaraz potem ułożył szwagra - wciąż nieprzytomnego - w pozycji bocznej bezpiecznej.

Rozdział 1

Kiedy na miejscu zjawiała się karetka, ratownik najpierw stwierdził zgon obu mężczyzn, następnie zajął się opatrywaniem szwagra. Chwilę potem na parking podjechał radiowóz na sygnale. Policjanci wysłuchali opowieści Kanclerza, jego żony i siostry, po czym tego pierwszego zatrzymali do wyjaśnienia. Tłumaczenia, że stali się ofiarami brutalnego napadu, nie pomogły, funkcjonariusze byli nieugięci, uspokajali przy tym, że jest to rutynowa czynność, a po złożeniu wyjaśnień na komendzie, najprawdopodobniej zostanie zwolniony. Udało się jedynie uprosić, aby nie zakuwali go w kajdanki.

*

W drodze na Komendę Miejską Policji przy ulicy Wyszyńskiego Kanclerz próbował opanować gonitwę myśli. Widok zakrwawionej twarzy szwagra co rusz ustępował miejsca zepsutym zębom jednego z napastników. Na myśl o zmiażdżonym nosie zaczął się zamartwiać, czy szwagier z tego wyjdzie. Żałował, że nie mógł pojechać do szpitala, miał nadzieję, że dziewczyny poradzą sobie bez niego. - Dobrze chociaż, że jadąc na zakupy, zostawiliśmy dzieciaki u dziadków - westchnął. - Zresztą, pewnie za godzinkę mnie puszczą i od razu, z kopyta, pojedą na Dekerta.

Byli już na Wyszyńskiego, chwilę potem Kanclerz po prawej stronie ulicy spostrzegł czteropiętrowy blok z charakterystycznymi miniaturowymi balkonami. Szczególnie jeden z nich rzucał się w oczy, ukwiecony niczym łąka w pełni lata, mocno przy tym kontrastując z pozostałymi, pustymi, wręcz wołającymi o choćby jedną marną donicę.

Przemknęli obok bloku, nagle zza rozłożystego dębu wyłonił się nowoczesny, mocno kanciasty budynek. Rząd wąziutkich okienek na parterze sprawiał wrażenie, że ma się do czynienia z jakąś halą produkcyjną, gdzie stół w stół siedzą chińskie dzieci i na maszynach do szycia produkują miliony sztuk bluz, spodni i

swetrów. Na szczęście wielki napis „Policja” widniejący na wysokości około 10 metrów wyjaśniał wszelkie wątpliwości: to nie była fabryka, chociaż pracujący tam funkcjonariusze właśnie takim pieszczotliwym określeniem nazywali swoje miejsce pracy, mimo że większość z nich miała już serdecznie dość produkowania setek tysięcy papierków niezbędnych do karmienia zarówno przełożonych, jak i potwora biurokracji.

*

Minęła godzina, a nie dość, że Kanclerz nie opuścił jeszcze gmachu komendy, to nie zaczęło się nawet składanie wyjaśnień. Gdyby wcześniej miał do czynienia z policją, wiedziałby, że to nic innego jak standardowe urabianie zatrzymanego.

Przesłuchanie zaczęło się dopiero po dwóch godzinach, a po kolejnych trzech kwadransach Kanclerz zaczął odczuwać absurdalność sytuacji. Dwaj funkcjonariusze, którzy spisywali jego zeznania, działali mu mocno na nerwy: na zmianę jeden wychodził, drugi skądś wracał, po czym pytał o to samo, co chwilę wcześniej chciał wiedzieć poprzednik. Nie dość tego, co rusz przechodzili do tych samych wątków i musiał kolejny raz opowiadać to samo. W pewnym momencie nie wytrzymał.

Wybuch złości nie zrobił jednak żadnego wrażenia na policjantach. Po kolejnej półgodzinie spisali w końcu zeznania, a kiedy je parafował, został odprowadzony z powrotem na dołek. Uwaga, że po złożeniu wyjaśnień miał zostać wypuszczony do domu, spotkała się z kpiącymi uśmieszkami i wzruszeniem ramion.

Rozdział 2

Marta Kanclerz przemyła twarz zimną wodą i przyjrzała się odbiciu w lustrze szpitalnej łazienki, próbując przy tym odzyskać jasność umysłu. Od momentu zatrzymania przez policję Damian nie dał znaku życia, nie było go też u rodziców ani u teściów, a jego telefon milczał jak zakłęty.

Spojrzała na zegarek, dochodziła 6.00, od zatrzymania minęło już ponad 8 godzin. Choć do tej pory nie miała styczności z organami ścigania, podświadomie czuła, że przesłuchanie tak długo trwać nie powinno. Nie namyślając się wiele, wyciągnęła komórkę i wybrała numer 112. Po dłuższym oczekiwaniu odezwał się dyżurny miejscowej komendy. Choć silił się na uprzejmy ton, nie mógł jej pomóc, języka mogła zasięgnąć tylko osobiście.

Wróciła do pokoju, przytuliła mocno siostrę, tłumacząc, że musi pojechać na policję. Ta skinęła tylko głową, ocierając łzy.

*

Od dyżurnego na komendzie dowiedziała się niewiele. Już miała wyjść, gdy jakiś funkcjonariusz przywołał ją gestem głowy. Kiedy podeszła, odpowiedział jej, żeby jak najszybciej załatwiła mężowi pomoc prawną, odpowiedział też, że najwięcej kancelarii znajduje się w okolicach sądu okręgowego.

Wyszła z budynku komendy, Wyszyńskiego ruszyła w stronę centrum, minęła Chodkiewicza, skręciła w prawo we Franklina Roosevelta. Gdy doszła do skrzyżowania z Mieszka I, stanęła przed sygnalizacją świetlną. Na zielone dla pieszych trzeba było czekać bardzo długo. Zniecierpliwiona, spojrzała na drugą stronę ulicy Mieszka I, również tam piesi niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę w oczekiwaniu na zmianę świateł. Wtem, w oddali, nad koronami drzew spowitymi gęstą mgłą wznoszącą się ku górze jakby z dostojnością, zamajaczyły wieżowce z niedawno odmalowanymi elewacjami przyciągającymi wzrok kolorami: beżem, żółcią i różnymi odcieniami niebieskiego, bardzo podobne do tego bloku, w którym znajdowało się ich mieszkanie.

W końcu oczekiwanie sporej już liczby przechodniów zostało nagrodzone. Marta Kanclerz różnym krokiem - tak, jak mówią przepisy ruchu drogowego - przeszła na drugą stronę ulicy. Gdy znalazła się naprzeciwko sądu okręgowego, zaczęła się uważnie rozglądać w poszukiwaniu kancelarii prawnych.

Wszystkie były jednak zamknięte. Szła więc dalej przed siebie, patrząc na szare, odrapane kamienice po obu stro-

nach ulicy, bogato zdobione balkony i gzymsy, które niemym krzykiem próbowały zwrócić uwagę i przypomnieć o latach dawnej - pewnie jeszcze przedwojennej - świetności. Tak jak ona teraz, łkając cicho na pustej ulicy, próbowała zwrócić uwagę jakiegoś dobrego i taniego prawnika, by upomnieć się o ukochanego męża.

Na następnych światłach - tym razem oczekiwanie było nieporównywalnie krótsze - skręciła w prawo, weszła w Mickiewicza. Jej uwagę od razu zwróciła tablica z napisem „Adwokat”. Dopiero po kilkudziesięciu metrach dostrzegła, że to były „Antyki”. Postanowiła jednak iść dalej. Na tej ulicy kamienice też straszły szarością i płatami odpadającego tynku. Nagle, znalazłszy się na wysokości warsztatu samochodowego, spojrzała w lewo. Obok wejścia do klatki nr 13D, po lewej stronie drzwi, wisiała wielka tablica reklamująca usługi kancelarii prawniczej „Ius pro populi”. Nie miała zielonego pojęcia, co to znaczy po łacinie, za to uwagę przykuła informacja wypisana nieco mniejszymi literami: „Rzetelne usługi na każdą kieszeń”. Szczególnie to ostatnie było istotne.

Zanim zdecydowała się przejść na drugą stronę ulicy, przyjrzała się kamienicy. Sprawiała przygnębiające wrażenie, szara i smutna, i ten tynk odpadający płatami, jak skóra chorego na łuszczycę. Obok jednego z okien ktoś wydrapał w tynku wyznanie miłości dla „Stilonu”.

Powiodła wzrokiem nad wejście, widniała tam data postawienia kamienicy: 1927. - Mój dziadek urodził się w 1927 roku - uśmiechnęła się mimowolnie, w jednym ułamku sekundy nabierając śmiałości.

*

Policjanci z konwoju, którzy przyszedli po Kanclerza, nie byli zbyt rozmowni, ale tylko do czasu, kiedy wsiedli do volkswagena transportera. Jeden z funkcjonariuszy zasiadł za kierownicą, drugi wsiadł do przedziału dla zatrzymanych razem z nim.

- Słyszeliśmy o pańskiej przygodzie - kierowca zaczął mówić, gdy tylko ruszyli w dwupółkilometrową podróż do sie-

dziby Prokuratury Okręgowej przy ulicy Moniuszki.

- Przygodzie? - Kanclerzowi zachciało się nagle płakać.

- Pana to śmiesz?

- Nie - wtrącił pilnujący go policjant. - Co najwyżej wkurwia nas to, że prokuratura gnębi takich ludzi jak pan, zamiast dać im spokój.

- Naprawdę pan taki myśli? - w serce Kanclerza pierwszy raz od kilkunastu godzin wlało się trochę otuchy.

- Tylko ta rozmowa zostaje między nami - policjant przyłożył palec do ust. - Jakby to od nas zależało, to zaraz po przesłuchaniu odwieźlibyśmy pana do domu, po drodze kupując zgrzewkę piwa.

- Na komendzie dobrze znamy tych dwóch gnoi, których pan wczoraj załatwił - kierowca ponownie włączył się do rozmowy. - Gdyby nie to, że mają bogatego i wpływowego tatusia, już dawno siedzieliby w więzieniu.

- I to z wysokimi wyrokami - potwierdził policjant z przedziału dla zatrzymanych. - Ale prokurator woli się dobrać do dupy niewinnemu człowiekowi, bo tym nikomu się nie narażi. A ścigając prawdziwych bandytów mógłby podpaść szefowi, który co tydzień z pewnym panem gra w golfa - cmoknął z niezadowolaniem.

- Dojeżdżamy - poinformował kierowca. - Mogę panu coś nieoficjalnie doradzić?

- Oczywiście - odparł Kanclerz bez zastanowienia.

- Jeśli prokurator przedstawi panu jakiegokolwiek zarzuty, niech pan mu każe spierdalać na drzewo...

- Oczywiście niech pan to wyrazi innymi słowami - wtrącił drugi z funkcjonariuszy.

- Ja tylko obrazuję sytuację - kierowca pośpieszył z wyjaśnieniem. - Niech pan się do niczego nie przyznaje.

- Wtedy mnie puszczą? - Kanclerz zmarszczył brwi.

- Raczej nie - kierowca się zawahał. - Jeśli zarzuty będą poważniejsze, to prokurator może złożyć wniosek o areszt tymczasowy. Wtedy wszystko będzie zależało od decyzji sądu - zatrzymał radiowóz.

- A jak się przyznam, to wyjdę? - kolejne pytanie Kanclerza.

- Chuj wie - drugi policjant dosadnie wyjaśnił wątpliwości.
- Prokurator może pana wypuścić, ale równie dobrze może zażądać aresztu tymczasowego. Z drugiej strony, jak się pan teraz przyzna, to potem przed sądem będzie pan na straconej pozycji - otworzył drzwi.

- To żeście mi, chłopaki, pomogli... - Kanclerz zeskoczył na bruk. - Teraz to mam we łbie tak namieszane, że nie wiem, co robić...

*

Marta Kanclerz przestąpiła próg kamienicy, chwilę trwało, zanim przyzwyczała wzrok do ciemności panujących w korytarzu, których nie potrafiła rozproszyc mała żarówka świecąca nikłym blaskiem spod wysokiego sufitu. Zaczęła się rozglądać, próbując zorientować w przestrzeni, na próżno szukała wejścia do kancelarii. Wtem dostrzegła małą strzałkę kierunkową, ruszyła jej śladem, tuż za schodami wiodącymi na wyższe piętra w oczy kłuły nowiutkie drzwi. Nacisnęła klamkę bez zastanowienia, poddała się bez problemu, drzwi były otwarte. Znalazła się w malutkim holu, w którym z ledwością zmieścił się wieszak na ubrania i dwa nie pierwszej młodości krzesła. Po prawej były drzwi, a za nimi toaleta, o czym świadczył stosowny piktogram chłopczyka trzymającego siusiaka w dłoniach. Na wprost znajdowały się drugie drzwi, gdyby przyjrzała się im baczej, dostrzegłaby farbę odpadającą w okolicach zawiasów, najwyraźniej też najlepsze lata miały już za sobą, zarówno zawiasy jak i samo skrzydło.

Zastukała, po chwili usłyszała donośne: „Proszę”. Weszła, mówiąc: „Dzień dobry”.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że gabinet jest urządzony równie skromnie, co hol. W centralnym miejscu stało biurko, przed nim dwa krzesła - równie wiekowe jak te z korytarza - obok regał z misternie poukładanymi segregatorami i książkami. Okno w pomieszczeniu było tylko jedno i to tak wąskie, że można było przypuszczać, iż w miejscu dzisiejszej kancelarii prawniczej wcześniej znajdował się składzik na miotły i środki czystości.

Odsunęła od siebie tę myśl, przywołując w pamięci tablicę reklamową. Na każdą kieszeń, to było teraz najważniejsze. Aby dodać sobie odwagi, jeszcze raz powiedziała „dzień dobry”, już dużo głośniej, po czym przedstawiła się z imienia i nazwiska.

Mecenas Jakub Bielik wstał, jak na dzentelmena przystało, zrobił dwa kroki - gdyby zrobił dwa kolejne, znalazłby się za drzwiami własnego gabinetu - i wyciągnął dłoń na przywitanie. Wcześniej oczywiście zdążył otaksować ją jednym spojrzeniem, dając 30, góra 32 lata, od razu klasyfikując jako kurę domową będącą na utrzymaniu męża. Nie cierpiał takich kobiet, bo po odchowaniu dzieci nie potrafiły wrócić na rynek pracy, a tym samym stawały się darmozjadami żerującymi na całym wachlarzu zasiłków i dodatków. Zupełnie jak jego matka.

- Słucham, w czym mogę pani pomóc? - przybrał zawodową maskę uprzejmości, wskazując na krzesło.

- Panie mecenasie, wczoraj wieczorem mojego męża zatrzymała policja - ledwie zaczęła mówić, gdy zabrakło jej słów. - Dzisiaj z samego rana byłam na komendzie, ale nie pozwolono mi się z nim zobaczyć. Dowiedziałam się jedynie, że został przewieziony do prokuratury i tam jest przesłuchiwany. Nie wiem, jak mogę mu pomóc...

Zareagował kolejnym wymuszonym uśmiechem. Nie dość, że wiedziała, jak należy go tytułować, to jeszcze mówiła zupełnie składnie i z sensem. - Być może nie należało jej tak szybko szufladkować - zreflektował się w myślach, przyglądając uważniej. Miała bardzo kobiecą figurę, piersi ani za duże, ani za małe, dość zgrabne nogi. Ubrana ze smakiem, choć skromnie. Byłaby całkiem ładna, gdyby nie te mocno podkrążone oczy i brak makijażu ukrywającego drobne zmarszczki pod oczami.

- Za co zamknęli pani męża? - rozmowa zaczęła go nużyć. Zerknął ukradkiem na torebkę, chociaż nie był na bieżąco z trendami, to od razu można było poznać, że akurat ta część jej garderoby wyszła z mody co najmniej dekadę temu. Był gotów się założyć, że kiedy wspomni o honorarium - wściekle niskim w porównaniu do standardowych stawek obowiązujących w mieście - okaże się, że i tak jej nie stać.

- Zapisałam sobie - otworzyła torebkę, wyciągnęła kar-

teczkę zapisaną drobnym drukiem. - Udział w bójce ze skutkiem śmiertelnym.

- Udział w bójce ze skutkiem śmiertelnym... - powtórzył jak echo.

- Tak mi powiedział policjant na komendzie - wyjaśniła.

- Ale zaznaczył, że to wstępny zarzut i że może ulec zmianie. Więc nie wiem...

- Tak czy siak - wszedł jej w słowo - jeśli mąż podczas przesłuchania przez prokuratora przyzna się do winy, zostanie zwolniony. Jeżeli się nie przyzna, prokuratura zażąda aresztu tymczasowego.

- Aresztu? - w kącikach oczu pojawiły się łzy. - Przecież Damian nie zrobił nic złego.

- Każdy tak mówi - westchnął w myślach, a na głos powiedział: - Czyli możemy przypuszczać, że się nie przyzna. A to oznacza, że lada chwila trafi przed oblicze sędziego, który zdecyduje o zastosowaniu aresztu tymczasowego.

- I nic nie można zrobić? - w jednej chwili przywołała się do porządku, robiąc tym samym wrażenie na Bieliku.

- Musiałbym poznać szczegóły sprawy, ale nawet bez tego mogę pani powiedzieć, że stosownym byłaby obecność prawnika podczas takiego posiedzenia sądu.

- Czy to dużo kosztuje? - spytała niepewnie.

Delikatnie się uśmiechnął, gratulując sobie przenikliwości:

czuł, że jest biedna i właśnie wygrał zakład z samym sobą. Zanotował w myślach, że przyszedł czas na zmianę napisu na tablicy reklamowej, obecna przyciągała chyba wszystkich biedaków z miasta.

- W zależności od stopnia skomplikowania danej sprawy od kilkuset złotych do tysiąca - bacznie wpatrywał się w twarz kobiety, chcąc z niej wyczytać jak najwięcej. W głębi duszy wciąż miał jednak nadzieję, że uda się zarobić chociażby na czynsz nędznej kawalerki, z którym zalegał od dwóch miesięcy. - Ale potem będą następne wydatki, bo zacznie się proces. Koszty mogą sięgnąć kilku tysięcy złotych...

- Kilku tysięcy złotych... - powtórzyła jak echo. - W naszej rodzinie pracuje tylko mąż, ja zajmuję się domem - mówiła

cicho, ale z twardością wyczuwalną w głosie. - Jakoś sobie poradzimy, weźmiemy kredyt albo poprosimy o pomoc rodzinę...

- Jest pani pewna? - spytał bez cienia troski o nią, co najwyżej o własne wynagrodzenie. Aż go korciło, żeby ją spławić, z drugiej strony wizja zapłaty zaległego komornego robiła swoje.

*

Prokurator Marcin Dobrowolski z Prokuratury Okręgowej w Miłowie Wielkopolskim - minutę potem, gdy Kanclerz usłyszał jego imię i nazwisko, wypadły mu one z pamięci - nawet nie silił się na uprzejmości, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Po potwierdzeniu tożsamości poprosił o przedstawienie własnej wersji wydarzeń. Mimo tego, że Kanclerz miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości dopiero drugi dzień, zdążył się nauczyć, że uwaga w stylu „Mówiłem już to policji”, nie zostanie dobrze przyjęta. Nie oponował więc, tylko zaczął opowiadać.

Prokurator ogólnie nie przerywał, nie komentował, pozwolił sobie tylko na standardową uwagę „Czy chciałby pan coś dodać?”

Kiedy Kanclerz zaprzeczył, śledczy wykrzywił usta w grymasie, który w zamierzeniu miał być zaczątkiem uśmiechu.

- Panie Kanclerz - Dobrowolski bezpiecznie nie odmienił nazwiska - w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej przedstawiam panu zarzut przekroczenia obrony koniecznej i nieumyślnego spowodowania śmierci Mariana Grzędowicz, lat 32 oraz Stefana Grzędowicz, lat 34, to jest o przestępstwo z artykułu 155 kodeksu karnego w połączeniu z artykułem...

Kanclerz więcej nie słyszał, dopiero teraz zrozumiał, w jakim bagnie się znalazł. I nawet nie chodziło o zarzuty, bo na to akurat zdążyli go przygotować policjanci z konwoju. Nie, dopiero gdy do świadomości wdarły się nazwiska obu mężczyzn, dotarło do niego, że zabił dwóch ludzi. I to jeszcze braci.

- Czy przyznaje się pan do zarzucanych mu czynów? - głos prokuratora zabrzmiał jak echo.

- Słucham? - spytał zdeorientowany.
- Czy przyznaje się pan...
- Nie - Kanclerz przerwał prokuratorowi w połowie zdania.
- To ci dwaj bandyci napadli na mnie i moją rodzinę, chociaż nikt z nas nie zrobił im niczego złego, a nie ja na nich. Proszę to zaprotokołować w imieniu jednego z obywateli Rzeczypospolitej Polskiej - wycedził, patrząc rozmówcy prosto w oczy.

*

- Mąż naprawdę nie zrobił nic złego - Marta Kanclerz westchnęła głęboko.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - Bielik uśmiechnął się z uprzejmością wymalowaną na twarzy - ale fakt niewinności pani męża nie ma wpływu na... Jakby to powiedzieć... - szukał odpowiedniego określenia.

- Na wysokość pańskiego honorarium - dopowiedziała.

- Nie chciałbym, żeby to tak zabrzmiało - skrzywił się mocno, kolejny raz punktując samego siebie w myślach za niedocenianie przeciwniczki.

Odpowiedziała mu smutnym uśmiechem.

- Zmieńmy temat - zaproponował. - Proszę mi opowiedzieć o tej bójce.

- Razem z siostrą i szwagrem byliśmy na zakupach, chłopcy właśnie pakowali je do auta, gdy podjechało dwóch osiłków z kijami bejsbolowymi...

- To było na parkingu przy Skalamandrze? - wtrącił nagle Bielik.

- Tak - potwierdziła, zaskoczona. - Skąd pan wie?

- Wczoraj wieczorem słyszałem o tej bijatyce - wytłuma czył pośpiesznie. - Ale niech pani mówi dalej - ponaglił, czując rosnącą ekscytację.

- Zaczęli coś mówić o tym, że nie mamy ich zezwolenia na parkowanie w tym miejscu... Damian tłumaczył, że nie chcemy problemów, ale to nic nie dało - zaczęła płakać. - Jeden z tych mężczyzn uderzył szwagra kijem w głowę, od razu stracił przytomność...

- Co ze szwagrem? - zainteresował się błyskawicznie.

- Ma złamany nos i kość jarzmową, wybite cztery zęby i wstrząśnienie mózgu - wyliczała. - Zabrali go na Dekerta, rano wciąż był nieprzytomny, lekarze obawiali się uszkodzenia mózgu, dlatego wprowadzili go w śpiączkę farmakologiczną.

- Rozumiem - Bielik skrętnie notował w myślach kolejne fakty, ze wszystkich sił starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zaczęło mu zależeć na poprowadzeniu sprawy.

- Co się działo dalej?

- Drugi zaatakował męża...

- Czym? - sięgnął po skoroszyt.

- Też kijem bejsbolowym.

- Panie byliście na zewnątrz auta? - zaczął notować.

- Nie - zaprzeczyła natychmiast. - Chwilę wcześniej, gdy samochód z tamtymi bandziorami podjechał do nas, mąż kazał mi i siostrze wsiąść do auta.

- Rozumiem - skrobał w zeszyt z namaszczeniem równym temu, gdy pisał pracę magisterską. - Więc jak pani to wszystko widziała?

- Przez tylną szybę - odparła.

- Jaki macie samochód?

- Daewoo matiz.

- A napastnicy czym przyjechali?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Nie znam się na markach samochodów. Był koloru grafitowego.

- Rozumiem - Bielik cały czas robił notatki. - Więc drugi z napastników zaatakował męża kijem bejsbolowym. Co było dalej?

- Zamachnął się na Damiana, ale mąż się uchylił - ze szczegółami opowiedziała o zajściu.

- Więc panie przedstawiłyście policjantom przebieg zdarzeń? - upewnił się, gdy skończyła.

- Tak, ale powiedzieli, że i tak muszą męża zatrzymać do wyjaśnienia i że to nie potrwa długo. Bez obaw pojechałam więc z siostrą do szpitala. Byłam tam do rana, potem od razu udałam się do komendy, ale...

- Nic tam pani nie załatwiła - zamknął notatnik z trzaskiem.
- Powiem pani, co o tym wszystkim myślę - momentalnie podjął decyzję. To była jego wielka, upragniona szansa, na którą czekał od dzieciństwa. - Jak dla mnie sprawa jest jasna. Dla pani też. Podejrzewam, że dla męża również. Niestety, to, co jest proste dla nas, prokuratura w tym kraju notorycznie komplikuje. Dlatego radziłbym pani skorzystać z usług prawnika od razu, już od przesłuchania w sprawie aresztu tymczasowego.

- A kiedy takie przesłuchanie może się odbyć?

- Jeżeli mąż nie przyzna się do winy, a oboje przewidujemy, że tak będzie, to, jak znam życie, prokuratura złoży wniosek o areszt. Przesłuchanie odbędzie się jeszcze dzisiaj, o ile - Bielik zerknął na zegarek - już się nie odbyło. Pani wybaczy na chwilę - sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego, wybrał przycisk szybkiego wybierania numeru, rozmawiał chwilę. - Posiedzenie sądu w sprawie aresztu tymczasowego dla pani męża odbędzie się dokładnie o 12.00.

- To za półtorej godziny - otworzyła torebkę, sięgnęła do portmonetki. - Panie mecenasie... Ile kosztowałby pański udział w tym posiedzeniu?

- Pani...

- Marto - rzekła machinalnie.

- Pani Marto - wstał, patrząc jej prosto w oczy - mam dla pani pewną propozycję.

- Tak? - spytała niepewnie.

- Oprócz spraw, które dają wysokie honorarium - skłamał gładko, nawet nie zastanowiwszy się nad tym, że nie miał jeszcze ani jednej takiej sprawy, a tylko same resztki po kolegach po fachu mających znane nazwiska, lepsze biura i pieniądze jak lodu - biorę też sprawy społecznie ważne. W takich przypadkach wysokość mojego wynagrodzenia nie jest kwestią najważniejszą.

- I sprawa mojego męża jest taką sprawą społecznie ważną? - spytała z nadzieją.

- Niewątpliwie tak - potaknął dostojnie głową, oczami wyobraźni widząc swoje nazwisko na pierwszych stronach

gazet. - Dlatego proszę się nie przejmować moim honorarium - podszedł do niej i przyjaźnie poklepał dłonią jej dłoń.

- Jestem panu ogromnie wdzięczna - odetchnęła głęboko, ocierając łzy napływające do oczu.

- Nie ma za co - powiedział z uśmiechem. - To ja jestem wdzięczny tobie, że tu przyszedłaś - szepnął do siebie w myślach. - Zanim pojedę do sądu, musimy załatwić formalności - odwrócił się na pięcie i podszedł do regału, wyciągnął jeden z równiutko poukładanych segregatorów, położył go na blacie. - Udzieli mi pani pełnomocnictwa.

*

Marta Kanclerz wyszła z kamienicy i ruszyła Mickiewicza, zmierzając w kierunku swojego osiedla. Zatrzymała się przed skrzyżowaniem z Kosynierów Gdyńskich, przy kiosku. Od razu zwróciła uwagę na krzykliwe tytuły tabloidów, które wszem i wobec informowały, że Hanka Tunelak nie żyje. Westchnęła głęboko. Gdyby nie wczorajsze zajście na parking, obejrzałyby kolejny odcinek ulubionego serialu „P jak problemy” i była świadkiem, jak ukochana Hanka po 11 latach grania w tasiemcu traci życie.

Przywołała się do porządku: teraz miała ważniejsze sprawy na głowie niż śmierć bohaterki. Podniosła wzrok, w dali znowu dostrzegła wieżowce na Staszica, te same, które towarzyszyły jej w drodze z komendy. Uśmiechnęła się, wciągając powietrze w płuca, by po chwili wypuścić je z sykiem. Była głęboko wierząca i jakiegokolwiek przesady co najwyżej wywoływały na jej twarzy kpiący uśmiech. Jednak tym razem widok pastelowych bloków napełnił ją siłą, której do tej pory doświadczała jedynie w kościele.

Rozdział 3

Sędzia Aldona Ginkowska rozpoczęła dzień z tak potwornym bólem głowy, że pierwszą myślą po przebudzeniu była ta, aby

wziąć wolne. - Dzisiaj będę taką heterą, że skażę nawet najbardziej niewinnego podsądnego - zaśmiała się szyderczo, niemal dotykając twarzą lustra, licząc kurze łapki. Za tydzień miała świętować czterdzieste urodziny, a wciąż wyglądała na trzydziestkę, no, może nie licząc takich poranków, jak ten.

- Świętować - parsknęła, dotykając piersi, wciąż jędrnych, mimo upływających lat. Parsknęła jeszcze mocniej, na wspomnienie minionej nocy, jednej z najbardziej upojnych od bodaj dekady.

Wszystko zaczęło się od telefonu Waldka, przyjaciela z Warszawy, z którym umówiła się na pojutrze w poznańskim hotelu, na jeden z tych weekendów, na które oboje czekali miesiącami. Pytał o jej aktualny adres, bo chciał wysłać kartkę. Niemal go zbyła, śmiejąc się, że poczta na pewno nie wyrobi się przed piątkiem, więc będzie lepiej, gdy przesyłkę wręczy jej osobiście. Był jednak tak uparty, że podała mu dane.

Kiedy godzinę później usłyszała dzwonek u drzwi a w judaszu zobaczyła twarz sąsiadki, jeszcze niczego nie przeczuwała. Dopiero, gdy obok pani Wiesi pojawił się kosz rozłożystych róż, zorientowała się w podstępnie.

- Oby wszyscy przestępcy świata stosowali tak miłe fortele
- uśmiechnęła się szeroko, poprawiając piersi w staniku. Nagle zorientowała się, że łupiący ból głowy zniknął. - Proszę, to już nie tylko seks jest najlepszym środkiem przeciwbólowym, ale nawet samo jego wspomnienie - zaśmiała się perliście. - A może jednak dzisiaj będę łaskawa? - zamyśliła się nagle, szybko strofując w myślach. Nigdy nie pozwalała sobie na to, aby - jak mawiali sportowcy - dyspozycja dnia miała wpływ na ferowane przez nią wyroki. Nigdy.

*

Prokurator Dobrowolski nie miał równie jasnego systemu wartości zawodowych, co sędzia Aldona Ginkowska, więc nie przejmował się tym, że kac po wczorajszej zgrzewce taniego piwa może wpłynąć na traktowanie Kanclerza. Facet go wkurwił, chociaż gdyby sam się nad tym zastanowił, nie

potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Nie podobała mu się jego zarośnięta mordka? Pewność siebie, z jaką kazał mu spadać na drzewo? A może po prostu podszedł zbyt sztywno do sprawy?

Miał to w dupie. Jego zadaniem, jako przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, było oskarżanie przestępców. A w systemie wartości zawodowych wyznawanym przez Dobrowskiego zabicie dwóch ludzi było przestępstwem, za które sprawcę należało surowo ukarać. Najlepiej więzieniem bez zawiasów. - Szkoda, że może dostać tylko piątkę - westchnął, wertując akta. - Obrona konieczna? - zaśmiał się na głos. - Już ja ci pokażę obronę konieczną - zamknął gwałtownie teczkę, włożył do aktówki, sięgnął po marynarke.

Przez chwilę zastanawiał się, czy brać auto, ale że miał jeszcze kwadrans, zdecydował, że półkilometrowy spacerek wykorzysta na papierosa.

Dziesięć minut później wchodził już do budynku sądu okręgowego.

*

- Nazywam się Jakub Bielik, będę pańskim obrońcą - wysapał Bielik, wpadając do sądu w ostatniej chwili.

- Moim? - spytał Kanclerz, drapiąc się po szczecinie rękoma skutymi kajdankami, wciśnięty na ławce między dwóch policjantów.

- Pańska żona mnie wynajęła - wyjaśnił pośpiesznie.

- Stać nas? - opuścił ręce.

- O pieniądzach pogadamy później - machnął lekceważąco ręką, jakby szło o 2 złote na drożdżówkę. - Kto przewodniczy? - to pytanie skierował w stronę konwojentów.

- Ginkowska - w odpowiedzi dało się słyszeć burknięcie.

- Świetnie - Bielik zatarł dłonie z radości.

- Znają pan? - spytał Kanclerz.

- Jeśli pyta pan o kontakty towarzyskie, to nie - odparł Bielik, szukając czegoś w torbie ze sztucznej skóry (jedyne 25 złotych na targowisku przy Przemysłowej). - Członkowie palestry nie utrzymują tego typu znajomości z sędziami.

Jeden z policjantów ni to parsknął, ni zakaszłał.

- Przynajmniej ja tego nie robię - wycedził Bielik, nie precyzując, że i tak nikt z szanujących się i szanowanych adwokatów czy sędziów nie zaproponowałby mu plastikowego kubeczka wody z kranu, nie mówiąc o jakimkolwiek raucie.

- Sędzia Ginkowska jest znana z twardej, aczkolwiek merytorycznej postawy.

*

Sędzia Aldona Ginkowska nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszyscy obecni na sali - włącznie z protokolantką - patrzą się na nią, szukając oznak zmęczenia. Wiedziała doskonale, że to idiotyczna myśl, ale za nic nie mogła usunąć jej z głowy. Te okrągłe urodziny - a raczej bilans życia, którego panicznie nie chciała wykonać - dawały się jednak we znaki.

Sprawa przekroczenia obrony koniecznej i nieumyślnego spowodowania śmierci, i to podwójnego, przykuła jej uwagę od razu, gdy tylko spojrzała na wykaz dzisiejszej wokandy. Od razu sobie obiecała, że przyjrzy się temu bacznie, a Dobrowolskiemu nie pozwoli na to, żeby potraktował ją po łebkach.

Dlatego, kiedy prokurator skończył lakoniczny opis zdarzenia, od razu przeszła do rzeczy.

- Panie mecenasie? - spytała, nie łudząc się nawet, że młody i nieopierzony Bielik - jak on dostał tę sprawę? - wygra potyczkę z dużo bardziej doświadczonym prokuratorem. - Nieopierzony Bielik - rzekła w myślach, notując w pamięci grę słów.

- Wysoki Sądzie - Bielik wsiał, sprawnie zapinając marynarkę. - Zarzuty prokuratury są absolutnie bezpodstawne. Mój klient był na zakupacli z rodziną, bez żadnego powodu został zaatakowany przez dwóch mężczyzn uzbrojonych w kije bejsbołowe. Jeden z członków rodziny został brutalnie pobity, leży nieprzytomny w szpitalu. Mój klient stał się kolejnym celem tych dwóch mężczyzn i zrobił to, co każdy z nas uczyniłby na jego miejscu: bronił się.

- Panie prokuratorze? - sędzię Aldonę Ginkowską mocno interesowała wersja prokuratury.

- Podejrzany spowodował śmierć dwóch mężczyzn - Do-

browolski zbyt się nie wysiłał, był przekonany, że wynik posiedzenia nie może być inny jak areszt tymczasowy, o który wnioskował. - Może i byli oni uzbrojeni w kije bejsbołowe, ale to podejrzany spowodował większe obrażenia u nich niż oni u niego - zauważył. - Z tego, co podejrzany zeznał podczas wstępnego przesłuchania, trenował karate. Jako zawodnik uprawiający sporty walki powinien zdawać sobie sprawę, że wiedzy zdobytej podczas szkolenia nie wolno mu wykorzystywać w życiu codziennym.

- To prawda? - sędzia Aldona Ginkowska skierowała pytanie do Kanclerza. - Trenował pan karate?

- Tak - Kanclerz wstał - chociaż tylko przez ostatnie pół roku.

- Tylko pół roku? - wtrąciła. - Proszę powiedzieć więcej na ten temat: dlaczego trenował pan akurat karate?

- Podczas narodzin drugiego syna zemdlałem - wyjaśnił. - Okazało się, że mam mocno podwyższone ciśnienie, lekarz zalecił mi więc aktywny ruch. Ponieważ w szkole, obok której mieszkamy, działa klub karate, zacząłem chodzić na treningi - dodał. Nie wspomniał już jednak o tym, że waży 96 kilogramów - czyli co najmniej o 10 za dużo jak dla swojego wieku i wzrostu 168 centymetrów - i że to wynik tego, iż do niedawna odżywiał się przede wszystkim piwem, chipsami i kawą.

- Jak często się one odbywały? - dopytywała.

- Trzy razy w tygodniu, ale ja chodziłem przeważnie dwa razy, na więcej nie pozwalały mi obowiązki rodzinne - tłumaczył.

- Jak określiliby pan swój stopień zaawansowania? - pytała dalej.

- Raczej niewielki, Wysoki Sądzie - Kanclerz się zamyślił.

- Uczyłem się technik samoobrony, ale na wzięcie udziału w zawodach dla początkujących sensei się nie zgodził. Stwierdził, że może za rok...

- Panie prokuratorze, podejrzany nie jest zawodowcem, a jedynie amatorem, który uprawiał karate ze względu na wskazania lekarskie - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na początki łysiny na głowie Kanclerza i umocniła się w

przekonaniu, że facet nie miał zamiaru nikogo uśmiercać.

- To ustalimy w dalszym toku postępowania - odparł Dobrowolski niezrażony. - Zdaniem prokuratury wnioszek o areszt tymczasowy jest uzasadniony ze względu na groźbę mactwa...

- Gdzie pan pracuje? - sędzia Aldona Ginkowska zignorowała uwagę prokuratora.

- W Zakładach Mięsnych Pol-Mił-Mięs - odpowiedział Kanclerz. - Jestem masarzem.

- Jakie są pana zarobki? - pytała dalej. - Wystarczy podać orientacyjną wysokość.

- Średnio zarabiam 1.600 złotych na rękę - Kanclerz się zawahał. - Z tym, że na konto dostaję najniższą krajową, a resztę pod stołem.

- To wszystkie pańskie dochody? - sędzia Aldona Ginkowska zanotowała coś na marginesie.

- W weekendy dorabiam, biję świnie na wioskach w okolicach Miłowa - wyjaśnił.

- A żona?

- Żona nie pracuje, zajmuje się wychowywaniem dzieci. Mamy trójkę...

- Panie prokuratorze, świadkowie obecni na miejscu zdarzenia potwierdzili, że to podejrzany został zaatakowany przez ofiary - spojrzała przeciągle na Dobrowolskiego.

- Przesłuchani świadkowie są spokrewnieni z podejrzany - prokurator odpowiedział bielą zębów.

- Wersję wydarzeń przedstawioną przez mojego klienta potwierdza także nagranie z monitoringu - wtrącił Bielik.

- Miałem okazję pobieżnie je obejrzeć, nie pozostawia ono żadnych wątpliwości.

- Wersję wydarzeń przedstawioną przez podejrzanego potwierdza także nagranie z monitoringu - sędzia Aldona Ginkowska cmoknęła wymownie.

- Nagranie zostało zabezpieczone, ale biegły jeszcze się w tej sprawie nie wypowiedział - Dobrowolski wciąż nie czuł zagrożenia. - Prokuratura uznaje, że podejrzany mógł obronić siebie i swoją rodzinę przed napaścią, nie powodując

śmierci napastników.

- Bardzo dobrze - po wyrazie twarzy sędzi było widać, że podjęła już decyzję. - Prokuratura będzie miała możliwość udowodnienia tego w procesie. Natomiast sąd nie dostrzega niebezpieczeństwa matactwa ze strony podejrzanego, dlatego wniosek o wydanie nakazu tymczasowego aresztowania zostaje oddalony. Jako środek zapobiegawczy wyznaczam dozór policyjny i zakaz opuszczania kraju.

Rozdział 4

- Ten się nada - Artur Starosta, asystent ministra sprawiedliwości Roberta Drabczego wparował do gabinetu szefa z prędkością bolidu Formuły 1. Na blacie solidnego, dębowego biurka położył cienką teczkę.

- 27 lat, żonaty, troje dzieci - Drabczy czytał dossier na głos. - I ten dobroduszny wygląd... Żywa reklama Świętego Mikołaja! Nie wahałbym się ani chwili, czy puścić z nim dzieci na kolonię.

- Prawda, że pasuje idealnie? - uśmiechnął się, zadowolony z wykonania zadania. Wyłuskanie takiego nieoszlifowanego diamentu nie było łatwe, ale też praca u boku ministra Drabczego była wyzwaniem samym w sobie. Oczywiście z nagrodą na końcu tunelu, w którym właśnie pojawiło się światelko.

- Za co siedzi? - zamknął teczkę.

- Nie siedzi - odparł szybko. - Dwie godziny temu sąd oddalił wniosek prokuratury o areszt tymczasowy. Będzie odpowiadał z wolnej stopy za przekroczenie obrony koniecznej i nieumyślne spowodowanie śmierci - wstrzymał głos, aby zwiększyć efekt. - Gwoli ścisłości: za nieumyślne spowodowanie śmierci dwóch osób...

- Mów po ludzku - Drabczy przerwał mu łagodnie.

- Gołymi rękoma zatłukł dwóch gnoi, którzy wzięli sobie faceta i jego rodzinę na cel.

- Czyli? - otworzył teczkę z powrotem.

- Szukali kogoś, na kim mogliby wyładować nadmiar te-

stosteronu - wyjaśnił Starosta, po czym opisał ze szczegółami zajście z parkingu przy markecie Skalamandra. - Jego szwagier leży na intensywnej terapii. Wyjdzie z tego, ale czeka go co najmniej półroczna rehabilitacja.

- Masarz, zarabia 1.600 złotych, pracuje w zakładach mięsnych Pol-Mił-Mięs - niemal połamał sobie język na skrótce.

- Co za nazwa! Skąd ci ludzie biorą pomysły na takie potworki językowe? - ostatnie pytanie było retoryczne.

- W weekendy robi fuchy, bije Świnic na wioskach - zamyślił się na chwilę. - Tak, pasuje idealnie!

- W rzeczy samej - potwierdził, ukrywając satysfakcję.

- Bierzemy go?

- Bierzemy - zdecydował. - A tak na marginesie - zmierzył asystenta wzrokiem - to masarz pisze się przez „rz”, a masaż przez „z” z kropką to jest wtedy, jak ci dziewczyna wymasuje plecy. I nie tylko - zarechotał, zadowolony z dowcipu, choć doskonale wiedział, że podwładny gustuje w chłopcach, nie w dziewczynkach. Sam nie darzył gejów sympatią, ale zatrudnienie jednego zaskarbiało sympatię liberalnego skrzydła w partii, co było nie do przecenienia.

W odpowiedzi Starosta zaprezentował niewyraźny uśmiech.

*

Bielik był w połowie sałatki warzywnej - wolał mięsne, ale dzisiaj była promocja na wegetariańską - kiedy zadzwoniła komórka.

- Kogo niesie? - warknął, ubrudziwszy sobie spodnie sosem czosnkowym. Spojrzał na wyświetlacz, dzwonił Tadeusz Niedźwiecki (dla przyjaciół Grizzly), zaprzyjaźniony policjant z drugiego komisariatu. - Czołem - wepchnął do ust spory kawałek ogórka.

- Cześć - odburknął Niedźwiecki w odpowiedzi. - Twój braciszek trafił na dołek. Został zatrzymany za paserstwo.

- Nie interesuje mnie to - mało brakowało, a malutki kawałek ogórka stanąłby mu w gardle.

- Podał cię jako swojego adwokata.

- Popieprzyło go zdrowo - zaśmiał się sztucznie. - Nie je-

stem reprezentantem tego pana.

- To twój brat...

- To gnida, z którą nie chcę mieć nic wspólnego - warknął.

- Tak samo jak z resztą tej patologicznej rodziny.

- Twojej rodziny - zauważył cierpko Niedźwiecki.

- Mylisz się, stary. To już nie jest moja rodzina - Bielik skrzywił się, próbując trafić widelcem w pokąsną zieloną oliwkę nafaszerowaną pastą paprykową. - Ale dzięki za info.

*

Dopiero, gdy Starosta wyszedł z gabinetu, pozwolił sobie na grymas dzikiej radości. W końcu udało się znaleźć właściwego człowieka i odpowiednią sprawę. A to wszystko dzięki jego mozolnej pracy... Zamyślił się. No tak, trzeba było przyznać, że znajomości ministra też nie były bez znaczenia. Tylko dzięki temu na bieżąco otrzymywał informacje ze wszystkich prokuratur w kraju. - I pomyśleć, że tyle zachodu tylko po to, aby wybrać tę jedną, jedyną - podszedł do ekspresu, podstawił kubek, wybrał latte macchiato.

- Ale pomyśl, aby wprowadzenie ławy przysięgłych podeprzeć jakąś medialną sprawą, był mój - dmuchnął w piankę, czujnie patrząc na kształt, jaki przybrała. Nie pamiętał już od kiedy bawił się w takie przepowiadanie przyszłości. Tym razem pianka ewidentnie zmieniła się w morski klif, co nie mogło oznaczać niczego innego, jak zasłużony urlop nad Adriatykiem.

*

Bielik podlubał jeszcze chwilę widelcem, ale nie zjadł już nic, nie licząc dwóch oliwek. Rozmowa z Niedźwieckim sprawiła, że stracił apetyt. - I cztery złote poszły się... - zmełł w ustach przekleństwo.

- Cztery złote - uśmiechnął się po chwili na wspomnienie pierwszej latarki, którą kupił za taką właśnie kwotę, dwa miesiące przed ukończeniem pierwszej klasy podstawówki. Cztery złote, które zabrał z ojcowskiego portfela. Nie musiałby kraść i kupować latarki, gdyby nie to, że chciał nadgonić

braki w edukacji, a ojciec zabraniał mu uczyć się po nocach, bo jego zdaniem marnował tylko prąd. - Elektryczność - westchnął, przypominając sobie o serpentynach kabli wiążących w odrapanej do granic możliwości klatce schodowej w jednej z tych kamienic miłowskiego „kwadratu”, w której mieszkali tylko ci, których było siać jedynie na zawszawiony i zapleśniały lokal komunalny bez ciepłej wody i z piecami kaflowymi.

To właśnie wtedy, kilka dni po kupieniu latarki, od wychowawczynie pierwszy raz usłyszał, że nic dobrego z niego nie wyrośnie. Zawział się i przeszedł do następnej klasy, ale już co roku tuż przed promocją słyszał od niej to samo: „Bielik, nic z ciebie nie będzie!”. Do wszystkich kolegów i koleżanek mówiła po imieniu, tylko do niego po nazwisku...

- I widzisz, jak bardzo się pomyliłaś, suko?! - Bielik wykrzywił twarz w grymasie satysfakcji. Kiedy zmarła na raka płuc - całe życie kociła jak parowóz - i pół miasta płakało po wielkim wychowawcy miłowskiej młodzieży, szurając butami w kondukcje żałobnym, on powstrzymywał się, żeby nie wybiec na ulicę, nie stanąć przed karawanem i nie zacząć tańczyć z radości.

Westchnął głęboko, kolejny raz dziwiąc się temu, że udało mu się wyjść na ludzi. Mimo rodziny składającej się z ojca tyrana, matki narkomanki i alkoholiczki oraz starszego brata, który pierwszy raz trafił do poprawczaka w wieku ośmiu lat. - Udało mi się - uśmiechnął się, patrząc na wytarte siedzisko krzesła dla petentów. Studia prawnicze kosztowały go sporo wysiłku i jeszcze więcej pieniędzy, ale dał radę. A teraz poradzi sobie i z ostracyzmem palestry. Kolegom i koleżankom po fachu udowodni tak, jak udowodnił wychowawczynie.

Sięgnął po pudełko z sałatką, wbił widelec w rozciapanego pomidora. Cztery złote nie mogły się przecież zmarnować.

*

Starosta upił łyk kawy, bezpowrotnie niszcząc klif, po czym zrobił drugą kawę, dla szefa, następnie wrócił do gabinetu.

- Zgodnie z pańskim zaleceniem osobisty nadzór nad sprawą obejmie prokurator generalny - relacjonował beznamiętnym tonem.

- To oznacza, że - szybkie spojrzenie do akt - Kanclerzowi postawią zarzuty? - upewnił się Drabczy.

- Już postawili, tyle, że nie 1 radl do aresztu - przypomniał.

- Wkrótce rzuca się na to media.

- Na pewno? - zmarszczył groźnie brwi. - Nie chciałbym, żeby taki łakomy kąsek przeszedł nam koło nosa.

- Na pewno - potwierdził, ważąc słowa. - Pierwszy przeciek pójdzie jeszcze dzisiejszego popołudnia.

- Świetna robota - pochwalił. - A teraz zostaw mnie samego - polecił, odprawiając asystenta gestem ręki.

Kiedy ten wyszedł, minister Drabczy ponownie sięgnął do akt.

- Damian Kanclerz - przygryzł wargę, nabierając przy tym głęboko powietrza. - Kanclerz... Zupełnie jak szef rządu w Niemczech - wypuścił je gwałtownie, po czym się uśmiechnął. - To musi być znak - uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Tak, to na pewno jest znak - rozmarzył się, rozlewając zwały tłuszczu na fotelu, zamykając oczy. - Któż inny jak nie Kanclerz mógłby mnie doprowadzić do fotela premiera...?

*

Pudełko było puste i Bielik zastanawiał się, czy aby nie wylizać ścianek - sos był naprawdę pierwsza klasa, wyrazisty, ale przy tym nie za ostry - kiedy komórka znów zabrzęczała.

- Przecież mówiłem, nie reprezentuję go - rzucił krótko do słuchawki.

- Wiem - Niedźwiecki najwyraźniej też nie miał ochoty na rozmowę. - Chwilę temu twoja matka zrobiła tu karczemną awanturę.

- Niech zgadnę: była pijana w sztok? - zrezygnował z sosu.

- 2,8 promila - cmoknięcie mówiło samo za siebie. - Ale nie zawracałbym ci tym dupy. Zażądała widzenia z synem.

Odmowa spotkała się z ostrą reakcją, żeby nie powiedzieć:

atakiem szału. We trzech musieliśmy ją uspokajać. Groziła Jarkowi premierem, prezydentem, a na końcu Strasburgiem.

- Jarkowi „Byczkowi”? - spytał.

- Tak, temu Jarkowi - potwierdził. - A wiesz, jak na niego działają takie groźby... Więc zamknął twoją matulę na 48 godzin. Dostanie zarzut czynnej napaści na policjanta.

- Matulę - westchnął Bielik w myślach. - Jak to musi być cudownie mówić tak do rodzicielki. Albo mamu, mamusiu, maminko - czuł wilgoć wzbierającą pod powiekami, natychmiast zebrał się w sobie.

- Jesteś tam? - Niedźwiecki podniósł głos.

- Jestem - odparł.

- Słyszałeś, co powiedziałem? Czynna napaść na policjanta - zrobił pauzę. - Z taką kartoteką dostanie wyrok bez zawiasów.

- Świetnie - radość była jak najbardziej autentyczna, na jotę nieudawana. Przez jakiś czas będzie miał spokój, ani ona, ani brat nie będą przychodzić pod blok i żebrać na kolejną operację przepukliny starego zgreda.

Rozdział 5

Starosta wyjął ulotkę ulubionej pizzerii, zastanawiając się nad wyborem. Od pięciu lat był tak wielkim amatorem kuchni włoskiej, że za pizzę z pieca opalanego drewnem mógłby zabić plastikowym nożykiem dołączanym razem z jednym z dwóch sosów do wyboru. Jediną rzeczą, która mogła z tym rywalizować, były gry RPG. Przed komputerem spędzał większość wolnego czasu, często zarywając noce. A kiedy mógł budować i zdobywać kolejne światy stworzone w wyobraźni komputerów, przy okazji chrupiąc trójkąty hawaii lub livorny, był w siódmym niebie!

Tym razem jednak musiał się ograniczyć do samej pizzy. Złożył zamówienie, po czym zaczął się zastanawiać, czy diabelski plan uknuty wspólnie z Drabczym - chociaż zdaniem ministra to on sam był jedynym ojcem tego dziecka - uda się

wprowadzić w życie? Szósty zmysł, który już niejedną raz uratował mu polityczne życie i dzięki któremu piął się na drabinie Partii Wszystkich Obywateli, podpowiadał, że przyszedł czas uderzenia. Wiedział, że zarówno premier, jak i partyjna wierchuszka, szukają sposobu, aby przypodobać się opinii publicznej po kilku skandalicznych wyrokach w sprawach brutalnych morderstw i porwań dla okupu. Krótco potem była seria artykułów demaskujących układ w sądach i prokuraturach w kilku dużych miastach. Czarę goryczy zaś przelał przypadek sędziego, który pomylił akta dwóch spraw i wypuścił na wolność pedofila. Ten w drodze z budynku sądu do domu zaczepił kolejne dziecko, na szczęście interweniowała emerytowana nauczycielka, której zachowanie mężczyzny wydało się podejrzanym.

Media lotem błyskawicy rzuciły się na temat niekompetencji w sądownictwie i trzy dni później premier zwołał pilne posiedzenie grupy nieformalnej, po czwartkowym meczu. Starosty tam nie było, ale wysłuchał relacji Drabczego, który to otrzymał zadanie poprawienia wizerunku wymiaru sprawiedliwości. I to był dzień, w którym kariera asystenta nabrała niesamowitego tempa.

To właśnie on zaproponował, aby wykorzystać okazję do umocnienia pozycji samego ministra. Za rok miały się odbyć wybory parlamentarne, a premier już wcześniej zapowiedział, że usunie się w cień i przekaże władzę w partii. Oficjalnie miał przejść na polityczną emeryturę, dobrze poinformowani twierdzili co innego: premier miał dostać ciepłą synekurę w chińskim konsorcjum budowlanym, które dzięki kilku wygranym przetargom na budowę autostrad zdobyło przyczółek w Unii Europejskiej. Tajemnicą poliszynela było też, że na swego następcę namaści Krzysztofa Szafranca, wicepremiera i ministra finansów w obecnym rządzie. Jednak tak naprawdę walka o fotel szefa partii, a tym samym Prezesa Rady Ministrów po wygranych wyborach - a inna opcja w Partii Wszystkich Obywateli nie wchodziła w grę - nie była jeszcze przesądzona. Szafraniec może być dobrym fachowcem w swojej branży, ale nie potrafił dbać o wizerunek w szeregach własnej

partii, co Drabczemu udawało się kapitalnie. Tym samym siły obu pretendentów się wyrównywały. Dlatego projekt wprowadzenia do polskiego prawodawstwa instytucji ławy przysięgłych w przypadkach najcięższych zbrodni miał być handicapem, który szalę korzyści przechylił na rzecz Drabczego.

- Kurwa jego mać! - Starosta zaklął nagle na głos.

- Co się stało? - w drzwiach pojawiła się głowa ministra.

- Musimy rozszerzyć listę przestępstw podlegających instytucji ławy przysięgłych - wyjaśnił natychmiast.

- Bo? - Drabczy beknął cicho.

- Przekroczenia obrony koniecznej i nieumyślnego spowodowania śmierci nie ma w wykazie, który przygotowaliśmy - pozostawił beknęcie bez komentarza.

- Fakt - zamyślił się. - Przy okazji warto byłoby wpisać do tego katalogu jeszcze kilka innych przestępstw.

- Jakich?

- Takich, których społeczny wydzźwięk można odpowiednio wykorzystać - odparł bez chwili wahania.

Starosta nie dociekał, o jaką konkretnie formę wykorzystania chodziło ministrowi, zdawał sobie doskonale sprawę, że możliwa była tylko jedna. Mianowicie taka, która zwiększa słupki popularności. Nie pytał też o listę konkretnych przestępstw, nie od dziś pracował z ministrem i znał swoje miejsce w szeregu: czarna robota była zadaniem jego, nie szefa.

Drabczy wychodził przed szereg pracowników harujących w pocie czoła niczym mrówki robotnice dla swojej królowej tylko w czasie przypinania medali do kłapy. Jego kłapy, oczywiście, nie mrówek.

*

Po skończonej rozmowie Bielika wzięło na wspominki z dzieciństwa. A może to nie był wynik dyskusji o popieprzonej rodzinie, tylko sałatki wyczyszczonej do ostatniego kawałka selera? W każdym razie przypomniało mu się, jak całymi dniami chodził głodny. Nie pamiętał, żeby matka kiedykolwiek ugotowała obiad, który skapnąłby także jemu. Po tym, jak ojciec z bratem siadali do stołu, nie zostawało wiele,

po kolejce matki garnki świeciły pustkami. On, jako najmłodszy i wyrodny syn, dostawał drobne na czerstwy chleb i kawałek kaszanki lub, w bogatsze dni, plasterek mortadeli. Ale pieniądze, za które miał kupować jedzenie, przeznaczał na zeszyty. Zołądka jednak oszukać się nie dało, czymś trzeba go było zapełnić. Przez tajną dziurę w płocie - jedna szaleta była ruchoma - dostawał się więc do ogrodnictwa znajdującego się po sąsiedzku. To właśnie tam spotkał najpiękniejszą istotę na świecie, Darię.

Uśmiechnął się szeroko, próbując z pamięci przywołać szczegóły. Tego dnia miał ósme urodziny, zamierzał świętować je przy podwójnej porcji brzoskwiń, jedną nogą był już za płotem, gdy ją ujrzał, umorusaną błotem, z brudnymi włosami kryjącymi piękne blond loki. Spytała, czy zabierze ją ze sobą. Ponieważ usłyszał krzyk ojca w oficynie - a gdyby ten dowiedział się o jego wyprawach do sąsiada, złałby go na kwaśne jabłko, że nie przynosi szaberku do domu, tylko bezczelnie sam wszystko zjada - nie zastanawiał się długo, tylko kiwnął na nią. Z początku myślał, że będzie zawadą, ale szybko się okazało, że, chociaż rok młodsza, świetnie sobie radziła zarówno podczas wyprawy na brzoskwinie, jak i później, gdy bawili się razem na podwórku. Uśmiechnął się znowu, wspominając zabawy w dom. Nagle się zamyślił. Dopiero teraz zwrócił na to uwagę: nigdy nie bawili się w nic innego, ani w wojsko, ani w lekarza i pielęgniarkę, ani też w aktorów. Zawsze w dom... Na tę myśl uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Wtem zniknął w jednej chwili. Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy małą Darię chowano w ledwie co ociosanej sosnowej trumnie, kupionej przez opiekę społeczną. Oprócz księdza i grabarza jedyną osobą na pogrzebie był on. Nie przyszła ani jej matka, pijana od samego rana, jak co dnia, gdy tylko ją widywał, przychodząc po Darię. Nie było też ojca, bo być nie mogło: siedział w więzieniu, oskarżony o zabicie swojej córki w pijackim zwidzie.

Zacisnął pięści z bezsilności, tak jak tamtego poranka, gdy dowiedział się, że własny ojciec zatłukł Darię, bo zjadła ostatni kawałek kiszzonego ogórka czekający na jedną z wielu pijatyk.

- Nigdy więcej - obiecał sobie kolejny raz tak, jak obiecywał sobie codziennie od tamtej chwili, gdy trumna z malutkim ciałem osuwała się w dół. - Nigdy więcej tam nie wrócę!

*

Starosta, odłożywszy kodeks karny, sięgnął po drugi kawałek pizzy. Na liście było już zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem; zabójstwo w związku z wzięciem zakładnika; zabójstwo w związku z gwałtem; zabójstwo w związku z rozbojem; zabójstwo w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie; zabójstwo z użyciem broni palnej lub materiałów wybuchowych. Każda z tych zbrodni była zagrożona więzieniem nie krótszym niż 12 lat, kolejnym progiem było 25 lat za kratkami albo dożywocie. Wszystkie ze 148 artykułu kodeksu karnego. Teraz trzeba było jeszcze dopisać nieumyślne spowodowanie śmierci, zagrożone karą więzienia od 3 miesięcy do 5 lat, z artykułu 155. - Co jeszcze? - przewrócił kartkę. Coś trzeba było dopisać, bo inaczej pojawiłyby się głosy, że ten ostatni artykuł wpisano tylko pod publiczność, pod sprawę Kanclerza. A nic tak nie mogło zachwiać planem, jak zarzuty kumoterstwa. Należy się więc przed tym zabezpieczyć!

Wypisał kolejne przestępstwa: udział w bójce i pobiciu z ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu (od 6 miesięcy do 8 lat) oraz to samo, tylko ze śmiercią (od roku do 10 lat); a także bójkę i pobicie z użyciem niebezpiecznego narzędzia (od 6 miesięcy do 8 lat).

- Tak! - pochwalił się w myślach. - Wszystkie te przestępstwa są nośne społecznie. Właśnie ich się boimy, a sprawców chcielibyśmy posadzić za kratki najlepiej na dożywocie. Przekroczenie obrony koniecznej jest sprawą znacznie mniejszego kalibru, ale za to równie emocjonującą, bo przecież każdy chciałby móc się bronić, nie narażając na zarzut skrzywdzenia biednego napastnika - uśmiechnął się szeroko.

Lista była pełna. Co więcej, Starosta gotów był się założyć, że wewnątrz partii rządzącej nie znajdzie się nikt na tyle głupi, by poddać w wątpliwość którykolwiek z punktów. Opozycja

oczywiście będzie protestować, ale przecież protestowałyby nawet wtedy, gdyby rząd załatwił bezzwrotną pożyczkę miliarda dolarów.

Rozdział 6

Było już dobrze po 17.00 i Starosta miał ochotę skończyć pracę, wiedział jednak, że projekt o kryptonimie „Ręka sprawiedliwości” jest jego przepustką do wielkiego świata polityki. Gdyby pomysł wypalił - a innego wariantu nie brał pod uwagę - za rok Drabczy będzie dzierżyć władzę absolutną w partii rządzącej i całym kraju. A on, 33-letni absolwent nauk politycznych, stanie się jednym z najbardziej zaufanych i sprawdzonych ludzi samego premiera!

Na tę myśl ziewnął szeroko, próbując zwalczyć ogarniające go zmęczenie. Od kilku dni spał mało, ale wiedział, że jeszcze trochę musi wytrzymać. Nie mógł pozwolić na to, aby przegapić jakiś drobny szczegół, który mógłby storpedować realizację „Ręki sprawiedliwości”.

Kanclerz został sprawdzony, włącznie z kartą przedszkolaka. Teraz przyszedł czas na napastników. Także i ich życiorysy trzeba było przetrząsnąć niczym stóg siana w poszukiwaniu igły. Żeby się na przykład nie okazało, że to byli wzorowi ministranci. Sięgnął po komórkę, zaczął dzwonić, w międzyczasie surfując po internecie. Po trzech godzinach dossier było gotowe, włącznie ze zdjęciami, które przesłano z Komendy Wojewódzkiej Policji w Miłowie Wielkopolskim.

Wszedł do gabinetu ministra, zaczął referować. Stefan Grzędowicz miał 34 lata, był starszy o dwa od brata Mariana. Obaj mieli bogate życiorysy i grube kartoteki policyjne, wielokrotnie notowani i skazywani za drobne kradzieże i pobicia. Jednak według informatorów Starosty, to był zaledwie drobny zakres ich prawdziwej działalności, jeśli można to tak określić. Mieli bowiem na sumieniu o wiele więcej spraw kryminalnych, tyle, że byli kryci przez ojca, Edmunda Grzędowi cza, szanowanego przedsiębiorcę, jak to się dzisiaj

mówiło. Pod tym z pozoru niewinnym sformułowaniem kryło się drugie dno. „Biznesmen” dorobił się przed laty na szmuglowaniu papierosów do Niemiec i na jurnie, miał całe „przedsiębiorstwo”: licznych pracowników - mrówki - którzy dla niego pracowali. Wpadł tylko raz, odsiedział dwa lata, a kiedy wyrok uległ zatarciu, wszedł do polityki. Dzięki powiązaniom towarzysko-biznesowym trząśł okolicą, roztaczając parasol ochronny nad synalkami, którzy nikogo i niczego się nie bali. A kiedy już wpadali w tarapaty, w sukurs przychodził prawnik tatusia, niejaki Stanisław Kowalski.

- Staszek Kowalski? - Drabczy otworzył szeroko oczy.

- Ale się spisał...

- Zna go pan? - Starosta zdziwił się niepomierne.

- Studiowałem z nim na roku - skrzywił się, jakby połknął cytrynę. - Na każdej imprezie już po pierwszym piwie zanu-dzał wszystkich przypowieściami o etyce zawodu. Zresztą, na trzeźwo też powtarzał, że nigdy nie będzie bronił przestępców.

- Widocznie coś się stało, że zmienił zdanie - próbował podtrzymać temat, chociaż interesował go tylko w minimalnym stopniu, jako że mecenas Kowalski mógł się pojawić na sali sądowej w zastępstwie oskarżyciela posiłkowego, czyli Edmunda Grzędowicza.

- Coś się zmieniło? - westchnął głęboko. - Powiem ci, co się zmieniło - zrobił pauzę dla zwiększenia efektu.

Starosta wiedział, że w tym momencie ma się nie odzywać i pozwolić szefowi na retoryczny zabieg, następnie zaś nagrodzić go komplementem.

- Zmieniło się jego kredo życiowe - Drabczy kontynuował z egzaltacją. - Im większa menda, tym wyższe honorarium!

Starosta uśmiechnął się szeroko, przygotowując grunt pod ostatnią informację, tak naprawdę jedyną rzecz, która mogła pokrzyżować im szyki.

*

- Ale z niego pierdolona menda! - Krzysztof Szafraniec, wicepremier i minister finansów spojrział na swojego roz-

mówcę. - Co chcą zrobić na najbliższym posiedzeniu Rady Ministrów?

- Zgłosić projekt zmian w kodeksie karnym - Marcin Czarnik, asystent wicepremiera i ministra finansów powtórzył już trzeci raz.

Szafraniec zazgrzytał zębami.

- Nie znam dokładnych szczegółów, ale dotarły do mnie pogłoski, że przy Alejach Ujazdowskich szykują mocne uderzenie - Czarnik westchnął głęboko.

- Jak mocne? - spytał z obawą.

Czarnik przygryzł wargę.

- Jak mocne, pytam?! - powtórzył Szafraniec z naciskiem.

- To ma być rewolucja w prawie - odpowiedział cicho.

- Trzeba będzie przygotować kontruderzenie - rzekł spokojnie. - Ale najpierw musimy poznać konkrety. To twoje zadanie - wbił wzrok w asystenta.

*

- Niestety, to nie wszystko - Starosta wstrzymał oddech.

- Mów - ponaglił Drabczy.

- Edmund Grzędowicz jest radnym wojewódzkim z ramienia naszej partii.

- By to chuj strzelił! - zerwał się z fotela na równe nogi.

- Należy do partii? - spytał po chwili.

- Niestety, tak.

- Pierdolić go - podjął decyzję. - Mamy kogoś swojego w Miłowie Wielkopolskim?

- Szefową miejscowych struktur i zastępcę przewodniczącego rady miejskiej.

- Więc mówisz, że facet siedział za szmugiel i kradzieże?

- Drabczy myślał na głos. - W takim razie, jeśli tylko „księgowi” spróbują storpedować nasz projekt, wyciągniemy te rewelacje. Mamy jakieś papiery?

- Jutro rano na pańskim biurku będzie leżeć kopia akt sądowych.

- Tej sprawy, która uległa zatarciu?

- Tej samej - potwierdził Starosta z uśmiechem. - Zgodnie z

prawem stary Grzędowicz jest człowiekiem niekaranym, ale...

- Na zdyskredytowanie go w oczach naszych kolegów i koleżanek wystarczy - dopowiedział dobitnie.

Rozdział 7

Kiedy Drabczy zjawił się w biurze z samego rana, na biurku leżała już teczka z aktami sądowymi sprawy Grzędowicza oraz świeża prasa. Najlepiej zapowiadał się materiał w „Super Fakcie”, zdjęcie zakapturzonego mężczyzny z kijem bejsbolowym w dłoniach i tytuł „Bronił rodziny, pójdzie do więzienia” mówiły same za siebie. Relacje w pozostałych gazetach były bardziej stonowane, ale wszyscy dziennikarze jak jeden mąż stanęli po stronie Kanclerza. Jeden z komentatorów posunął się nawet do stwierdzenia, że przed sądem nie powinno się stawiać bohaterskiego męża i ojca trojga dzieci, tylko prokuratora, który postawił mu zarzuty i który powinien odpowiadać za głupotę. Zresztą, Kanclerza bohaterem nazywali też inni dziennikarze, co dobrze rokowało na przyszłość.

- Ciekawe tylko, czy media będą dalej tak jednomyślne, gdy przedstawimy im nasz projekt - wtrącił Starosta, do tej pory bez słowa przypatrujący się ministrowi.

*

Kanclerz razem z żoną zjawili się w kancelarii Bielika niezapowiedziani. Adwokat przeprosił ich, tłumacząc, że ma pilną rozmowę telefoniczną. Gdy skończył, zaprosił małżeństwo do gabinetu. Przywitał się wylewnie, starając jednak nie nadskakiwać za bardzo, bo chociaż oboje należeli do tego typu osób, które określa się mianem prostych - nie wiadomo czemu w odczuciu większości ludzi miało one znaczenie pejoratywne - to jednak nie byli w ciemę bici. Szczególnie pani Kanclerzowa, o czym Bielik miał już okazję się przekonać.

- Wydatki na pańską obronę nie będą duże - adwokat zapewnił z uśmiechem, gdy już przeszedł do sedna sprawy.

- Ale gdyby pan mecenas mógł nam chociaż podać rząd wielkości - nalegała Marta Kanclerz. - Mąż właśnie stracił pracę i chcielibyśmy wiedzieć, ile musimy pożyczyć od rodziny.

Kanclerz milczał, ale jego zatroskane oblicze mówiło samo za siebie.

- Stracił pracę? - Bielik zaciekawiał się z miejsca.

- Wczoraj, gdy tylko wyszedłem z sądu, wziąłem wolne na żądanie - mówił cicho Kanclerz. - A gdy dzisiaj rano zjawiłem się w robocie, dostałem dyscyplinarkę.

- Dostał pan wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym? - pytał dalej Bielik. - Ma pan przy sobie ten dokument?

- Tak - sięgnął do reklamówki, mocno już wytartej, ale nie na tyle, by nie można było dowiedzieć się z niej, że zawartość torby nie jest przeznaczona dla idiotów. Jedno ucho było nawet dość mocno nadszarpnięte zębem czasu albo noszonymi kilogramami, najwyraźniej jednak właściciel miał do niej sentyment. - Proszę - podał kartkę papieru formatu A4 opatrzoną czerwonymi pieczęciami.

- Faktycznie, dyscyplinarka - cmoknął Bielik, siadając za biurkiem. - Dziwne - cmokał dalej, zupełnie jakby ssał krówkę czy też inną mordoklejkę. - Tego bym się nie spodziewał - spojrzął na małżonków z zaskoczeniem wymalowanym na twarzy.

*

- Zwołujemy konferencję prasową? - Drabczy odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Jeszcze bym się trochę wstrzymał - zaproponował Starosta delikatnie. - Dajmy im kilka godzin. Telewizje śniadaniowe zdążą podkreślić sprawę, ludzie w biurach nie będą mówić o niczym innym, jak o bohaterskim ojcu rodziny i bezdusznej prokuraturze stojącej po stronie zdegenerowanych bandytów.

- I wtedy wkroczę ja - zaprezentował biel zębów, czując satysfakcję równą tej, jaką odczuwali rzymscy cesarze, decydując o życiu lub śmierci gladiatorów. - A teraz przygotujmy się do nasiadówki.

*

- To wypowiedzenie jest szyte - Bielik pstryknął palcami.

- Czyli spreparowane - wyjaśnił szybko. - Kiedy usłyszałem, że dostał pan dyscyplinarkę, pomyślałem, iż powodem był udział w tamtym zdarzeniu. A tutaj mamy „przywłaszczenie mienia w postaci dwóch kilogramów kielbasy krakowskiej suchej, kilograma parówek drobiowych z szynką i kilograma polędwicy parzonej podwędzanej”. Może mi pan wyjaśnić, o co tu chodzi?

- Po przyjeździe do pracy pobieram czyste ubranie robocze: spodnie, bluzę, fartuch i buty - wyliczanka sprawiła, że Kanclerz myślami wrócił do codziennej rutyny, co go uspokoiło. - Swoje ubranie trzymam w szafce osobistej.

- A dzisiaj były tam zapasy dla plutonu wojska - Bielik zmarszczył nos.

- Słucham? - Kanclerz spojrział na niego jak na wariata.

- Nic takiego - wykonał nieokreślony ruch ręką. - Niech pan mówi dalej: utworzył pan szafkę osobistą i...

- I w tym momencie zza pleców wyskoczył szef ochrony zakładowej razem z kierownikiem zmiany - Kanclerz kontynuował opowieść. - Co jakiś czas mamy w zakładzie kontrolę, sprawdzają nasze szafki, czy niczego nie wynosimy z zakładu oprócz tego, co nam przysługuje w ramach deputatu.

- Te kilogramy wymienione w dyscyplinarce to nie był deputat? - upewnił się Bielik.

- Nie - zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy. - Normalnie kontrole są na fajrant, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek odbywały się na początku zmiany.

- Czy oprócz pańskiej szafki skontrolowano jeszcze jakieś inne?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Dobrze - zanotował skrzętnie. - Przepraszam za pytanie, ale ono musi paść: czy ukradł pan te kielbasy?

- Krakowska sucha to kielbasa, a sopocka to szynka - rzucił bezwiednie Kanclerz. - Przepraszam, to nawyk zawodowy -

uśmiechnął się natychmiast. - Oczywiście, że ich nie ukradłem.

- Czy mogę w pańskim imieniu zadzwonić do zakładu pracy? - rzekł nagle Bielik.

- Czy to będzie nas coś kosztować? - wtrąciła nieśmiało Marta Kanclerz.

- Nic - Bielik odpowiedział uśmiechem.

Oboje małżonkowie spojrzeli na siebie, po czym zgodnie potaknęli głowami.

*

Pierwsze pół godziny posiedzenia Rady Ministrów było nudne nie mniej niż zwykle. Jednak moment, w którym głos zabrał Drabczy, ożywił wszystkich, najbardziej zaś premiera i wicepremiera Szafranca. Drabczy pokrótce omówił projekt zmiany, nie zdążył jeszcze skończyć, gdy w słowo wszedł mu Szafraniec.

- Drogi Robercie - Szafraniec zaprezentował uśmiech, którego nie powstydziliby się najbardziej jadowita ze żmij - sam pomysł uważałbym za genialny, gdyby nie jedno „ale” - zrobił pauzę, ściągając na siebie uwagę wszystkich obecnych na sali. - Nie wzięłeś pod uwagę różnic w podejściu Amerykanów i Polaków do aparatu państwa i obowiązków obywatelskich. Ile osób w naszym kraju wywiesza flagę na święta państwowe?

- Coraz więcej, Krzysiu, coraz więcej - skontrował Drabczy.

- Ile osób udziela się społecznie? - kontynuował Szafraniec niezrażony. - Weźmy też pod uwagę brak szacunku społeczeństwa do urzędników, w tym do przedstawicieli organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

- I właśnie instytucja ławy przysięgłych poprawi te relacje - Drabczy wykorzystał słabość argumentów przeciwnika i przeszedł do kontrataku. - Skończą się zarzuty, że jakiś niedouczoney sędzia wypuścił bandytę tylko dlatego, że akta dwóch różnych spraw spadły mu z biurka i przy układaniu rozrzuconych papierów je pomieszał - powiódł spojrzeniem po zebranych. - Albo że bezwzględny morderca został potraktowany ulgowo przez sąd - mówił dalej. - Kiedy takimi

sprawami zajmie się ława przysięgłych, to tak, jakby zajęło się nimi całe społeczeństwo. I nawet, jeżeli ktoś zostanie uniewinniony, to w odczuciu społecznym stanie się zadość sprawiedliwości, bo oceniać będą ludzie, a nie urzędnicy z prokuratury czy z sądu, którzy w tymże społeczeństwie nie mają już za grosz szacunku.

- Nieprawda! - Szafraniec niemal się zagotował. - To bezpodstawne insynuacje! - grzmiał. - Ta hołota z ulicy nie rozumie mechanizmów prawnych, które nas ograniczają...

- Ludzie mają w dupie mechanizmy prawne - minister pracy i polityki społecznej z właściwą dla siebie dosadnością włączyła się do rozmowy. - Ludzie chcą sprawiedliwości. Ludzie chcą ukarania zbrodni. I to szybko, a nie po dziesięciu latach włóczenia się po sądach.

- Właśnie! - Szafraniec już się opanował. - Szybkość! Nawet, gdyby przyjąć, że uda się wprowadzić instytucję ławy przysięgłych do naszego ustawodawstwa, to ile to potrwa? Pięć lat?! - znów niemal krzyczał. - A przecież już za rok wybory!

- Pół roku wystarczy w zupełności - odparł Drabczy spokojnie, kolejny raz punktując adwersarza. - Harmonogram zmian koniecznych do wprowadzenia w kodeksie karnym i kodeksie postępowania karnego został już opracowany - kiwnął głową na Starostę, ten zaczął rozdawać materiały.

Gdyby nie hałas generowany przez mlójące powietrze łopaty wiatraków pod sufitem, dałoby się słyszeć zgrzytanie zębów Szafranca.

- Pół roku? - premier gwizdnął z podziwem. - Uwiniecie się?

- Projekt ustawy jest gotowy - odpowiedział Drabczy z szerokim uśmiechem wymalowanym na twarzy.

- Tylko że ława przysięgłych to podstawa amerykańskiego systemu prawnego - mówił dalej premier. - Jeśli mnie pamięć nie myli, stosowny zapis jest w którejś poprawce do konstytucji.

- Zawsze byłem pełen podziwu dla twojej pamięci - Drabczy obdarzył premiera komplementem. - Zgodnie z szóstą

poprawką - zerknął do notatek - oskarżony ma mieć prawo do szybkiego i publicznego procesu przed bezstronną ławą przysięgłych w stanie i dystrykcie, w którym popełniono przestępstwo.

- A w naszej konstytucji nie ma mowy o ławie przysięgłych!
- Szafraniec był bliski wybuchu.

- Artykuł 45 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej - czytał dalej Drabczy - każdy ma prawo do sprawiedliwego i jawnego rozpatrzenia sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki przez właściwy, niezależny, bezstronny i niezawisły sąd - spojrział ponownie na zebranych. - Wystarczy ten zapis uzupełnić o instytucję ławy przysięgłych i po problemie.

*

- Jak mogliście się państwo domyślić z rozmowy - Bielik odłożył słuchawkę - jakimś nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności akurat przedwczoraj wieczorem doszło do awarii monitoringu w pańskim zakładzie pracy. Tym samym nie ma dowodów na to, że wyniósł pan te kiełbasy z hali produkcyjnej - spojrział radośnie. - Kiełbasy, wędliny i wędzonki - poprawił się szybko.

- Ale nie ma też dowodów na to, że mąż niczego nie chował w spodniach czy pod bluzą - zauważyła Marta Kanclerz.

- Prawda, jakie to wygodne dla firmy? - potwierdził Bielik. - Nie ma dowodów winy, ale nie ma też dowodów niewinności. Wydaje im się, że są sprytni, bo wiedzą, że gdyby oparli wypowiedzenie na pańskim udziale w zdarzeniu pod marketem Skalamandra, mogliby przegrać w sądzie, gdyż zgodnie z literą prawa do momentu skazania prawomocnym wyrokiem sądu jest pan niewinny. A zakłady mięsne to nie policja czy straż graniczna, żeby zawiesić kogoś za samo podejrzenie.

Patrzyli na niego w milczeniu.

- Jednak przesadzili - Bielik upajał się tembrem własnego głosu. - Najczęściej w takich sytuacjach, kiedy nie ma jednoznacznych dowodów na kradzież, a tutaj nie ma, bo niezrozumianym zbiegiem okoliczności nagranie z dnia poprzedniego

uległo skasowaniu, firma przedstawia złodziejowi ofertę nie do odrzucenia: rozwiązanie stosunku pracy ze skutkiem natychmiastowym za porozumieniem stron. Tu było inaczej, co potwierdzałoby moje podejrzenia.

- Jakie podejrzenia? - spytała głucho Marta Kanclerz.

- Zwolnienie z pracy to zemsta na pani mężu - odpowiedział.

*

- Chyba nie pozwolimy na to, żeby werdykt w sprawach najwyższej wagi ustalało między sobą dwunastu ludzi, opierając się w głównej mierze na emocjach, a nie na dowodach - premier wciąż nie wyglądał na przekonanego, tylko dlatego że pomysłodawcą był Drabczy. - W Stanach Zjednoczonych sprawy przed ławą przysięgłych wygrywa ta strona, która ładniej się ubiera i sugestywniej macha rękoma.

- A idealna dykcja potrafi posłać do więzienia kogoś zupełnie niewinnego - poparł go Szafraniec.

- W Stanach Zjednoczonych ustawodawca stoi na stanowisku, że szeroko rozumiane poczucie sprawiedliwości jest najważniejsze - zaproponowała minister pracy i polityki społecznej. - A poczucie sprawiedliwości całego społeczeństwa reprezentowane jest przez sędziów przysięgłych. Tak samo jest w naszym obecnym systemie prawnym: skład sędziowski jest przedstawicielem wszystkich obywateli - zauważyła.

- Chyba mamy prawo do tego, żeby wymiar sprawiedliwości dobrał się wreszcie przestępcom do dupy?! - wybuch Drabczego zebrani odebrali jako spontaniczny, był jednak skrupulatnie zaplanowany i ćwiczony przed lustrem. - Może wreszcie wymiar sprawiedliwości przestanie pobłażać bandytom i stanie po stronie ofiar? Może wreszcie wsłuchamy się w potrzeby społeczeństwa? Przypomnę, że do wyborów parlamentarnych został tylko rok, a nasze notowania w ostatnich miesiącach pikują w dół. Jeśli tak dalej pójdzie, to w następnej kadencji będziemy musieli podzielić się władzą.

Zapadła cisza, łamana jedynie szumem wiatraków.

Rozdział 8

Telefon stojący na wielkim, mahoniowym biurku w gabinecie Edmunda Grzędowicza zadzwieczał natarczywie.

- Czego? - Edmund Grzędowicz warknął w typowy dla siebie sposób, podniósłszy słuchawkę telefonu MB/CB 30 z 1926 roku. Metalowa skrzynka osadzona na wysokiej chromowanej podstawie była właściwie jedynym elementem wystroju wnętrza, który dobrano ze smakiem, cała reszta bardziej pasowała do wystroju sklepu kolonialnego. Jednak nie było to tyle efektem celowego działania prezesa Grzędowicza, co raczej skłonności do blichtru. Niemal każdemu, kto miał zaszczyt gościć w gabinecie, pokazywał ten polski zabytkowy aparat telefoniczny, tłustym palcem niczym serdelek stukając w tabliczkę znamionową ozdobioną godłem państwowym wpisanym w koło zębate z napisem „Państwowa Wytwórnia Telegrafów i Telefonów w Warszawie”. Kiedy zaś - dla zwiększenia efektu prezentacji - kręcił korbką induktora, by potem wybrać numer z tarczy zamocowanej na wysięgniku, był bliski nowobogackiego orgazmu. Oczywiście to, że aparat był produkcji polskiej, robiło dodatkowe wrażenie na gościach. Nie wiedzieli oni jednak, że to nie patriotyzm skłonił Grzędowicza do zakupu akurat tego modelu, tylko fakt, że był niebywale rzadkim okazem, a tym samym niewyobrażalnie droгим.

- Rozmowa, której pan oczekiwał - odpowiedziała sekretarka, nawet nie próbując silić się na uprzejmości. Kolejny raz obiecała sobie solennie, że zmieni pracę przy najbliższej okazji i kolejny raz skarciła się w myślach za brak konsekwencji. Pracowała u Grzędowicza dopiero od dwóch miesięcy, ale to było co najmniej o dwa miesiące za długo.

- Łącz - kolejne warknięcie. Z większą czułością zajęcia prowadził niejeden treser psów.

- Wyleciał z pracy, tak jak chciałeś - w słuchawce zabytkowego aparatu MB/CB 30 dał się słyszeć głos mężczyzny w sile wieku.

- Bardzo mnie to cieszy - Grzędowicz stał się o wiele bar-

dziej uprzejmy. - Były jakieś problemy?

- Żadnych - pośpieszył z zapewnieniem. - Posłuchałem twoich sugestii - odparł, nie dodając, że ani przez moment nie wierzył w to, że to sugestia, tylko niezdarnie ukryta groźba.

- Bardzo dobrze - cmoknął z namaszczeniem, gładząc tarczę aparatu.

- A co z tym kontraktem, o którym mówiłeś? - w głosie rozmówcy dało się wyczuć napięcie.

- Obiecałem, to załatwię - odburknął, naciskając widelki. Otworzył kalendarz, zapisał, że ma wykonać ważny telefon. Mimo tego, że był kanalią - z czego zresztą zdawał sobie doskonale sprawę i, naprawdę!, był wręcz z tego faktu dumny

- zamierzał dotrzymać danego słowa. Bynajmniej dlatego, że był człowiekiem honoru, po prostu w biznesie opłacało się to bardziej niż ignorowanie kontrahentów.

Zatrzasnął kalendarz, skierował spojrzenie na drzwi, nad nimi wisiało ogromne poroże. Tamtego rogowca ustrzelił podczas pierwszego polowania, na które zabrał synów. Ale że nie złapali bakcyła do uganiania się po lesie skoro świt, był to ich pierwszy i ostatni wspólny wypad. - Na zwierzęta, bo ludziom nie przepuszczali - uśmiechnął się w taki sposób, że gdyby ktoś był tego świadkiem, zostałby porażony przez prąd przechodzący po plecach. - Zadarłeś nie z tym człowiekiem, co trzeba - spojrzał na zdjęcie mężczyzny leżące na blacie biurka, opatrzone pieczętką Zakładów Mięsnych Pol- Mił-Mięs - i gorzko tego pożałujesz.

*

- A jak rozwiążemy kwestię wynagrodzenia dla przysięgłych? - spytał premier po tym, gdy chwilę wcześniej Szafraniec nachylił się ku niemu i szepnął mu coś do ucha.

- Cieszę się, że tak istotna kwestia została poruszona - Drabczy niemal niezauważalnie pochylił głowę w geście podziękowania, wiedząc, że udało się pokonać barykadę. Spiał się w sobie, aby zadać nokautujące uderzenie. - Czas trwania standardowego procesu przed ławą przysięgłych oceniamy

średnio na dwa tygodnie. Scedowanie obowiązku wypłaty pensji za ten czas na zakłady pracy nie wchodzi w grę, bo narazimy się na zarzuty ze strony pracodawców - uprzedził ministra finansów, który już otwierał usta. - Jeśli ustalimy dietę na niskim poziomie, narazimy instytucję sędziego przysięgłego na mały prestiż, a tego byśmy nie chcieli. Pamiętajmy - podniósł wskazujący palec - że jednym z celów, które chcemy osiągnąć, jest budowanie poczucia obywatelskiego obowiązku.

Szafraniec zaczął wymownie chrząkać. - Jedynym celem jest stółek szefa partii. Ludzi z ulicy to ty masz głęboko w dupie - warknął w myślach. - Zresztą, tak samo jak ja - uśmiechnął się sam do siebie.

- Bałbym się także innego rozwiązania - kontynuował Drabczy - że będziemy ustalać dietę na podstawie zarobków z ostatnich kilku miesięcy. Byłyby zbyt duże dysproporcje pomiędzy niektórymi sędziami przysięgłymi.

- Nie mówiąc już o tym, że gdyby na salę rozpraw trafił prezes banku, musiałbym mu wypłacić horrendalne uposażenie - Szafraniec instynktownie stanął w obronie finansów publicznych. Kiedy chwilę później zdał sobie jednak sprawę, że niechcący poparł adwersarza, zaklął pod nosem.

- Jaka jest propozycja? - premier ponownie włączył się do rozmowy.

- Średnia krajowa za pełne dwa tygodnie pracy sędziego - odparł Drabczy.

Premier kiwnął aprobująco głową.

- Ale diety przysięgłych trzeba będzie opodatkować - Szafraniec wiedział już, że przegrał z kretesem, ale próbował uszczknąć cokolwiek na otarcie łez. - No i koniecznie odprowadzić składki na ubezpieczenie społeczne.

- Na ZUS? - prychnęła minister pracy i polityki społecznej.

- Bezwarunkowo - potaknął Szafraniec. - Przecież lada dzień zabraknie nam na wypłaty dla emerytów. Liczy się każda złotówka.

- A może całe diety powinny iść na konto państwowego ubezpieczyciela? - kpił Drabczy.

- Dobra myśl! - zaaferował się Szafraniec, nie wyczuwając kpiny w głosie kolegi. - Przecież obywatele mogliby w ten sposób odwdziżyć się państwu za darmowe chodniki, drogi...

- Za drogi już płacą w akcyzie na paliwo - zauważyła cierpko minister pracy i polityki społecznej.

- Akcyza z paliwa przynosi około 22 miliardów złotych rocznie, podczas gdy koszty transportu samochodowego wynoszą ponad 160 miliardów złotych - wtrącił minister infrastruktury. - Więc tak naprawdę...

- Zaczynamy zbaczać z tematu - ucięła minister pracy i polityki społecznej. - Proponuję zamknąć dyskusję na ten temat i przegłosować kwestię.

Szafraniec spojrział niepewnie na premiera, ten, czując siłę wbitych w siebie kilkadziesiąt par oczu, najpierw podniósł rękę do góry, potem rzekł: - Kto jest „za”?

Byli wszyscy, nawet Szafraniec, który nie chciał być później kojarzony jako jedyny przeciwnik. Bitwy nie udało się co prawda wygrać, ale wojna o schedę po premierze nie była przecież zakończona.

Rozdział 9

Drabczy kontynuował swój chytry plan z konsekwencją godną podziwu. Gdy wprowadzenie instytucji ławy przysięgłych zostało przegłosowane przez Radę Ministrów, łącznie z propozycją diety, postanowił poruszyć jeszcze jedną kwestię, niby techniczną, ale wcale nie najmniej ważną. Pomysł nie był autorstwa jego, tylko Starosty, ale o tym, oczywiście, nawet się nie zająknął. Chodziło o obecność mediów na sali sądowej podczas procesu z udziałem ławy przysięgłych.

Aby osiągnąć cel propagandowy - czyli aby do milionów potencjalnych wyborców dotarła wieść o oddaniu sprawiedliwości w ręce ludu - potrzeba było relacji na żywo. I właśnie zapis o dopuszczeniu mediów do transmitowania procesu w trybie live miał to zagwarantować.

- Przecież nie będziemy wszystkiego małpować po Amerykanach! - zagrział Drabczy tak mocnym basem, że wydawało się, iż drgania powietrza na ułamek sekundy zatrzymały nawet wiatraki młócające coraz gęstsza atmosferę. - Nie będziemy się bawić w żadne malowanki. To nie jest przedszkole, tylko prawdziwe życie!

Szafraniec próbował protestować, tłumacząc, że obecność dziennikarzy może źle wpłynąć na sędziów przysięgłych, ale musiał skapitulować wobec żelaznego argumentu: relacja na żywo wpłynie na poprawę notowań partii rządzącej, j ako sprawcy oddania sprawiedliwości w ręce ludu. Chociaż dyskusja momentami przypominała rozmowy sprzed kilkudziesięciu lat, które toczyły się w tych samych wnętrzach - kiedy politycy przejmowali się ludem równie mocno, co dziś - nikt nawet nie uronił łezki. Gdy na horyzoncie pojawiały się wolne do rozdania stołki w następnej kadencji, sentymenty znikwały w okamgnieniu.

*

Dwie godziny później Drabczy z dumnie podniesionym czołem, w asyście Starosty wmaszerował do sali konferencyjnej Centrum Informacyjnego Rządu, gdzie czekali już żurnaliści. Najpierw krótko zreferował kwestię ławy przysięgłych, potem przyszedł czas na pytania.

- Czy taka rewolucja niespełna rok przed wyborami nie jest aby próbą polepszenia notowań Partii Wszystkich Obywateli? - padło pierwsze zapytanie. - Ostatnio poparcie spada na łeb, na szyję.

- Absolutnie nie - Drabczy uśmiechnął się tak szczerze, że w głębi ducha aż się dziwił, skąd w nim samym tyle obłudy.

Szybko jednak zdusił wyrzuty sumienia w zarodku. - Ostatnie trzy lata członkowie Partii Wszystkich Obywateli pracowali dla dobra naszego kraju z ogromnym poświęceniem, a efekty wszyscy możemy podziwiać. W łonie naszej partii wierzymy, że społeczeństwo doceni ten fakt i w nadchodzących wyborach kolejny raz powierzy nam pełnię władzy, za co już dziś chciałbym serdecznie podziękować - kolejny uśmiech mordercy

o twarzy dziecka. - Niemniej jednak, w swej skromności - pochylił się, przykładając prawą dłoń do piersi - członkowie Partii Wszystkich Obywateli liczą się z tym, iż po wygranych wyborach trzeba będzie podzielić się władzą z inną partią. Wtedy losy ławy przysięgłych mogłyby być różne. Wolimy więc wykorzystać czas, kiedy rządzymy sami i wprowadzić tę zmianę już teraz.

- Jakie przestępstwa będą sądzone przy udziale ławy przysięgłych?

- Tworzenie listy nie zostało jeszcze zakończone - odpowiedział Drabczy. - Natomiast generalnie mają się na niej znaleźć przestępstwa zagrożone wysokimi karami więzienia, czyli zabójstwo i gwałt ze szczególnym okrucieństwem, porwania, rozboje dokonane przez recydywistów, przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu dokonane w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie - wymieniał. - Każda z tych zbrodni jest zagrożona karą pozbawienia wolności na czas nie krótszy niż 12 lat. Ale to nie wszystko - zrobił pauzę dla spotęgowania efektu, chociaż nie było to potrzebne, uwaga wszystkich dziennikarzy była skierowana tylko na niego. - Zmiany planowane przez ministerstwo sprawiedliwości mają wpłynąć na poprawę jakości systemu sądowniczego i sprawić, aby wymierzanie sprawiedliwości stało się też udziałem szeroko rozumianego społeczeństwa, którego przedstawicielami będą właśnie sędziowie przysięgli. Dlatego też do katalogu spraw, które będą podlegały ocenie tej instytucji, dołączone zostaną przestępstwa szczególnie uciążliwe dla obywateli: bójki i pobicia.

- Instytucja ławy przysięgłych jest często krytykowana za to, że sprzyja wydawaniu wyroków na bazie emocji, a nie chłodnej kalkulacji prawników obeznanych z zasadami prawa. Nie boi się pan zarzutu, że chcecie dać ludziom igrzyska w postaci sądenia przestępców?

- Panie redaktorze - choć Drabczy się uśmiechnął, to nazwisko dziennikarza trafiło na prywatną czarną listę - być może pamięć mnie myli, ale czy to nie na pierwszej stronie pańskiego dziennika tydzień temu znalazł się artykuł kryty-

kujący pobłażliwość niektórych sędziów względem przestępców dopuszczających się zbrodni największego kalibru?

Dziennikarz skrzywił się, nic nie mówiąc.

- Każdy proces z udziałem sędziów przysięgłych będzie się toczył pod okiem sędziego zawodowego, posiadającego duże doświadczenie - mówił dalej Drabczy. - Sędziowie przysięgli będą oceniać przestępców w imieniu całego społeczeństwa.

- Dzisiaj taką samą rolę spełniają sędziowie zawodowi - rzucił ktoś.

- Tak, ale przypomnę kolejny raz - Drabczy wznosił się na wyżyny cierpliwości - państwo sami często krytykujecie sędziów za zbytnią pobłażliwość. Udział sędziów przysięgłych będzie niejako ręką sprawiedliwości wyciągniętą przez społeczeństwo, czyli przez tych, którzy ponoszą koszty wynikające z popełniania przestępstw. Mówiąc innymi słowy: może dzięki ławie przysięgłych wymiar sprawiedliwości przestanie wreszcie pobłażać bandytom i stanie po stronie ofiar?

- Równie dobrze sędziowie przysięgli mogą być za bardzo surowi! - Drabczy próbował dostrzec, kto był autorem pytania, bezskutecznie.

- Założę się z państwem, że będzie wręcz przeciwnie - powiódł wzrokiem po zebranych. - Według mnie sędziowie przysięgli będą się wykazywać mądrością równą sędziom zawodowym, a może i nawet większą - gdyby w tym momencie zmierzyć poparcie ministra w społeczeństwie, na bank wzrosłoby o kilka punktów procentowych. - Słyszeliście państwo o mafii kosiarkowej? To ja państwu opiszę ten przypadek. Pewien sprzedawca ze sklepu z kosiarkami podpisał umowę z firmą pożyczkową „Takielunek”, dzięki czemu klientom mógł zaoferować sprzedaż ratalną. Zgodnie z umową jego zadaniem było jedynie sprawdzanie dowodów osobistych i wpisywanie danych podawanych przez klientów w oświadczeniach o zarobkach. Podkreślam: w oświadczeniach, nie w zaświadczeniach. Klienci wpisywali dane zawyżone, ponieważ jednak często to i tak było za mało, aby uzyskać zdolność kredytową, pracownicy centrali „Takielunku” zmieniali te zarobki i wpisywali wyższe kwoty, aby móc przyznać kredyt.

Kiedy nowi właściciele kosiarek przestali spłacać raty, „Takielunek” poinformował organy ścigania, a prokuratura sprzedawcy i 36 klientom zarzuciła udział w zorganizowanej grupie przestępczej wyłudzającej kredyty. Powtórzę: udziału w zorganizowanej grupie przestępczej! - panował nad tłumem dziennikarzy niepodzielnie, gdyby w sąsiednim pomieszczeniu wybuchła bomba, nie zainteresowałby się nią pies z kulawą nogą. - Porażająca suma wyłudzonych kredytów wyniosła 50 tysięcy złotych. Sąd pierwszej instancji wydał wyroki w zawieszeniu, ale prokuratura się odwołała i sąd drugiej instancji je odwiesił. Wszyscy skazani poszli więc siedzieć. Jeden miesiąc pobytu jednego więźnia kosztuje ponad 2,5 tysiąca złotych. Łatwo można policzyć, że tylko jeden miesiąc tych 37 osób będzie kosztował Skarb Państwa, czyli nas, podatników, prawie 100 tysięcy złotych. Tymczasem niektórzy z nich dostali po 2 lata więzienia. Myślicie państwo, że sędziowie przysięgli potraktowaliby tych ludzi tak samo?

Po tych słowach dziennikarze zaczęli się przekrzykiwać, próbując zadać następne pytanie. Dopiero interwencja Starosty pozwoliła opanować sytuację.

- Czy to prawda, że ministerstwo sprawiedliwości nadało tej sprawie kryptonim „Ręka sprawiedliwości”?

- Skąd ma pani te informacje? - Drabczy westchnął teatralnie, w głębi duszy gratulując Staroście pomysłu, aby w odpowiednim czasie puścić do mediów przeciek. Oczami wyobraźni widział już jutrzejsze nagłówki w prasie ogólnopolskiej: „Boska ręka sprawiedliwości Drabczego”. Zarys fotela premiera był coraz bardziej wyraźny! - Zresztą, nieważne - machnął pojednawczo ręką. - Tak, taki kryptonim nadaliśmy tej sprawie. Jest wymowny, ale chyba najlepiej oddaje kwintesencję zamysłu naszych działań.

- Koniec pytań, dziękujemy państwu serdecznie za udział w konferencji prasowej ministra sprawiedliwości, profesora Roberta Drabczego - Starosta mówił do mikrofonu, starając się nie wchodzić w kadr, chociaż niektóre ekipy zaczęły się już związać. - Na koniec jeszcze jedna zasadnicza kwestia, która

powinna państwa żywotnie zainteresować.

Słowa zrobiły swoje, gwar ucichł, operatorzy kamer ponownie włączyli elektroniczne cacka warte dziesiątki tysięcy złotych.

- Jak pan minister był już państwu uprzejmy wyjaśnić - Starosta obdarzył szefa słonecznym uśmiechem - wprowadzając instytucję ławy przysięgłych w naszym kraju będziemy bazować na doświadczeniach krajów stosujących mechanizm tak zwanego prawa zwyczajowego, czyli Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Australii i Nowej Zelandii. Wykorzystamy wiele mechanizmów i przepisów określających funkcjonowanie ławy, aczkolwiek jednak jeden aspekt będzie diametralnie inny. W celu edukacji polskiego społeczeństwa i przybliżenia mu sposobu działania wymiaru sprawiedliwości, rozprawy z udziałem ławy przysięgłych będą mogły być relacjonowane na żywo przez radio i telewizję. Oczywiście te, które ze względu na dobro pokrzywdzonych nie zostaną utajnione.

Ostatnie zdanie rzadko który z dziennikarzy usłyszał, w głowach tłukło im się tylko to, że już za kilka miesięcy medialny cyrk na kółkach zawita pod sądowe strzechy, ściągając przed ekrany telewizorów i przed radioodbiorniki miliony widzów i słuchaczy. W tym jednym momencie Drabczy zyskał sympatię mediów, na jaką nie mógł liczyć do tej pory. Szczególnie dużą ze strony wydawców i właścicieli koncernów medialnych, ci już zaczęli liczyć zyski z reklam nadawanych w czasie takich rozpraw.

*

- Jestem genialny - Starosta szepnął w myślach sam do siebie, oddając mikrofon obsłudze sali konferencyjnej. Faktycznie, pomysł, aby przeforsować zapis o możliwości relacjonowania procesu w trybie na żywo, był objawem niewątpliwego geniuszu: jednym posunięciem nie dość, że kupił przychylność mediów, to jeszcze miał zagwarantowane godziny darmowej reklamy w każdej liczącej się telewizji i radiu, bo przecież dziennikarze przez wszystkie przypadki będą teraz odmieniać nazwisko Drabczego jako autora pomysłu. Wizja

prestżowego stanowiska w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów była coraz bardziej nęcąca.

*

- Jestem genialny - Bielik otworzył biurko, wyjął z niego butelkę wody Lauquen Artesian Mineral Water (28 złotych za 750 mililitrów!). Ta była jego ulubioną, chociaż obok stały też Tasmanian Rain - butelkowana woda deszczowa z Tasmanii, Veen - finlandzki rarytas spod samego koła podbiegunowego oraz Finé - lekko zasadowa, o niskiej zawartości składników mineralnych. Od lat marzyła mu się jedna choćby butelczyna Kona Nigari (1.200 złotych za sztukę!), ale było to na razie równie realne, co lot w kosmos.

Nalał sobie podwójną porcję - jak na niego oznaczało to istne szaleństwo - i wychylił jednym duszkiem. Spojrzał na naczynie, na dnie została może pięćdziesiątka. Ogarnął go smutek, na kolejną butelkę nieprędko będzie mógł sobie pozwolić, a jak na razie markowe wody były jedynym zbytkiem, na jaki sobie pozwalał. Inni gustowali w wyszukanych alkoholach, on zaś procentów nie znosił, preferował zwykłą wodę, o ile w tym przypadku można było mówić o zwykłości.

- Kona Nigari - westchnął, przechylając szklanicę do góry nogami i sącząc ostatnie krople napoju. - Może kiedyś będzie mnie na nią stać? - rozmarzył się.

Gdyby, zamiast sycić się zwykłą kranową wlaną do podrabianej butelki (trzy czwarte światowych wód jest podrabiane), włączył radio - telewizora w biurze nie posiadał - być może przeszłoby mu przez głowę, że wkrótce będzie miał okazję stać się medialną gwiazdą w skali ogólnopolskiej, a to byłaby świetna okazja do wychylenia kolejnego toastu. A tak na razie musiał żyć w błogiej nieświadomości, za to z bilansem ciała bogatszym o 150 mililitrów płynu.

*

Martę i Damiana Kanclerzów także ominęła wątpliwa przyjemność podziwiania krasomówczych zdolności ministra Drabczego. Ale bynajmniej nie dlatego, że nie mieli telewizora -

mieli i to nawet porządny, 32-calowy odbiornik japońskiej marki Funai, produkowany zresztą w nieodległej fabryce w Nowej Soli, sprzęt był ze średniej półki cenowej, ale za to najwyższej jakości - a z powodu bardziej prozaicznego: wciąż byli w szoku po porannej dyscyplinarce głowy rodziny. Wydarzenia dwóch ostatnich dni nie tylko wstrząsnęły nimi psychicznie, ale - wszystko na to wskazywało - miały się też odbić na fizycznej sferze życia. Do tej pory jakoś radzili sobie bez brania kredytów na życie, utrzymywali się z pensji Damiana wspieranej fuchami. Teraz jednak, gdy z dnia na dzień stracił pracę, mieli do dyspozycji tylko ostatnią pensję i niecałe 2.000 złotych odłożone na lokacie. To miały być pieniądze na czarną godzinę, jak się jednak okazało po przygotowaniu z grubsza planu wydatków na najbliższy czas, wystarczą zaledwie na miesiąc, może półtora.

Nie w głowie było im więc oglądanie telewizji. Teraz najważniejszym i najpilniejszym problemem do rozwiązania było znalezienie pieniędzy na utrzymanie rodziny. Po krótkiej dyskusji, momentami prowadzonej w mocno napiętej atmosferze, zapadła decyzja: oboje zaczną szukać pracy. Jeśli nie znajdą jej w ciągu kilku tygodni, będą mieli dwa wyjścia: albo wziąć kredyt na przetrwanie w jakiejś instytucji finansowej na złodziejski procent (żaden bank nie da im pożyczki), albo zapożyczyć się u rodziny.

Rozdział 10

Krótko po zakończeniu konferencji prasowej dobry humor Starosty znikł bezpowrotnie. Tradycyjnie za taki stan rzeczy odpowiadał nie kto inny, jak szef. Okazało się bowiem, że projekt ustawy, który miał być gotowy, a którym to Drabczy pochwalił się na posiedzeniu Rady Ministrów, gotowy nie jest.

- Mamy projekt? - Starosta dopadł ministra dopiero przed wyjściem z budynku.

- Ciszej - syknął Drabczy, oglądając się nerwowo. - Mamy zarys...

- Ja bym tego zarysem nie nazwał - skrzywił się nerwowo.
- To były zaledwie luźne uwagi zgłoszone przez kilku prawników, w tym zaledwie przez jednego konstytucjonalistę...
- To zbieraj dupę w troki, zwołuj ekipę i zabierajcie się do roboty, za którą płacę wam ciężkie pieniądze! - warknął, po czym szybko się uśmiechnął, widząc znajomą redaktorkę. Ta podeszła, poprosiła o wywiad, umówił się na kwadrans później.
- Wieczorem chcę mieć na biurku roboczą wersję ustawy - wycedził w kierunku Starosty, gdy dziennikarka znikła za drzwiami.
- Tak jest - odparł potulnie, klnąc w myślach niczym murarz, który zdrowo przyłożył sobie młotkiem w mały palec.

*

W przyływie dobroci serca Bielik chwycił za słuchawkę telefonu i wybrał numer. To znaczy, jemu się wydawało, że robi to niemal bezinteresownie, aczkolwiek, gdyby się nad tym głębiej zastanowił, doszedłby do wniosku, że w tym przypadku półdarmowa praca przyniesie ze sobą dużo większe profity w czasie późniejszym. Tak czy siak, podjął decyzję.

- Dzień dobry, panie Damianie - rzekł, nerwowo bawiąc się długopisem. - Dzwonię w sprawie stawki za moje usługi.

- Proszę mówić, panie mecenasie - w słuchawce dało się słyszeć kobiecy głos. - Mąż właśnie jest w łazience - Marta Kanclerz skłamała gładko.

- Chcieliście państwo znać wysokość honorarium... - grał na czas, zaskoczony zmianą rozmówcy. Widocznie negocjacje finansowe w rodzinie Kanclerzów prowadziła jej piękniejsza część.

- Tak - weszła mu w słowo. - Ale nawet ich nie znając, muszę pana uprzedzić, że jesteśmy w bardzo kiepskiej sytuacji finansowej...

- Wiem, rozmawialiśmy o tym rano - tym razem to on przerwał. - Dlatego mam dla państwa pewną atrakcyjną propozycję - wstrzymał oddech. - Ponieważ w tej chwili nie macie pieniędzy na pokrycie reprezentacji przed sądem, czy to w sprawie karnej, czy przed sądem pracy, zgodzę się na

zapłatę, gdy wasza sytuacja się odwróci i los się do państwa uśmiechnie - chociaż mówił do Marty Kanclerz, tak naprawdę miał na myśli samego siebie. Oczywiście nie zdradził się z tym, że poprowadziłby sprawę karną jej męża nawet za darmo, byle tylko znaleźć się na pierwszych stronach gazet jako obrońca bohatera.

- Ale mógłby pan podać chociaż orientacyjne koszty, żebyśmy wiedzieli, jaką kwotę będziemy musieli zbierać - naciskała.

- Pani Marto, dogadamy się - zapewnił.

- Ale ja naprawdę wołałabym...

- Proszę się teraz nie przejmować moim honorarium - Bielik w roli zbawcy ludzkości sprawdzał się znakomicie.

- O konkretnych kwotach będziemy rozmawiać później, natomiast na pewno nie będzie to państwa kosztować tyle, ile - zatrzymał się w pół słowa, mało brakowało, a dodałby „w renomowanej kancelarii” - zwykle coś takiego kosztuje - dodał na bezdechu.

- Trzymam pana za słowo.

- Bardzo proszę - próbował się uśmiechnąć. - Skontaktuję się z państwem, gdy tylko założę sprawę w sądzie pracy.

- Ile to może potrwać? - spytała rzeczowo. - To znaczy, kiedy mógłby zapaść wyrok?

- Takie sprawy przed sądem pracy toczą się zwykle bardzo szybko - odparł. - Myślę, że maksymalnie kilka miesięcy, chyba że zakład pracy męża będzie przeciągał postępowanie.

- Nie ma takiej możliwości, żeby sąd zasądził wypłatę pensji przed zakończeniem się procesu?

- Niestety, nie. Kiedy zapada wyrok w sprawie takiej jak pani męża, sąd pracy najczęściej nadaje mu klauzulę natychmiastowej wykonalności. To oznacza, że jeżeli nawet zakład pracy się odwoła i tak będzie musiał wypłacić zaległe pobory. Ale dopiero po zapadnięciu wyroku, nie wcześniej.

- Rozumiem - rzekła zrezygnowana. - W takim razie będziemy oczekiwać wieści od pana.

Starosta spojrzął po zebranych, zastanawiając się w duchu, do czego dojdzie państwo, które zamiast korzystać z usług ludzi kompetentnych, woli miernych, ale za to wiernych. W gronie ośmiu osób, które w ciągu kilku godzin nasiadów-ki miały napisać ustawę wywracającą porządek prawny do góry nogami, było tylko dwóch prawników, z których jeden od czasu studiów nie praktykował. Choć z drugiej strony i tak były większe szanse na to, że spłodzą coś w miarę sensownego, niż gdyby miało się tym zająć 460 osłów z Wiejskiej.

Ale, gdyby to od niego zależało, zaprosiłby wybitnych fachowców od prawa karnego i konstytucyjnego. Niestety, on tu tylko sprzątał.

- Na razie - uśmiechnął się sam do siebie na tę ostatnią myśl. - Na razie...

*

W czasie, gdy burza mózgów biernych, miernych, ale wiernych szalała nad tekstem ustawy, minister Drabczy relaksował się w przytulnej saunie zlokalizowanej niedaleko budynku ministerstwa. O tym sposobie odstresowania się po męczącym dniu pracy wiedziało niewiele. Premier razem z ministrem Szafrancem i kilkoma innymi giermkami grali w kopaną, ale to było raczej pod publikę, a nie dla faktycznego odpoczynku. Drabczy preferował saunę, a potem masaż, zawsze wykonywany przez tę samą fizjoterapeutkę. Ceny usług były kosmiczne, ale i poziom obsługi też niezmierny.

Tym razem jednak błogie chwile przerwał natarczywy dzwonek telefonu. Drabczy, wściekły na własną pamięć - zapomniał bowiem wyciszyć go przed zabiegami - poprosił masażystkę o podanie aktówki. Przy okazji mógł kolejny raz przyjrzeć się jej umięśnionym udom, co zawsze niesamowicie go podniecało. Najchętniej zerwałby z niej ten bielutki fartuszek - mógł się założyć, że pod nim nie miała nic więcej - niestety, w tym lokalu pracowały panie o zbyt dobrej reputacji, by mógł sobie na to pozwolić.

- Dziękuję - westchnął zawiedziony, gdy masażystka podała komórkę. - Słucham - warknął.

W tym momencie w słuchawce rozpoczął się słowotok, który trwał dobre dziesięć minut. Drabczy nie miał przy sobie zegarka, szacował czas po standardowej długości masażu stóp.

Kiedy rozmowa - raczej monolog - z prezesem Naczelnej Rady Adwokatury dobiegła końca, Drabczy w myślach pogratulował Staroście, zwracając mu przy tym honor. Facet może i był gejem, ale łeb miał nieprzeciętny. Stało się tak, jak przewidział: betonowe skrzydło adwokatury od razu podniosło larum, dla nich wprowadzenie instytucji ławy przysięgłych było zagrożeniem całego systemu prawnego.

- Ława przysięgłych zawiera ogromnie niepewny czynnik ludzki! - w głowie Drabczego grzmiał piskliwy głos prezesa Naczelnej Rady Adwokatury. - Czynnik nieprzewidywalny, łatwo ulegający emocjom i nadto nieznający przepisów prawa!

- Jakbym słyszał Szafranca - Drabczy wzdrygnął się na samą myśl, że oto największy przeciwnik w walce o fotel prezesa partii zdobył poparcie części adwokatury. - Ja ci się, gnoju pierdolony, w księgowość nie pcham - zaklął siarczyście. - Przepraszam panią najmocniej - dodał szybko z pokorą ucznia złapanego przez wychowawcę na paleniu papierosów w toalecie.

- Widzę, że pan minister jest dzisiaj bardzo mocno spięty - masażystka nawet mrugnięciem oka nie dała po sobie znać, że ją to dotknęło.

- To fakt - Drabczy westchnął głęboko. - W polityce trzeba uważać na wszystkich, bo nigdy nie wiadomo, kto ci wbije nóż w plecy...

- Ale tutaj nie ma żadnych innych polityków oprócz pana ministra - uśmiechnęła się szeroko, nabierając w dłoń sporą porcję balsamu. - Więc proszę się teraz odciąć od wszelkich bodźców zewnętrznych i zrelaksować.

- Co będziemy masować? - spytał z rosnącym podnieceniem.

- Teraz zajmujemy się plecami i pośladkami - odpowiedziała ze śpiewnym akcentem.

- Cudownie - zamruczał, zastanawiając się przy tym, jak, u

licha, ma się odciąć od wszelkich bodźców zewnętrznych, skoro zaraz zgrabne ręce fizjoterapeutki wylądują na jego tyłku?

Jęknął pod nosem, kiedy tylko sprawne palce ściekające balsamem dotknęły skóry. O prezesie Naczelnej Rady Adwokatury, który zapowiedział list otwarty do premiera z prośbą o wycofanie się z pomysłu wprowadzenia ławy przysięgłych, zapomniał w jednej chwili.

Zresztą, od tego miał Starostę, który w swej genialności - to trzeba przyznać - przewidział taki ruch przeciwnika i już wcześniej przygotował kontrę: oficjalne stanowisko części adwokatury, tej bardziej liberalnej, dające zmianom zielone światło. Co istotne, było ono poparte przez obu wiceprezesów Naczelnej Rady Adwokatury. Bo przecież komu jak komu, ale młodym wilczkom w szeregach zielonych żabotów ława przysięgłych była mocno na rękę. Jasne bowiem było, że sędziami przysięgłymi będzie można bardzo łatwo manipulować, grając na emocjach.

Rozdział 11

Starosta zapisał w notesie pierwszą ważną uwagę, która mogła się przydać do późniejszej obrony instytucji ławy przysięgłych. Było to dla niego zaskoczeniem, jak zresztą dla większości grupy roboczej, nie licząc prawników. W procesie, w którym brał udział jeden sędzia zawodowy i dwóch ławników, ci ostatni mogli go przegłosować, liczyła się bowiem matematyczna większość. Takie sytuacje zdarzały się sporadycznie, ale było to możliwe. Te składy - jeden sędzia zawodowy i dwóch ławników - pracowały w sądach rejonowych w sprawach dotyczących prawa pracy, jak też w sprawach karnych, oraz w sądach okręgowych w sprawach rozwodowych. Ba, ławnicy mogli też przegłosować kwestie odpowiedzialności przy zabójstwach, te prowadzone były przed sądami okręgowymi, w składzie: dwóch sędziów zawodowych i trzech ławników. Tutaj też decydowała arytmetyka.

Starosta uśmiechnął się chytrze. Jeśli ktoś poda w wątpliwość oddanie sprawiedliwości w ręce społeczeństwa, szybko i boleśnie sprowadzi się go na ziemię. Proporcje może były inne, bo co dwunastu samodzielnych przysięgłych, to nie dwóch sędziów i trzech ławników, ale zasada była ta sama: rządził lud!

*

Pracę zaczęli od sposobu wybierania przysięgłych. Kto mógł nim zostać? W Stanach Zjednoczonych wybierano kandydatów albo ze spisu wyborczego, albo na podstawie baz danych kierowców. W Polsce w spisie byli wszyscy obywatele od uzyskania pełnoletności, chyba że stracili prawa wyborcze lub byli ubezwłasnowolnieni. Z kolei nie każdy miał prawo jazdy. Szybko więc ustalili, że bazą danych, z której wyłonieni zostaną potencjalni przysięgli, będzie właśnie spis wyborczy. Łatwo poszło też ze sprecyzowaniem obszaru, ograniczyli go do terenu działania danego sądu okręgowego, w Polsce działało ich obecnie 45.

Bez problemu doszli również do porozumienia, że kandydaci muszą być niekarani i nie może się wobec nich toczyć postępowanie przed sądem; nie mogą to też być osoby niepełnosprawne pod względem umysłowym, które nie potrafią właściwie rozpoznać dowodów. Co się pod tym określeniem kryło, nie rozstrzygali, brzmiało wystarczająco ogólnie i oficjalnie, aby wystarczyło. Z zasady wyłączeni byli także adwokaci, sędziowie, prokuratorzy i funkcjonariusze służb mundurowych.

Ktoś zaproponował nagle, aby inwalidów ruchowych też wykluczyć, ale szybko został przegłosowany. Nie pomogły tłumaczenia, że większość budynków sądowych w Polsce wciąż nie jest przystosowana do potrzeb osób niepełnosprawnych, w roku wyborczym nie można sobie było pozwolić choćby na cień zarzutu dyskryminacji.

- Oczywiście oczywistością będzie przepis mówiący o konieczności bycia pełnoletnim - jeden z niedorobionych prawników zabrał głos. - Ale ja bym postawił również górną granicę wieku: 67 rok życia.

- A starsi? - spytał ktoś, marszcząc przy tym nos. - Olejemy ich?

- Olewa ich ZUS, olewa NFZ, dlaczego my mielibyśmy się nimi przejmować? - nedorobiony prawnik zaczął grzebać w szklance, próbując wyłapać podwójnego paluszka. - Gdyby ci wszyscy emeryci przestali ssać państwową pierś, nam wszystkim żyłoby się lepiej - sprawnym ruchem wyciągnął zdobycz, po czym zaczął ją chrupać z zadowoleniem wymalowanym na twarzy.

- Tak? - Starosta był już zmęczony i łatwo tracił cierpliwość. - To może od razu oddajmy buławę premiera Sprawiedliwej i Prawej Polsce? Ograniczyć wiek?! Błyskawicznie zostaniemy zbombardowani zarzutami, że dla Partii Wszystkich Obywateli ludzie starsi są niepotrzebni. Chcemy tego? Chcemy politycznej nawałnicy przechodzącej nad naszymi głowami niczym bombowce niszczące Drezno nalotami dywanowymi?! - niemal krzyczał. - Słuchajcie, moi drodzy - rzekł po chwili pojednawczo. - Niektórym z was brakuje dyplomatycznego doświadczenia. Szybka lekcja: to, co sobie wszyscy myślimy, to jedno. To, co możemy publicznie powiedzieć, to drugie.

- To hipokryzja - wypalił nedorobiony prawnik.

- Nie - zmęczona twarz Starosty przybrała uśmiechnięty wyraz. - To polityka.

*

Drugą kwestią, którą przyszło im poruszyć, był wybór składu. Tym razem burza mózgów była dużo mniej emocjonalna, za to o wiele bardziej owocna. Przepis znaleźli prosty: w pierwszym etapie z bazy danych - czyli spisu wyborców obejmującego zasięgiem teren objęty przez dany sąd okręgowy - zostanie wylosowanych 120 osób. Dostaną wezwanie do sądu, tam ankietę do wypełnienia, a w niej standardowe pytania - nie było co odkrywać Ameryki, więc bezczelnie skopowali je z wzorca made in USA. Czy jesteś za przywróceniem kary śmierci w Polsce za najcięższe zbrodnie? Czy kiedykolwiek ty lub ktoś z członków twojej najbliższej rodziny padł ofiarą rozboju, gwałtu lub innego brutalnego prze-

stępstwa? Czy uważasz, że każdy oskarżony o popełnienie przestępstwa ma prawo do bezstronnego procesu i sprawiedliwego wyroku?

Potem wyznaczony sędzia na podstawie odpowiedzi wykreśli niektórych kandydatów, np. tych, którzy byli ofiarami przestępstw. Jeśli odrzuci więcej niż 30 osób, ze spisu wyborców zostanie wylosowana kolejna grupa tak, aby razem z tymi, którzy przeszli pierwszy etap ankiety, było 120 kandydatów.

Z tych, którzy przejdą ankietę (przynajmniej 90 osób) oskarżenie i obrona wybierze po 45 osób. Na tym etapie nie ma obostrzeń, to znaczy, że każda ze stron może wskazać np. same kobiety, tylko mężczyzn, jedynie młodych, samych starszych, tylko ludzi w średnim wieku. Następnie sprawy się nieco skomplikują, przynajmniej dla postronnego obserwatora: wybierany jest „wspólny mianownik”, czyli te osoby, które zostały wskazane przez obie strony. Z tak wyodrębnionej puli losowany jest podstawowy skład ławy przysięgłych, czyli 12 osób, a do tego dwie dodatkowe, jako 13 wylosowana osoba i 14.

- Rezerwowi? - tym razem wątpliwości miała jedna z pracownic biura legislacji.

- Muszą być - Starosta wznosił się na wyżyny cierpliwości.

- Tak samo jest w Stanach Zjednoczonych...

- Wiesz, gdzie ja mam Stany Zjednoczone? - wyszczerzyła zęby.

- Wiem - Starosta odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Ale akurat w tym przypadku to działa też na naszą korzyść.

- Niby jak? - prychnęła.

- Przypomnij sobie proces Wojciecha Jaruzelskiego i Stanisława Kociołka w sprawie masakry robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku - tłumaczył Starosta. - Rozprawy ciągnęły się przez 10 lat i gdy już się wydawało, że zapadnie wyrok, najpierw jeden ławnik się wykruszył, potem drugi zmarł, a później zmarł jeszcze trzeci. Tym samym z pięciu ławników, w tym dwóch rezerwowych, trzech wypadło, a że takie sprawy muszą być prowadzone przez dwóch sędziów zawodowych i trzech ławników, proces trzeba było powtórzyć.

- Masakra - złapała się za głowę. - Dobrze, w takim razie dajmy dwóch zapasowych sędziów przysięgłych.

- Świetnie - skwitował Starosta.

- A może to za mało? - zmarszczyła brwi. - Może dać ich więcej?

- To zwiększy nam koszty - Starosta myślał kategoriami właściwymi dla szefa, jakby podświadomie oczekując jego reakcji, starał się też z góry przewidzieć kontrargumenty ministerstwa finansów. - Musimy też pamiętać o tym, że sprawy przed ławą przysięgłych będą się odbywać w ekspresowym tempie, w ciągu tygodnia, dwóch tygodni. Musiałby nas złapać niezły pech, żeby w tym czasie dwóch ławników wykitowało.

Odpowiedziała mu salwa śmiechu.

*

Osobny rozdział poświęcili szczególnemu przypadkowi: gdy grupa wspólnego mianownika wybrana przez obie strony liczyłaby mniej niż 14 osób. Wtedy każda ze stron z osób wcześniej przez siebie odrzuconych miała wybrać dwa razy więcej osób niż zabrakło we wspólnym mianowniku. Gdyby więc wspólny mianownik liczył tylko 10 osób (więc brakowałyby czterech), każda ze stron musiałaby dobrać po 8 osób. Później, analogicznie do wcześniejszego etapu, wybierany byłby wspólny mianownik z tych dobranych. Jeśli znów zabrakłoby do pełnego składu, to ponownie każda ze stron wybrałaby z wcześniej odrzuconych. I tak do skutku, czyli do momentu, w którym zostanie wybrany dwunastoosobowy skład ławy przysięgłych oraz dwóch rezerwowych. Wyliczenia były skomplikowane - szczególnie dla tych, którym matematyka na maturze śniła się do późnej starości - ale innego wyjścia nie mieli.

Na szczęście w ostatniej chwili niedorobiony prawnik - w tym momencie Starosta zmienił o nim nieco zdanie na korzyść - zaproponował zapis, że osoby wylosowane ze spisu wyborców, które przejdą etap ankiety, nie mogą się wycofać z bycia przysięgłym. Oczywiście ci, którym sądenie przestępców by się

nie uśmiechało, mogliby się wywinąć od tego obowiązku. Wystarczyłoby, aby na etapie ankiety zdyskredytowali się, podając np. że są za przywróceniem kary śmierci w Polsce za najcięższe zbrodnie czy też uważają, że nie każdy oskarżony ma prawo do sprawiedliwego procesu. O ile przy pytaniu „Czy kiedykolwiek ty lub ktoś z członków twojej najbliższej rodziny padł ofiarą rozboju, gwałtu lub innego brutalnego przestępstwa?” można było zastosować klauzulę o odpowiedzialności prawnej za podanie nieprawdziwych danych, o tyle przy dwóch wcześniejszych oświadczenie było wolicjonalne i każdy mógł napisać to, co chciał, nie dało się tego w żaden sposób podważyć. Przecież nawet ktoś, kto publicznie walczyłby o prawo do obrony najgorszych przestępców, mógł stwierdzić, że nagle zmienił zdanie.

I te pytania w ankiecie były właśnie jedną z pięć achillesowych instytucji ławy przysięgłych. Nie ostatnią, jak się miało wkrótce okazać.

*

Sporo nerwów grupę „ekspertów” kosztowało ustalenie stosunku głosów. Jakoś dziwnym trafem podzielili się na dwa mniej więcej równe obozy: jedni byli za zapisaniem w ustawie obowiązku jednomyślności sędziów wydających werdykt, drudzy za większościowym stosunkiem głosów. Kiedy tym drugim udało się przekonać przeciwników, że wymóg dwunastu tak samo myślących ludzi może mocno utrudnić prowadzenie spraw, zaczęli się kłócić o liczby. Jaki procent miałyby decydować o czyjejs winie bądź niewinności? Dziesięciu przysięgłych to było zaledwie 75 procent, trochę mało, żeby kogoś skazać lub nie. Dziesięciu? To nieco ponad 83 procent, czyli też dość duży margines. Jedenastu? To już ponad 91 procent, tyle że pociąga to za sobą niebezpieczeństwo ostracyzmu jednego przysięgłego, który może się przeciwstawić innym nie ze względu na przekonanie o winie bądź niewinności oskarżonego i dbaniu o sprawiedliwość, co raczej na zasadzie „nie, bo nie”. Biorąc pod uwagę polską mentalność psa ogrodnika, było to mocno prawdopodobne i

oznaczałoby fiasko instytucji ławy przysięgłych.

Dlatego, mimo pierwotnej decyzji, aby nie wprowadzać jednomyślności, zaczęli nagle zmieniać zdanie. Oczywiście, jakżeby inaczej, nie wszyscy.

- Podam koronny argument - nedorobiony prawnik był w siódmym niebie. - Przekrój naszego społeczeństwa pokazuje, że trudno będzie uzyskać jednomyślność. Paradoksalnie więc lepiej osłabić kryteria do jakiejś tam większości. To da większe szanse, że wyrok będzie po myśli opinii publicznej.

- Chyba rzeczywiście paradoksalnie, bo ja nie rozumiem tego toku rozumowania - zauważyła jedna z pań.

- Określmy wymaganą większość na dziesięciu przysięgłych - wyjaśnił szybko nedorobiony prawnik. - Jedna czarna owca znajdzie się w każdym stadzie. Dla bezpieczeństwa zrobimy miejsce dla dwóch.

- Ale to osłabi moc ławy przysięgłych w oczach społeczeństwa - wtrącił Starosta. - Ja jestem za jednomyślnością. Jeśli faktycznie trafi się czarna owca, która będzie miała inne zdanie, to zadaniem reszty składu będzie przekonanie jej do swoich racji.

- A jeśli argumenty do niej nie trafią? - nedorobiony prawnik nie dawał za wygraną.

- Pamiętajmy, że wszyscy sędziowie przysięgli będą pod presją opinii publicznej - przekonywał dalej Starosta.

- Wiem, że w przypadku niejednomyślności przepisy zabraniają podawania, kto jak głosował, więc tym myślący inaczej się nie przejmą. Ale pamiętajcie, że taka czarna owca będzie poddana presji pozostałych jedenastu sędziów - pokazał zęby w fałszywym uśmiechu. Osobiście podzielał zdanie prawnika i najchętniej zagłosowałby przeciwko jednomyślności. Wiedział jednak, że wprowadzając taki zapis do ustawy, zabezpieczy sobie plecy, na wypadek wygranej drugiego stronnictwa w partii. W mgnieniu oka odsunął więc sentymenty na bok i skupił się na własnym interesie. - Proponuję tajne głosowanie w tej sprawie. Najpierw jednak przegłosujmy tryb podejmowania decyzji w tym zakresie: kto jest za tym, aby wystarczyła zwykła większość?

Wszyscy podnieśli ręce do góry. Chwilę potem zaczęli przygotowywać kartki do głosowania, za urnę posłużył karton po papierze do drukarki. Wynik plebiscytu był miazdzący. Decyzja przysięgłych miała być więc jednomyślna.

*

Niewiele łatwiej poszło z opracowaniem standardów zachowania się sędziów przysięgłych. I nie chodziło tu nawet o dylemat, czy kalkować rozwiązania z amerykańskiego systemu prawnego i wprowadzać izolację od świata zewnętrznego: zakaz rozmawiania między sobą na temat procesu czy też zakaz czytania artykułów, słuchania audycji radiowych i oglądania programów telewizyjnych o prowadzonej sprawie. Wiadomo było, że nie ma innego wyjścia, bo przecież nadal nadrzędnym celem było zapewnienie oskarżonemu prawa do sprawiedliwego procesu. Można go było zrealizować tylko poprzez bezstronność sędziów przysięgłych, a tę trudno by było zapewnić po lekturze niektórych artykułów prasowych czy obejrzeniu pierwszego lepszego serwisu informacyjnego. Z tym nie było dyskusji. Problem tkwił - jak zwykle - w pozornie drobnym, aczkolwiek de facto ogromnych rozmiarów szczególe: czy od razu zarządzać pełną izolację składu ławy włącznie z rezerwowymi?

Po burzliwej dyskusji doszli do wniosku, że większość Polaków nie utrzyma języka za zębami, a już szczególnie trudno będzie to zrobić, kiedy do mieszkania zwali się tłum znajomych, rodziny i innych pociotków, którzy przybędą niczym pątnicy zmierzający na kolanach do sanktuarium tylko po to, aby dotknąć żywego sędziego przysięgłego. Konia z rzędem temu, kto postawi choćby złotówkę na to, że taki osaczony delikwent nie puści pary z gęby, nawet nieświadomie.

Chętnych do hazardu nie było, jednogłośnie postawili na pełną izolację przez cały czas trwania procesu. Wiedzieli, że ministerstwo finansów niechętnie połknie tę żabę, ale tym razem pieniądze musiały ustąpić pierwszeństwa zdrowemu rozsądkowi.

*

Sporo trudu kosztowało ich również rozstrzygnięcie kwestii poprawności działania przysięgłych i tu bez pomocy prawników nie ruszyliby nawet z miejsca.

- Nie wdając się w zbytnie szczegóły - zaczął prawnik, o którym Starosta przestał już myśleć jako o niedorobionym. - Jestem za skopiowaniem rozwiązania z systemu amerykańskiego: gdy sędzia prowadzący sprawę uzna, że sędziowie przysięgli wydali werdykt bez wystarczających dowodów lub też stwierdzi, że został on wydany bezprawnie, może go anulować.

- Poważnie? - wypaliła pracownica biura legislacji. - To po jaką cholere jest ława, skoro sędzia może podważyć jej wyrok?

- Nie wyrok, tylko werdykt - prawnik podniósł do góry palec wskazujący prawej ręki w wymownym geście. - Wyrok wydaje sędzia prowadzący sprawę na podstawie werdyktu ławy. A ława jedynie określa, czy oskarżony jest winny zarzucanych mu czynów, czy też jest niewinny.

- To nie zmienia stanu rzeczy - naciskała nadal. - Dlaczego sędzia może zmienić werdykt?

- Ta możliwość dotyczy jedynie takiej sytuacji, gdy sędziowie przysięgli wydadzą werdykt „winny” w sprawie karnej, a sędzia stwierdzi jego bezprawność - tłumaczył cierpliwie prawnik. - Wtedy sędzia może go anulować i proces rusza od nowa, ale już z inną ławą przysięgłych. Natomiast jeśli werdykt ławy uniewinni oskarżonego w sprawie karnej, to nawet gdyby został wydany z naruszeniem prawa, obowiązuje.

- Kolega chciał powiedzieć - Starosta błyskawicznie włączył się do dyskusji - że tak naprawdę sędziowie przysięgli mogą kompletnie zignorować dowody świadczące na niekorzyść oskarżonego i wydać werdykt uniewinniający. Co więcej, takiego rozstrzygnięcia sędzia prowadzący sprawę nie może anulować, a że nikt nie może być sądzony za to samo dwa razy, jest to pewnego rodzaju furka.

Prawniki potaknęli głową.

- Czyli przysięgli mogą zignorować dowody? - dopytywała

pracownica biura legislacji.

- W rzeczy samej - potwierdził Starosta. - Jednak w kwestii formalnej: w prawie anglosaskim nie ma zapisu o tym, że mogą tak postąpić. Do tego ani sędzia, ani adwokat oskarżonego nie mogą sędziów przysięgłych poinformować o takiej możliwości.

- Ale jeśli sami dojdą do takiego wniosku i zechcą uniewinnić oskarżonego - prawnik zrobił pauzę - to nikt im tego nie zabroni.

*

Teoretycznie skończyli omawiać najważniejsze kwestie, ale w praktyce wiedzieli, że coś i tak się jeszcze urodzi. Ponieważ pora była późna, a niektórym - jeśli nie wszystkim - zaczęło burczeć w brzuchu, zamówili catering. Zanim pizza i zapiekanki makaronowe dotarły, Starosta przekopał się przez notatki i poruszył kolejny aspekt, jak to określił: czysto techniczny. Chodziło o instytucję sprzeciwu.

- Wiem, że to kolejny element na modłę anglosaską - uprzedził pytanie. - Ale bez tego na sali sądowej zapanuje chaos. Sędzia nadzorujący sprawę musi mieć możliwość dyscyplinowania stron.

Nikt nie oponował.

Chwilę potem przyjechało jedzenie, rzucili się na nie, jakby nie jedli od tygodnia. Kończyli jeść, gdy tym razem prawnik podjął następny temat, też z gatunku proceduralnych.

- Zwykle w sprawach karny na kolejnych rozprawach obecni są różni prokuratorzy, którzy akurat mają dyżur - wyjaśniał. - Często jest więc tak, że taki prokurator, który wpada na którąś tam z kolei rozprawę, nie jest w temacie, bo nie ma czasu na czytanie opasłych tomów akt.

- Nie gubią się w tym wszystkim? - spytała jedna z pań.

- Oczywiście, że tak - potwierdził prawnik. - Często się zdarza, że prokuratorzy składają wnioski, które koledzy złożyli na wcześniejszych rozprawach. Dlatego nie wyobrażam sobie takiej sytuacji przed ławą przysięgłych, że jednego dnia oskarża prokurator Zieliński, drugiego Nowak, trzeciego

Wiśniewski, a czwartego Borowska. W tym wariancie nie mieliby żadnych szans, żeby w ciągu jednego dnia zapoznać się z aktami sprawy, które mogą liczyć setki, a nawet tysiące stron.

- Propozycja? - Starosta przeszedł do rzeczy.

- Wprowadźmy zapis, że sprawy przed ławą przysięgłych prowadzi od początku do końca jeden prokurator - rzekł prawnik.

Milcząco i jednomyślnie ją zaakceptowali.

Rozdział 12

Pół roku później sprawa „Rzeczpospolita Polska przeciwko Damianowi Kanclerzowi” o podwójne przekroczenie obrony koniecznej i nieumyślne spowodowanie śmierci trafiła w końcu na wokandę. Jak na polskie standardy, „w końcu” było określeniem nader niewłaściwym, bo oskarżony powinien się cieszyć, że nastąpiło to tak szybko. Z drugiej strony jednak - szczególnie w kontekście rodzinnych wydatków - było to 6 koszmarnie długich miesięcy. Kanclerzowie, żeby przeżyć, zapożyczyli się u rodziny i przyjaciół. Poszukiwania pracy przez Damiana przypominały długością, monotonością i zwrotami akcji tasiemiec „Moda na sukces”. Niestety, sympatia społeczna nie przekładała się na chęci zatrudnienia potencjalnego kryminalisty. Niemal w co drugim miejscu pracy słyszał, że tak, że chętnie, że pomożemy, ale dopiero po wyroku. A co miał powiedzieć dzieciom? Że jeść też będą po wyroku? Albo energetyce, gazowni, nie mówiąc o spółdzielni? Jedynym plusem takiego stanu rzeczy był fakt, że zrezygnowali z kablówki i przeszli na zwykłą antenę, przestali też płacić abonament telewizyjny. Skoro państwo się od nich odwróciło - a takie mieli odczucie, wciąż nie mogli bowiem darować prokuraturze aktu oskarżenia - nie mieli większych oporów przed tym, aby temu samemu państwu pokazać tylną część ciała. Większych, bo, wychowani na porządnych ludzi, zastanawiali się długo nad tym, czy może jednak spełniać

swój obywatelski obowiązek. Kiedy jednak zabrakło pieniędzy na najpilniejsze opłaty, dylemat wyparował jak kamfora.

Marta też szukała pracy, ale po ośmiu latach opiekowania się dziećmi jedyną ofertą, którą dostała, była posada niani za 750 złotych na rękę miesięcznie, oczywiście na czarno. Mało, ale nie wybrzydzała, lepsze tyle niż nic.

W ten sposób małżonkowie zamienili się rolami, żona zarabiała na przeżycie (ledwie wystarczało na czynsz i opłaty, jedzenie kupowali za pożyczzone), mąż opiekował się dziećmi. Ale po czterech miesiącach takiej egzystencji i tak musieli sprzedać auto, dwunastoletniego opla corseę.

Szczyście w nieszczęściu, przynajmniej rehabilitacja szwagra przebiegała prawidłowo. W dużej mierze było to zasługą niemieckich lekarzy, którzy operowali uszkodzone lewe oko już w pierwszym tygodniu po zająsci. Minusem był rachunek, który za to wystawili: ponad 80 tysięcy złotych. Rodzina - szwagierka i rodzice Kanclerzów - musieli w tym celu wziąć kredyt. Tym samym nie mogli już pomagać Damianowi i Marcie.

Któregoś dnia, w geście rozpacz, kobieta udała się do ośrodka pomocy społecznej. Tam się dowiedziała, że ponieważ Damian przez poprzednie miesiące pracował, dochód rodziny przekracza ustawowy próg.

- Przecież mąż dostawał marne 1.200 złotych - Marta Kanclerz zdziwiła się niepomierne. - A nas jest piątka w domu!

- Pod uwagę bierze się pensję brutto, do tego dolicza się zasiłki rodzinne, dodatki mieszkaniowe i inne dochody - pracownica socjalna nawet nie patrzyła na petentkę. - Dla przykładu, mąż otrzymał trzynastą pensję...

- Brutto?! - Marcie Kanclerz puściły nerwy. - Za brutto to niech pani sobie kupi papier toaletowy i całą rolkę wsadzi w tę tłustą dupę - warknęła.

*

Mecenas Jakub Bielik przez te pół roku również nie zasypiał gruszek w popiele. Chociaż na wymierne efekty jego działań trzeba było jeszcze poczekać, przygotowywał się do procesu niemal każdego dnia. Wydatną pomoc - niestety, wymagającą

wydatków - okazał pewien emerytowany policjant prowadzący licencjonowane usługi detektywistyczne. Pół roku to był szmat czasu na to, aby przeświecić historię życia kilku osób mających związek ze sprawą. Za każdy taki obiekt Bielik słono płacił, ale wierzył, że w ostatecznym rozrachunku inwestycja zwróci się z nawiązką.

Jednak, kiedy sprawa trafiła wreszcie na wokandę, odetchnął z ulgą. Jeszcze kilka tygodni i też musiałby upłynnić jedyną wartościową ruchomość, którą miał, czyli osiemnastoletniego forda fiestę.

*

Minister Drabczy sześć ostatnich miesięcy poświęcił na promocję własnej osoby zarówno w mediach, jak i w szeregach partii. Jego pozycja rosła z tygodnia na tydzień, a przecież punkt kulminacyjny operacji - czyli rozpoczęcie pierwszej rozprawy przed ławą przysięgłych - dopiero był na horyzoncie. Co prawda doszło do małego zgrzytu przy wyborze sprawy, bo okazało się, że Edmund Grzędowicz ma mocną pozycję nie tylko w lokalnych strukturach partyjnych, ale także na szczeblu centralnym, poparł go sam marszałek Sejmu do spółki z wicepremierem i ministrem finansów. Jednakże Drabczy rozegrał to w iście makiawelskim stylu, pokątnie oskarżając Szafranca o konszachty z podejrzanymi typami. Minister sprawiedliwości był mocno zdeterminowany, a część motywacji - czego sam przed sobą nie ukrywał - budowało nazwisko Kanclerza; do jego ukrytego znaczenia Drabczy zdążył się już przyzwyczaić.

Dzięki temu, że przeforsował sprawę Kanclerza, osłabił pozycję przeciwnika w walce o schedę po premierze. I to na tyle mocno, że sam premier zaczął przebąkiwać o konieczności namaszczenia kogoś innego. Co prawda nazwisko Drabczego nie padło, ale on wiedział doskonale, że staje się najbardziej popularnym politykiem Partii Wszystkich Obywateli. Rosnąca pozycja ministra pomogła także w rozprawieniu się z betonowym skrzydłem w szeregach Naczelnej Rady Adwokatury. Przynajmniej tak się wówczas Drabczemu wydawało.

Rozdział 13

Drabczy, jak każde zwierzę polityczne, potrzebował światła reflektorów, mikrofonów i dyktafonów przed nosem bardziej niż ryba wody. Uwielbiał stawać naprzeciwko tłumy dziennikarzy sam, niczym średniowieczny rycerz ruszający na krucjatę przeciwko niewiernym. I tak jak wojownik sprzed wieków, kierował się własnym systemem wartości, dyplomatycznie nazywanym dekalogiem, jednakże nieustannie modyfikowanym, łopoczącym jak chorągiewka na wietrze, zawsze zgodnie z obowiązującymi modłami i gustami - czy raczej bezguściem - opinii publicznej.

Nie inaczej było tym razem. Ustawa wypocona przez biernych, miernych, ale wiernych została obrobiona przez zaprzyjaźnionego konstytucjonalistę, który zagarść srebrników gotów był wydać ekspertyzę karkołomną bardziej od planu budowy autostrad. Przez sejm przeszła jak burza, przegłosowana bez problemu. Senatorowie pochylili się nad nią bardziej z poczucia przyzwoitości niż chęci zweryfikowania zaproponowanych rozwiązań. Partyjne dyspozycje były jasne: ława przysięgłych ma wejść w życie najszybciej, jak to jest możliwe.

Z tego też względu prezydent również nie zwlekał z jej podpisaniem. *Vacatio legis* ustalono na minimalny czas i oto Drabczy, po pół roku wytężonej pracy nad budowaniem pozycji w szeregach Partii Wszystkich Obywateli był gotowy do kolejnej przełomowej konferencji prasowej.

Kiedy stanął za pulpitem ozdobionym lasem mikrofonów, dziennikarze już jedli mu z ręki. Gdy ogłosił, że pierwszą sprawą karną rozpatrywaną przed polskim sądem w obecności ławy przysięgłych będzie sprawa Damiana Kanclerza, mało brakowało, a żurnaliści zaczęliby padać przed nim na kolana.

Nie dość, że szykowały się ekstrarelacje z sali sądowej, to jeszcze miały dotyczyć bohatera z Miłowa Wielkopolskiego, co prawda nieco już zapomnianego, ale z tym większą mocą wracającego na afisz.

*

Bielik załatwiał w toalecie poważniejsze sprawy, gdy przez drzwi usłyszał wypowiedź ministra Drabczego.

- Tak! - wrzasnął na całe gardło, zupełnie nie przejmując się sąsiadami zza ściany, którzy awanturowali się nawet wtedy, gdy podkreślał nieco głos w radiu. - Kurwa! - zaklął nagle, uświadomiwszy sobie, że podekscytowany użył trzech listków papieru toaletowego, zamiast zwyczajowych dwóch. Kiedyś nawet policzył dokładnie, jakie dawało to oszczędności. Normalnie zużywał rocznie 2,5 duże opakowania, każde po 10 rolek. Tak musiałby dorzucić kolejne, a to już było dodatkowe 10 złotych, chociaż generalnie czatował na promocje, kiedy cena spadała o złotówkę. Zresztą, w tym konkretnym przypadku zyski nie były duże, chodziło raczej o zasadę.

Umył dokładnie dłonie - nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że 63 procent mężczyzn w Polsce nie myje rąk po wyjściu z toalety, a kolejne 12 procent tylko je opłukuje - i dla pewności je powąchał.

- Kurwa! - wrzasnął raz jeszcze, wparował do pokoju.

- Koniec z pierdolonym oszczędzaniem! - podbiegł do radia i pocałował je, jakby to był ekran telewizora z widniejącą uśmiechniętą postacią Roberta Drabczego, ministra sprawiedliwości, który właśnie odmienił jego życie.

Trzydzieści minut później Bielik odebrał pierwszy telefon, dzwonił dziennikarz ogólnopolskiego tygodnika.

*

Po dwóch godzinach odbierania telefonów Bielikowi w końcu udało się wybrać numer klienta. Ten wiedział już o wszystkim, jednakże miał kilka pytań, na które obrońca chętnie odpowiedział. Najważniejsze dotyczyło zgody na upublicznienie wizerunku. Damian Kanclerz jako osoba, która nie była skazana prawomocnym wyrokiem, mógł odmówić, ale w zaistniałych okolicznościach mocno by mu to zaszkodziło. Co to bowiem za bohater, który ma coś do ukrycia? Niechętnie, jednakże się zgodził.

- To będziesz królikiem doświadczalnym - Marta Kanclerz przytuliła męża, gdy tylko ten skończył rozmawiać.

- Wiem - Kanclerz westchnął głęboko.

- Relacje na żywo z sali sądowej sprawią, że staniesz się najbardziej rozpoznawalnym człowiekiem w kraju. Chcesz tego?

- A czy chciałem bijatyki z tamtymi dwoma gnojami? - spytał retorycznie. - Nie mam wyjścia. Czy mi się to podoba, czy nie, to chyba jedyna szansa na szybkie odzyskanie pełni wolności...

- Jak wygrasz, to może w końcu znajdziesz jakąś dobrą pracę? - w głosie dało się wyczuć nadzieję.

- Widzisz? - uśmiechnął się przebiegle. - Sama kombinujesz, jak by na tym zyskać. A kiedy pan mecenas tak robi, to cię denerwuje - zaśmiał się rubasznie.

- Przestań! - dała mu udawanego kuksańca w bok. - Przecież wiesz, że oddałabym wszystko, żeby to się nie wydarzyło...

- Wiem - objął ją mocno ramieniem. - Ale teraz musimy też myśleć o własnym interesie. Na mojej sprawie skorzysta wiele osób. Prokurator pokazał swoją niezłomną postawę strażnika praworządności, ślepego i głupiego jak but, ale za to żyjącego w zgodzie z procedurami, ciekawe tylko, czy również z własnym sumieniem? - zadumał się na chwilę. - Nasza papuga zareklamuje się za darmo we wszystkich liczących się mediach w kraju. Wkrótce będzie mógł otworzyć kancelarię z przedstawicielstwami we wszystkich większych miastach

- kolejna pauza. - Minister Drabczy ma zaufanie społeczne większe od papieża...

- A ty, skarbie?

- A ja? - zamyślił się. - Miejmy nadzieję, że przysięgli uniewinnią mnie od tych absurdalnych zarzutów - wstrzymał oddech. - Gdybym stanął przed zwykłym sądem...

- Gdybyś stanął przed zwykłym sądem, mogłoby być różnie - dokończyła myśl. - A tak będą cię sądzić tacy sami, zwykli ludzie jak ty. Może niemający prawniczego wykształcenia i lat praktyki zawodowej, ale za to potrafiący trzeźwo myśleć. Będą w tobie widzieć człowieka, głowę rodziny ciężko

zarabiającą na chleb, a nie jakiegoś podrzędnego opryszka, cwaniaczka udającego porządnego dwudziestosiedmiolatka.

- Myślisz? - spojrział na nią wzrokiem pełnym miłości.

- Oby tak było.

W tym momencie zadzwoniła komórka, Kanclerz odebrał. Dzwonił Bielik, prosząc o przyjscie do kancelarii i wypełnienie druczków związanych z udzieleniem zgody na upublicznienie wizerunku przez media.

- Załatwię to od razu - Kanclerz sięgnął po buty.

- Nasza kochana papuga - Marta Kanclerz nawet nie próbowała skrywać sarkazmu. - Wiesz, skarbie, że dla niego najważniejszy jest on sam, nie ty?

- Wiem, kochanie - uśmiechnął się delikatnie.

- Nie przeszkadza ci to?

- Przeszkadza - przytulił ją mocno. - Ale dopóki autopromocja jego własnej osoby mi pomaga, dopóty nie będę z tym nic robił.

Rozdział 14

Fronton willi zdominowany przez ganek z trzema schodami i kolumnami stylizowanymi na greckie, obok których stały wielkie posągi dwóch lwów, zdradzał, że właściciel posiadłości wysmakowanym gustom raczej się nie kłania. Dodawszy do tego żwirową alejkę otaczającą coś na kształt ronda - gdzie ogrodnikowi udało się wyhodować ogromnych rozmiarów krzewy różane, pośrodku których stała kiepskich lotów reprodukcja Wenus z Milo wykonana z białego betonu - widać było, że ten, kto to projektował, miał albo gorszy dzień, albo też zleceniodawcę pozbawionego resztek architektonicznego smaku.

Bez względu na to, że posiadłość byłaby murowanym kandydatem do tytułu lokalnego potworka budowlanego, postronnego obserwatora uderzyłby spokój panujący w otoczeniu willi Edmunda Grzędowicza zlokalizowanej na ponad dwuhektarowej działce w Chwałęcicach. Zarówno sam dom, jak

i otaczający go miniaturowy park, spowijała niezbyt gęsta mgła, nadając swoistej aury tajemniczości. Jednak spokój, który tu panował, był iluzoryczny i ostro kontrastował z wydarzeniami pełnymi emocji, które miały miejsce wewnątrz budynku.

Grzędowicz, zdenerwowany do granic możliwości, złapał właśnie za telewizor i z antresoli zrzucił go do basenu.

- Zabiję tych skurwysynów! - darł się. - Jak Boga kocham, zabiję!!!

Stanisław Kowalski siedział w fotelu obitym prawdziwą skórą, żadnym tam materiałem identycznym z naturalnym, w bezpiecznej odległości od szalejącego Grzędowicza, jak i odbiornika wzbudzającego nie tak najmniejszą znowu falę uderzeniową. W milczeniu sącył drinka, czekając na moment, gdy stały zleceniodawca się uspokoi. Jego wylupiate oczy - wytrzeszcz miał równy temu, jaki przez lata prezentował włoski sędzia piłkarski Pierluigi Collina, za to włosów nieco więcej - rejestrowały każdy ruch. Z doświadczenia wiedział bowiem, że trochę to potrwa, ale kres szaleństwa musi przyjść. Wbrew pozorom Grzędowicz był biznesmenem z - jak się to mówiło potocznie - głową na karku i jako taki zdawał sobie doskonale sprawę, że tam, gdzie zaczyna się rozmowę o pieniądzach, uczucia należy zostawić schowane głęboko w kieszeni. Ale - pomyślał po chwili Kowalski - ta sytuacja nie jest standardową i emocje będą mu stale towarzyszyć. Jego zadaniem więc - zadaniem człowieka dbającego o to, aby zawsze działać jeśli nie zgodnie z prawem, to najdalej na jego granicy - będzie maksymalne wyciszenie sentymentów. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

- Ciśnienie mi skoczyło - Grzędowicz w teatralnym geście złapał się za serce, usadziwszy swoje tłuste cielsko na kanapie obitej taką samą skórą, co fotele.

- Przynieść tabletki? - Kowalski zaoferował pomoc, zrywając się jak oparzony.

- Pierdolę tabletki - machnął ręką. - Samo mi przejdzie.

- Nie możesz się tak denerwować...

- Ale się wkurwiłem - nawet nie słuchał, co mówi do niego adwokat. - Żeby ich wszystkich, sukinkotów...

Kowalski, w oczekiwaniu na wyciszenie szefa, nalał sobie okazałą porcję brandy. Ten najpierw gderał coś pod nosem, chwilę później rozpoczął narzekanie.

- Zobacz, Staszku - wysmarkał nos w brudną chusteczkę.

- Co mi przyszło z tego, że przez dziesięć lat łąsiłem się do tych przydupasów premiera? Co z tego, że zapraszałem na polowania do Francji i Włoch? Co z tego, że organizowałem wycieczki integracyjne na dupy?

- To ostatnie akurat się przydało - Kowalski beknął cicho.

- Zebraliśmy taki materiał fotograficzny, że...

- Że co? - przerwał mu bezceremonialnie. - W dupę to sobie możemy wsadzić! - znowu zaczął się ekscytować. - Żaden z nich nie wstawił się za mną. Żaden!

- Przesadzasz - zaoponował. - Wszyscy, których karmiłeś przez te lata, próbowali ujebać ten projekt. Wszyscy co do jednego - rzekł wytrzymując twarde spojrzenie Grzędowicza.

- Nie masz prawa narzekać, że cię zostawili w potrzebie, bo tak nie było. Każdy z nich sporo ryzykował, bo gdyby media wywęszyły, że wstawili się za tobą...

- Że niby kto ja jestem? - zerknął groźnie.

- Mundek, nie przesadzaj - odciął się wzrokiem. - Obaj dobrze wiemy, że nic ci nie można udowodnić. Nic, nawet ździebełka. Ale to nie zmienia faktu, że masz taką opinię, jaką masz.

- Wiem, wiem... - Grzędowicz wzruszył ramionami.

- Masz rację - przyznał niechętnie.

- Grzesiu spotkał się z samym premierem i niemal na kolanach błagał, żeby rząd wycofał się z tego projektu...

- Naprawdę? - zainteresował się błyskawicznie. - Rozmawiał z samym premierem?

- Tak - potwierdził. - Gdyby nie Drabczy...

Na wspomnienie nazwiska ministra sprawiedliwości twarz Grzędowicza przybrała czerwony kolor.

- Nie denerwuj się - ostrzegł Kowalski. - Pamiętaj, co mówił lekarz: musisz kontrolować ciśnienie.

- Pamiętam - zrobił kilka spokojnych wdechów i wydechów.

- Grzesiowi tego nie zapomnę - rzucił po dłuższej chwili. - Ale

na Tadziu to się zawiodłem...

- Ja też - przyznał. - Co z nim zrobimy?

- Na początek zakręcimy kranik z kasą.

- To nam może zaszkodzić...

- Niby jak? - warknął Grzędowicz. - Tyle lat łożyłem na tego pijaczynę, a on jak mi się odwdzieczył?

- Ale w przyszłości...

- W przyszłości to za te pieniądze kupię sobie posła jakiej partii będę chciał - wycedził. - Takiego, który zrobi to, co mu każę, a nie dupowłaza bojącego odezwać się w towarzystwie byle ministra.

*

Po spotkaniu z Kanclerzem i podpisaniu stosownych dokumentów, Bielik umówił się na rozmowę z detektywem Dawidem Rutem, który zaproponował wizytę na mieście.

Ponieważ z kolei adwokat bał się wykosztowania na lunch, umówił spotkanie w Parku Róż.

Bielik wszedł bramą od Sikorskiego, do umówionej godziny było jeszcze sporo czasu, zatrzymał się więc przy tablicy ogłoszeniowej z regulaminem. „Park Wiosny Ludów. Powierzchnia parku: 4,7 hektara. Powierzchnia stawu: 1 hektar. Rok założenia: 1913”. - Ciekawe - zamyślił się, zdając sprawę z tego, że do tej pory nie miał pojęcia, jak wiekowe to miejsce.

Czytał dalej: „Osoby przebywające w parku mogą korzystać nieodpłatnie ze wszystkich urządzeń oraz terenów przygotowanych do zabawy i uprawiania sportów zgodnie z ich przeznaczeniem”. To było wolno, ciekawsze jednak były - jak to w życiu - zakazy. „W szczególności na terenie parku niedozwolone jest spożywanie alkoholu oraz przebywanie w stanie nietrzeźwym, puszczenie psów luzem i pozostawianie ich ekskrementów”. - Jakby nie mogli napisać po ludzku: gówna - zachnął się. - A zresztą, chyba walnęli tu byka, bo powinno być: ekstrementów - skrzywił się na samą myśl, że odpowiedzialni za przygotowanie tablicy nie znają podstaw ojczystego języka.

Zdenerwowany porzucił lekturę, skręcił alejką w prawo, przeszedł przez kamienny mostek, rzucając wzrokiem na po-

sąg. Za każdym razem zastanawiał się, co symbolizuje dzban zamiast głowy. - Może polską przywarę: chlanie na umór? - skrzywił się na samą myśl.

Ruszył dalej, minął grupę dziewcząt z pobliskiego liceum, pod okiem wuefisty zażywały lekcji na świeżym powietrzu. Więcej energii traciły na plotkowanie niż na ćwiczenia rozciągające. Jemu to jednak nie przeszkadzało, otaksował spojrzeniem szczególnie tych kilka najlepiej zbudowanych.

Doszedł do kamiennych schodów, usiadł, wkładając pod siebie gazetę, złożywszy ją wcześniej na czworo. Z kieszeni wyjął pół chleba kupionego w drodze do parku, zaczął karmić kaczki, których momentalnie przyplnęła - nie przymierzając - setka. Ptaki zaczęły walczyć o kawałki pożywienia.

- To Grzędowicz, a to pan - Rut pojawił się nie wiadomo skąd, wskazywał palcem na dwa najbardziej zawzięte kaczory.

- No to wygraliśmy - skwitował Bielik, widząc, że jego ptasie alter ego wyszło zwycięsko z żywnościowego pojedynku.

Rut nie skomentował tego na głos, ale po spojrzeniu było widać, co myśli.

- Dobrze, nie będę zapeszał - wydukał Bielik, próbując przełknąć spory kęs chleba. Przyjrzał się Rutowi, dopiero teraz dostrzegł zmianę. Blond włosy detektywa przybrały dużo ciemniejszy odcień, mógł się też założyć, że uczesanie również było inne. - Zmieniliśmy wygląd? - zagał.

- My? - Rut się skrzywił. - To, że jestem byłym funkcjonariuszem nie oznacza chyba, że będziemy się do siebie zwracać w liczbie mnogiej?

- Nie, no skąd - zaprotestował gwałtownie.

- W czym rzecz? - spytał nagle Rut, odchylając połą szarego prochowca.

Bielik nic nie odpowiedział. Próbuąc zyskać na czasie, pokazał palcem na wypchane policzki. Zaczął przeżuwać, nie bez problemów, bo z oszczędności nie kupił nic do picia. Teraz tego żałował, ale było za późno. Żując, zaczął się zastanawiać nad tym, kim naprawdę jest Rut i czy może mu zaufać. Do tej pory współpraca przebiegała wzorowo, ale też - trzeba to było sobie szczerze przyznać - żadne zlecenie nie miało takiego ciężaru

gatunkowego jak to, które zamierzał złożyć. Zresztą, oprócz tego, że Rut pracował kiedyś w kryminalnych, a obecnie prowadził usługi detektywistyczne, nie wiedział o nim niemal nic. Kiedyś próbował sprowadzić rozmowę na tory bardziej prywatne, ale ten szybko zamknął temat, tłumacząc, że nie miesza życia osobistego ze służbowym.

- Przyniosłem zaległe wynagrodzenie - z kieszeni marynarki Bielik wyciągnął kopertę. Ze wszystkich sił starał się przy tym nie dać po sobie poznać, jak trudno przychodzi mu rozstanie z pięcioma Jagiellami.

- W końcu - wziął kopertę bez zmużenia oka i włożył do kieszeni prochowca.

- Przepraszam, że tak długo to trwało - zaczął się zastanawiać jak Rut w taki majowy gorący dzień wytrzyma w płaszczu? A może w jego przepastnych połach skrywa jakieś urządzenie nagrywające i właśnie dokumentuje spotkanie z klientem? Tak na wszelki wypadek, żeby potem, w razie potrzeby, mieć haka?

- Drobiazg.

- Nagrywa pan naszą rozmowę? - spytał prosto z mostu.

- Że co? - zdziwienie na twarzy wyglądało na autentyczne, ale przecież były kryminalny z piętnastoletnim stażem musiał umieć grać lepiej od większości polskiej śmietanki aktorskiej.

- Pytam, czy nagrywa pan naszą rozmowę? - Bielik przybrał jeden z tych uśmiechów, których nawet spece od psychoanalizy nie potrafiliby określić, na ile są prawdziwe.

- Skąd ten pomysł?

- Nie za ciepło na płaszczyk? - pokazał palcem.

- A, o to panu chodzi - uśmiechnął się szeroko. - Pod płaszczykiem nie skrywam żadnego dyktafonu - odchylił połą tak, aby Bielik mógł zobaczyć, co się znajduje pod prawą pachą.

- W tym miejscu tylko wprawny obserwator go wypatrzy.

- Jest pan leworęczny - stwierdził.

- Jestem oburęczny, ale lepiej strzelam lewą - wyjaśnił Rut.

- Coś jeszcze chce pan o mnie wiedzieć? Jaki numer koszuli noszę? Czy mam na sobie bieliznę? - ironizował.

- To słabe było - odciął się w mig. - Suchar.

Rut spojrział na niego spod byka, po czym roześmiał się perliście. Chwilę później Bielik dołączył do niego i zaczęli zanosić się śmiechem tak głośnym, że para starszków siedząca ławkę dalej spojrziała na nich jak na niespełna rozumu.

*

- Kim jest ten szczeniak? - Grzędowicz wielkopańskim gestem nalał sobie czwartego drinka, Kowalskiemu też nie żałował, jednak nie był aż tak hojny jak dla siebie.

- Gówniarz - Kowalski machnął lewą ręką, prawą ostrożnie chwytając za szklankę, jedną z pięciu zrobionych na zamówienie w jakiejś włoskiej manufakturze działającej bodaj od średniowiecza. Uważał nie tyle ze względu na brandy, co raczej na samo szkło. W pamięci miał wybuch szалу Grzędowicza, gdy jeden z dyrektorów firmy nieopatrznie upuścił szklankę i ta rozprysnęła się na tysiąc kawałków. Następnego dnia dyrektora nie wpuszczono nawet za bramę zakładu, manele z szafki szef ochrony przerzucił jednym ruchem przez ogrodzenie, na oczach całego kierownictwa. - Nie ma sobie co zawracać nim głowy - dodał, zastanawiając się jednak nad tym, co będzie, jeśli się myli. Grzędowicz uwielbiał takie sceny jak z tamtym dyrektorem, często powtarzał, że „tym jebanym leniom trzeba codziennie pokazywać, kto tu rządzi”.

- Da się go urobić? - mlasnął, uraczywszy się kolejną porcją procentów.

- Nie ryzykowałbym - potrząsnął nerwowo głową. - Nikt z palestry nie utrzymuje z nim kontaktów, nie jest zapraszany na żadne rauty. Trędowaty.

- Trędowaty - zaśmiał się rubasznie. - Podoba mi się! - zakaszłał. - Dlaczego tak jest?

- To biedak - mało brakowało, a Kowalski machinalnie ruszyłby do łazienki, żeby umyć ręce. - Całe życie mieszkał w „kwadracie”, ściślej mówiąc na Krasińskiego. Ojciec tyran, kilka razy siedział za drobne sprawy, matka alkoholiczka, brat recydywista poszedł w ślady starego...

- Interesująca rodzinka - beknął głośno. - Ale jak się mieszkało na „kwadracie”, to ciekawych perspektyw było jak

na lekarstwo...

- Żebyś wiedział - następne lekceważące machnięcie ręką.

- Nie wiem, jakim cudem zdał podstawówkę, o liceum i studiach nie wspominając. Zrobił aplikację na Rzeszowszczyźnie, wpłacił składkę i musieliśmy go przyjąć do Okręgowej Rady Adwokatury.

- Ale szczęśliwi nie byliście - prowokował Grzędowicz.

Kowalski zmierzył go spojrzeniem.

- Jest biedny jak mysz kościelna - kontynuował adwokat.

- Podobno chodzi w dziurawych butach i robi zakupy w Karaluszku. Jego kancelaria jest mniejsza niż schowek na domostosy w mojej - zarechotał.

- W takim razie powinien być łasy na gotówkę.

- Nie ryzykowałbym - powtórzył Kowalski z naciskiem.

- Jeśli spróbujemy go przekupić, a on postanowi to wykorzystać przeciwko nam w sądzie, przegramy na całej linii.

Grzędowicz dopił drinka, ale był nad podziw trzeźwy.

- Czyli krótko mówiąc: szczawik? - Grzędowicz pstryknął palcami, jakby odganiał się od natrętnej muchy lub, co w jego przypadku było dużo bardziej prawdopodobne, przymierzał się do jej zabicia jednym celnym uderzeniem. - Nie to, co mecenas Zabiega - uśmiechnął się przebiegle.

- Nie wypowiadaj tego nazwiska na głos! - Kowalski zrobił przerażoną minę i nie była to bynajmniej gra aktorska. - Ten to się chyba nawet samego diabła nie boi!

- A dlaczego miałby się go bać? - uśmiech zrobił się jeszcze szerszy - skoro potrafi wymodlić nawet tajemnicze zniknięcie akt z sądu, jeśli to może uratować dupę jego nadzianemu klientowi?

- Dobrze, że to nie on wziął tę robotę, bo jedyne, co mógłbym ci doradzić, to spisanie ostatniej woli - zauważył kwaśno.

- W takim razie wypijmy za nieprzebierającego w środkach mecenasa Zabiegę - Grzędowicz wznosił toast.

Kowalski spojrzał na niego pytająco.

- Za to, żeby trzymał się od naszej sprawy w odległości co najmniej kilometra - Grzędowicz dokończył myśl.

Kowalski odetchnął z ulgą.

- Wróćmy do naszego szczawika - zaproponował Grzędowicz po chwili. - Nie będzie z nim kłopotów?

- Młody jest, praktycznie nie prowadził poważniejszych spraw - przekonywał dalej Kowalski. - Nawet najgorszy prokurator zje go na śniadanie.

- Tak myślisz? - Grzędowicz nie wyglądał na przekonanego.

- Przekonasz się wkrótce.

- Ale ja wolałbym się zabezpieczyć - rzekł twardo.

*

- Panie mecenasie, do sedna - Rut wciąż miał problemy z opanowaniem śmiechu. - Czas mnie goni, a jak wiadomo, czas to pieniądz.

- Chyba sobie tę złotą myśl zapiszę w specjalnym kajecie - Bielik parsnęła śmiechem.

- Do rzeczy - ponaglił, próbując przybrać poważny wyraz twarzy. - Chodzi o przysięgłych?

- Skąd pan to wie? - uśmiech w jednej chwili zniknął bezpowrotnie.

- Siła dedukcji - prychnął lekceważąco. - Wszystkich mających związek ze sprawą Kanclerza już sprawdziłem. A teraz się okazuje, że facet będzie pierwszym Polakiem, który stanie przed ławą przysięgłych. Dwa dodać dwa równa się cztery.

- Kolejna błyskotliwa sentencja do zeszytu - skomentował, cały czas patrząc podejrzliwie na detektywa.

- Zgadłem? - Rut zignorował uwagę.

- Tak - przyznał niechętnie. - Ale równie dobrze mogłem chcieć pogłębionej analizy Grzędowicza i jego ludzi...

- Akurat - żachnął się. - Ilu ich będzie?

- Stu dwudziestu.

- Oj - cmoknął wymownie, w tej jednej chwili rozpoczynając negocjacje cenowe. - To będzie kosztować.

- Ile? - skrzywił się, jakby właśnie wlał do ust sok z połowy dorodnej cytryny.

- Dużo - złożył usta w ciup, po czym ponownie cmoknął.

- Jak dużo? - Bielik powiódł wzrokiem w dal, oczami wy-

obraźni chcąc zobaczyć swojego osiemnastoletniego forda fiestę.

- Kilka tysięcy - odparł. - Na początek.

- Kurwa - zaklął cicho, zastanawiając się, ile może być warty taki rzech. Na pewno nie więcej, niż Rut dopiero co dostał w kopercie. - Aż tyle?

- Sto dwadzieścia osób - Rut pstryknął palcami.

- Z tej grupy musimy wybrać 45 osób, reszta nas nie interesuje.

- Żeby wybrać, trzeba wiedzieć kogo, nieprawdaż? - zanotował w pamięci, że adwokat używa liczby mnogiej, co mogło oznaczać, że szykuje się zlecenie ciągle. - Ale jeśli to ma być jakaś stała fucha dla mnie, to się dogadamy.

- Od czego zaczniemy? - Bielik myślnie wchodził właśnie do najbliższego banku po kredyt krótkoterminowy. Jako praktykujący prawnik nie powinien mieć problemów z jego uzyskaniem, a przecież mało kto - nie licząc ludzi z branży

- wiedział, że jest biedny jak mysz kościelna. Musiał tylko wybrać oddział poza rejonem swojego zamieszkania, żeby czasem nie trafić na pracownika robiącego zakupy w tym samym Karaluszku.

W odpowiedzi na pytanie Bielika, Rut wyszczerzył zęby.

*

- Zapomniałeś, że wciąż mamy poparcie adwokatury - Kowalski podniósł wskazujący palec prawej ręki do góry.

- Calej? - w zgorzkniałym głosie Grzędowicza przebijała nuta ironii.

- Mundek, nie wkurwiał mnie! - uniósł się honorem. - Beton jest nasz, a to i tak cholernie dużo.

- Ale twój kochany beton ma w dupie moich synów.

- Twoich synów może i tak - przyznał szczerze, nie dodając już od siebie, że na tym samym szczeblu hierarchii ważności świętej pamięci Mariana i Stefana Grzędowiczów lokują wszyscy poza ich tatusiem. - Za to zrobią wszystko, żeby storpedować tę sprawę - spojrzał wyczekująco na reakcję, podświadomie spodziewając się wybuchu. - A jest tylko jeden

sposób, żeby to zrobić na tyle skutecznie, by nikomu innemu nie przyszło do głowy oddawanie sprawiedliwości w ręce ludu - przedrzeźniał Drabczego. - Ława przysięgłych musiałaby bohatera z Miłowa Wielkopolskiego skazać.

Grzędowicz aż się skrzywił na dźwięk tych słów. Bohatera? Dla niego Kanclerz był chwastem, który należało jak najszybciej wyrwać.

- Chcesz powiedzieć, że nasze cele będą zbieżne? - spytał Grzędowicz po chwili namysłu.

- Już są - odpowiedział twardo. - Ale to tylko pierwszy plus. Jest jeszcze drugi.

*

- Od banalnie prostych rzeczy, dzięki którym można znaleźć totalnie niebanalne informacje - kiedy Rut mówił o kwestiach pracy operacyjnej, czuł się jak ryba w wodzie. - Gdy tylko dostanę listę kandydatów, sprawdzę ich aktywność na portalach społecznościowych. Bardzo często można tam wyszperać naprawdę ciekawe informacje. Potem zajmę się sprawdzaniem Krajowego Rejestru Sądowego, być może ktoś z nich jest prezesem lub członkiem zarządu jakiejś spółki. Jeśli tak, prześwietlę jej finanse. Możliwe, że niektórzy działają społecznie, warto wiedzieć, co to za organizacje i jakie pełnią w nich funkcje. Jeżeli pan Nowak jest w społecznym Komitecie budowy kościoła, to raczej nie będzie za przywróceniem kary śmierci w Polsce.

- Dlaczego nie? - zainteresował się Bielik.

- Bo nauczanie kościoła sprzeciwia się jej wykonywaniu - wyjaśnił szybko. - Za to jeśli pani Wiśniewska będzie skarbniczką organizacji feministycznej, możemy się spodziewać ostrego podejścia do mężczyzn łamiących prawo. Takie gnoje, co to zaczepiają obcych ludzi na ulicy tylko po to, aby się rozerwać, na pewno w domu leją swoje kobiety.

- Inne źródła białego wywiadu? - pytał dalej.

- Prasa lokalna - odrzekł natychmiast. - To wręcz kopalnia informacji. A na koniec zostawię sobie rozmowy ze znajomymi i dawnymi kolegami ze szkoły.

- Na koniec?

- Sto dwadzieścia osób - przypomniał Rut. - A ja jestem sam. Chyba że stać nas na wynajęcie dodatkowych osób?

- Nie stać - pokiwał przecząco głową.

- W takim razie w pierwszym etapie zbieram podstawowe informacje, które pozwolą nam wybrać 45 najlepszych kandydatów, plus, powiedzmy... - myślał na głos. - Piętnastu dodatkowych.

- W razie dogrywki? - dopowiedział Bielik.

- Dokładnie.

- Czyli naszym zadaniem jest wybór najlepszych 60 kandydatów, a potem zdanie się na szczęście w losowaniu wspólnego mianownika - Bielik zatarł ręce z radością. - To do roboty!

Rut odpowiedział wymuszonym uśmiechem, zastanawiając się, czy podzielić się ze zleceniodawcą zdaniem na temat pozostawiania tak newralgicznych kwestii ślepego trafowi. Szybko jednak doszedł do wniosku, że pora na uświadamiającą rozmowę z adwokatem jeszcze przyjdzie.

*

- Możemy wykorzystać samych przysięgłych - Kowalskiego rozpieła duma. - I musimy to zrobić.

- Mów jaśniej, w głowie mi szumi - Grzędowicz dopił drinka.

Kowalski podszedł do stolika, na którym leżała jego aktówka, ze środka wyciągnął opasłą teczkę formatu A4, a z niej wyjął gruby plik kartek, które następnie położył na blacie biurka, przesuując palcem w kierunku Grzędowicza.

- Co to jest? - zapytał, chociaż już się domyślał.

- Nasza polisa ubezpieczeniowa - zaprezentował równo przypilowane bielutkie zębki, za jedyne 28 tysięcy złotych, wliczając zniżkę. - To lista 120 kandydatów na sędziów przysięgłych w procesie Kanclerza. Jeszcze cieplutka, dopiero co wylosowana.

- Mów dalej - zachęcił, przeglądając dokumenty.

- Jest taka anegdotka... - Kowalski podszedł do barku,

otworzył drzwiczki i nalał dużą porcję brandy. - W Anglii proces zaczyna się po wybraniu ławy przysięgłych. W Stanach Zjednoczonych po wybraniu ławy proces jest zakończony - wychylił ją jednym haustem.

Grzędowicz spojrział na adwokata, gestem pełnym satysfakcji podniósł szklanicę do ust, po czym wznosił toast:

- W takim razie wypijmy za drugą Amerykę. Nad Wartą.

Rozdział 15

Jeszcze zanim sąd, w porozumieniu z prokuraturą i obrońcą, zarządził spotkanie w celu wyboru kandydatów do ławy przysięgłych, mecenas Kowalski w imieniu Grzędowicza złożył wniosek o włączenie go do sprawy w charakterze oskarżyciela posiłkowego. Był na to czas aż do pierwszego posiedzenia sądu, jednak wtedy nie miałby wpływu na selekcję.

Zatwierdzenie 120 kandydatów wylosowanych wcześniej ze spisu wyborców odbyło się pod nadzorem sędzi Aldony Ginkowskiej. Wyznaczono ją do poprowadzenia sprawy jako tę, która już wcześniej w niej orzekała. Z przyczyn oczywistych bardziej zadowolona z tego faktu była obrona.

Za to Grzędowicza ucieszyła wiadomość, że funkcję oskarżyciela publicznego będzie pełnił prokurator Marcin Dobrowolski, który już wcześniej wykazał się nieprzejednaną postawą wobec Kanclerza. Kowalski aż takiego entuzjazmu nie podzielał, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że to nie prokuratura będzie głównym rozdającym karty, a obrona. Wciąż jednak liczył na brak doświadczenia Bielika.

*

Wybór 45 osób z szerokiej listy nie przysporzył kłopotów żadnej ze stron, aczkolwiek powtarzało się tylko dwadzieścia nazwisk, o dziwo, większość z nich Bielik i Kowalski wybrali z przekonaniem, że są tymi, które na pewno staną murem za nimi, jakby te same cechy osobowości każdy interpretował po swojemu.

Jako pierwszą wylosowano Darię Zielińską, nauczycielkę nauczania początkowego ze Szkoły Podstawowej nr 14. Liczyła sobie 28 lat, była rozwódką, mieszkała we własnej kawalerce odziedziczonej po byłym mężu. Miała wąskie grono znajomych, mimo że była atrakcyjną blondynką o figurze modelki, próżno czekała na adoratorów. Brak nietypowego hobby, nie udzielała się też społecznie.

Następny do grona dwunastu sprawiedliwych dołączył jej kolega po fachu, Józef Łapek, emerytowany nauczyciel przysposobienia obronnego w technikum odzieżowym. 63 lata, wdowiec, miał odchowane dwoje dorosłych dzieci, mieszkał sam w domku w Deszcznie. Zapalony wędkarz.

Trzecim sędzią przysięgłym okazał się być Patryk Niewiadomski, 23-latek pracujący w firmie budownictwa drogowego, a także student zaoczny na kierunku budownictwo na Uniwersytecie Zielonogórskim. Mieszkał z rodzicami w starym poniemieckim domku w Jeninie, planował założenie własnej firmy budowlanej, ale niezwiązanej z drogownictwem.

Czwarta dołączyła Patrycja Pawłowska, studentka II roku administracji Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Miłowie Wielkopolskim, 21-latka pochodząca ze Skwierzyny, mieszkająca na stacji.

Kolejny kandydat, którego wybrał los, to Krzysztof Markiewicz z Miłowa Wielkopolskiego, lat 37, żonaty, dwoje dzieci, kierownik marketu ogrodniczego. Uwagę obrony przykuł fakt, że cała rodzina była przykładnymi katolikami, chodzącymi co niedziela do kościoła.

Numer sześć to Irmina Szatkowska, 36-letnia pielęgniarka na Oddziale Hematologii i Chorób Rozrostowych Układu Krwiotwórczego Szpitala Wojewódzkiego przy ulicy Deker- ta. Rówieśnica Markiewicza, z tym, że samotna. Mieszkała w kawalerce w nowym bloku wybudowanym na sąsiedniej ulicy Generała Ignacego Prądzyńskiego, mieszkanie nie dość, że przytulnie urządzone, to jeszcze położone blisko pracy, jakieś 500-600 metrów spacerkiem. Minus był taki, że od jego kupna życie Szatkowskiej ogniskowało się na linii szpital - dom - szpital.

Siódemka - szczęśliwa? - przypadła w udziale Romanowi Stolarskiemu. Mężczyzna miał 52 lat i wbrew nazwisku od ukończenia zawodówki zajmował się hydrauliką. I to na tyle udanie, że stać go było na wybudowanie domu w podmiłowskiej Baczynie, gdzie mieszkał z żoną i czterema córkami.

Następnym sprawiedliwym został dziewiętnastoletni uczeń technikum informatycznego Zespołu Szkół im. Mikołaja Kopernika w Witnicy. Z nastolatkiem, po którym można się spodziewać tego, że nie można się spodziewać niczego, żadna ze stron nie wiązała szczególnych nadziei. Przewidywano, że zagłosuje tak jak większość.

Numer osiem to Olgierd Konstanty, 32-letni pracownik wydziału polityki społecznej urzędu wojewódzkiego, na co dzień mieszkający w Drezdenku, singiel.

Sędzią przysięgłym numer dziewięć została osoba chyba najbardziej oryginalna ze wszystkich. Nina Warszawska prowadziła własną firmę, na zlecenie dużych korporacji w zachodniej i północnej Polsce wynajdowała pracowników średniego i wyższego szczebla, była więc „łowczynią głów”. Najczęściej pracowała po kilkanaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Chociaż w metryce urodzenia można było wyczytać, że ma równe 30 lat, wyglądała na co najmniej o 5 młodszą. Nie było to efektem spalenia sztucznym słońcem solarium, tylko dbania o siebie. Trzy razy w tygodniu uprawiała nordic walking: dwa razy krótkie spacery po 5-6 kilometrów, a co niedzielę 20 kilometrów. Pięć razy w roku fundowała sobie weekendy w SPA, było ją na to stać. Singielka, od kilku lat bez stałego partnera, preferowała jedynie przelotne znajomości. Innymi słowy: gdy któryś samiec jej się znudził, zmieniała go jak torebkę.

Dziesiątka trafiła się Justynie Żurawieckiej z Kłodawy, 25-letniej bezrobotnej, zamężnej, obecnie na urlopie wychowawczym. Jedenaście to Zygfryd Konopka, 63-letni taksówkarz z Miłowa, wdowiec. Dwunastym apostołem był Jan Karpień, 40-letni rolnik z Przytocznej gospodarujący na 45 hektarach, przykładowy ojciec piątki dzieci.

Rezerwowymi zostali: student I roku animacji społeczno-

kulturalnej i ekspedientka z osiedlowego sklepu, oboje z Miłowa.

*

Kiedy wybór składu ławy przysięgłych został już zatwierdzony decyzją sądu, Rut zaproponował Bielikowi zagranie va banque: dogłębne sprawdzenie tych, którzy mogliby się znaleźć w centrum zainteresowania Grzędowicza.

- Myślisz, że posunie się do tego, żeby ich przekupić? - spytał Bielik.

- Ja bym tak zrobił - rzekł Rut.

- Teoretycznie wystarczy jeden przysięgły, żeby zablokować wydanie wyroku.

- Teoretycznie - przyznał. - Ale jeden sędzia zawsze może nagle zmienić zdanie, szczególnie pod wpływem jedenastu pozostałych.

- A to już oznacza spore ryzyko...

- Takich spraw Grzędowicz nie pozostawia przypadkowi.

- Przekupi dwóch? - Bielik zmarszczył brwi.

- Dwóch albo trzech.

- Dlaczego trzech?

- Bo dwóch może nagle zachorować i zastąpią ich rezerwowi...

- A wtedy cały misterny plan pójdzie w pizdu - dopowiedział Bielik.

- Kupując głosy trzech sędziów, Grzędowicz zapewni sobie gwarancję, że nawet w najgorszym razie, jeśli dwóch przekupionych wypadnie ze składu z przyczyn losowych, to ten trzeci weźmie na siebie rolę detektywa Mońka.

- Mońka? - brwi Bielika złąły się w jedną.

- W jednym z odcinków Monk zostaje sędzią przysięgłym i przekonuje pozostałych, że mężczyzna oskarżony o drobną kradzież jest niewinny.

- Rozumiem - wyraz twarzy mówił co innego. - Reasumując: spróbuje przekupić trzech sędziów?

- Przekupić lub wpłynąć na nich w inny sposób: szantażem, obietnicami zrobienia interesu życia czy awansu w pracy. Jest

znany z tego, że nie przebiera w środkach.

- I nikt jeszcze mu się do tyłka nie dobrał?

- Raz, wszędzie ma znajomości, a raczej konszachty. Dwa, jego papuga stara się, aby wszystko było na legalu.

- Masz pomysł, których wytypuje?

*

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - przez Kowalskiego przemawiało trzydziestoletnie doświadczenie prawnika babrającego się w najbardziej śmierdzących brudach, jakie ludzie potrafili - najczęściej na własne życzenie - produkować. Wiedział, że pytanie jest bezcelowe, bo Grzędowicz podjął decyzję wieki temu, ale jeśli go nie zadał, to gdyby coś poszło nie tak, nie mógłby powiedzieć: „Ostrzegałem!” - Konsekwencje mogą być tragiczne.

- Pierdolisz jak zwykle - Grzędowicz machnął ręką. - Jakbym całe życie czekał, aż ludzie będą robić to, czego od nich oczekuję, to wciąż jeździłbym małym fiatem i sprzedawał ze szczęki na targowisku w Słubicach.

- Wiem - wycedził. - Ale to, co zamierzasz zrobić, żadnym sposobem nie podciągnie się pod działanie zgodne z prawem.

- A ciebie od czego mam?

- Od naginania rzeczy, które da się nagiąć - odparował natchmiast Kowalski. - Przekupstwa nagiąć się nie da.

- Da - skontrolował. - Tylko trzeba to zrobić z głową - uśmiechnął się szeroko. - Tak, żeby nikt mnie z tym nie mógł powiązać. Już ja mam ludzi od tego...

-Ilu?

- Co ilu?

- Ilu chcesz przekabacić na swoją stronę?

- Dwóch sędziów wystarczy w zupełności.

- W zupełności to wystarczy jeden - Kowalski wszedł mu w słowo. - Na szczęście dla nas ustawodawca zdecydował się na zapis o konieczności wydania werdyktu jednomyślnie. Chociaż w tym miejscu pragnę podkreślić, że to nie była tyle kwestia ślepego trafu, co mojej zapobiegliwości.

- Twojej? - spojrział ironicznie. - Myślałem, że to twoi

kumple z rady adwokatury się tym zajęli...

- Przecież nie mogę robić wszystkiego sam, od tego mam ludzi - wszedł mu w słowo. - Tak jak ty - odciął się spojrzeniem. - Ale wróćmy do sedna: werdykt musi zapaść jedno-myślnie.

- Wiem doskonale, że wystarczy jeden sprzeciw i będzie chryja - przerwał mu Grzędowicz. - Ale musimy się zabezpieczyć na wypadek, gdyby nasz sędzia zmienił nagle zdanie.

- A myślałeś o tym, że ci dwaj sędziowie, których przepuścisz, nagle się rozchorują i zastąpią ich rezerwowi, którzy zagłosują, jak im każe reszta?

- Do reszty cię pojebało - skrzywił się kpiąco. - Jakim cudem dwie osoby nagle rozchorują się tak poważnie, że nie będą mogły uczestniczyć w rozprawie? Wąglika im ktoś podrzuci? - śmiał się w twarz. - Zresztą, starców wybierać nie będziemy, to nikt nam nagle nie umrze. A wszystkich i tak badał lekarz, tych z chorobami przewlekłymi odrzuciliśmy. Więc?

- Do dzieła - rzekł nagle Kowalski.

- Tak nagle zmieniłeś zdanie? - zdziwił się.

- Tylko się krygowałem, żeby potem nie było na mnie - wyjaśnił, nie owijając w bawełnę. - Dwóch wystarczy?

Grzędowicz potaknął dostojnie głową.

- Ja bym stawiał na tych dwoje - Kowalski z kart rozłożonych na blacie biurka wybrał dwie.

- Nina Warszawska - Grzędowicz odczytał imię i nazwisko z karty, chociaż w pamięci miał cały skład, włączając w to niektóre szczegóły z dossier. - Patryk Niewiadomski.

- Oboje to młode wilki tak spragnione sukcesu zawodowego i finansowego, że zrobią wszystko, żeby go osiągnąć. Jednocześnie są na tyle przeciętni, że ich odrębne zdanie nie będzie klucz w oczy pozostałych sędziów.

- Mają na tyle silne osobowości, żeby nie pęknąć pod naporem reszty?

- Warszawska bez dwóch zdań, Niewiadomski to pętaś. Ale oboje są pozbawieni wszelkich skrupułów - wyjaśnił Kowalski. - Dlatego ich wybrałem.

Grzędowicz cmoknął, ale trudno było wyczuć, czy był to

objaw zadowolenia, czy też dezaprobaty.

- Chcesz kogoś innego? - Kowalski spojrział niepewnie.

- Myślałem o Szatkowskiej, tej pielęgniarce. Czterdziestka na karku i jeszcze 25 lat kredytu do spłacenia za kawalerkę... Ale jak ktoś wybiera taki zawód, to kieruje się ideałami. Dlatego odpada - wytłumaczył. - Zielińska to nauczycielka z podstawówki i to jeszcze specjalnej, kwoka opiekująca się kurczaczkami. Zły wybór. Markiewicz, katolik, tak samo jak ten rolnik z Przytocznej - krótko wypunktował pozostałe kandydatury. - Wytypowałem tę samą parę, co ty, tylko chciałem cię postraszyć - stwierdził na koniec. Podszedł do barku, nalał dwie szklanice podwójnej brandy, jedną podał Kowalskiemu, po czym wznosił toast: - Niech żyją młode wilki i przeciętni obywatele, których można kupić za kilka niezbędnych groszy!

*

- Ja wybrałbym tych troje - Rut stuknęła palcem w kartki leżące na blacie, na którym stało też pudełko z ostatnim kawałkiem dużej pizzy.

- Warszawska, Szatkowska i Niewiadomski - wystarczyło, aby Bielik rzucił okiem. - Opierasz swój wybór na przecuciu czy...

- Nigdy nie działałam pod wpływem impulsów - wszedł mu brutalnie w słowo. - Zielińska to rozwódka, a ma dopiero 28 lat. Co prawda na komendzie nie ma założonej niebieskiej teczki, ale założę się, że mąż ją bił. Jak myślisz, jaki będzie miał stosunek do czulego męża broniącego ukochanej żony przed napaścią bandytów?

- Rozumiem.

- Studentów odrzucam od razu, są zbyt nieprzewidywalni.

- Ale równie dobrze mogą połasić się na pieniądze.

- Nie! - Rut zaprzeczył gwałtownie. - Są jeszcze niezmanierowani życiem, płacą podatki co do grosza i nie mają żalu do życia, że ich kopnęło w dupę. Jeśli Grzędowicz spróbuje kogoś kupić, to tylko młodych yuppies, którzy wiedzą, czego chcą.

- Wyjaśnij mi zatem, dlaczego Grzędowicz i Kowalski wybrali taki skład? Większości z kandydatów od razu można przypiąć łatkę ostatniego sprawiedliwego.

- Piłka jest krótka, tak samo jak lista odpowiednich kandydatów. Wbrew pozorom niewiele osób świadomie złamie prawo, narażając się na więzienie, nawet dla dużych pieniędzy. Niemal wszyscy z tych 120 osób to porządni obywatele, w życiu nie udałoby się wybrać aż 45 potencjalnych krętaczy. Grzędowicz postawił więc na wszystkich możliwych, a resztę uzupełnił najmniej szkodliwymi.

- Słuszny tok rozumowania - Bielik mówił bardziej do siebie. - Tym bardziej że jemu wystarczy jeden głos odrębny i już ma werdykt w garści.

- Dokładnie! - klasnął w dłonie. - Warszawska to żmija, która ukąsi każdego, kto jej wejdzie w drogę. W branży ma opinię bezkompromisowej, ale to pryszcz. Najważniejsze, że dorobiła się opinii wyrachowanej suki, która dla pieniędzy zrobi wszystko.

- Jeśli ma kasę, to...

- To taki typ osobowości, który buduje swoje ego nie tylko na podstawie stanu konta, ale pozycji na rynku pracy - wtrącił szybko Rut. - Tydzień temu złożyła ofertę jednemu z krajowych operatorów telekomunikacyjnych, który właśnie przygotowuje się do restrukturyzacji zatrudnienia. Wyobrażasz sobie, jak wzrósłby jej prestiż, gdyby dostała ten kontrakt?

- I zaraz mi powiesz, że Grzędowicz z Kowalskim mogą jej to załatwić?

- Nie wiem, jak Kowalski, ale Grzędowicz jest znajomym jednego z głównych udziałowców tego operatora - z głosu Ruta przebrzmiewała autentyczna duma z dobrze wykonanego wywiadu.

- Nie wolno ci tego wykorzystać przeciwko mnie, ale - Bielik pogroził żartobliwie palcem - zdecydowanie za mało ci płacę.

- Będę o tym pamiętał w stosownym czasie - skomentował z uśmiechem. - W ciągu tygodnia szpital wojewódzki ogłosi listę osób przeznaczonych do zwolnienia - mówił dalej.

- Znowu? Oni ciągle coś sprzedają albo kogoś wyrzucają z pracy.

- Tylko personel niskiego szczebla. Na miejscu Grzędowicza sprawiłbym, żeby na tej liście znalazło się nazwisko Szatkowskiej. Dziewczyna jest sama, a do tego spłaca kredyt na mieszkanie.

- Bardzo łatwy cel nacisku...

- Nie inaczej - Rut potaknął głową. - Tak samo jak Niewiadomski. Ma papiery na bycie dobrym budowlańcem. Problem w tym, nasz problem, że chce założyć własną firmę, ale żeby to zrobić, musi zdobyć konkretne zlecenie.

- A kto mu w tym pomoże lepiej, jak nie jeden z najbardziej szanowanych miłowskich deweloperów, pan Edmund Grzędowicz...

Rozdział 16

Na pierwsze posiedzenie sądu z udziałem przysięgłych sędzia Aldona Ginkowska kazała czekać stronom całe trzy minuty. W tym czasie Bielik zdążył usiąść na twardej i mocno już zniszczonej ławce, oprzeć łokcie o nie mniej wysłużony blat i kiwnąć dostojnie głową prokuratorowi Marcinowi Dobrowolskiemu i siedzącemu obok Stanisławowi Kowalskiemu w geście przywitania, po czym utkwił wzrok w drzwiach, w oczekiwaniu na przewodniczącą składu sędziowskiego. Kiedy otworzyły się cicho, dostrzegł postać Ginkowskiej i usłyszał szcęk sędziowskiego łańcucha zawieszzonego na szyi, obserwował ją w napięciu.

- Panowie - sędzia Aldona Ginkowska przywitała się, zajmąwszy miejsce za stołem - czas zaczynać. Sąd - zwróciła się do protokolantki - rozpoczyna posiedzenie wyboru ławy przysięgłych w sprawie Rzeczpospolita Polska przeciwko Damianowi Kanclerzowi.

Protokolantka zaczęła stukać palcami w klawiaturę. Bielik machinalnie zarejestrował fakt, że używała tylko dwóch palców każdej ręki.

- Panie mecenasie, nie widzę pana Kanclerza - rzekła po chwili sędzia Aldona Ginkowska.

- Pan Damian Kanclerz Bielik wstał, zapinając marynarkę na dwa z trzech guzików - zrezygnował z uczestnictwa w dzisiejszym posiedzeniu. Mój klient pozostawił wybór szanownych sędziów przysięgłych w rękach swojego obrońcy - wyjaśnił, nie dodając, że zrobił to po dłuższym przekonywaniu, iż tak będzie lepiej dla sprawy. Im później przysięgli go zobaczą, tym korzystniej dla późniejszej oceny zarzutów.

- Proszę zaprotokołować, że pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego jest obecny na sali - mówiła dalej sędzia Aldona Ginkowska, nie patrząc nawet na protokolantkę. - Proszę wezwać sędziów przysięgłych - poleciła ochroniarzowi, który pilnował drzwi.

Ten wyszedł, po chwili sala zapełniła się ludźmi. Ochroniarz w milczeniu wskazał im miejsca w podwójnej ławce pod oknem, zajmowali je powoli i w skupieniu, zupełnie jak by sama czynność siadania miała wpływ na ocenę ich pracy jako przysięgłych.

- Witam państwa - sędzia Aldona Ginkowska zaczęła mówić. - Nazywam się Aldona Ginkowska, jestem sędzią Sądu Okręgowego w Miłowie Wielkopolskim i będę prowadziła sprawę pana Damiana Kanclerza. Na pewno słyszeliście o niej wielokrotnie, mimo tego waszym zadaniem będzie nie brać tych informacji pod uwagę. Jedynymi rzeczami, które mogą wpływać na werdykt, jaki wydacie, mają być zeznania i dowody przedstawiane w trakcie rozprawy przed tym sądem i na tej sali - wstrzymała głos, kontrolując wrażenie, jakie jej słowa wywarły na przysięgłych. - Dwanaścioro z państwa zostało wylosowanych, a potem wybranych przez obie strony i będziecie państwo pełnić zaszczytną funkcję sędziów przysięgłych. Dwoje z was będzie pełnić funkcję przysięgłych rezerwowych, na wypadek, gdyby któryś z sędziów z podstawowego składu nie był w stanie podolać swoim obowiązkom. Proszę rezerwowych o powstanie.

Dwie osoby, młody chłopak i kobieta w średnim wieku, wstali.

- Dziękuję, możecie państwo usiąść - sędzia Aldona Ginkowska obdarzyła ich ciepłym uśmiechem.

- Chciałabym zgłosić wniosek - Nina Warszawska zerwała się nagle z miejsca.

- Jeszcze nie skończyłam - oblicze sędzi Aldony Ginkowskiej spochmurniało.

- Ale ja w kwestii formalnej - Nina Warszawska nie dawała za wygraną. - Chciałabym oszczędzić Wysokiemu Sądowi strzępienia języka po próżnicy.

- Niby w jaki sposób? - sędzię Aldonę Ginkowską niemal zatkało, rzadko się zdarzało, aby ktoś tak bezczelnie się do niej zwracał. Żadnego szacunku dla przedstawiciela prawa!

- Nie chcę być sędzią przysięgłym i w związku z tym, Wysoki Sąd musiałby powtarzać to wszystko osobie, która mnie zastąpi - buta Niny Warszawskiej zrobiła wrażenie na wszystkich obecnych na sali, w szczególności na sędziach przysięgłych. I nie była to opinia najlepsza, delikatnie mówiąc. - Dlatego pomyślałam, że będzie lepiej dla ogółu, jeśli nie będę z tym czekała.

- Pani się dokądś wybiera? - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała gniewnie, widząc jak Warszawska chwyta za torebkę. Dzieliąca je odległość nie przekraczała pięciu metrów, ale nawet z takiego dystansu mogła dostrzec, że na pewno nie była to podróbka.

- Przecież powiedziałam, że nie mogę być sędzią przysięgłym - zaprezentowała szeroki uśmiech, którym wcześniej wielokrotnie zdobywała nie tylko męskie serca.

- Proszę usiąść albo pomoże pani w tym strażnik - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała porozumiewawczo na ochroniarza cały czas pilnującego drzwi. - Droga pani - cedziła słowa wolno i dobitnie. - Po pierwsze, znajduje się pani w sądzie i uczestniczy w postępowaniu sądowym, co oznacza ni mniej, ni więcej to, że ma się pani podporządkować poleceniom sądu, czyli moim - spojrzała Warszawskiej prosto w oczy.

- Rozumiem, Wysoki Sądzie - Nina Warszawska klapnęła głośno na ławkę, wytrzymując jednak spojrzenie.

- Drobną uwagę do wszystkich sędziów przysięgłych - sędzia Aldona Ginkowska mówiła do ogółu, ale wszyscy doskonale wiedzieli, że tak naprawdę zwraca się do Warszawskiej. - Kiedy zwracacie się państwo do sądu, należy wstać.

Warszawska wstała, skrętnie skrywając rosnącą niechęć do Ginkowskiej. - Właśnie przez takie suki kobiety mają problemy z zajmowaniem wysokich i dobrze płatnych stanowisk - pomyślała.

- Pani Nino - sędzia Aldona Ginkowska zdecydowała się na poufałość nie bez powodu, zdawała sobie bowiem sprawę, że jeżeli z tego pojedynku nie wyjdzie zwycięsko, jej autorytet legnie w gruzach, a na to nie mogła sobie pozwolić. - Po pierwsze, na samym początku wspomniała pani, że nie chce być sędzią, zaś przed chwilą, że nie może nim być. To wcale nie jest drobiazg - zrobiła pauzę, aby znaczenie słów dotarło do wszystkich przysięgłych. - Chcieć, a móc to dwa kompletnie odmienne stany wolicjonalności.

Pytające oblicza sędziów przysięgłych mówiły same za siebie.

- Innymi słowy, to, czy pani chce pełnić zaszczytną funkcję sędziego przysięgłego, jest nieistotne - tłumaczyła sędzia Aldona Ginkowska. - Co innego zdolność do pełnienia tej funkcji. Jest pani chora na chorobę nieuleczalną? - spytała tonem pełnym matczynego ciepła.

- Słucham? - Nina Warszawska była zbita z tropu.

- Proszę wstać.

- Przepraszam - wstała błyskawicznie, czując coraz większy dyskomfort. Nie była w najmniejszym stopniu przygotowana na taki rozwój sytuacji. Zwykle to ona dyrygowała ludźmi, nie na odwrót.

- Zadałam pani pytanie: czy jest pani chora na chorobę nieuleczalną? - powtórzyła sędzia Aldona Ginkowska.

-Nie.

- Cierpi pani na jakąś przewlekłą chorobę lub schorzenie uniemożliwiające uczestniczenie w procesie i w obradach Wielkiej Ławy Przysięgłych? - sędzia Aldona Ginkowska powiodła po kolei spojrzeniem po wszystkich przysięgłych, z zadowoleniem rejestrując fakt, że byli wpatrzeni w nią jak

niemowlę ssące matczyną pierś w rodzicielkę.

- Nie - Nina Warszawska westchnęła głęboko.

- Czy jest pani jedyną żywicielką rodziny?

- Nie mam rodziny.

- A czy sprawuje pani opiekę nad niepełnosprawnym członkiem dalszej rodziny, wymagającym całodobowego nadzoru? - sędzia Aldona Ginkowska cały czas śledziła reakcje przysięgłych, zupełnie nie zwracając uwagi na Warszawską.

-Nie.

- W takim razie mogłaby mi pani powiedzieć, jakie to okoliczności zaszyły, że nie może pani pełnić zaszczytnej funkcji sędziego przysięgłego?

- Nie mam na to czasu - wypaliła Nina Warszawska, uśmiechając się kpiąco. - Muszę zarabiać pieniądze, a nie bawić się w sąd.

- Bawić się w sąd...? - sędzia Aldona Ginkowska zmarszczyła gniewnie brwi. - Więc pani uważa, że wydanie werdyktu w sprawie karnej zagrożonej karą pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5 to zabawa?

Nina Warszawska milczała, cały czas jednak na jej twarzy kwitł ironiczny uśmiech.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - cierpliwość sędzi Aldony Ginkowskiej była na wyczerpaniu.

- To bardzo poważna sprawa - rzekła niby poważnie, jednak w oczach można było dostrzec kpinę. - Nie zmienia to jednak faktu, że przez dwa tygodnie nie będę mogła zarabiać...

- Myli się pani - przerwała jej gwałtownie. - Każdemu z sędziów przysięgłych przysługuje dieta w wysokości średniej krajowej.

- Ale stracę dwa tygodnie - Nina Warszawska prychnęła lekceważąco. - Jak mam dobry miesiąc, zarabiam tyle w jeden weekend.

Po sali przeszedł pomruk zdziwienia zmieszanego z nieukrywaną zazdrością. W głowie niejednego z sędziów przysięgłych w tym momencie uruchomił się kalkulator.

- Ustawodawca wyznaczył dietę na takim poziomie, nie na

innym - kontynuowała sędzia Aldona Ginkowska, coraz mocniej poirytowana zachowaniem Warszawskiej.

- Dostanie więc pani taką dietę, a nie inną. Jeśli się to pani nie podoba, zawsze może pani z niej zrezygnować - cięła spojrzeniem.

- Ale ja mam gdzieś dietę - Ninie Warszawskiej też puściły nerwy. - Chcę po prostu wrócić do pracy. Nie chcę być sędzią przysięgłym. Czy to takie trudne do zrozumienia?

Pomruk na sali przeszedł w głośny hałas, niemal każdy chciał skomentować sytuację.

- Cisza! - krzyknęła nagle sędzia Aldona Ginkowska. - Sądowniczo postanowił ukarać panią Ninę Warszawską karą porządkową w wysokości 500 złotych za obrazę sądu.

- Obrazę? - spytała Nina Warszawska.

- Cisza! - warknęła sędzia. - Na sali sądowej do Wysokiego Sądu należy się zwracać z należnym szacunkiem - wycodziła. - Za brak tego szacunku została nałożona na panią kara porządkowa. Jeśli będzie pani dalej dyskutować, otrzyma pani kolejną grzywnę, a jeżeli to nie pomoże, to zastosujemy karę aresztu. Czy rozumiała pani pouczenie?

- Zrozumiałam - odparła, zaciskając zęby.

- Wyjaśnijmy sobie jeszcze kwestię pani uczestnictwa w Wielkiej Ławie Przysięgłych - sędzia Aldona Ginkowska panowała nad sytuacją i zamierzała to bezlitośnie wykorzystać. - Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo sprzeciwu z pani ust, ukarzę panią za uchylanie się od obowiązku, który nałożył na panią i na innych obywateli ustawodawca. Kara, jaką za to przewidziano, to trzy miesiące aresztu. Proszę usiąść.

Nina Warszawska ciężko opadła na ławkę.

- Jeszcze krótkie słowo do wszystkich sędziów przysięgłych, nie tylko do panny Warszawskiej - sędzia Aldona Ginkowska postanowiła wykorzystać dominującą pozycję. - Zostaliście państwo wylosowani z grona osób pełnoletnich spełniających określone warunki. To znaczy mniej więcej tyle, że ślepy los wskazał was jako tych, którzy pierwsi w naszym kraju będą pełnić zaszczytną rolę sędziów przysięgłych w sprawie Damiana Kanclerza. Wszyscy doskonale zdajecie sobie sprawę,

jak nośna medialnie jest to sprawa i jakim zainteresowaniem opinii publicznej będzie się cieszyć. O ile jednak wasze osoby zostały wybrane w ślepych losowaniu, a potem dalej wyznaczone przez strony postępowania, o tyle każdy z was powinien spełnić swój obywatelski obowiązek i rzetelnie podejść do roli przysięgłego. Dotyczy to was wszystkich. To w waszych rękach znajdzie się człowiek oskarżony o przestępstwo zagrożone karą długoletniego więzienia. Mam więc nadzieję, że podejdziecie do tematu poważnie i nie będziecie traktować tego jak zabawy czy przygody - spojrzała na Warszawską, ale ta spuściła wcześniej głowę.

W tym momencie jeden z sędziów wstał, podnosząc przy tym rękę.

- Słucham pana - sędzia Aldona Ginkowska od razu przyznała mu duży punkt za zachowanie.

- Wysoki Sądzie - zaczął Józef Łapek, emerytowany nauczyciel przysposobienia obronnego, bo to on zabrał głos.

- Nie uzgadniałem tego z nikim, tak więc mówię za siebie, chociaż mam nadzieję, że moje zdanie podzielają również pozostali koledzy i koleżanki - wstrzymał głos dla zwiększenia efektu. - Chciałbym ze swej strony zapewnić, że bardzo poważnie podchodzę do obowiązku sprawowania funkcji sędziego przysięgłego i zrobię wszystko, aby pełnić ją z godnością należną temu miejscu.

Nagle ktoś cicho zaklaskał.

- Bardzo panu dziękuję, panie Łapek - sędzia Aldona Ginkowska obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Kto z państwa zaczął klaskać? - po uśmiechu nie było już nawet śladu.

Odpowiedziała jej absolutna cisza.

- Klaskacz nie ma odwagi się do tego przyznać? - rzuciła szyderczo sędzia Aldona Ginkowska.

Jedyną reakcją otoczenia było brzęczenie jarzeniówek.

- Chyba nie wszyscy państwo zrozumieliście, co do was mówiłam - westchnęła głęboko, skinęła na ochroniarza.

Ten dziarskim krokiem podszedł do biurka i szepnął coś sędzi do ucha, chociaż konspiracja była zbyteczna, i tak wszyscy

wiedzieli, że wskazywał sprawcę zamieszania.

- Pan Patryk Niewiadomski - rzekła sędzia Aldona Ginkowska tonem niezapowiadającym niczego dobrego. - Proszę wstać.

Młody mężczyzna z ledwie odznaczającym się zarostem pod nosem wstał, mocno się przy tym ociągając.

- To pan klaskał?

- Tak - potwierdził Niewiadomski.

- Był to wyraz podziwu dla pańskiego kolegi czy dezaprobaty? - sędzia Aldona Ginkowska wbiła spojrzenie w mężczyznę.

- Dezaprobaty - przyznał, czując ciężar wzroku sędzi.

- Za to, że pan nie kręci, zastosuję tym razem taryfę ulgową - powiedziała dobitnie. - Ale na drugi raz otrzyma pan karę porządkową jak pańska koleżanka. Czy to jasne?

- Tak, Wysoki Sądzie - zapewnił Niewiadomski.

- Mam nadzieję, że więcej nie będę świadkiem takiego zachowania - mówiła dalej sędzia Aldona Ginkowska. W jednej chwili podjęła decyzję, aby teraz - gdy trzymała całe towarzystwo w ryzach - rozegrać najtrudniejszą z kwestii. - Ponieważ, jak już mówiłam, sprawa, którą przyjdzie państwu oceniać, jest bardzo ciężka gatunkowo, wspólnie z prezesem Sądu Okręgowego w Miłowie Wielkopolskim podjęliśmy decyzję o zarządzeniu odosobnienia sędziów przysięgłych na czas trwania procesu.

Sala zawrzała, ale tym razem sędzia Aldona Ginkowska niko nie uciszała, pozwoliła, aby szum wygasł naturalnie.

- Pierwsza rozprawa odbędzie się w poniedziałek, czyli za trzy dni i tego to dnia rano zgłosicie się państwo w recepcji hotelu „Pod Pałkami” przy ulicy Kosynierów Gdyńskich - wyjaśniała dalej sędzia Aldona Ginkowska. - Każdemu z was zostanie przydzielony jednoosobowy pokój, w którym będziecie mieszkać w trakcie trwania procesu. Na rozprawy będziecie dowożeni specjalnym autobusem. Czy są pytania?

- Czy będzie czas wolny na wyjście na miasto? - padło z sali.

W odpowiedzi kilka osób wybuchło śmiechem.

- Nie, proszę państwa - sędzia Aldona Ginkowska również

nie mogła powstrzymać uśmiechu. - To nie są kolonie ani wyjazd na wczasy. W ciągu dnia będziecie państwo spędzać czas w sądzie, zaś po rozprawie będziecie przewożeni do hotelu. Radzę zabrać kilka grubych książek albo długich filmów, bo nie będziecie mogli ani oglądać telewizji, ani słuchać radia, ani też surfować po internecie. Zabronione będzie także posiadanie i korzystanie z telefonów komórkowych. Wszystko po to, abyście nie sugerowali się relacjami mediów na temat procesu. Pamiętajcie, że obowiązuje was także zakaz rozmawiania ze sobą na ten temat.

- Będziemy jak w więzieniu - wypalił ktoś.

- Przeżyjecie państwo - rzekła sędzia Aldona Ginkowska pobłażliwie. - Proces potrwa tydzień, może dwa tygodnie. I zapewniam, że to na pewno nie będą warunki więzienne. Za to jeśli ktoś z państwa zechce złamać przepisy dotyczące zachowania się sędziów przysięgłych, to niewątpliwie będzie miał duże szanse na sprawdzenie warunków więziennych na własnej skórze - zawieszona w powietrzu groźba była jasna i czytelna dla wszystkich. - Jeśli nie ma więcej pytań, ogłaszam koniec posiedzenia. Każdego z państwa poproszę o podejście do sekretarza sądowego i pobranie ankiety oraz deklaracji do wypełnienia - spojrzała na protokółantkę, ta była już gotowa do wydawania niezbędnych druków. - Zaznaczam, że złożenie podpisu na deklaracji o dochowaniu tajemnicy procesowej oznacza poddanie się ewentualnej karze trzech lat więzienia. Jeśli ktoś z państwa potrzebuje dokument zaświadczący o pełnieniu obowiązków sędziego przysięgłego dla zakładu pracy, proszę o tym poinformować sekretarza. Na przewodniczącego ławy wyznaczam Józefa Łapka.

Rozdział 17

Składanie deklaracji i wypełnianie tony innych dokumentów - zdaniem protokółantki niezbędnych - w tym deklaracji dla ZUS-u, urzędu skarbowego i ubezpieczalni, zajęło niemal trzy godziny. Przez ten czas niektórzy przysięgli zdążyli się zbić w

grupki i zawiązać nawet coś na kształt pierwszych przyjaźni, jeśli można tym szumnym mianem określić prowadzenie rozmów na jeden interesujący wszystkich - bez wyjątku

- temat: jak to będzie być sędzią przysięgłym i zadecydować o czyjejs winie. Już w tym momencie niemal cała dwunastka nieświadomie przyjęła taktykę obronną i nie nazywała Damiana Kanclerza po imieniu i nazwisku. Jeżeli ktoś podejmował wątek, używał sformułowań tak ogólnych, że gdyby nie wiedza o sednie sprawy, nie byłoby wiadomo, o co mu w ogóle chodzi. Generalnie jednak temat był przemilczany, ludzie woleli rozmawiać o wszystkim i o niczym. Kobiety chwaliły się kochającymi mężami i genialnymi dziećmi, panowie - nic nowego - roztrząsali szanse Stali Miłów na mistrzowski tytuł w finałowej potyczce z Falubazem Zielona Góra.

Sędzia Aldona Ginkowska jednak tego nie wiedziała i była przekonana, że każdy z dwunastu - nie!, każdy z czternastu przysięgłych, włącznie z rezerwowymi - knuje. Dlatego też zbitym ciasno grupkom przyglądała się z ogromną dezaprobatą, którą starała się ukrywać pod wymuszonym uśmiechem przyjaźni zmieszanej z dużą dozą dostojności. Efekt był taki, że gdyby komukolwiek z przysięgłych przyszło do głowy podejść do stołu prezydialnego, by o coś spytać, to zrezygnowałby z tego pomysłu w tej jednej sekundzie. Jedynym, kto nie bał się z nią rozmawiać, był ochroniarz, który na samym początku dyskusji w grupach spytał, czy ma zareagować. W odpowiedzi sędzia Aldona Ginkowska westchnęła głęboko i wyjaśniła mu, że zakaz wymieniania się informacjami na temat prowadzonej sprawy będzie obowiązywał dopiero od zaprzysiężenia, co nastąpi tuż przed rozpoczęciem pierwszej rozprawy. Było jej to mocno nie w smak, ale innego wyjścia nie było. Niestety, ekipa fachowców, która przeszczepiła na polski grunt modelowe rozwiązanie z systemu prawa anglosaskiego, nie wzięła pod uwagę wrodzonej gadatliwości rodaków. A wystarczyło nieco zmodyfikować zapis o tajemnicy procesu tak, aby obowiązywała od momentu wyboru sędziów.

Cóż, polscy fachowcy od prawa, jak w wielu innych przypadkach, nie popisali się. I czy sędzi Aldonie Ginkowskiej to się

podobało, czy nie, na sali sądowej - tej samej, która za trzy dni miała się stać areną najbardziej medialnego procesu demokratycznej Polski - sędziowie przysięgli mogliby właśnie umówić się na wydanie werdyktu tylko i wyłącznie na podstawie doniesień medialnych, nie biorąc pod uwagę żadnego dowodu i zeznania ani jednego świadka. I mogliby to zrobić w świetle prawa! Pozostawało jedynie wierzyć w to, że zanim zdążą się poznać i spoufalić, biurokracja się skończy i wrócą do swoich domów. Oby tylko nie przyszło im do głowy umówić się na wspólny wypad na miasto...

Sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na cztery grupki, które zdążyły się utworzyć. Jedną parę tworzyli sędziowie rezerwowi, którzy od początku trzymali się na uboczu. Dwie kolejne liczyły po cztery osoby, w trzeciej były trzy: Niewiadomski, Warszawska i nastolatek, którego imię i nazwisko wyleciało jej z pamięci. Jedynym wolnym elektronem był Józef Łapek. Przyjrzała mu się bacznie przez dłuższą chwilę, chodził od grupy do grupy i gotowa była się założyć, że podsłuchuje!

Uśmiechnęła się pod nosem. Miała swojego człowieka! Była przekonana, że jeśli tylko Łapek zacznie choćby podejrzewać, że ktokolwiek z sędziów coś kombinuje, od razu ją o tym poinformuje. Tak więc rzetelność pierwszego polskiego procesu przed Wielką Ławą Przysięgłych mogła zostać uratowana!

*

Pierwotnie po posileniu potwora biurokracji nakarmieni mieli również zostać sędziowie przysięgli, w specjalnie na ten cel zamienionej sali sądowej na salę niemal bankietową, z porządnym cateringiem. Kiedy jednak w głowie sędzi Aldony Ginkowskiej zaczęły buzować obawy o spiski wśród przysięgłych, postanowiła nie dawać im kolejnej okazji do szeptania. Wzywano więc sędziów pojedynczo do sąsiedniego pomieszczenia, pod pozorem dopełnienia ostatnich formalności, dzięki temu wychodzili z budynku sądu sami, nie w grupach, nikomu bowiem nie przyszło do głowy oczekiwanie na dopiero co poznanych znajomych. Nikomu, poza Patrykiem

Niewiadomskim, który warował pod drzwiami, wypatrując Niny Warszawskiej.

Katering oczywiście się nie zmarnował, pracownicy sądu lotem błyskawicy dowiedzieli się o darmowej wyzerce i wyczyścili półmiski tak dobrze, że obsługa miała problemy z odróżnieniem naczyń umytych od tych już użytych.

*

Głód nie oszczędził też samej sędzi Aldony Ginkowskiej, tak więc i ona podążyła do sali bankietowej. Zrobiła to na tyle szybko, że załapała się na ostatki. Towarzyszył jej Mirosław Giętki, szef firmy ochroniarskiej Bodyguard Manufacturing wynajętej do pilnowania przysięgłych podczas procesu. Wybór firmy spadł na prezesa sądu okręgowego, ten jednak nie podejmował decyzji sam, spytał o zdanie sędzię Aldonę Ginkowską jako tę, która miała prowadzić tę rozprawę, a tym samym - chcąc nie chcąc - współpracować ze strażnikami. Tyle dobrego, że fakturę za usługi prywatnego zleceniobiorcy miało opłacić ministerstwo sprawiedliwości. Mając świadomość tego, że nie muszą oszczędzać, sędziowie wspólnie wybrali najbardziej renomowaną firmę ochroniarską w mieście, stawiając jednak jeden warunek: pracownicy oddelegowani do pilnowania przysięgłych - a było ich czterech, po dwóch na dwunastogodzinną zmianę - mieli pochodzić spoza terenu byłego województwa miłowskiego. W ten sposób chciano uniknąć takiej sytuacji, że ochroniarze znają się z kimś ze składu.

Mimo tego zabezpieczenia sędzię Aldonę Ginkowską coś gryzło i nie był to bynajmniej mocno przesolony śledź, którego spróbowała na samym początku. Uwielbiała ryby i, gdyby nie brak czasu do ich porządnego przygotowania, jadaby je codziennie. Nie mogła się więc oprzeć śledziowi po żydowsku. Ten jednak bardziej niż słodki, był słony.

Duszkciem wypiła pół szklanki soku brzoskwiniowego - cierpki, nieco gryzący w podniebienie posmak dowodził, że aromat był identyczny z naturalnym - i spojrzała na Giętkiego, który wielką jak bochen chleba dłonią złapał za bułkę z

ziarnami i wepchnął ją do ust na jeden raz.

- Panie Mirosławie - sędzia Aldona Ginkowska podeszła do niego, wpatrując się w mięśnie twarzy napięte do granic wytrzymałości.

Podniósł wymownie rękę, prosząc o chwilę cierpliwości.

- Tak będzie łatwiej - nalała okazałą porcję soku i podała Giętkiemu.

Połowę udało mu się wlać do ust, reszta spłynęła po brodzie za koszulę.

- To był ogromny błąd - Giętka wypowiedział te słowa, dwa razy robiąc przerwę na wzięcie oddechu, po czym uśmiechnął się przeproszająco, połykając ostatni kęs przemielonej z trudem bułki. - Tak to jest, jak się je łapczywie - wyjaśnił po chwili.

- Wrzodów pan dostanie przez jedzenie na szybkiego - rzekła już poważnym tonem. - Musimy porozmawiać o procesie.

- Mhm.

- Przyglądał się pan sędziom przysięgłym podczas wydawania deklaracji?

- Wpadłem dopiero jakoś w połowie - Giętka skrzywił się na samą myśl, że przegapił tak ciekawy moment. Prawdą było jednak, że zlecenie z sądu, choć ogromnie prestiżowe, kwotowo nijak się miało do innych. Tak więc sędziowie przysięgli tym razem przegrali z telekonferencją z bardzo ważnym klientem.

- Co pan będzie robił za trzy dni, zupełnie mnie nie obchodzi - sędzia Aldona Ginkowska wzięła go pod ramię. - Wiem doskonale, że to nie pan będzie pilnował mojej trzódki - prowadziła go do swojego gabinetu. - Ale jeśli któryś z pańskich ludzi podczas służby spuści z oka kogokolwiek choćby na sekundę i przez to przysięgli wywiną mi jakiś numer, wystawię panu publicznie takie referencje, że z trudem znajdzie pan pracę na nocce w markecie.

Giętka był właśnie w trakcie siadania na krzesło, słowa sędzi poraziły go tak mocno, że usiadł na nim z takim impetem, iż wydawało się, że pęknie pod naporem 120 kilogramów żywej wagi.

- Wyrażam się jasno? - sędzia Aldona Ginkowska powiedziała to ciepłym głosem.

- Jak najbardziej, pani sędzio - odparł natychmiast.

- Przepraszam za moją wcześniejszą nieobecność, miałem ważne...

- Ależ to mnie nie obchodzi - machnęła lekceważąco ręką.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że z naszego zlecenia firmy i siebie pan nie wyżywi. Tak więc rozumiem, że ma pan też inne kontrakty na głowie i nie wymagam od pana podstawiania mi całej armii. Ale tych, których pan oddelegował do mnie, proszę łaskawie oświecić, żeby wiedzieli, jaka odpowiedzialność na nich spoczywa.

- Oczywiście - zapewnił momentalnie. - Plany są aktualne? Zjawią się w miejscu odosobnienia za trzy dni?

- Miejsce odosobnienie - prychnęła. - Szumnie nazwane. Na smyczy ich wszystkich nie uwiążemy.

- Przewiduje pani problemy? - spytał Giętki przymilnie.

- A jak pan myśli? - odpowiedziała cierpko. - Za nami dopiero pierwsze spotkanie, a już doczekaliśmy się gwiazdy, która nie chce być sędzią przysięgłym i matołą, który klaszcze na sali sądowej.

- Nie każdy wie, jak należy zachowywać się w sądzie - zauważył celnie. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby żaden z naszej czternastki nie miał wcześniej do czynienia z wymiarem sprawiedliwości.

- Może ma pan rację i zbyt surowo ich potraktowałam - sędzia Aldona Ginkowska się zamyśliła. - Ale z drugiej strony, muszą wiedzieć od początku, kto tu rządzi.

- Mam takie samo zdanie - przyznał.

- Oglądał pan hotel?

- Tak. Umieścimy wszystkich na ostatnim piętrze. Na korytarzu będzie dwóch moich chłopaków, w zasięgu wzroku będą mieli wszystkie pokoje. Dwóch, żeby w razie potrzeby udania się w ustronne miejsce ktoś miał ich cały czas na oku - relacjonował. - Na posiłki będą schodzić do wydzielonej sali restauracyjnej, więc nie powinno być kłopotów z utrzymaniem zakazu komunikowania się.

- Nie? - spojrzała badawczym wzrokiem. - Chce się pan założyć, że któreś z nich na pewno zacznie coś kombinować?

- Nawet, jeśli zaczną, to nie skończą - jeśli Giętki próbował być zabawny, to kiepsko mu to wyszło.

- Proszę nie brać tego do siebie - zaczęła mówić, patrząc mu prosto w oczy - ale wolałabym nie ograniczać zaufania tylko do pańskich ludzi.

Spojrzał na nią pytająco.

- Józef Łapek - mówiła dalej. - Kojarzy go pan?

- Facet od przysposobienia obronnego - odrzekł natychmiast.

- Ten sam, świetnie - nie kryła uznania.

- Akta mam w małym paluszku - pokazał, w którym dokładnie.

- Wśród tej czwórki ochroniarzy ma pan swojego zaufanego człowieka?

- Tak jest - odpowiedział.

- Więc niech przy najbliższej okazji zamieni z Łapkem kilka słów, nadmieni, jakie to istotne, aby sędziowie przysięgli dotrzymali zakazu komunikowania się w sprawie procesu... I że, gdyby dotarły do niego informacje, że któryś z kolegów lub koleżanek nie bierze sobie tego do serca, dał nam znać.

- Chce mieć pani szpiega w gronie przysięgłych? - wypalił Giętki prosto z mostu.

- Dyplomatą to by pan nie został - skrzywiła się niemiłosiernie - ale mówimy mniej więcej o tym samym.

- Załatwione!

Rozdział 18

Grzędowicz sączył wolno burbon Jim Beam, z wyraźną satysfakcją odznaczającą się na poranej zmarszczkami twarzy. Im dłużej słuchał relacji Kowalskiego z porannego posiedzenia sądu, tym większa radość malowała się na jego obliczu. Teraz był nawet gotów przyznać rację adwokatowi, który wcześniej odwiódł go od pomysłu, aby zjawić się w sądzie osobiście.

Kowalski odradzał taki krok, tłumacząc, że przed rozprawą - a dokładniej mówiąc: przed mową wstępną - lepiej było się przysięgłym na oczy nie pokazywać, bo jeszcze coś by sobie pomysleli złego i z góry uprzedzili się do oskarżyciela posiłkowego.

Grzędowicz był gotów przyznać się do błędu, ale, swoim zwyczajem, tego nie zrobił. Słuchał za to, jak Kowalski referuje przebieg posiedzenia, nie omijając pikantnych szczegółów, z których najostrzejszy dotyczył pary Warszawska - Niewiadomski.

- Czyli nasze kochane gołąbeczki zaczęły ze sobą gruchać?

- Grzędowicz nie mógł się powstrzymać od wyrażania satysfakcji we właściwy dla siebie, prostacki sposób. Gdyby ktokolwiek wpadł na pomysł, aby kiedykolwiek zamienić Mazurka Dąbrowskiego na inny utwór, i gdyby ten ktoś nieopatrznie powierzył ów wybór właśnie Grzędowiczowi, wkrótce potem 40 milionów Polaków śpiewałoby hymn na nutę disco polo.

- Spiknęły się bez dwóch zdań - potwierdził Kowalski.

- Niewiadomskiemu nie przeszkadza różnica wieku - to było stwierdzenie, nie pytanie.

- Najwyraźniej nie... - zrobił pauzę. - Zresztą, do łóżka jeszcze nie poszli.

- A gdyby nawet mieli pójść, to z niej taka cipka, że każdy by ją chciał mieć - Grzędowicz zarechotał oblesnie. - A żeby tego było mało, nasza kochana Nina postawiła się sędzinie.

-No.

- Świetnie! - zatarł ręce z radości, wierząc się w fotelu tak mocno, że prawdziwa skóra - żaden tam materiał identyczny z naturalnym - wydała odgłos podobny do pierdnięcia.

- No, kurwa, właśnie że nie! - Kowalski kopnął ze złością w kosz na śmieci. - To źle!

- Źle? - zbaraniał.

- Chujowo! - warknął. - Na samym starcie Nina stała się czarną owcą, dla której ważniejszy jest własny interes od obywatelskiego obowiązku pełnienia zaszczytnej funkcji sędziego przysięgłego - gdyby Kowalski mógł się słyszeć, niewątpliwie na drugi dzień złożyłby pozew przeciwko samemu

sobie o plagiatowanie Ginkowskiej. - Jak myślisz, kto z kolegów i koleżanek będzie słuchał takiej wypindrzonej blachary? Kogo ona przekona?

- Jakie chujowo? - Grzędowicz odciął się momentalnie.

- Jakiej blachary...? Chłopie, to, że dziewczyna dorobiła się czegoś w życiu w wieku 30 lat nie oznacza jeszcze, że jest jakąś heterą! Owszem, większość przysięgłych będzie ją mniej lub bardziej otwarcie ignorować, ale w głębi duszy wszyscy będą jej zazdrościć. A jak będą zazdrościć, to co podświadomie zrobią? Będą chcieli być tacy sami jak ona. Wystarczy to sprytnie wykorzystać.

- Pamiętaj, że pole manewru mamy mocno ograniczone...

- nie był przekonany.

- Powiem więcej - Grzędowicz zignorował uwagę Kowalskiego. - Jest jeszcze Niewiadomski...

- Który zachował się jak gówniarz z gimnazjum - wszedł mu w słowo.

- Mniejsza z tym - machnął ręką. - Tych dwoje już dzisiaj stało się w pewnym sensie liderami grupy i jako tacy będą mieli dużo większą siłę przekonywania pozostałych do swoich racji.

- Liderem został też Łapek - zauważył kąśliwie Kowalski.

- Chociaż lepszym określeniem byłoby: konfidentem. Będzie niuchał jak pies, czy ktoś czegoś nie knuje.

- Niech sobie niucha. Jakoś zneutralizujemy jego wpływ na pozostałych.

- Jakoś?

- Coś wymyślę - Grzędowicz uśmiechnął się złowrogo. Kowalskiego aż przeszły ciarki.

*

Bielik z Rutem ani nie siedzieli w fotelach obitych skórą

- ba, nie siedzieli nawet w zwykłych fotelach, wwiertali się w drewniane, mocno niewygodne krzesła w kancelarii - ani też nie sączyli wyszukanych drinków, pili zwykłą czarną ekspresową herbatę z Karaluszka.

- Co proponujesz? - Bielik w momencie, gdy kończył py-

tanie, wiedział już, że będzie mocno żałował, iż w ogóle postanowił je wyartykułować.

Rut odpowiedział szerokim uśmiechem, który - gdyby nie okoliczności - można by śmiało nazwać szelmowskim.

- A mogłem się ugryźć w język - mruknął Bielik.

- Pytanie padło i zaraz udzielił wyczerpującej odpowiedzi

- wykonał palcami obu rąk gest, który wyglądał, jakby zamierzał rozgrzać je przed wymagającą partią na fortepianie.

- Podśluch i obserwacja.

- Podśluch? - potarł czoło. - Takiego dowodu sąd nam nie uzna.

- Nie musi wiedzieć o nagraniu - skrzywił się Rut, upiwszy herbaty. Była gorzka, mimo że posłodził ją trzema łyżeczkami cukru. Wszystko przez to, że adwokat zaparzał ją chyba z dziesięć minut.

- To po jaką cholere...? - palce z czoła Bielika zjechały na nos.

- Dla informacji - przesadnie sylabizował. - Wyobraź sobie, że zadajesz sędziemu przysięgiemu pytanie takiej treści, że włosy stają mu dęba i zaczyna się pocić, zastanawiając przy tym, skąd, do kurwy nędzy, ty to wszystko wiesz?!

Bielik uśmiechnął się szeroko.

- I w tym momencie jest twój - dokończył Rut. - Więc zrobimy tak...

- Cicho - przerwał mu gwałtownym warknięciem, wahając się, czy działać na granicy prawa. - Nie chcę znać żadnych szczegółów.

- Pan czyste sumienie - kpił Rut. - Rozumiem, nie chcemy sobie pobrudzić rączek.

Bielik zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Jest jeszcze jedna sprawa z gatunku śliskich do obgadania - Rut nie przejął się ani trochę. - My też mamy swojego Mońka.

- Masz na myśli Łapka?

- On jest niczym obozowy na kolonii - potwierdził.

- Grzędowicz nawet nie będzie próbował do niego docierać - myślał na głos.

- Byłby ostatnim głupcem - Rut zgodził się bez wahania.

- Ale my powinniśmy.
- Słucham?! - udał oburzenie. - Niby jak? - dodał po chwili.
- Ochroniarze pilnujący sędziów przysięgłych mieli być nie stąd, prawda?
- A nie są - zgadywał.
- Jeden z chłopaków Giętkiego jest na stałe zameldowany w Międzychodzie, chociaż od kilku lat mieszka w Miłowie
- Rut wstał, podszedł do czajnika stojącego na stoliku pod ścianą, dołączył wody do herbaty, zamieszał intensywnie łyżeczką. - A drugi jest z Zielonej Góry i studiuje budownictwo na roku z Niewiadomskim. Dasz wiarę?
- Jaja sobie robisz? - wytrzeszczył oczy, mocno zaskoczony.
- A wyglądam? - odbił piłeczkę.
- Jeśli Ginkowska się o tym dowie...
- To co zrobi? - przerwał mu bezceremonialnie. - Wszystko jest na legalu, papiery się zgadzają. Poza tym, ten łepiek z Zielonej Góry nikomu się nie wygada.
- Jesteś tego taki pewien?
- Jestem - wypił herbatę do końca. - Tak samo jak Grzędowicz, który zapłacił mu okrągłą sumkę za stałe raporty.
- Stałe raporty - Bielik pobladał, ale nie dlatego, że przeciwnik miał swojego człowieka tak blisko oka cyklonu, co z faktu, iż on takiego kogoś nie zorganizował. - To dupa zbita.
Rut był innego zdania, o czym świadczył szeroki uśmiech na jego twarzy.
- Powiedz, że my również będziemy mieli tam swoje ucho
- rzekł Bielik błagalnym głosem.
- Przecież nie chciałeś znać żadnych szczegółów - Rut świetnie się bawił. - Dlatego cicho, sza - wykonał wymowny gest zamykania ust. Przez chwilę zastanawiał się, czy zdradzać adwokatowi, że chłopak z Międzychodu to jego chrześniak, ale stwierdził, że Bielik zasłużył na to, aby trochę po cierpieć.

*

Prosto z kancelarii Bielika, Rut pojechał do swojego biura. Tam, mimo późnej pory, czekało już na niego dwóch kolegów,

byłych policjantów z miłowskiej komendy. Z jednym pracował osiem lat w tym samym wydziale kryminalnym, drugiego znał jeszcze od czasów szkółki policyjnej, potem ich losy się rozdzieliły, ale utrzymywali w miarę stały kontakt. Odkąd zajęli się prowadzeniem agencji detektywistycznej, często - gdy zachodziła taka konieczność - korzystał z ich usług. Robił to tym chętniej, że bardziej niż dla pieniędzy, zadanie wykonywali z sentymentu, lubiąc przypomnieć sobie dawne dzieje, a do tego nie ograniczały ich procedury i pomysły położonych tak głupie, że normalnemu człowiekowi trudno byłoby na nie wpaść nawet wtedy, gdyby się bardzo, ale to bardzo starał.

Także i tym razem byli mu potrzebni, bo przecież w końcu nie cierpiał na bilokację. Kumplom przydzielił obserwację Niewiadomskiego i Szatkowskiej, sobie zostawił - jakżeby inaczej - Warszawską. Udzielił krótkich instrukcji, podkreślając przy tym, żeby nie zwracali uwagi na ograniczenia prawne i robili, co się da, aby przyłapać sędziów przysięgłych na cokolwiek, co mogłoby poddać w wątpliwość ich bezstronność w procesie.

Na pytanie, czy w grę wchodzi podsłuchiwanie, uśmiechnął się szeroko, następnie podyktował adresy domowe sędziów.

*

Mecenas Kowalski za to miał ogromne wątpliwości natury prawnej. Od godziny Grzędowicz usilnie przekonywał go do tego, aby urobieniem - mądry, nie wypowiadał na głos słowa „przekupieniem” - obojga świadków zajął się osobiście.

- Wynajmijmy kogoś - naciskał Kowalski, któremu od samego początku nie podobała się rola posłańca. - Tym samym w razie wpadki się zabezpieczymy.

- Ruchać chcesz, że pierdolisz coś o zabezpieczeniach? - Grzędowicz był mocno wstawiony, a jeszcze bardziej zdenerwowany tym, że Kowalski forsuje inne rozwiązanie.

- Sam się pierdol - odciął się błyskawicznie, równie zdenerwowany tym, że jego opcja upada, za to o wiele trzeźwiejszy od Grzędowicza. Szczerze mówiąc, coś by nawet jeszcze chlapnął. - Ile spraw w sądzie miałeś, odkąd dla ciebie pra-

cuję?

- Ile spraw? - spytał z zawodową czujnością, w mgnieniu oka odparowując co najmniej pół promila. - Z dziesięć? - odparł po dłuższym namyśle.

- Osiemnaście - doprecyzował Kowalski.

- Pewien jesteś, że aż tyle? - zdziwił się.

- Osiemnaście - potwierdził bez chwili wahania. - Ile razy z tych osiemnastu przegrałeś?

- Ani razu - tym razem nie potrzebował czasu na zastanowienie.

- Czyja to zasługa?

- Twoja, kurwa - Grzędowicz przełknął ślinę, spodziewając się dalszego ciągu rozmowy.

- A ile razy mnie opierdalałeś jak burą sukę i kazałeś mi zmieniać linię obrony?

- Nie wiem, kurwa - aż się zgarbił.

- Co najmniej przy połowie spraw - Kowalski aż tak dokładnych statystyk też nie prowadził. - A ja zawsze, mimo twojego upierdliwego i nachalnego trucia dupy, stawiałem na swoim.

- No - to było wszystko, na co w tej chwili było go stać.

- I dobrze na tym wychodziłeś.

- No - stwierdzenie, że Grzędowicz wznosi się na wyżyny elokwencji, byłoby tak celowe, jak stawianie pieniędzy na polską reprezentację piłkarską.

- Więc dlaczego, do kurwy nędzy, mnie teraz nie słuchasz? - mówił szeptem, ale Grzędowicz i tak doskonale go słyszał.

- Jeśli ja zajmę się urabianiem naszych pupilków, to zaryzykujemy, że ktoś nas będzie mógł nakryć. A jeżeli wynajmiemy pośrednika, będziemy w razie czego kryci.

-No.

- Więc tym razem zrobimy tak, jak ja mówię, jasne?

-No.

- I przestań odpowiadać monosylabami, bo mnie to wkurwia! - wypalił Kowalski nerwowo. - Nalać ci drinka?

- Tak jest - twarz Grzędowicza rozświetlił płomienny uśmiech. - Podwójnego.

Rozdział 19

Od razu po spotkaniu z kolegami, Rut pojechał pod apartamentowiec, w którym mieszkała Nina Warszawska, ale gdy zobaczył ciemne okna w jej mieszkaniu, zaklął pod nosem. Już miał zbesztać samego siebie, kiedy przypomniało mu się, że w piątkowe wieczory urządzała wypadły na miasto. Miała ulubiony lokal, liczył więc, że mu się poszczęści.

Poszczęściło się. Od razu, gdy wszedł do środka, zauważył ją przy barze, otoczoną wianuszkami wyżełowanych młokosów. Sam zamówił małe piwo i usiadł przy drugim końcu długiego na kilka metrów kontuaru. Już po pierwszym łyku założył się sam ze sobą, że Nina Warszawska wybierze towar i zniknie z nim w drzwiach, zanim on zdąży dopić połowę kufła.

Wygrał.

*

Jazda za taksówką do trudnych nie należała, za to warowanie przez całą noc w aucie przyjemne już nie było. Młokos wyszedł dopiero przed ósmą i w tym momencie Rut niemalże zerwał się z fotela kierowcy. Jeśli zrezygnowała z porannego numerka, wyrzucając kochanka za drzwi, coś musiało się stać.

Pół godziny później zobaczył ją w drzwiach apartamentowca, umalowaną i ubraną w strój, który jasno wskazywał, że czekają spotkanie biznesowe. Poczekał, aż sportowa honda civic włączy się do ruchu i odjedzie na kilkadziesiąt metrów, dopiero wtedy za nią ruszył, starając się utrzymywać odpowiedni dystans.

*

Ponieważ procedury związane z procesami w sprawach prowadzonych przed Wielką Ławą Przysięgłych były diametralnie inne od tych zwykłych, Bielik zamierzał ten fakt wykorzystać do granic możliwości. Ba, wykorzystałby nawet bardziej, ale wiedział, że zbytnie naginanie prawa mogłoby się

skończyć podważeniem zeznań, a tym samym źle wpłynąć na werdykt. Dlatego też zamierzał grać fair.

Jedną z absolutnych nowości w polskim prawodawstwie była możliwość przygotowywania świadków - jak też samego oskarżonego - do zeznań. To, co do tej pory wszyscy znali tylko z amerykańskich thrillerów prawniczych i filmów sensacyjnych, zawitało nad Odrę i Wisłę. Bielik, gdy tylko wpadł mu w ręce ciepłutki jeszcze wydruk Monitora Polskiego, przewertował go pobieżnie, potem trzy razy przeczytał interesujący dział, zwracając uwagę na każdy przecinek, kropkę i średnik. I pół minuty po pierwszej lekturze zaczął planować.

Teraz przyszedł czas, żeby ten zamysł wprowadzić w życie. Aby to się jednak mogło stać, i aby wykorzystać ogromny potencjał, jaki dawało przygotowywanie świadków, trzeba było ich najpierw oswoić z atmosferą sali sądowej. Bielik był bowiem świadomy, że nawet najlepsze ćwiczenia w domu nie dadzą tego, co chociażby kwadrans spędzony przed obliczem prawdziwego sądu.

Dlatego też zadał Damianowi Kanclerzowi i jego małżonce swego rodzaju zadanie domowe: przez cały tydzień mieli wcielić się w rolę publiczności w sądzie rejonowym. Pierwsza reakcja była łatwa do przewidzenia, zaśmiali się, myśląc, że adwokat żartuje. Dopiero po jego pełnej powagi twarzy zrozumieli, że mówił jak najbardziej poważnie. Kiedy wyłuszczył, w czym rzecz, także i ich oblicza spoważniały.

To było w tygodniu. Teraz przyszedł czas, aby tę wiedzę spożytkować.

*

Tak po prawdzie, Rut nie dość, że mógłby zaczepić się swoim zderzakiem o zderzak hondy, to jeszcze mógłby to zrobić ciężarówką, a nie osobowym renault clio, Nina Warszawska i tak nie zwróciłaby na to uwagi.

Była tak podekscytowana spotkaniem, że z trudem koncentrowała się na tym, aby nie przejeżdżać skrzyżowań na czerwonym świetle.

*

Bielik czekał na klientów w kancelarii, nie marnując ani chwili. Od samego rana, to jest od 7.00, po krótkiej przebież- ce i szybkim prysznicu, wertował papiery, próbując sklecić coś na kształt scenariusza przesłuchania najważniejszych świadków obrony. Wiedział, że życie - czyli sala sądowa - w każdym takim przypadku przynosi mnóstwo niespodziewanych zwrotów akcji i rozstrzygnięć, których nie byłoby w stanie przewidzieć nawet najlepsi znawcy rachunku prawdopodobieństwa, ale wiedział również, że szczęście sprzyja przygotowanym na nie.

Kończył właśnie spisywać pytania do Marty Kanclerz, gdy zabrzmiał dzwonek. Wstał, nieśpiesznie podszedł do drzwi - był bowiem wyznawcą maksymy mówiącej o tym, że to klienci członka palestry mają czekać na niego, nie na odwrót - i otworzył je na oścież, prezentując równie szeroki uśmiech.

- Gotowi? - spytał, witając Kanclerzów.

- Jak czarownica na ułamek sekundy przed potarciem zapalki - Marta Kanclerz siłła się na swobodę, ale była to tylko gra pozorów.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy w czasach stosów działały już zapalki? - Bielik nie byłby sobą, gdyby nie poddawał w wątpliwość nawet najbardziej banalnych kwestii. Chyba że uznać, że ta akurat nosiła ze sobą kolosalne znaczenie dla sprawy.

- Szczerze mówiąc, w Europie na masową skalę zaczęto ich używać dopiero od początków dziewiętnastego wieku - mel- dował Damian Kanclerz z wielkim namaszczeniem.

- Słucham? - Bielik stanął jak słup soli, blokując sobą drzwi.

- Za to Chińczycy używali zapalek już od szóstego wieku

- mówił dalej Damian Kanclerz. - Dwanaście wieków wcze- śniej od nas, Europejczyków. O czym to świadczy?

Pytanie było retoryczne, tak więc i Marta Kanclerz, i Bielik pozwolili, aby uleciało w przestrzeń.

- Że żółtki już dawno temu wyprzedzały nas technologicznie o lata świetlne - Damian Kanclerz rzekł to takim tonem, jakby ogłaszał powstanie nowej religii. - A dodając do tego

przewagę liczebną, faktycznie, niedługo staną się światową potęgą gospodarczą i militarną.

- Gospodarczą już są, militarną dopiero będą - Bielik włączył się ponownie do rozmowy. - Za to bardzo mi się nie podoba używanie określenia „żółtki”. Przed sędziami przysięgłymi wyglądałoby to fatalnie - przeciągnął ostatnie słowo.

- Tutaj będziemy rozmawiać? - Marta Kanclerz przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę.

- Gdzież moje maniery! - Bielik zreflektował się poniewczasie. - Zapraszam do środka.

*

Nina Warszawska zaparkowała hondę na Spichrzowej, nie przejmując się zakazem postoju i zatrzymywania, złapała torbę z laptopem i zamknęła samochód. Weszła do restauracji „Sajdak”, rozejrzała się niepewnie i już miała sięgnąć po komórkę, gdy nagle, jak spod ziemi, wyrósł kelner.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał uprzejmie.

- Jestem umówiona na spotkanie - odpowiedziała, obdarzając kelnera zniewalającym uśmiechem.

- Pani godność? - nadskakiwał dalej.

- Nina Warszawska - w duchu pogratulowała sobie rozgrywki.

- Pan Jakubowski już na panią czeka - dygnął, zupełnie, jakby miał przed sobą księżniczkę. - Tędy, proszę.

Zaprowadził ją na pierwsze piętro, do stolika stojącego na uboczu, obok panoramicznej szyby, z której rozpościerał się przepiękny widok na zakole Warty.

- Bardzo dziękuję, że zdecydowała się pani przyjąć moją propozycję - mężczyzna, którego zobaczyła, onieśmielił ją urodą, chociaż nie do końca był w jej typie. - Zygmunt Jakubowski - przedstawił się.

- Nina Warszawska - wyciągnęła rękę na przywitanie.

- Bardzo mi miło - ujął ją w swoją dłoń, podniósł, nachylając się nieznacznie, pocałował, ale nie całując, tylko muskając wargami.

- Mnie również - poczuła dreszcz przebiegający po plecach. -

Gówniarz, którego wczoraj ujeżdżałam nawet ci do pięt nie dorasta. Następnym razem muszę się rozejrzeć za lepszym towarem - skarciła się w myślach.

Kelner podał menu, złożyli zamówienie: Jakubowski wybrał jajka na bekonie i sok pomarańczowy, Nina Warszawska sałatkę grecką i dwie ciabatty oraz małą kawę.

- Powtórzę: jestem ogromnie wdzięczny, że tak szybko odpowiedziała pani na moją prośbę... - zaczął Jakubowski, gdy kelner odwrócił się na pięcie i podszedł do mężczyzny, który zajął miejsce dwa stoliki dalej, przy drugiej szybie panoramicznej.

- Czas to pieniądz - przerwała mu, śmiejąc się głośno.

- Przyznam się panu, że mi też zależy na szybkim podpisaniu umowy. Tym bardziej że od poniedziałku utknę w sądzie.

- Jakież problemy? - udał zaniepokojenie. Na tyle jednak stonowane, że nie mogła tego wziąć za nadzwyczajną ciekawość, co najwyżej za kurtuazyjne podtrzymanie rozmowy.

- Skąd - zmarszczyła brwi na samą myśl. - Zostałam wybrana na sędziego przysięgłego.

- W tej słynnej sprawie Kanclerza?

- Też samej - westchnęła głęboko.

- Ale przecież chyba nie będziecie pracować w sądzie po 24 godziny na dobę? - spytał Jakubowski retorycznie. - Więc niech się pani tym nie martwi, w żaden sposób nie przeszkodzi to w podpisaniu umowy. O ile oczywiście pani firma zostanie wybrana przez zarząd...

- Oczywiście - wymusiła uśmiech, starając się ukryć zawód. Gdy rano dostała propozycję spotkania od Jakubowskiego, była przekonana, że podczas biznesowego śniadania dostanie ten kontrakt do podpisania. Do podpisania! Gdzieś miała kolejne rozmowy o formularzach niezbędnych do wypełnienia przed rozstrzygnięciem konkursu.

- Szczerze mówiąc, w ostatnich kilku dniach miałem już parę spotkań z innymi potencjalnymi kontrahentami - mówił konfidencjonalnym szeptem. - Podczas tego weekendu spotykam się z jeszcze jednym klientem z Poznania, ale...

- Ale? - spojrzała na niego, czując rosnące napięcie.

- Ale to właściwie formalność, bo facet odpadł w przedbiegach. Tylko niech to zostanie między nami.

- Może mi pan zaufać - rzuciła na głos, a w myślach dodała:

- Gdyby to nie była rozmowa służbowa, tylko prywatna, w tej jednej chwili zrobiłoby mi się mokro między nogami...

- Zygmunt - wyciągnął dłoń. - Może dość tych oficjalności?

- Nina - podała swoją, poczuła delikatny uścisk, bardzo subtelny. - A możesz mi zdradzić, kto się dostał do ścisłego finału?

- Masz na myśli siebie? - uśmiechnął się szeroko.

Nie odpowiedziała, zbiła tylko usta w ciup, udając zagniewanie.

- Ale żeby to zostało między nami - powtórzył szeptem.

- Słowo harcerza - rzekła z wyczekiwaniem.

- W ścisłym finale są dwie firmy - zrobił pauzę dla zwiększenia efektu. - W tym gronie jest też twoja.

- Super - nie mogła się powstrzymać przed okazaniem radości. - Kiedy będzie decyzja?

- W środę.

- W przyszłym tygodniu? - zaniepokoiła się nagle.

- Tak, cieszysz się?

- Cholera...

- Coś nie tak?

- Sędzia, która prowadzi sprawę, zdecydowała, że w trakcie procesu będziemy odizolowani od otoczenia.

- Przez cały dzień? - udał zdziwienie.

- Przez cały tydzień! - była mocno zdenerwowana. - A jak sprawa się przedłuży, to i dwa tygodnie...

- To faktycznie niedobrze...

- Jak bardzo niedobrze? - spytała.

- Dyrektor finansowy chciałby podpisać umowę w ciągu najbliższego tygodnia.

- Kurwa! - wymsknęło się jej. - Przepraszam.

- Nie ma za co - pogratulował sobie w myślach.

- A jaka jest twoja rola? - rzekła wtem. - Pytam o te ostatnie spotkania z klientami. Byłam przekonana, że wszystkie

sprawy merytoryczne zostały już omówione i dograne. Myliłam się?

- Nie - odpowiedział z uśmiechem. - Szczegóły kontraktu są dopięte na ostatni guzik. Natomiast ja odpowiadam w firmie za, jakby to powiedzieć... Miękki wywiad.

- Czyli?

- Oceniam ludzi, z którymi firma ma współpracować. Ale nie tyle ich kompetencje zawodowe, co bardziej wartości moralne.

Spojrzała na niego pytająco.

- Zbieram informacje o życiu prywatnym, przyjaciółach, znajomych, działalności pozazawodowej, zainteresowaniach.

Nie chcielibyśmy przecież zacząć współpracy z kimś, kto wieczorami buszuje na forach ugrupowań faszystowskich albo okaże się transseksualistą. Oczywiście nie mam nic do transseksualistów.

- Oczywiście - prychnęła. - A co o mnie wiesz? - nawet nie musiała udawać zainteresowania.

- Jakby to powiedzieć - dozował napięcie lepiej od niejednego elektryka. - Jest pewien rodzaj twojej aktywności prywatnej, który w przyszłości mógłby rodzić problemy.

- Mów, jestem dużą dziewczynką - przygryzła wargę.

- To akurat wiem - zabrzmiało to mocno dwuznacznie.

- Nawet momentami za dużą - tu już nie było żadnej dwuznaczności.

- Co masz na myśli? - niemal otwarcie go prowokowała.

- Dobrze wiesz - odciął się błyskawicznie.

- Nie wiem - zaczęła się mocno denerwować. - Mów.

- Powiedzmy, że nie masz stałego partnera - Jakubowski świetnie rozgrywał partię niedomówień.

- Ale co to ma wspólnego z kontraktem? - zdziwienie wymalowane na delikatnie umalowanej twarzy Niny Warszawskiej wyglądało na autentyczne i faktycznie takie było. - To, że idę do łóżka z dopiero co poznanym gościem z baru, nie znaczy, że sprowadzę uczestników treningu na złą drogę - zaśmiała się głośno, ale sztucznie. - Jak mawiają Anglicy: „Nie można mieć ciastka i zjeść ciastka”. Ja wolę zjeść od razu.

- O życiu intymnym nic nie mówiłem - zauważył z satysfakcją. - Ale dobrze, że pierwsza o tym powiedziałaś.

- Jeszcze chwila i umrę z niecierpliwości - odzyskała zdolność trzeźwego myślenia. - Czy to jest przeszkoda nie do pokonania?

- W tej branży nie ma czegoś takiego - odpowiedział.

- Zresztą, pamiętaj, że to ja zbieram materiały o kontrahentach, to ja sporządzam raport i to ja wystawiam rekomendację. Oczywiście ostateczna decyzja leży w gestii zarządu, ale jeszcze się nie zdarzyło, aby odrzucili moją sugestię.

- Aż boję się pytać, jak oceniasz mnie - spojrzała badawczym wzrokiem, zastanawiając się, czego będzie oczekiwać w zamian za wystawienie odpowiednio wysokiej noty i czy ona sama będzie miała z tego równie dużą przyjemność, co on.

- To moja słodka tajemnica - wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

- Ale nawet, gdybyś rekomendował mnie, to i tak będzie problem z podpisaniem umowy - przeszła do następnej fazy negocjacji. - Będę w sądzie.

- To też da radę załatwić - odwrócił wzrok, lustrując talerz z jajkami i bekonem, który nagle pojawił się w zasięgu wężu.

- Tak? - spytała przeciągle, dziękując kelnerowi za przyniesienie posiłku. - Jak?

- Zawsze mogę zażądać dodatkowego tygodnia czy dwóch na dokładniejsze, dogłębne zbadanie kontrahentów.

- Naprawdę? Mógłbyś? - myślała nad tym, jak bardzo dogłębne to będzie badanie.

- Oczywiście, żaden problem. Wystarczy, że będę miał odpowiednio dużą motywację -zapewnił. - A teraz zapomnij o tym kontrakcie - rzucił z udawaną troską. - Skupmy się najedzeniu.

- Spróbuję.

- Nie bądźmy samobójcami. Porozmawiajmy o czymś niezwiązanym z kontraktem - zaproponował.

- Co byś chciał wiedzieć?

- Wiesz, zawsze chciałem być prawnikiem - wypalił.

- Może opowiesz mi nieco o pracy sędziego przysięgłego? Strasznie mnie to ciekawi. W końcu w naszym kraju to nowość.

Rozdział 20

Rutowi nie dość, że udało się nagrać całą rozmowę Niny Warszawskiej z tajemniczym Zygmuntem Jakubowskim, to jeszcze zrobił im kilka fotek, mimo że siedział do nich obrócony tyłem. Tak się bowiem składało, że sala na piętrze nie tylko miała panoramiczne okna z widokiem na rzekę, ale jeszcze duże ścienne lustro, które aż się prosiło, żeby je wykorzystać do niecných celów.

Im bardziej przysłuchiwał się opowieściom Niny Warszawskiej, tym większy dyskomfort zaczął odczuwać. Kobieta była nie w ciemną bita, jak mogła, unikała podawania szczegółów dotyczących procesu i pracy samych sędziów przysięgłych. Ograniczała się do ogólników, które każdy mógł wyczytać w prasie codziennej, artykułów na ten temat było od zatrzęsienia. Kilka razy Jakubowski próbował pytać o konkrety, za każdym razem jednak zbywała go żartobliwie, aczkolwiek stanowczo.

W pewnym momencie mężczyzna zmienił więc front i wrócił do tematu umowy.

- Przypuśćmy, że u mnie w centrali zapadną jakieś konkretne decyzje albo też będziemy potrzebować odpowiedzi na jakieś dodatkowe pytanie - Jakubowski nawet się nie zająknął, jakie informacje byłyby jeszcze niezbędne, skoro wszyscy kontrahenci podali odpowiedzi już na setki pytań, ale też nie o to mu chodziło. - I przypuśćmy, że będę chciał się z tobą skontaktować w przyszłym tygodniu.

- Dupa - mruknęła.

- Nie zależy ci na kontrakcie? - rzucił nagle, bacznie obserwując jej reakcję.

- Jasne, że mi zależy - odparła bez chwili zastanowienia. - Problem w tym, że ta pieprzona sędzina się na mnie zawzięła. Podczas pobytu w hotelu mają nas pilnować ochroniarze.

Wyobrażasz sobie? Sędziowie przysięgli będą pilnowani przez strażników jak bandziory w więzieniu! - prychnęła.

- A komórka?

Nina Warszawska wydeła lekceważąco wargi, po czym zaczęła przedrzeźniać Ginkowską: „Radzę zabrać kilka grubych książek albo długich filmów, bo nie będziecie mogli ani oglądać telewizji, ani słuchać radia, ani też surfować po in- ternecie. Zabronione będzie także posiadanie i korzystanie z telefonów komórkowych. Wszystko po to, abyście nie sugerowali się relacjami mediów na temat procesu”. Tak powiedziała sędzina.

- Nie mogłaś się zwolnić z bycia przysięgłym? - pytał dalej.

- Próbowałam - kolejne prychnięcie Niny Warszawskiej.

- Dostałam za to pięć stów grzywny.

- Poważnie? - nie mógł się powstrzymać przed parsknięciem.

- Bawi cię to? - spojrzała na niego groźnie. - Bo mnie ani trochę. Kontrakt przejdzie mi koło nosa tylko dlatego, że jakaś pieprzona maszyna mnie wylosowała i jakaś pieprzona sędzina nie chciała puścić do domu.

- Aż tak ci na tym zależy? - Jakubowski znał doskonale odpowiedź na to pytanie, ale musiał je zadać, aby jeszcze bardziej urobić Warszawską.

- Jak ci powiem, że nie, to uwierzysz? - kpiła z niego w żywe oczy. - Przecież oboje dobrze wiemy, że ten kontrakt pozwoli mi wypłynąć na szerokie wody. Naprawdę szerokie. I gdyby mi tak na tym nie zależało, to nie bawiłabym się w przygotowanie tony tych dokumentów, których ode mnie żądaliście. A propos, czy zaświadczenie z urzędu skarbowego na temat...

- Mniejsza z papierkami - machnął wymownie ręką, uciekając od niebezpiecznego tematu. - Wróćmy do kwestii kontaktu, bo coś mi mówi, że decyzja zapadnie lada dzień i będzie to decyzja pomyślna dla pewnej uroczej mieszkanki Miłowa Wielkopolskiego...

- Miłowa - poprawiła go machinalnie. - Nikt miejscowy nie używa tego przymiotnika.

- Nie wiedziałem - zdziwienie Jakubowskiego było autentyczne.

- Więc co z tym kontaktem? - wtrąciła.

- Tak sobie pomyślałem, że pewnie masz więcej niż jeden telefon komórkowy?

- Dwa - odrzekła Nina Warszawska. - Służbowy i prywatny.

- A gdybyś... - zrobił pauzę. - A gdybyś oddała w depozyt tylko jeden, a drugi miała przy sobie?

Zmarszczyła brwi.

- To tylko na wypadek pilnego kontaktu - Jakubowski pośpieszył z zapewnieniem, zanim zdążyła podzielić się swoimi wątpliwościami. - Naprawdę pilnego.

- Jasne - uśmiechnęła się. - Nie o to chodzi...

- A o co? - podłapał natychmiast.

- Oba numery są zarejestrowane na mnie - myślała na głos.

- Jeśli komuś z sądu przyjdzie do głowy sprawdzenie mnie w bazach telefonii komórkowych, to szybko dojdzie do tego, że zdałam tylko jedną komórkę.

- I spytają, gdzie jest druga - udał zafrasowanie.

- Już raz podpadłam. Jak wpadnę drugi raz, to ta zdzira gotowa mnie posadzić w areszcie - wytłumaczyła. - Mówię ci, to kawał wrednej suki...

- Wiesz, szkoda by było, żebyś straciła ten kontrakt tylko przez taki drobiazg, jak brak dostępu do telefonu - Jakubowski grał jak natchniony. - Tak sobie pomyślałem, że mogłabyś wziąć mój zapasowy telefon - sięgnął do torby, wyjął z niej nieco podniszczoną komórkę. - Nowy nie jest, ale działa bez zarzutu.

- Tobie nie będzie potrzebny?

- Skąd! - zapewnił. - Tydzień temu mój aparat - zaprezentował lśniący smartfon - był w naprawie i używałem tego. Widocznie zapomniałem wyjąć z torby.

- I tak będę ryzykowała... - Nina Warszawska zaczęła się wahać. - Jak mnie z tym nakryją?

- A kto ma cię nakryć? - zbył jej obawy śmiechem. - Rewidować was chyba nie będą? Schowasz telefon w walizce, umówimy się na stałą godzinę, włączysz aparat i sprawdzisz, czy nie ma ode mnie wiadomości. Jeśli będę potrzebował się z tobą skontaktować, to wyślę ci SMS-a.

Wzięła telefon do ręki. Ważyła go przez dłuższą chwilę, jakby zastanawiając się, czy przekroczyć kolejny Rubikon w życiu. Spojrzała na teczkę Jakubowskiego z wymalowanym firmowym logo, rozważyła prawdopodobieństwo otrzymania tak lukratywnego kontraktu przez tak małą firmę jak jej i podjęła decyzję. Potaknęła głową, chowając komórkę do torebki.

Przez myśl jej nie przeszło, że to dosyć dziwny zbieg okoliczności, iż Jakubowski miał przy sobie zapasowy telefon.

Jej to do głowy nie przyszło, za to Rutowi, owszem.

*

Kanclerzowie zajęli miejsca, byli przekonani, że sobotnie przedpołudnie spędzą najpierw na opowiadaniu, jakie to nauki wynieśli z sądowych sal, potem zaś na przygotowaniu gotowego zestawu odpowiedzi na pytania. Kiedy więc Bielik wcielił się w rolę leniwego nauczyciela, słowem przy tym nie wspominając o zadaniu domowym, byli zaskoczeni.

- Najpierw spytam pana o wykształcenie, pracę, fuchy - Bielik zaczął mówi, czytając notatki.

- O fuchy? - zaniepokoił się Damian Kanclerz.

- Nie odprowadza pan od nich podatków? - Bielik złapał wlot. Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

- Proszę się nie martwić, nikogo ze skarbówki tam być nie powinno - zapewnił, chociaż wcale nie był tego pewien.

- Nie będzie chodziło o źródło dochodów, tylko o to, że dla utrzymania rodziny pracuje pan po godzinach i w wolne dni - wyjaśnił cierpliwie.

- Pracowałem - sprostował szybko Damian Kanclerz. - Od tamtego dnia nie mam pracy, a fuchy też już nie są takie częste.

- Wiem, ale na tym etapie rozprawy tego wątku nie będziemy poruszać - pouczył Bielik mocno zdenerwowany. - Musi pan to zapamiętać, bo inaczej zepsuje mi pan całą robotę.

- Zapamiętam - zapewnił Damian Kanclerz. - Ale i tak te fuchy mnie niepokoją...

- Nie ma powodu - Marta Kanclerz udzieliła nieoczekiwanego wsparcia mężowi. - Masz po prostu wyjść na porząd-

nego gościa.

- Na porządnego gościa? - Damian Kanclerz skrzywił się mocno.

- A nie jest pan taki? - Bielik skontrował błyskawicznie.

- Sam pan mówił, opowiadając o tamtym zajściu, że jest pan normalnym człowiekiem, który nikomu nie staje na drodze i chciałby spokojnie przejść przez życie. To jak w końcu jest: porządny z pana gość czy nie?

- Porządny - odpowiedział krótko Damian Kanclerz.

- Właśnie - skwitował Bielik udobruchany. - W takim razie naszym zadaniem na sali sądowej będzie pokazanie pana takim, jaki pan jest. Musimy kupić sędziów przysięgłych.

- Kupić? - zaniepokoił się Damian Kanclerz.

- To była przenośnia - Bielik machnął lekceważąco ręką.

- W świadomości sędziów przysięgłych musimy wyryć pański obraz zwykłego człowieka, robola, przepraszam za wyrażenie, który ciężko pracuje fizycznie po to, aby jego dzieci i żona miały co jeść. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Rozumiem - Damian Kanclerz podrapał się po brodzie.

- Trzeba przygotować przedstawienie - Marta Kanclerz łąpała w lot. - Coś jak rozmowa kwalifikacyjna, podczas której trzeba pokazać się z jak najlepszej strony.

- Doskonale! - Bielik pstryknął palcami zadowolony. - Idealnie pani to ujęła. Natomiast plus tej sytuacji jest taki, że nie będziemy musieli ani udawać, ani kłamać - uśmiechnął się.

- Jedyne, nad czym musimy popracować, to przekaz.

- Przekaz? - Damian Kanclerz zmarszczył brwi.

W tym momencie, jakby na zamówienie, dało się słyszeć pukanie do drzwi.

*

Rut poprosił o rachunek, wyprzedzając Jakubowskiego, zapłacił i wyszedł z restauracji pierwszy, od razu skierował się do auta. Gdy Nina Warszawska wsiadła do hondy i machnęła ręką Jakubowskiemu, Rut instynktownie zmienił wcześniejszy scenariusz: postanowił śledzić tego drugiego.

Mężczyzna wsiadł do czarnego luksusowego bmw 7, ale za-

nim ruszył, kilkanaście minut rozmawiał przez telefon. Potem włączył silnik i auto z charakterystycznym pomrukiem zjechało z chodnika. Przejechał zaledwie dwie przecznice, ponownie zaparkował.

Kiedy Rut dostrzegł, że zmierza w stronę innej restauracji, zaklął pod nosem. Nie namyślając się wiele, otworzył schowek i wyciągnął z niego blond perukę oraz okulary w rogowej oprawie. Wysiadł, przewrócił płaszcz na lewą stronę, zmieniając jego kolor z popielatego na kawę z mlekiem.

Ruszył w stronę restauracji. Rzykował dekonspirację, ale nos mu podpowiadał, że warto.

Rozdział 21

Rut wszedł do środka, od razu zauważył Jakubowskiego - na szczęście ten zajął miejsce tyłem do drzwi - i Niewiadomskiego, który siedział naprzeciwko. Był totalnie zaskoczony, ale nie dał po sobie tego poznać. Rozejrzał się wzrokiem klienta szukającego wolnego miejsca. Zajęte były wszystkie i już miał kolejny raz siarczyście zakląć pod nosem, gdy rozpoznał twarz mężczyzny siedzącego przy stoliku znajdującym się przed stolikiem Niewiadomskiego i Jakubowskiego. Zaskoczenie zostało podniesione do kwadratu, ale i tym razem Rutowi nie drgnął nawet mięsień na twarzy. W jednej chwili podjął decyzję, podszedł do stolika i podał dłoń na przywitanie.

- Cześć, Zygmunt - rzucił w stronę kolegi, tego samego, z którym przepracował osiem lat w kryminalnym i któremu dzień wcześniej zlecił obserwację Niewiadomskiego.

- Znowu się spóźniłeś - były policjant popisał się równie błyskawicznym refleksem i jeśli ktokolwiek z widzających tę scenę pomyślałby, że ci dwaj znaleźli się w tym miejscu przypadkiem, niewątpliwie albo cierpiałby na manię prześladowczą, albo powinien kupić los na loterii, samemu skreślając na bank szczęśliwe liczby. Ponieważ jednak lokal do tanich nie należał, tak więc psychicznie chorzy nie byli jego stałymi

klientami, a urodzeni w czepku też omijali go szerokim łukiem, mężczyźni mogli spokojnie skupić się na podsłuchiwaniu Niewiadomskiego i jego nowego znajomego. Nowego, ale jak już zdążył zaklasyfikować Rut, na pewno nie przypadkowego.

*

- Niezbędne będą ćwiczenia z autoprezentacji - Bielik wstał, podszedł do drzwi, otworzył je szeroko, zapraszając gestem ręki potężnie zbudowanego mężczyznę z kamerą w jednej ręce i statywem w drugiej. - Nauczmy państwa, jak mówić, jak się zachowywać na sali sądowej, co należy robić, a czego nie - mało brakowało, a pacnąłby klienta w dłoń, gdyż ten właśnie obgryzał paznokcie. - Bardzo ważny będzie także kontakt wzrokowy z sędziami przysięgłymi i dziennikarzami. Macie go za wszelką cenę unikać.

- Bo mogłoby to zostać odebrane za prowokację? - spytała Marta Kanclerz.

- Nie inaczej - potężny mężczyzna włączył się do dyskusji, rozstawiając przy tym sprządek.

- Wygląda strasznie - Kanclerz przygryzł wargę na widok wycelowanej w niego kamery.

- Tylko wygląda - potężny mężczyzna przemówił głosem tak przyjemnym, że mógłby pracować w wytwórni lizaków i produkować je tylko poprzez wkładanie patyczka do ust na ułamek sekundy. - Po moim szkoleniu nawet szef ludowców przestał się zachowywać jak sztywniak z połkniętym kijem. Poradzę sobie z każdym materiałem - dopiero teraz przywitał się z Bielikiem mocnym uściskiem dłoni. - A pan musi się przyzwyczaić do tego maleństwa - pogłaskał kamerę gestem pełnym czułości.

- Dobrze mówi - Bielik usiadł za stołem. - Kamery obecne na sali sądowej nie będą ustawione tak blisko, ale i tak trzeba przywyknąć do ich obecności - zrobił pauzę, bacznie przyglądając się Kanclerzowi, który najchętniej zapadłby się pod ziemię. - To co, zaczynamy? Na początek proponuję szybki kurs autoprezentacji, a potem przećwiczmy pytania.

*

O ile do Niny Warszawskiej trzeba było sprytnego podejścia, a przy jej urabianiu Zygmunt Jakubowski - vel Kuba Misiak, bo tak się przedstawił budowlańcowi - musiał się wznosić na wyżyny swoich umiejętności, o tyle w przypadku Patryka Niewiadomskiego rybka połknęła haczyk praktycznie już podczas pierwszej rozmowy telefonicznej, którą to Jakubowski vel Misiak wykonał po wyjściu z pierwszej restauracji.

Wystarczyło przez telefon napomknąć, że jest przedstawicielem właściciela Landsberg Art Apartments, a oczami wyobraźni zobaczył jak Niewiadomski siada z wrażenia na ziemi. Wiedział, że gdyby w tamtej chwili kazał mu przyjść na spotkanie w samych kąpielówkach, ten zrobiłby to bez mrugnięcia okiem. Kiedy więc usiadł przy stoliku, skrywając politowanie na widok najtańszego zamówienia - zwykła woda niegazowana kosztowała w tym miejscu 6 złotych - był przekonany o wygranej.

- Dzień dobry, Patryk Niewiadomski - zerwał się z krzesła i wyciągnął rękę do przywitania, jakby ten jeden uścisk dłoni miał go uczynić milionerem.

- Witam - Jakubowski vel Misiak odwzajemnił gest.

- Strasznie się panu śpieszyło z tym spotkaniem.

- Bo od poniedziałku tydzień lub dwa mnie nie będzie.

- Wiem - rzekł w myślach, na głos udając głupiego: - Urlo-pik?

- Urlop? - Niewiadomski naprawdę mocno się ekscytował rozmową, bo miał ewidentne problemy z koncentracją.

- Od czterech lat nie miałem dnia wolnego - rzucił z dumą.

- A ten tydzień lub dwa to będę miał fuchę w sądzie.

- Od czterech lat? - tym razem Misiak nie musiał udawać.

- Przecież od czterech lat to pan pracuje. I ani dnia urlopu?

- Robota wręcz pali mi się w rękach - zaśmiał się, nie zastanawiając nad tym, skąd rozmówca ma tak dokładne dane na jego temat. - Bez pracy nie ma kołaczy. Pracuję, studiuje zaocznie budownictwo...

- Studiujesz budownictwo? - płynnie przeszedł na „ty”, zadając pytanie, chociaż dysponował szczegółowymi informacjami o Niewiadomskim, włącznie z tym, jakie oceny otrzymał w ostatnim półroczu. Były wystawione nieco na wyrost.

- Bardzo dobrze, zrobisz inżyniera, założysz własną firmę...

- Chciałbym - wtrącił natychmiast Niewiadomski. - Tylko boję się, jak to trzeba będzie rozkręcać... Referencji nie mam, a na reklamę w gazecie mnie nie stać.

- Reklamę? - rzucił z przekąsem. - Jak zrobisz to zlecenie dla mnie, to żadna reklama w Miłowie nie będzie ci potrzebna.

- Naprawdę pracujesz dla Landsberg Art Apartments? - wypowiedział nazwę firmy z taką czcią, jakby mówił o świętym.

- Od lat - podsycał napięcie w Niewiadomskim, nawet nie musiał przy tym kłamać. Rzeczywiście, pracował dla tego dewelopera, a że nie wykonywał dla niego usług związanych z budownictwem, to już była zupełnie inna sprawa.

- Zazdroszczę!

- Niedługo sam będziesz mógł pracować dla Grzędowicza.

- To by było zlecenie! - Niewiadomski był tak podekscytowany, że miał trudności z usiedzeniem w miejscu.

- Ale wiesz, że on sprawdza dokładnie wszystkich swoich podwykonawców? - spytał Misiak.

- Jak każdy - wzruszył ramionami.

- O nie, mój drogi - pomachał wymownie palcem wskazującym. - Ja nie mówię o trzepaniu oficjalnych dokumentów ze skarbówki i ZUS-u ani o referencjach, których zresztą jeszcze nie masz.

- Jeszcze nie mam - skwitował kwaśno. - To co miałeś na myśli? - zainteresował się nagle.

- Grzędowicz lubi wiedzieć, z kim ma współpracować. Jego filozofia życia opiera się na wzajemnym zaufaniu i dbaniu o pracowników - z taką gadką Misiak się marnował, powinien jak nie startować na posła lub senatora. - Dla przykładu, jeśli jakiś podwykonawca nie płaci swoim ludziom na czas, Grzędowicz potrąca mu z kontraktu, sam opłaca robotników,

a właściciela takiej nieuczciwej firmy wyrzuca na zbity pysk.

- Naprawdę?

- A słyszałeś kiedykolwiek, żeby ktoś z podwykonawców skarżył się na nieterminowe płatności?

- Nigdy - przyznał Niewiadomski.

- Widzisz? - nie dodał już, że kiedyś był taki przypadek, ale gdy podwykonawcę nieznani sprawcy wywieźli do lasu koło Brzóz i kazali kopać własny grób, nikt więcej już nigdy nie ośmielił się upomnieć o wiarygodności wobec Grzędowicza. - Ciebie też sprawdziliśmy - wbił spojrzenie w Niewiadomskiego.

- Tak? - chociaż nie miał nic do ukrycia, poczuł, jak robi mu się gorąco. - I jak wypadłem? - próbował zażartować, ale wyszło kiepsko.

- Jak masło z maselniczki - zaśmiał się sztucznie, ale chłopak był tak przerażony, że tego nie wyczuł. - Podobno nikt tak jak ty nie kładzie polbruku.

- W rzeczy samej - uśmiechnął się Niewiadomski, trafiając na znany sobie grunt.

- Ilu ludzi mógłbyś pociągnąć za sobą, gdybyś dostał duży kontrakt?

- Jak duży? - w oczach Niewiadomskiego pojawiły się małe ogniki.

- Potężny.

- Musiałbym mniej więcej znać skalę zamówienia - to już były błyski.

- Chwila - Jakubowski vel Misiak sięgnął do aktówki, wyjął teczkę z logo Landsberg Art Apartments, uważał przy tym, aby nie pomylić jej z telekomem, i zaczął wertować dokumenty. - Prawie 30 tysięcy metrów kwadratowych.

- Prawie 30 tysięcy metrów - Niewiadomski musiał popić resztką wody, żeby mu to przeszło przez gardło. - Mnożąc to przez 25 złotych za metr, nie, przyjmijmy, że przy takim hurcie dam 20 złotych - liczył szybko w myślach - to wyjdzie 600.000 złotych. I to jeszcze bez liczenia za obrzeża...

- Fucha na tydzień lub dwa to nie jest, co? - uśmiechnął się szeroko.

- Fakt, potężne zlecenie - przyznał Niewiadomski.
- Dlatego muszę wiedzieć, ilu ludzi jesteś w stanie zorganizować.
- A ile miałbym czasu na ułożenie?
- Trzy miesiące.
- Dam radę - zapewnił.
- Ja tam bym cię i tak sprawdził - wstrzymał na chwilę głos - ale Grzędowicz stwierdził, że chce cię mieć na swojej budowie.
- Tego nowego osiedla? - Niewiadomski wytrzeszczył oczy z niedowierzania.
- Tego nowego, ekskluzywnego osiedla, na którym nie ma już ani j ednego wolnego mieszkania - kłamał jak z nut, sprzedane lokale można było policzyć na palcach jednej ręki. Nie wiadomo było, czy tak słaba sprzedaż była wynikiem kryzysu czy pazerności dewelopera, ale znając chciwość Grzędowicza bukmacherzy stawialiby na to drugie.
- I pan Grzędowicz chce mnie? - ciśnienie na gałki oczne zbliżało się do krytycznego momentu.
- Przecież ci mówiłem, że pan Grzędowicz jest cudownym człowiekiem, dla którego liczą się nie tylko zyski, ale też ludzie. Dobrze pracujesz, masz łeb na karku, studiujesz, a wszyscy wiedzą, że chcesz iść na swoje.
- Wszyscy? - zaniepokoił się.
- No, może trochę przesadziłem - Misiak mrugnął okiem.
- Pan Grzędowicz chciałby cię lepiej poznać, może wpadłbyś któregoś razu na grilla? Musisz wiedzieć, że on jest bardzo ciepłym człowiekiem i ma cudowną rodzinę - zrobił pauzę.
- To znaczy miał - westchnął głęboko.
- Miał? - podłapał Niewiadomski.
- To ty nic nie słyszałeś? - udał zdziwienie.
- Odkąd zacząłem studiować budownictwo, jestem kompletnie wyautowany z życia - parsknął śmiechem. - Albo jestem w robocie, albo na zajęciach, albo kuję. Nawet na Ligę Mistrzów nie mam czasu!
- Pan Grzędowicz miał dwóch cudownych synów... - mówił dalej, robiąc krótkie przerwy na oddech. - Wdali się w

pyskówkę na parkingu przed jakimś marketem i przypłacili to życiem. Wyobrażasz sobie? Jakiś kutas zajeżdżał ich tylko dlatego, że pokłócili się o miejsce do parkowania! W takich chwilach żałuję, że w tym kraju nie ma kary śmierci...

- Pyskówka...? Parking przed marketem...? - umysł Niewiadomskiego pracował na najwyższych obrotach. - Czy to przypadkiem nie sprawa tego gościa o nazwisku Kanclerz?

- Dokładnie! - potwierdził, zastanawiając się w duchu nad inteligencją rozmówcy. O jaką inną sprawę w Miłowie mogłoby chodzić? - A czemu pytasz? - spytał z pozoru niewinnie.

- Tak tylko mi się przypomniało...

- Znasz Kanclerza, tego bandytę? - pytał dalej, starając się zbyt mocno nie naciskać.

- Nie, no co ty - wzdrygnął się.

- I wyobraź sobie, że zamiast wsadzić gościa do paki, zafundowali mu proces przed ławą przysięgłych!

- Tak? - Niewiadomski próbował udawać zaskoczonego, ale grą aktorską Misiakowi nawet do pięt nie dorastał.

- Poważnie - nie dał po sobie poznać, że wie o wszystkim.

- Gdyby to mnie wylosowali jako sędziego przysięgłego, nie wahałbym się ani chwili... To znaczy, oczywiście zapoznałbym się ze wszystkimi dowodami i wysłuchałbym świadków, aby wydać opinię na ich podstawie - poprawił się szybko.

- Co nie zmienia faktu, że założę się, iż facet jest po prostu bandytą, któremu synowie Mundka weszli nieopatrnie w drogę.

Niewiadomski milczał, pocierając nerwowo palcami prawej ręki o nogawkę spodni. Zanotował w myślach, że Misiak musi być naprawdę bliskim przyjacielem Grzędowicza, skoro używa zdrobnienia.

- A ty coś tak zamilkł? - spytał nagle Jakubowski vel Misiak.

- Czekaj, czekaj... - grał dalej rolę życia. - Mówiłeś, że najbliższe dwa tygodnie możesz mieć zajęte, bo masz fuchę w sądzie.

- No - mruknął.

- Remont?

- Nie - odparł Niewiadomski zgodnie z prawdą.

- Jak nie remont, to już ja wiem, co ty będziesz robił w sądzie - cmoknął. - Ale nie martw się, wiem, że jak dostałeś / fuchę sędziego przysięgłego, to nie możesz o tym z nikim rozmawiać, więc nie będę naciskać.

Niewiadomski spojrzał na niego z wdzięcznością.

- Ale o naszym zleceniu to chyba możemy porozmawiać?

- mówił dalej Misiak, uśmiechając się szeroko. - Wolałbym dogadać szczegóły teraz, zanim znikniesz na te dwa tygodnie. Kurwa... - zasepił się nagle.

- Coś się stało? - spytał z niepokojem.

- Mówisz, że nie będzie cię dwa tygodnie?

- Maksymalnie - zapewnił szybko Niewiadomski. - Możliwe, że proces... Możliwe, że nie będzie mnie krócej - poprawił się szybko.

- Ile dokładnie?

- Nie wiem - skrzywił się.

- Cholera... - człowiek Grzędowicza udał zatroskanie.

- Słuchaj, Mundkowi strasznie zależy na czasie.

- To pewnie niedobrze...

- I to jak! - zatroskanie wyglądało na prawdziwe. - Ale nie martw się, coś wymyślę. Tylko...

- Tylko co? - spytał Niewiadomski z obawą.

- Dobrze by było, jakbyśmy przez ten czas, jak nie będziesz uchwytany - Jakubowski vel Misiak mrugnął znacząco okiem

- mogli się jakoś skontaktować. Tak się składa, że mam przy sobie stary telefon komórkowy, którego używałem, bo nowy był w naprawie...

Rozdział 22

Rut dzwonił do Bielika, ale ten wyciszył komórkę, aby nie przeszkadzała w szkoleniu. Płacił 300 złotych za godzinę i nie zamierzał marnować ani jednej, cholernie drogiej sekundy. Detektyw nie miał w zwyczaju denerwować się za innych, tak więc wysłał SMS-a z prośbą o kontakt, sam zaś zajął się sprawdzaniem Jakubowskiego vel Misiaka.

Zadanie było trudne, ale nie niewykonalne, tym bardziej że niemal od samego początku obstawiał, że Jakubowski vel Misiak to człowiek Grzędowicza lub kogoś przez niego wynajętego. Wystarczyły więc zaledwie cztery telefony i dwa spotkania, aby potwierdzić ten fakt z całą stanowczością. Jeden z byłych pracowników - ochroniarzy pilnujących posiadłości Grzędowicza - rozpoznał go na zdjęciach. Nie miał żadnych wątpliwości, mężczyzna kilka razy zawitał w rezydencji szanowanego przedsiębiorcy, za każdym razem zjawiał się w towarzystwie Kowalskiego. Mało tego, ochroniarz podał Rutowi prawdziwe imię i nazwisko Jakubowskiego vel Misiaka, dzięki temu w ciągu godziny ustalił jego adres. Kiedy się tam zjawił, Grzegorz Maziarz, bo tak się nazywał, wychodził właśnie z kamienicy, najpierw skierował się do kiosku, w którym kupił opakowanie gum do żucia i weekendowe wydanie „Nowego Głosu Lubuskiego”. Kiedy potem wsiadł do swojego wypasionego bmw, Rut kolejny raz poczuł ostre ukłucie męskiej zazdrości.

Szybko jednak zdusił w zarodku rodzącą się frustrację, przypominając sobie, że lepiej jeździć siedmioletnim rżchem niż luksusowym autem, które kupiło się za lewą kasę. Prędej czy później życie i tak wystawiało za to rachunek. To znaczy Rut miał nadzieję, że tak właśnie jest: jak w bajce, w której sprawiedliwość zawsze zwycięża.

Ruszył za Maziarzem, starając się trzymać kilka aut z tyłu, mając na uwadze, że tym razem nie śledzi Niny Warszawskiej, tylko kogoś o wiele lepiej wykształconego. Chociaż patrząc na zachowanie w obu restauracjach, zawodowcem jednak by go nie nazwał. Chyba że w bajerowaniu.

Uspokoiwszy samego siebie, Rut śledził czarne bmw aż do willi w Chwałęcicach. Kiedy Maziarz stał pod bramą, minął go, nie odwracając się, zupełnie jakby był zwykłym kierowcą przejeżdżającym tą trasą. Dalsze śledzenie Maziarza nie wchodziło w grę, z wcześniejszej obserwacji wiedział, że posiadłość jest dobrze strzeżona. A tak po prawdzie wystarczył sam fakt, że Maziarz odwiedził Grzędowicza.

- I wszystko jasne - Rut zatrzymał się dwa kilometry dalej.

Ponownie wybrał numer do Bielika, tym razem adwokat odebrał. Zreferował pokrótce przebieg obu spotkań, nie ukrywając podziwu dla pracy Maziarza. - Facet grał tak, że Dustin Hoffman to przy nim mierny studencina aktorstwa - zobrazował.

O ile jednak Rut był wniebowzięty efektem jednodniowej zaledwie pracy swojej i kompana - drugi, ten który zajmował się Szatkowską, na razie nie dawał znaku życia - o tyle Bielik tonował zapał, tłumacząc, że po pierwsze, najpierw trzeba sprawdzić, na ile dobrze materiał się nagrał, a potem, po drugie, zastanowić się, jak go wykorzystać. W odpowiedzi Rut zaśmiał się tylko szyderczo, zarzucając adwokatowi przesadny pesymizm.

*

- Więc mówisz, Grzesiu, że obydwójce jedli ci z ręki? - Grzędowicz nie potrafił ukryć entuzjazmu. Choćby nawet nie drgnął mu mięsień na twarzy, to jednak i tak jego nastrój dało się zauważyć po szczodrości w napełnianiu szklanic. Ta była wielka, jak nigdy.

- Laska jest kuta na cztery kopyta, ale i tak na hasło „kontrakt” robi się jej mokro między nogami - Maziarz nie silił się na subtelności.

- Mokro... - powtórzył jak echo Kowalski. - Czy aby czasem nie wyczuwam w twoim głosie tonu zwycięzcy? Zaliczyłeś ją?

- zainteresował się nagle.

- Nie - odparł Maziarz. - Jeszcze nie.

- Jeszcze nie, dobre! - Grzędowicz uderzył otwartą dłonią w kolano z tak wielkim zadowoleniem, jakby to on sam miał zaciągnąć Warszawską do łóżka. - Podobasz mi się, coraz bardziej mi się podobasz!

- Nikt nie mówił, że nie wolno łączyć przyjemnego z pożytecznym - Maziarz uśmiechnął się szelmowsko. - Ale, oczywiście, najważniejsze jest zlecenie - zastrzegł natychmiast.

- Oczywiście - Kowalski prychnął niemal pogardliwie.

- Problem w tym, że cieszymy się zdecydowanie za wcześnie.

- Jak to? - twarz Grzędowicza posmutniała w ułamku se-

kundy. - Stasiu, o czym ty do mnie mówisz?

- Jak na razie ani Warszawska, ani Niewiadomski nie zrobili niczego, co byłoby nielegalne - wyłuszczył Kowalski.

- Tym samym nie mamy na nich żadnego haka.

- I tak, i nie - Maziarz odezwał się filozoficznym tonem.

- Żadne z nich nie zdradziło mi niczego, co sąd mógłby uznać za złamanie tajemnicy, ale...

Spojrzeli na niego pytająco.

- Ale jednocześnie byli bardzo wylewni, jeśli chodzi o własne stanowisko wobec udziału w tym całym cyrku - kontynuował Maziarz.

- Cyrku? - zainteresował się Kowalski. - Tak powiedzieli?

- Nina tak to określiła - wyjaśnił Maziarz. - Gówniarz użył innego słowa... Jak to szło...? Zawracanie dupy!

- I twoim zdaniem myśmy ich jeszcze nie kupili? - Grzędowicz skierował to pytanie w stronę adwokata.

- Nie mamy na nich haka - Kowalski nie dawał za wygraną.

- Nie mamy? - Maziarz zdziwił się niepomierne. - Raz, rozmawiali ze mną jak na spowiedzi. Dwa, wzięli telefony do kontaktu podczas procesu, co już samo w sobie będzie nielegalne. Trzy, dla tych kontraktów zrobią wszystko.

- Dopóki nie rozpocznie się sam proces, dopóty mogą sobie o nim gadać, ile tylko chcą. Tak samo z telefonami: jeżeli będą ich używać w trakcie odosobnienia, to wtedy będziemy ich mieli. Ale to jest czas przyszły - Kowalski na razie odsunął wątpliwości na bok. - Kiedy złożymy im propozycję nie do odrzucenia?

- Jutro?- zaproponował Maziarz. - Kujmy żelazo, póki gorące.

- Za wcześnie - Kowalski pokiwał wymownie głową. - Gotowi się wystraszyć i będzie po sprawie. Zrób to w trakcie procesu, po pierwszych kilku dniach. W momencie, kiedy odbiorą telefon od ciebie, będziemy mieli ich w garści, bo za sam fakt kontaktowania się z osobami z zewnątrz będzie im grozić odpowiedzialność karna, włącznie z aresztem.

- Genialne - ocenił krótko Grzędowicz, wędrując do barku. - A jutro możesz do nich zadzwonić i ściemnić, że decyzja jest już bardzo bliska podjęcia. Niech srają z niecierpliwości!

*

Rut, czekając na Maziarza, zadzwonił do drugiego kolegi, tego, który zajmował się Szatkowską. Ten rewelacji nie miał: kobieta większość dnia spędziła najpierw na zakupach w markecie, potem w domu - pewnie sprzątając mieszkanie - a na końcu u matki na Zawarciu. Szatkowska nic złego więc - w porównaniu do pozostałych dwojga przysięgłych z top listy - nie robiła, chyba, żeby przyjąć, iż zdradziła rodzicielce jakieś newralgiczne informacje.

Rut już miał podziękować pomocnikowi, gdy postanowił zlecić mu jeszcze jedną rzecz: sprawdzenie sytuacji w szpitalu. Miał się tam pokręcić i wypytać o Szatkowską, oczywiście na tyle dyskretnie, na ile było to możliwe.

Rozdział 23

Telefon obudził Ruta tuż po 6.00. Numer był zastrzeżony. Już miał zakląć i wyłączyć komórkę, gdy tknęło go, że to może być coś ważnego.

Było.

- Właśnie wychodzę ze szpitala.

- Czy ty wiesz, która jest godzina? - Rut najwyraźniej jeszcze się nie obudził.

- Chuj z tym - odparł kolega. - Właśnie wyszedłem ze szpitala!

- Chuj to mnie to obchodzi - doczłapał do łazienki. - Moment - położył komórkę na zlewie, odkręcił kurek z zimną wodą, opłukał twarz trzykrotnie, chlapiąc przy tym na telefon. - Ze szpitala?

- No przecież mówię - ziewnął szeroko. - Jesteś na kacu?

- Nie - Rut odpowiedział równie szerokim ziewnięciem.

- Nie wyspałem się.

- Jeśli któryś z nas się nie wyspał, to na pewno bardziej ja niż ty - stwierdził dobitnie.

- Do rzeczy!

- Podjechałem na Dekerta, znalazłem oddział hematologii i chorób rozrostowych...

- Brawo - powoli zaczynał przytomnieć. - Dałeś radę sam? Przy najbliższej okazji wystąpię o najwyższe odznaczenie państwowe dla ciebie - kpił w najlepsze.

- Wal się - zacisnął zęby. - Interesuje cię, co ustaliłem czy nie?

- Tylko mi tutaj fochów nie strzelaj! - zaśmiał się Rut.

- Mów.

- Na dyżurce pielęgniarskiej zgadałem się z dawną koleżanką z liceum. Miała nockę, więc trochę posiedziałem. Najpierw wypiliśmy jedną kawkę, potem drugą, powspominaliśmy stare czasy...

Rut już miał mu ponownie przerwać prośbą o zsumowanie wszystkich kaw, ale się powstrzymał. Znał go na tyle dobrze, że wiedział, iż przydługiego wstępu nie uniknęłaby nawet sama królowa Elżbieta, gdyby jakimś cudem znalazł się w jej towarzystwie. Słuchając piąte przez dziesiąte, wyszedł na balkon zaczerpnąć świeżego powietrza.

- A teraz najważniejsze - po dziesięciu minutach paplaniny kolega wreszcie przeszedł do sedna.

Rut wzniosł oczy ku niebu w geście podziękowania.

- Szatkowska jest na liście pracowników przewidzianych do zwolnienia - zawiesił głos. - I to w pierwszej turze.

- To znaczy, że wyleci na bank?

- Nawet jeśli zarząd województwa jakimś cudem znajdzie dodatkowe pieniądze na wsparcie szpitala, to i tak część ludzi musi polecieć - wyjaśnił. - Z tego, co mówiła mi koleżanka, dyrektor przekazał pracownikom, że pierwsza grupa wylatuje na 100 procent, druga najprawdopodobniej też, trzecia być może.

- Koleżanka mówiła coś więcej o Szatkowskiej? - dopytywał Rut. - Dlaczego akurat ona znalazła się w pierwszej grupie?

- Podobno osobiście podpadła dyrektorowi, bo złożyła raport na temat nieprzestrzegania higieny na oddziale czy coś podobnego...

- Akurat, już to widzę - prychnął znacząco. - Kiedy mają być

zwolnienia?

- Pierwsza tura ma dostać wypowiedzenia jeszcze w tym miesiącu.

- Szybko się uwijają - ocenił. - Dzięki za informacje.

- Mam ją mieć na oku nadal?

- Tak - Rut podjął natychmiastową decyzję. - Dam sobie rękę uciąć, że Grzędowicz maczał w tym palce.

- Nic mu nie udowodnisz.

- Zobaczymy - uśmiechnął się szeroko. - Na razie.

*

Chwilę potem Rut wybrał numer Bielika, wyszczerzywszy zęby na myśl, że nie tylko on zwlecze się z łóżka o tak nieprzyzwoitej, jak na niedzielny wypoczynek, porze.

Niestety, musiał obejść się smakiem, gdyż adwokat miał wyłączony telefon.

*

Pół godziny później komórka Ruta znów go obudziła.

- Co masz? - w głosie Bielika nie można było znaleźć nawet cienia zaspiania.

- Szatkowska jest na liście do zwolnienia. W pierwszej kolejności. Podobno podpadła samemu dyrektorowi.

- Jasne - ironizował. - A czy aby przypadkiem w tym podpadnięciu nie pomógł jej nasz wspólny znajomy?

- Obaj są z jednej partii... - zaczął Rut.

- I obaj świetnie się znają - dopowiedział Bielik. - Stawiam na robotę Grzędowicza.

- Ja też - przyznał.

- Szybko zadziałał, skurwieli - splunął z obrzydzeniem.

- No - mruknął. - Problem w tym, że nie mamy żadnych dowodów, nawet poszlakowych.

- Kurwa jego mać!

- To nie to samo, co Niewiadomski i Warszawska - tłumaczył Rut. - Szatkowskiej nikt nie podchodził bezpośrednio, przynajmniej jeszcze nie.

- Może Grzędowicz robi z niej koło zapasowe? - myślał na

głos. - Skupia się na Niewiadomskim i Warszawskiej, a ją zostawia, w razie gdyby z tamtymi nie wypaliło?

- Możliwe - w głosie trudno było wyczuć entuzjazm dla wersji przedstawionej przez adwokata.

- Masz inną koncepcję?

- Najlepsza koncepcja to antykoncepcja - zaśmiał się Rut. - Bez względu na to, czy chcą się dobrać do Szatkowskiej teraz, czy zostawiają ją w odwodzie, musimy ją bacznie obserwować.

- Jestem za.

*

Maziarzowi aż tak się nie śpieszyło, odczekał więc do południa i wykonał telefony o zupełnie przyzwoitej porze. Najpierw zadzwonił do Niewiadomskiego, konspiracyjnym szeptem informując, że decyzja w sprawie kontraktu zapadnie jednak lada dzień i że powinni być w kontakcie. Budowlaniec nie oponował, poprosił jedynie, aby nie dzwonił przed 17.00.

Następnie wybrał numer Warszawskiej. Tym razem jednak nie przekazywał niczego przez telefon, powiedział jedynie, że ma coś ważnego do zakomunikowania. Zaproponował spotkanie u niej w mieszkaniu, wczesnym wieczorem. Zgodziła się natychmiast.

*

Kiedy Maziarz vel Jakubowski vel Misiak parkował przed apartamentowcem, Rut czekał w aucie po drugiej stronie ulicy. Uśmiechnął się pod nosem, dziękując własnej intuicji, która go tu przywiodła. Wykonał kilka zdjęć, ujęcia były świetne, bo Maziarz - jakby na zamówienie detektywa - obrócił się w drzwiach. Ponieważ okna mieszkania Warszawskiej były zasłonięte rozłożystym klonem, obserwacja tego, co miało się dziać wewnątrz, odpadała.

Rut liczył, że mężczyzna nieprędko wyjdzie od Warszawskiej, postanowił więc owocnie wykorzystać ten czas. Schował aparat fotograficzny do swojego auta, wyjął okazały pęk kluczy, po czym podszedł do bmw Maziarza. Uporanie się z zamkiem

zajął mu dziesięć sekund, drugie tyle stracił na podłożenie maleńkiej pluskwy, wcisnął ją w osłonę przeciwsłoneczną, między kwit z numerem alarmowym ubezpieczyciela a obrazkiem ze świętym Krzysztofem. Na widok świętego poczuł dziwny dreszcz, ale chwilę potem uśmiechnął się szeroko, tłumacząc sam sobie, że przecież działa w jak najlepszej wierze.

*

Już w momencie, gdy Jakubowski przekroczył próg jej mieszkania, Nina Warszawska zdała sobie sprawę z celu wizyty. Owszem, oficjalnie przyszedł, aby osobiście poinformować ją o tym, że decyzja w sprawie kontraktu zostanie podjęta w najbliższym tygodniu i aby przypomnieć o zabranii telefonu do hotelu, jednak wiedziała, że na tym się nie skończy.

Sama zaproponowała zamówienie pizzy, a gdy ta została dowieziona, otworzyła butelkę czerwonego wina. Po kolacji przenieśli się na kanapę. Jakubowski nalał jej trzecią już lampkę, przygasił światło niemal maksymalnie, usiadł tuż obok. Pochylił się, zbliżył się tak blisko, że niemal dotykał jej ust swoimi. Poczula zapach markowych perfum.

Zastanawiała się tylko przez ułamek sekundy. Nie był co prawda w jej typie, ale na rauszu nie takich już bzykała.

Wszystko wskazywało także na to, że czekają ją aż dwa tygodnie postu, chyba że ten gówniarz z budowy weźmie się ostro do roboty. Najważniejszy argument był jednak taki, że to Jakubowski był posłańcem mogącym przynieść dobre wieści. Właściwie, był nie tylko posłańcem, lecz miał także konkretny wpływ na to, co miało się wydarzyć w jej życiu i na co czekała od tak dawna. Tak, nie mogła mieć żadnych wątpliwości. Zresztą, przecież było już tak ciemno, że naprawdę widziała niewiele, a on tak przyjemnie pachniał.

Rozdział 24

Seks z Jakubowskim, krótko mówiąc, do rewelacyjnych nie należał. Dlatego też Nina Warszawska z radością przywitała się

z Niewiadomskim, spotkawszy go w drzwiach czterogwiazdkowego hotelu „Pod Pałkami”. Przepuścił ją szarmancko, przytrzymując drzwi. Rozejrzeli się po holu, był puściutki, nie licząc starszego pana palącego w kącie i czytającego gazetę.

- Czyżbyśmy byli pierwsi? - rzekła bez adresu. Podeszła do recepcji, uderzyła w dzwonek, nagle, jak spod ziemi, zjawił się człowiek w uniformie pasującym bardziej do pierwszych serii Star Treka niż szanującego się hotelu. Czyżby gwiazdki były przesadzone? Dziwne, tym bardziej że odnowiona elewacja frontowa w niczym nie przypominała tej, która straszyla jeszcze kilka tygodni wcześniej, przed remontem. Teraz budynek robił ogromne wrażenie, tak samo jak sąsiedni gmach biblioteki wojewódzkiej.

- Dzień dobry - recepcjonista może i uniform miał beznadziejny, za to aparycję wyśmienitą do roli. - W czym mogę państwu pomóc?

- Dzień dobry - odpowiedziała z uśmiechem. - Jesteśmy sędziami przysięgłymi, podobno macie nas tutaj zakwaterować.

- Żadne tam podobno - skwitował recepcjonista. - Przydzielono państwu czternaście pokoi jednoosobowych i dwuosobowych...

- To można po dwie osoby w jednym pokoju? - zainteresował się Niewiadomski.

- Przykro mi, wszyscy państwo zostaniecie zakwaterowani pojedynczo - współczucie na twarzy recepcjonisty było absolutne. - Takie mamy wytyczne. Po prostu niektórzy będą mieli do dyspozycji jedynek, inni dwójki.

- Pokoje zostały już przydzielone? - pytała dalej.

-Nie.

- To czy możemy prosić - Nina Warszawska ściszyła konfidencko głos - o dwa pokoje obok siebie? Chcielibyśmy te od strony parku, z balkonami - uśmiechnęła się zalotnie.

- Oczywiście - recepcjonista nie dał po sobie niczego poznać. - Wedle życzenia. Numer 202 i 203, drugie piętro - odpowiedział usłużnie, mimowolnie wkładając rękę do kieszeni spodni, aby sprawdzić, czy Zygmunt I Stary wciąż tam jest. Był.

- Jest tutaj winda? - spojrzała na dwie ogromne walizy.
- Za schodami, po lewej stronie - recepcjonista wyciągnął rękę i to było jedyne wsparcie, na jakie mogli liczyć z jego strony. - Mogę państwu w czymś pomóc? - rzucił uprzejmie w stronę kolejnych osób, które zaczęły ustawiać się w kolejce.
- Pomogę ci - zaoferował Niewiadomski, sięgając po jedną walizę. - Dziewczyno, masz w tym cegły? - stęknął z wysiłku.
- Tylko ubrania - odparła, parszając śmiechem. - Tylko ubrania.
- To chyba po trzy zmiany na każdy dzień - westchnął, taszcząc za sobą walizę.
- Tylko po dwie, mój drogi. Tylko po dwie - wcisnęła dwójkę na tablicy.

*

Pół godziny, które mieli do dyspozycji przed pierwszym oficjalnym śniadaniem, wykorzystali na rozpakowanie się i przebranie. To znaczy Nina Warszawska zmieniła ubranie na bardziej stonowane, bo Niewiadomski ograniczył się do przebrania bojówek na jeansy.

Nie umawiali się, ale jakoś tak się zgrali, że zeszli na śniadanie o tej samej porze, pięć minut przed czasem. Byli jedynymi, którzy usiedli przy tym samym stoliku, pozostali sędziowie siadali pojedynczo, jakby jakakolwiek próba zamienienia ze sobą słowa była równoznaczna z popełnieniem zbrodni. Podeszli do szwedzkiego stołu, zaczęli nakładać potrawy. W pewnym momencie Nina Warszawska, chcąc podtrzymać mocno kulejącą rozmowę - krępowała ich obecność pozostałych - zadała pytanie o miejską obwodnicę.

- Pracujesz jako drogowiec? - upewniła się.

Potaknął głową.

- To wytłumacz mi jedno: jak inwestycja, która jest warta 180 milionów złotych, może zostać tak spierdolona?

- Co konkretnie masz na myśli, bo na tej robocie wykryto prawie 150 usterek i uchybień? - Niewiadomski mówił nie-naturalnie głośno, jakby w ten sposób chcąc, aby każde słowo dotarło do wszystkich uszu obecnych w sali restauracyjnej,

zapewniając im stosowne alibi.

- Kruszący się asfalt, dopiero co położony - zaczęła wyliczać.
- Obsuwające się skarpy, posadzone drzewka, które od razu zaczęły usychać...

- Wiesz, jak wygląda wygrywanie przetargów w naszym kraju? - wbił widelec w okazałą frankfurterkę. - Dajesz zaniżoną cenę, a gdy jesteś lepszy od konkurencji, bierzesz robotę i zaczynasz oszczędzać na czym się da. Używasz materiałów gorszej jakości niż wpisano w projekcie, kładziesz cieńszą warstwę podkładu betonowego, lejesz kiepski asfalt...

- Przecież ktoś to powinien kontrolować? - dziwiła się, skubiąc sałatkę grecką.

- Oczywiście, ten ktoś to tak zwany inżynier kontaktu - wyjaśnił cierpliwie. - Ale czasami ma w tym interes, a czasami wykonawca po prostu totalnie go olewa. Przy tych skarpach, o których mówiłaś, to było tak, że zamiast układać je warstwa po warstwie i ubijać, usypano hałdę ziemi i z grubsza wyrównano. Efekt jest taki, że po większych deszczach zaczynają spływać.

- A kary za fuszerkę? - Józef Łapek przysiadł się bez pytania o pozwolenie, natychmiast włączając do dyskusji. - Przecież w każdym kontrakcie są zapisane.

- Zapisane to one są - Niewiadomski nawet nie zdążył się obruszyć faktem, że emeryt zakłóca rozmowę z Niną, nagle poczuł się nie wiadomo jak ważny. - Ale jeszcze trzeba je wyegzekwować. A jeśli już się uda, to i tak najczęściej się okazuje, że zasądzone przez sąd kary są dużo mniejsze niż zyski na oszczędnościach.

- Tak nie powinno być - rzekła Nina Warszawska takim tonem, jakby to w jej domu ktoś odwalil fuszerkę.

- Nie powinno, ale jest - Niewiadomski wgryzł się w resztę kielbaski. - Często też firmy kombinują w ten sposób, że w przetargu zaniżają cenę, a potem żądają od inwestora aneksów i podwyższenia kosztorysu.

- Jak Chińczycy na autostradzie? - wtrącił Łapek, smakując takiej samej frankfurterki.

- Tak, tylko że żółtki mocno przesadziły - ocenił Niewiadom-

ski tonem eksperta. - Dali cenę o połowę mniejszą od kosztorysu, a potem, gdy ziemia zaczęła im się palić pod nogami, chcieli podwyższenia kontraktu. Tyle, że kwota była za duża.

- W jakim my państwie żyjemy...? - Łapek rzucił pytanie w eter. - Opuszczę państwa, pójdę się zapoznać z innymi - zabrał talerz, podszedł do sąsiedniego stolika.

- Ale węszy, co? - Nina Warszawska nachyliła się ku Niewiadomskiemu.

- Jakby mógł, to by nam zaczął zaglądać do kieszeni - potwierdził sucho Niewiadomski.

- Albo w majtki - dodała, uśmiechając się zalotnie.

- Ale ty jesteś bezpośrednia.

- Masz z tym jakiś problem? - zmarszczyła gniewnie brwi, zaraz potem uśmiechnęła się zalotnie.

- Żadnego - Niewiadomski uniósł lewą brew, po czym mrugnął znacząco okiem.

- Proszę państwa! - rzucił Łapek donośnym głosem, wstawszy od stołu. - Powoli kończymy, za kwadrans musimy być już w autobusie. Szczególnie paniom przypomnę, że do hotelu wracamy dopiero późnym popołudniem. Tak więc radzę zabrać potrzebne rzeczy: kosmetyczki, szczoteczki do zębów, papierosy, jeśli ktoś pali... Proszę też pamiętać, że na miejscu będzie dostępny skromny bufet...

- A ten co, niańka? - zbulwersowała się Nina Warszawska.

- Może mi jeszcze sprawdzi torebkę, czy podpaski wzięłam?

- Masz okres? - zaniepokoił się Niewiadomski.

- To było tylko tak ogólnie - obruszyła się.

- Wiem - zapewnił. - Mnie też facet denerwuje. Kto mu pozwolił nami dyrygować?

- On - wskazała głową na ochroniarza stojącego przy drzwiach i bacznie obserwującego salę restauracyjną. - Widziałam, jak coś omawiali. Ale kij im w oko - wypaliła. - Najważniejsze, żeby nam dali spokój wieczorem - mrugnęła.

- Pamiętasz o kawie?

- Pamiętam - wziął jej talerz i położył na swoim. - Ale będzie zakrapiana, mam nadzieję?

- Zwykła to ona na pewno nie będzie - rzekła dwuznacznie.

Rozdział 25

Budynek, w którym w 1976 roku ulokowano siedzibę Sądu Okręgowego w Miłowie Wielkopolskim, nadawał się do tego celu wręcz idealnie. Już sama jego przebogata historia dowodziła, że lokacja była wyborem mocno przemyślanym. Czterokondygnacyjna budowla powstała w latach 1897-1901 i aż do końca I wojny światowej mieściła koszary artylerii. Potem, w ramach redukcji armii niemieckiej jednostkę zlikwidowano, a jej miejsce zajął urząd pracy. Po zakończeniu II wojny światowej najpierw stacjonowała w niej Armia Radziecka, później zaś znalazła tu swą siedzibę szkoła podstawowa, a następnie sąd do spółki z kuratorium oświaty i biblioteką pedagogiczną. Od 1990 roku budynkiem niepodzielnie rządził już tylko wymiar sprawiedliwości. I chociaż spośród odwiedzających siedzibę sądu okręgowego przy ulicy Mieszka I mało kto znał choćby wycinek tej historii, to i tak w oczach większości osób ceglana elewacja - niedawno odnowiona - dodawała dostojności niezbędnej dla takiego miejsca.

Bielik zatrzymał fiestę w przepisowej odległości od tramwaju linii numer 3, do którego zaczęli wsiadać pasażerowie. Wykorzystał czas, aby wymownie pomachać w kierunku strażnika pilnującego wjazdu na teren sądu bramą znajdującą się po lewej stronie budynku. Gdy tramwaj ruszył, Bielik podjechał do drugiej bramy, która zaczęła się otwierać. Wjechał na parking, ignorując zakaz ruchu niedotyczący jedynie pojazdów sądu, policji i prokuratury. Dawniej nie obejmował także adwokatów, ale od kiedy zaklejono ich beczelnie taśmą, parkowanie było prawnie niedozwolone. Nie przejmując się tym zbytnio, zajął miejsce z numerem 44.

- Ładne dęby - rzucił nagle Kanclerz, wysiadając z auta.
- Proszę? - Bielik był kompletnie zaskoczony.
- Dęby - pokazał palcem na młode drzewka rosnące wzdłuż ogrodzenia od strony ulicy. Westchnął przy tym głęboko,

przypominając sobie widok rozłożystego dębu stojącego tuż obok komendy miejskiej policji.

Adwokat zastanawiał się przez moment, czy wyprowadzić klienta z błędu i wyjaśnić mu, że drzewka, które wziął za młode dęby, są młodymi klonami, postanowił jednak nie wdawać się w botaniczne dyskusje. Weszli przez bramkę z kutego żelaza, chwilę potem Bielik pchnął masywne drewniane drzwi. Gdyby Kanclerz miał więcej czasu i był mniej zdenerwowany, na pewno przyjrzałyby się dokładniej ciekawemu portalowi wejściowemu do sądu, nad którym powiewała skromnej wielkości flaga, trochę już przybrudzona. Kiedy znaleźli się w środku, mężczyzna poczuł nagły przypływ paniki i musiał się mocno spiąć w sobie, aby nie odwrócić się na pięcie i nie wybiec na zewnątrz.

*

Pierwszy w historii polskiego wymiaru sprawiedliwości proces z udziałem ławy przysięgłych z jednej strony przysporzył prezesowi miłowskiego sądu poważania w środowisku, z drugiej jednak bólu głowy. Największa sala rozpraw numer 207 - którą nazywano medialną - wielką może i była, ale tylko do tej pory. Miała kształt mniej więcej kwadratu o bokach równych 12 metrom. Układ był nieco inny od tych, które można zobaczyć w amerykańskich filmach. Tam wejście znajdowało się w centralnym punkcie, a po obu stronach alejki wiodącej do sędziowskiego stołu rozstawione były ławki.

W sali numer 207 wejście było z boku, patrząc z perspektywy stołu sędziego, po lewej stronie. Tak więc w oczy od razu rzucał się długi, pięciometrowy stół sędziowski znajdujący się na prawo od wejścia. Po drugiej stronie pomieszczenia mieściła się klatka z kuloodpornych szyb, w tym procesie przeznaczona dla dziennikarzy, oraz ławki dla publiczności. Bliżej stołu sędziowskiego, jakby pośrodku ścian bocznych znajdowały się odpowiednio: po lewej stronie dwie ławki dla sędziów przysięgłych; po prawej stanowisko dla przesłuchiwanym świadków. Ponieważ w ławkach mieściło się tylko dziesięć osób, pozostali dwaj sędziowie oraz rezerwowi siedzieli na

krzesłach postawionych po dwóch stronach filaru nośnego posadowionego na tej samej ścianie, co drzwi wejściowe. Naprzeciwko stołu sędziowskiego, między nim a ławkami dla publiczności, znalazło się miejsce dla obrony i oskarżenia. Ta pierwsza znajdowała się centralnie na wprost miejsca, na którym siedział sędzia prowadzący rozprawę, prokurator i Grzędowicz mieli zająć stanowisko po prawej stronie, dalej od ławy przysięgłych.

*

- W której sali jest rozprawa? - spytał Kanclerz, próbując uciec myślami od czekającego go wkrótce starcia.

- 207 - Bielik walczył z zapięciem aktówki, które akurat w tym momencie musiało zastrajkować.

- Jedziemy windą? - spytał.

- Na pierwsze piętro? - zdziwił się adwokat.

- Na pierwsze? - odpowiedział równie dużym zdziwieniem. - Skoro sala ma numer 207, to jest na drugim piętrze.

- No właśnie że nie - Bielik uśmiechnął się pobłaźliwie.

- W tym przypadku sugerowanie się numeracją nie jest najlepszym rozwiązaniem. Z reguły numery sal zaczynające się od dwustu znajdują się na drugim piętrze, ale nie tutaj. Zresztą, sami pracownicy sądu sprzecząją się między sobą, czy wysoki parter jest wysokim parterem, czy już pierwszym piętrem. Na razie wygrywa ta druga opcja.

Kanclerz o nic więcej już nie pytał, ruszył w milczeniu za adwokatem. Gdy weszli na piętro, otoczył ich wianuszek dziennikarzy, a Bielik zaczął powtarzać jak mantrę: „Bez komentarza”.

*

Mimo że powierzchnia największej sali sądu okręgowego liczyła sobie ponad 140 metrów kwadratowych i do tego dnia wystarczała w zupełności na potrzeby rozpraw, tym razem mogła się okazać za małą. Dlatego jeszcze przed rozpoczęciem procesu, prezes zwołał naradę zaufanych ludzi i wspólnie podjęli kilka ważnych decyzji. Po pierwsze, jedną z pięciu ławek dla publiczności wyniesiono, tym samym robiąc miejsce dla

obrony i oskarżenia. Po drugie, prezes postanowił ulokować przedstawicieli mediów w klatce, w której zwykle znajdowali się niebezpieczni przestępcy. Było tam 26 miejsc w czterech ławkach, po dostawieniu dwóch krzeseł pojemność łoża prasowej udało się zwiększyć do 28.

Pozostało tylko jeszcze wybrać miejsce dla operatora kamery. Ponieważ umieszczenie więcej niż jednej jeszcze bardziej zagęściłoby zapełnioną już przestrzeń, prezes - w konsultacji z ministerstwem sprawiedliwości - podjął odważną decyzję: na sali rozpraw znajdzie się tylko jedna kamera i jeden operator, wszystkie media telewizyjne miały się porozumieć co do dzielenia się sygnałem. Kiedy już doszło do konsensusu, wybór miejsca był łatwy: znalazło się ono dwa metry od drzwi wejściowych, centralnie na ich wysokości, między stołem sędziowskim a drugą ławą sędziów przysięgłych, patrząc od czoła. Dzięki temu operator mógł bez problemu objąć zasięgiem stoły: obrony, oskarżenia, sędziowski i świadka. Przysięgłych filmować z tego stanowiska nie mógł, ale też zgodnie z obowiązującymi przepisami nie wolno mu było rejestrować ich wizerunku.

Kiedy prezes rozrysował sobie wszystko na kartce formatu A4, wyglądało to znośnie. Jak się jednak okazało w rzeczywistości, sala o powierzchni ponad 140 metrów kwadratowych wydawała się mała jak jakiś pawłacz. Dobrze chociaż, że można było uchylić każde z trzech okien, a gdyby to nie pomogło, włączyć klimatyzację. W tym momencie prezes pogratulował sobie walki sprzed kilku lat o fundusze na remont sądu. Teraz klimatyzowana sala medialna była jak znalazł.

Rozdział 26

Ponieważ przebieg procesu przed ławą przysięgłych miał się nieco różnić od przebiegu standardowego procesu, zanim na salę zostali wpuszczeni dziennikarze i publiczność, sędzia Aldona Ginkowska jeszcze raz przypomniała sędziom przysięgłym i obu stronom o zasadach powoływania świadków.

Prawo takie miały obie strony i każda mogła powołać kogośkolwiek, z małym wyjątkiem: oskarżeniu nie wolno było wezwać na świadka oskarżonego, mogła to zrobić tylko obrona. Podobnie jak w normalnej sprawie, także tutaj oskarżyciel zgłaszał listę świadków już w akcie oskarżenia, potem, w trakcie procesu, mógł powołać nowych, jeśli tylko uznał to za stosowne. Z kolei obrona mogła składać wniosek o powołanie świadka od momentu otwarcia przewodu sądowego, czyli już od pierwszej rozprawy. Zanosilo się więc na to, że w pierwszym dniu procesu najwięcej szans na zaprezentowanie kunsztu swej gry aktorskiej będzie miał prokurator Dobrowolski, najpierw w ramach mowy wstępnej odczytując akt oskarżenia, potem zaś powołując pierwszych świadków oskarżenia: policjantów obecnych na miejscu zdarzenia, lekarza medycyny sądowej i pracownika ochrony marketu Skalamandra. Planowane było także wystąpienie oskarżyciela posiłkowego, w którego zastępstwie miał się wypowiedzieć mecenas Kowalski.

Istotną zmianą w porównaniu do zwykłej sprawy była kolejność przesłuchiwania świadków. Zwykle pierwszeństwo miał prokurator i to bez względu, czy zeznawał świadek powołany przez niego, czy przez obronę. W procesie przed Wielką Ławą Przysięgłych jako pierwszy pytania miał zadawać ten, kto świadka powołał.

*

Kiedy dopełniono ostatnich formalności i sędzia Aldona Ginkowska pouczyła uczestników procesu, na salę wpuszczono wybranych w tajnym losowaniu dziennikarzy. 28 miejsc w klatce dla niebezpiecznych przestępców podzielono według specjalnie opracowanego algorytmu: 8 przeznaczono dla reprezentantów prasy lokalnej, 10 dla przedstawicieli gazet ogólnopolskich, pozostałe 10 dla korespondentów zagranicznych. Oczywiście ci, dla których sierotka nie była łaskawa, protestowali, jednak na nic się to nie zdało.

O wiele łatwiej poszło z mediami elektronicznymi: obrazem z jedynej kamery miały się podzielić wszystkie chętne telewizje, podobnie dźwiękiem z kilku mikrofonów rozsta-

wionych w sali.

Nieco więcej problemów było z publicznością, bo chętnych do obejrzenia niepowtarzalnego spektaklu było kilka razy więcej niż miejsc. Tutaj też z pomocą przyszedł ślepy traf: ludziom rozdano numerki z szatni, potem zaś wylosowano szczęśliwców. O ile przydział miejsc w łoży prasowej był stały, o tyle totolotek dla publiczności miano rozgrywać przed każdą kolejną rozprawą.

*

Zajmowanie miejsc trwało dobry kwadrans. Kiedy już salę opanowała cisza, sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na operatora kamery niczym sędzia piłkarski na bramkarzy tuż przed pierwszym gwizdkiem. Gdy ten potaknął dostojnie głową, rozpoczęła rozprawę. Po sprawdzeniu listy obecności i podaniu wytycznych dotyczących zachowania się na sali sądowej, oddała głos prokuratorowi, ten odkasłał nerwowo, po czym rozpoczął mowę wstępną.

- Niech was, drodzy sędziowie przysięgli, nie zwiedzie niewinny wygląd oskarżonego, którego obrona będzie pewnie kreować na chłopka-roztropka, takiego, co to dobrze nie potrafi zliczyć do pięciu bez wyłamywania palców - Dobrowolski na własnych dłoniach zaprezentował, jak policzyć do pięciu, wyłamując jednak palce. - W trakcie tego bezprecedensowego w historii polskiego prawodawstwa procesu oskarżenie udowodni, że ten człowiek - ręka, która jeszcze ułamek sekundy temu liczyła do pięciu, wystrzeliła w kierunku Damiana Kanclerza z niemal ponadświatłą prędkością -13 kwietnia bieżącego roku około godziny 21.33 na parkingu marketu Skalamandra w Miłowie Wielkopolskim pozbawił życia dwóch mężczyzn, przed którymi to życie stało dopiero otworem - zrobił pauzę, chcąc, aby słowa zapadły sędziom przysięgłym w pamięci. - Oskarżenie udowodni, że ten człowiek - ręka nadal wbijała się Kanclerzowi między oczy - wykorzystał swoje umiejętności nabyte podczas treningów karate do własnych celów i, sprzeniewierzając się zasadom tego szlachetnego w założeniach sportu, spowodował śmierć

dwóch wspomnianych już mężczyzn - kolejna teatralna przerwa. - Oczywiście obrona będzie próbowała bagatelizować udział Damiana Kanclerz w tym zajściu, które będzie pewnie chciała nazywać nieporozumieniem - tym razem ręka obdarzyła swym wskazaniem Bielika. - Pewnie można by je nazwać nieporozumieniem, gdyby oskarżony 13 kwietnia bieżącego roku około godziny 21.33 na parkingu marketu Skalamandra w Miłowie Wielkopolskim potrafił trzymać nerwy na wodzy. Gdyby wtedy zechciał, jak kulturalny człowiek, wyjaśnić powody ataku świętej pamięci Mariana i Stefana Grzędowicz, do tej tragedii najpewniej by nie doszło. Ale oskarżony - ręka wróciła między oczy Kanclerza

- wolał dać upust swym zwierzęcym instynktom, skrywanym skrzątnie pod płaszczykiem kochającego męża i ojca. Tak, moi drodzy - ręka skończyła swą misję, Dobrowolski spojrział dobrotliwie na ławę przysięgłych - prawdziwa natura człowieka, którego dzisiaj widzicie na ławie oskarżonych, skrywa się pod maską, która to maska 13 kwietnia bieżącego roku około godziny 21.33 na parkingu marketu Skalamandra w Miłowie Wielkopolskim opadła, by ukazać naturę potwora. Nie dajcie się więc tej masce, którą dziś ponownie przybrał, zwieść! - rzucił twardo, po czym dostojnym krokiem wrócił na miejsce. - Wysoki Sądzie, Wielka Ławo Przysięgłych, w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej oskarżam Damiana Kanclerz, syna Bolesława, o przekroczenie granic obrony koniecznej i nieumyślne spowodowanie śmierci Mariana Grzędowicz, lat 32 oraz Stefana Grzędowicz, lat 34, to jest o przestępstwo z artykułu 155 kodeksu karnego - zakończył z wyrazem zadowolenia wymalowanym na twarzy, zupełnie jakby sam fakt postawienia zarzutu miał się przełożyć na skazanie.

- Wielka Ławo Przysięgłych... - mecenas Kowalski wstał, zrobił krok w kierunku ławek, w których siedzieli przysięgli. - Dla mojego klienta, Edmunda Grzędowicza, który w tej sprawie występuje w charakterze oskarżyciela posiłkowego, śmierć jego jedynych synów, Mariana i Stefana, jest wciąż przeżyciem tak bolesnym, że nie był on w stanie przyjąć

dzisiaj, aby na tej sali spojrzeć w twarz człowiekowi, który w bezduszny sposób pozbawił ich życia - wrócił do stołu, sięgnął po statyw oparty o ścianę, rozłożył jego nogi, po czym zdjął zakrywające go płótno. Oczom sędziów przysięgłych, jak i milionom widzów przed odbiornikami, ukazały się uśmiechnięte dwie buzie dziesięcioletnich może chłopców siedzących na kolanach mężczyzny w średnim wieku. Zdjęcie oprawione w zwykłą, najtańszą ramę (Kowalski wymógł to na Grzędowiczu nie bez kłopotów) było przepasane czarną wstążką. - Dlatego ja w jego imieniu proszę was, drodzy sędziowie przysięgli, o taki werdykt, który zrozpaczonemu ojcu dwóch zamordowanych synów pozwoli poczuć, że na tym świecie jest jeszcze resztką sprawiedliwości.

- Panie mecenasie, pańska kolej - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na Bielika.

Ten wstał, momentalnie zapominając o przygotowanej wcześniej mowie, w odpowiedzi na mowę prokuratora postanowił improwizować. Zapiął guziki marynarki, nagle zaczął klaskać. Zaklaskał trzy razy, po czym rzekł głośno, patrząc na przysięgłych: - To brawa dla pana prokuratora, który zasługuje co najmniej na owację na stojąco. Rzadko się bowiem zdarza, żeby oskarżyciel publiczny, którego zadaniem jest stanie na straży sprawiedliwości w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, w tak bezpośredni sposób z tejże sprawiedliwości kpił. Tak, drodzy sędziowie przysięgli, to wystąpienie prokuratora, którego wszyscy byliśmy świadkami, jest dowodem na to, że celem oskarżyciela nie jest przeprowadzenie sprawiedliwego procesu, a tylko gra pod publiczność. Trzeba bowiem być manipulatorem godnym Machiavellego, żeby mojego klienta obrzucić takimi, tanimi, dodajmy, epitetami - zrobił pauzę dla zwiększenia efektu. - Sędziowie przysięgli, po mowie wstępnej oskarżenia wiecie już, w jakim poważaniu oskarżyciel ma chłopów, rolników, którzy całe życie pracują ciężko na roli, aby tacy jak pan prokurator mogli jeść chrupiący chlebek posmarowany pysznym masłem i okraszony pachnącą szyneczką - kolejna przerwa obliczona na to, aby podniebienia wszystkich zgromadzonych na sali zdążyły sobie wyobrazić ów

zestaw śniadaniowy. - Ale coś mi się wydaje, że pan prokurator podobnie myśli o innych ciężko pracujących, o tych, których dłonie - podszedł do stołu i zaskoczonemu Kanclerzowi podniósł obie ręce do góry - są spracowane niejednokrotnie do krwi. Tej samej krwi, którą 13 kwietnia bieżącego roku około godziny 21.33 na parkingu marketu Skalamandra w Miłowie Wielkopolskim Damianowi Kanclerzowi i jego rodzinie chciało utoczyć dwóch bezwzględnych bandytów, których oskarżyciel posiłkowy próbuje ukazać jako kochających synów swojego tatusia - opuścił ręce. Podszedł do zdjęcia uśmiechniętych chłopców. - Tak, proszę państwa, Marian i Stefan Grzędowiczowie to bandyci, których jedynym celem w życiu było krzywdzenie innych ludzi, najczęściej ciężko pracujących, takich jak mój klient - wtem zrobił obrót na pięcie i szybkim krokiem podszedł do stołu oskarżenia, oparł się rękoma o blat. - I co w zaistniałej sytuacji robi prokurator? Pamięta o paragrafie 25 punkt 1 kodeksu karnego, który mówi, że nie popełnia przestępstwa, kto w obronie koniecznej odpiera bezpośredni, bezprawny zamach na jakiegokolwiek dobro chronione prawem? Czy pan prokurator gratuluje ojcu rodziny, który stanął w obronie swoich najbliższych, ratując im życie? Wnioskuje do prezydenta kraju o wręczenie mu medalu za odwagę, co proponują autorytety z całego kraju? Nie! - walnął pięścią w stół, aż wylała się woda z jednej ze szklanek. - Prokurator oskarża mojego klienta o to, że ratując życie swoje i swoich najbliższych, próbując odeprzeć atak dwóch bandytów, których miejsce jest w więzieniu, a nie na wolności, przekracza obronę konieczną! Pan prokurator oskarża mojego klienta o nieumyślne spowodowanie śmierci tychże dwóch bandytów, których na tejże sali sądowej chwilę wcześniej nazywa mężczyznami, przed którymi życie stało dopiero otworem! - wznosił ręce ku górze w wymownym geście. Nagle odwrócił się w stronę Dobrowolskiego. - Czyżby panu prokuratorowi zależało na tym, aby ci dwaj bandyci dalej grasowali po ulicach naszego kochanego miasta, aby dalej zaczepiali Bogu ducha winnych ludzi i aby ich krzywdzili? - kolejny zwrot w kierunku ławy przysięgłych. - A może panu prokuratorowi zależało na

tym, aby Marian i Stefan Grzędowiczowie pobili do nieprzytomności pani siostrę? - wskazał ręką na Darię Zielińską. - Albo pańską córkę? - pokazał na Józefa Łapka. - A może pańskiego najmłodszego syna? - przeniósł spojrzenie na Jana Karpiela

Wtem Bielik zamilkł, wrócił do stołu obrony, pokazał ręką na Damiana Kanclerza. - Nieporozumienie! Tak oskarżyciel nazwał zajście, w wyniku którego ciężkiego urazu doznał szwagier mojego klienta. Nieporozumienie! Tak oskarżyciel nazwał zajście, podczas którego zdrowie i życie mógł stracić również mój klient, gdyby w porę odpowiednio nie zareagował - odwrócił spojrzenie w kierunku ławy przysięgłych.

- Nieporozumienie! - zaklaskał trzy razy. - Ogromne brawa dla prokuratora, który nieporozumieniem nazywa bestialski atak dwóch bandytów, którzy uzbrojeni w kije bejsbolowe zaczepiają przypadkowych ludzi tylko po to, aby dać upust swoim najgorszym instynktom. Oczywiście! - podszedł do stołu oskarżenia. - Gdyby to pan prokurator był na miejscu zdarzenia, wysłałby do tychże bandytów list polecony za potwierdzeniem odbioru, proponując wyjaśnienie owego nieporozumienia!

Z tyłu sali dobiegł chichot, Bielik pozwolił, aby świadomość tego faktu dotarła do przysięgłych, po czym zaczął mówić dalej: - Co jeszcze powiedział prokurator? Muszę sięgnąć do notatek, bo chciałbym zacytować go jak najdokładniej

- podszedł do stołu obrony, chwycił za karteczkę. - „Gdyby tego dnia Damian Kanclerz zechciał, jak kulturalny człowiek, wyjaśnić powody ataku świętej pamięci Mariana i Stefana Grzędowicz, do tej tragedii najpewniej by nie doszło”. Koniec cytatu. Do tej tragedii najpewniej by nie doszło... - czekał, aż słowa wryją się w głowy obecnych na sali. - Oczywiście, pod warunkiem, że dwaj bandyci w osobach Mariana i Stefana Grzędowiczów nie zjawiliby się w tym miejscu i nie zaatakowali bestialsko mojego klienta i jego rodziny. Gdyby ich tam nie było, mój klient mógłby żyć spokojnie, a nie stawać jako oskarżony przed Wielką Ławą Przysięgłych. Gdyby tych bandytów tam nie było, mój klient nie musiałby się tłumaczyć, dlaczego stanął w obronie swojej rodziny. Ale, proszę

państwa, taki mamy w tym kraju porządek prawny, chociaż chciałoby się go nazwać bałaganem, żeby nie powiedzieć dosadniej!, że porządni ludzie są ciągnięci po sądach, zaś przestępcy i bandyci śmieją im się w twarz. I chyba to właśnie oskarżenie chce udowodnić - kolejna pauza dla zwiększenia efektu. - Ale, panie prokuratorze, mam dla pana złą informację: nie musi pan tego udowadniać, my wszyscy jak na tej sali jesteśmy - jednak nie wszyscy, bo Bielik zatoczył ręką koło obejmujące tylko publiczność i ławę przysięgłych - wiemy o tym doskonale - uśmiechnął się szeroko. - Sędziowie przysięgli - zwrócił się ponownie w kierunku ławy, już dużo spokojniejszym tonem - podczas tego procesu obrona udowodni, że to Damian Kanclerz jest ofiarą zajścia z 13 kwietnia i że prokuratura poszła po najmniejszej linii oporu, zupełnie nie przejmując się dowodami, które od samego początku wskazywały na brak jakiegokolwiek winy mojego klienta. Dlaczego prokuratura tak się zachowała? Ponieważ prokuratorowi Dobrowolskiemu zależało tylko i wyłącznie na tym, aby wepchnąć do sądu kolejny akt oskarżenia. A co robi prokurator, jeśli dowody są na tyle miałkie, że na to nie pozwalają? Ano wciska sprawę rękoma, nogami, czymkolwiek, byle tylko odhaczyć w sprawozdaniu kolejną sprawę skierowaną do sądu. Byle tylko zgadzała się statystyka - wstrzymał na chwilę głos.

- Statystyka, z której prokurator jest rozliczany i od której zależą jego premie i awanse. Ale, drodzy sędziowie przysięgli - podniósł palec wskazujący prawej ręki w geście oskarżenia niczym ostatni sprawiedliwy na sądzie ostatecznym - to właśnie jest dowód na to, że oskarżycielowi wcale nie zależy na sprawiedliwym i bezstronnym procesie, a jedynie na cyferkach w odpowiednich kolumnach. Tyle tylko, że mój klient nie jest żadną cyferką. Jest człowiekiem z krwi i kości, czującym, posiadającym cudowną rodzinę i ciężko pracującym na to, aby ją utrzymać - zakończył patetycznym tonem. Wrócił do stołu obrony, usiadł obok Kanclerza, obejmując go ramieniem, jakby chcąc w ten sposób dodać otuchy.

Ten fakt przedstawiciele mediów i sędziowie przysięgli skrzętnie zanotowali, pierwsi w notatnikach, drudzy w pamięci.

Rozdział 27

Na początek oskarżenie powołało na świadków dwóch funkcjonariuszy miłowskiej drogówki, którzy jako pierwsi znaleźli się na miejscu.

- Czy może się pan przedstawić? - prokurator Dobrowolski spytał z profesjonalnym półuśmiechem wymalowanym na twarzy.

- Drobek Andrzej, stopień starszy aspirant, Wydział Ruchu Drogowego Komendy Miejskiej Policji w Miłowie Wielkopolskim - chociaż policjant próbował sprawiać wrażenie zrelaksowanego, to widać było, że jest mocno zdenerwowany. W końcu przemawianie przed tak dużym audytorium to nie było wręczanie mandatów za złe parkowanie.

- Ile lat służy pan w policji?

- Czternaście - odpowiedział z nieskrywaną dumą.

- Proszę z grubsza opisać przebieg służby.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Bielik postanowił zaznaczyć swoją obecność. - Przebieg służby świadka nie ma znaczenia dla sprawy.

Sędzia Aldona Ginkowska spojrzała pytająco na prokuratora.

- Oskarżenie chce określić kompetencje biegłego - Dobrowolski sprawnie wybrnął z kłopotu.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Bielik nie zdążył nawet usiąść.

- Świadek Drobek nie jest biegłym, a jedynie funkcjonariuszem policji obecnym na miejscu zdarzenia.

- Panowie, po kolei - sędzia Aldona Ginkowska myślała gorączkowo. - Pierwszy sprzeciw obrony zostaje oddalony, oskarżenie ma prawo do zakreślenia kompetencji swojego świadka. Drugi sprzeciw zostaje podtrzymany, świadek Drobek nie jest biegłym wpisanym na listę biegłych Sądu Okręgowego w Miłowie Wielkopolskim. Czy świadek jest może wpisany na listę biegłych innego sądu okręgowego w Polsce?

- sędzia skierowała pytanie do policjanta.

- Nie, Wysoki Sądzie - odpowiedział krótko Drobek

- W takim razie proszę kontynuować - poleciła sędzia Aldona Ginkowska.

- Powtórzę więc: proszę pokrótce opisać przebieg pańskiej służby - Dobrowolskiego nie trzeba było dwa razy zachęcać. - Szczególnie interesują mnie kwestie ewentualnych nagród i nagan.

- Żadnej nagany nigdy nie otrzymałem - policjant się obruszył. - Za to nagród kilka, awansowałem też zgodnie z przyjętą w firmie praktyką, a nawet nieco szybciej - dodał, wyraźnie z tego faktu zadowolony. - Obecnie pracuję w ogniwie wypadkowym.

- Ile lat pracuje pan w ogniwie wypadkowym?

- Od ośmiu lat.

- Do tego ogniwą trafiają najbardziej doświadczeni funkcjonariusze? - Dobrowolski zadał pytanie, na które wszyscy obecni na sali mogli odpowiedzieć od razu.

- Tak - dostojne potaknięcie głową potwierdziło przypuszczenia graniczące z pewnością.

- Więc można o panu powiedzieć, że jest doświadczonym funkcjonariuszem policji?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - rzekł Bielik nad wyraz spokojnie, niemal wręcz znudzonym głosem. - Świadek ma mówić na swój własny temat.

- Podtrzymuję - zawyrokowała sędzia Aldona Ginkowska.

- Proszę inaczej sformułować pytanie.

- Nie trzeba, świadek już zeznał, że w ogniwie wypadkowym pracują najbardziej doświadczeni funkcjonariusze drogówki - Dobrowolski wycofał się rakiem.

- W takim razie proszę kontynuować - poleciła sędzia Aldona Ginkowska.

- Proszę pokrótce opisać okoliczności związane z interwencją na parkingu marketu Skalamandra - mówił dalej Dobrowolski.

- Wykonywaliśmy akurat rutynowy partol w okolicach śródmieścia, gdy około godziny 21.50 otrzymaliśmy zgłoszenie o zdarzeniu na parkingu Skalamandry...

- Dla uściślenia - przerwał mu gwałtownie. - Z kim wyko-

nywał pan partol?

- Z aspirantem Tomaszem Krzywym.

- Aspirant Tomasz Krzywý został wezwany przez oskarżenie na świadka, będzie zeznawał w następnej kolejności

- Dobrowolski skierował uwagę do ławy przysięgłych, jakby w jakiś znaczący sposób mogła ona wpłynąć na odbiór wyjaśnień Drobka. - Gdzie znajdowaliście się, panowie, gdy otrzymaliście zgłoszenie od dyżurnego?

- Na ulicy Sikorskiego, na wysokości dworca kolejowego.

- Co działo się dalej?

- Ruszyliśmy na sygnale na wskazane miejsce.

- Ile trwał dojazd?

- To jest bardzo blisko, nie więcej jak pół minuty.

- Czyli można przyjąć, że na miejscu zdarzenia patrol policji zjawił się około 21.51?

- Tak można przyjąć - potwierdził Drobek.

- Jaką sytuację zastaliście na miejscu?

- W miejscu zdarzenia stały dwa samochody osobowe, audi A8, koloru ciemnego granatu oraz daewoo matiz, rocznik 1993, kolor wrzosowy. Auta dzieliło kilka metrów - opisywał policjant. - Obok matiza leżał mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, któremu pomocy próbowały udzielać trzy osoby: dwie kobiety i mężczyzna.

- Czy któraś z tych osób jest obecna na sali?

-Tak.

- Może pan ją wskazać?

- Owym mężczyzną udzielającym pomocy drugiemu mężczyźnie był oskarżony - pokazał palcem na Kanclerza.

- Czy oprócz leżącego na ziemi mężczyzny, któremu pomocy udzielały te trzy wspomniane przez pana osoby, na miejscu zdarzenia był ktoś jeszcze? - Dobrowolski powoli zmierzał ku finałowi.

- Między autami leżało dwóch mężczyzn.

- Co panowie wtedy zrobili?

- Obecnego na miejscu zdarzenia ratownika medycznego poprosiłem o krótkie przedstawienie sytuacji.

- Co było dalej?

- Aspirant Krzywy poprosił dyżurnego o posiłki i wezwanie prokuratora.

- Co pan robił w tym czasie? - dopytywał Dobrowolski.

- Od pozostałych uczestników zajścia próbowałem dowiedzieć się szczegółów.

- I czego się pan dowiedział?

- Z jedną z kobiet nie udało się nawiązać kontaktu, potem się okazało, że była w szoku.

- Kiedy dokładnie się to okazało? - dociekał Dobrowolski.

- Po przyjeździe drugiej karetki, gdy zbadał ją lekarz pogotowia ratunkowego.

- A pozostali uczestnicy?

- Druga z kobiet tłumaczyła, że tych dwóch mężczyzn, którzy leżeli bez znaku życia, na nich napadło i że pobili jej szwagra, a wtedy jej mąż, ten pan - Drobek pokazał ręką na Kanclerza - ich unieszkodliwił.

- Ten pan, czyli oskarżony? - Dobrowolski czuwał nad tym, aby Kanclerza nie opisywać neutralnymi określeniami.

- Tak, mówiła o oskarżonym.

- A co wówczas robił oskarżony?

- Udzielał pomocy trzeciemu mężczyźnie.

- Pawłowi Piskorczykowi, czy tak?

- Tak, dokładnie - potwierdził Drobek.

- A czy ktoś udzielił pierwszej pomocy przedmedycznej Stefanowi i Marianowi Grzędowicz? - ukryte w tle pytanie zawisło w gęstej atmosferze sali 207.

- Nie, nikt z uczestników tego zdarzenia tego nie zrobił - odpowiedział bez namysłu.

- Skąd pan to wie? - podniósł głos o jeden ton.

- Spytałem o to uczestników zajścia.

- Których konkretnie? - egzaltacja w głosie Dobrowolskiego była coraz większa.

- Wszystkich troje.

- Ktoś odpowiedział?

- Marta Kanclerz odparła, że nikt im nie udzielił pomocy, bo byli zajęci udzielaniem pomocy swojemu szwagrowi.

- Wszyscy troje byli zajęci udzielaniem pomocy jednej

osobie, podczas gdy dwie inne osoby konały na ich oczach?

- perorował dalej Dobrowolski.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Bielik nie wytrzymał. - Nie wiadomo, w którym momencie nastąpiła śmierć bandytów, którzy napadli na mojego klienta i jego rodzinę. Sugerowanie przez oskarżyciela, że udzielanie pomocy członkowi swojej rodziny, a nie napastnikom, którzy ich brutalnie napadli, jest czymś złym, zdaniem obrony jest niedopuszczalne!

- Cofam ostatnie pytanie oskarżenia - sędzia Aldona Ginkowska błyskawicznie podjęła decyzję. - Proszę nie brać tego pod uwagę - zwróciła się do przysięgłych.

- W takim razie spytam inaczej - Dobrowolski przeszedł do ostatecznego ataku. - Czy ktoś jeszcze, oprócz Marty Kanclerz, odpowiedział na pańskie pytanie o udzielenie pomocy Stefanowi i Marianowi Grzędowicz?

-Tak.

- Była to Dorota Piskorzycz? - doskonale znał odpowiedź, ale nie mógł się powstrzymać przed stopniowaniem napięcia.

- Nie. Ta pani była w szoku, jak już mówiłem - policjant był świetnie przygotowany.

- Więc kto? - zadał pytanie, jakby nie znał odpowiedzi.

W sali zaległa głucha cisza, było słycać tylko dźwięk klimatyzatora. Nagle ktoś z publiczności zakaszłał, inni spojrzeli na niego z wyrzutem.

- Oskarżony - odpowiedział Drobek.

- Co takiego oskarżony odpowiedział na pańskie pytanie o to, czy Stefanowi i Marianowi Grzędowicz udzielono pierwszej pomocy przedmedycznej?

- Cóż... - zawahał się.

- Proszę odpowiedzieć - naciskał Dobrowolski.

- To były mocno niecenzuralne słowa - wyjaśnił policjant. Tylko ci, którzy nie mieli na co dzień do czynienia z salą sądową i nie wiedzieli, że mundurowi nie mają żadnych oporów przed tym, aby w takim miejscu przytaczać nawet najbardziej wulgarne odzywki, dali się na to krygowanie nabrać. W tym gronie była większość przysięgłych.

- Proszę dokładnie zacytować to, co powiedział oskarżony -

poleciała sędzia Aldona Ginkowska tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Cytuję: „Takim chujom się nie pomaga. Dobrze im, gnojom jednym”.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań do świadka - nie była to prawda, bo Dobrowolski chciał poruszyć jeszcze kilka pomniejszych kwestii, ale w mgnieniu oka postanowił zakończyć przesłuchanie mocnym akcentem.

- Panie mecenasie, świadek jest do pańskiej dyspozycji - sędzia Aldona Ginkowska nie marnowała czasu.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - Bielik wstał, zapiął marynarkę, po czym wolnym, wystudiowanym krokiem podszedł do stołu dla świadka. - Proszę przypomnieć, ile lat służy pan w policji? - obdarzył policjanta uśmiechem najlepszego kolegi pod słońcem.

- Czternaście, z czego osiem lat w ogniwie wypadkowym, w którym pracują najbardziej doświadczeni funkcjonariusze wydziału ruchu drogowego - Drobek spojrzał w dal, na prokuratora i gdyby tylko obaj mogli sobie na to pozwolić, w tym momencie przybiliby piątkę.

- W którym pracują najbardziej doświadczeni funkcjonariusze wydziału ruchu drogowego... - podłapał Bielik, zupełnie nie przejmując się przebiegłością świadka. - Jeśli się mylę, proszę mnie wyprowadzić z błędu: funkcjonariusze wydziału ruchu drogowego - zaprezentował uśmiech równie szeroki, co fałszywy - zajmują się na co dzień pobiciami, bójkami, bójkami z użyciem niebezpiecznego narzędzia i zabójstwami.

Drobek milczał, zbity z tropu, co było widać wyraźnie po uniesionych brwiach.

- Tak czy nie? - Bielik obdarzył go kpiącym uśmiechem, odwróciwszy się wcześniej plecami do przysięgłych.

-Nie.

- Czyli funkcjonariusze wydziału ruchu drogowego nie zajmują się na co dzień pobiciami, bójkami, bójkami z użyciem niebezpiecznego narzędzia i zabójstwami?

-Nie.

- A czym zajmują się na co dzień funkcjonariusze wydziału ruchu drogowego? - Bielik kontynuował natarcie.

- Pracujemy przy kolizjach i wypadkach - odparł Drobek, wzdychając. - Także tych ze skutkiem śmiertelnym - próbował ratować sytuację, jednak mocno nieudolnie.

- Czym jeszcze się zajmujecie?

- Karaniem kierowców za nieprzestrzeganie przepisów kodeksu ruchu drogowego.

- Na przykład? - Bielik zadał pytanie beznamiętnym tonem, brakowało jeszcze tylko, aby zaczął dłubać pod paznokciami.

- Przekraczanie dozwolonej prędkości, wyprzedzanie na linii ciągłej, ignorowanie sygnalizacji świetlnej, złe parkowanie... - zaczął wyliczać.

- Złe parkowanie? - podłapał natychmiast. - A te dwa auta, które zobaczyliście panowie na miejscu zdarzenia: daewoo matiz i audi A8, były zaparkowane zgodnie z przepisami? - mówił szybko, niemal strzelając słowami jak z karabinu maszynowego.

- Daewoo tak, audi nie - odpowiedział machinalnie Drobek, zanim sobie uświadomił, że dał się złapać w pułapkę.

- Ale przecież to nie sposób parkowania wyżej wymienionych pojazdów był celem interwencji, nieprawdaż?

-Nie.

- A czy pańskim zdaniem, bardzo doświadczony funkcjonariusz drógówki, pracujący w ogniu wypadkowym, w którym, jak wiemy, pracują tylko najbardziej doświadczeni z doświadczonych funkcjonariuszy drógówki, jest na tyle doświadczonym funkcjonariuszem wydziału kryminalnego, żeby móc oceniać miejsce zdarzenia, w którym doszło do napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - krzyknął Dobrowolski.

- Świadek ma mówić na swój własny temat.

- Podtrzymuję - rzekła sędzia Aldona Ginkowska. - Proszę inaczej sformułować pytanie.

- Nie ma takiej potrzeby, wycofuję pytanie - odparł Bielik natychmiast, swój cel bowiem już osiągnął. - Chciałbym przejść do innego wątku sprawy - udał, że się namyśla.

- Wspomniał pan, że niemal od razu po zjawieniu się na miejscu zdarzenia sprawdził pan sytuację. A co w tym czasie robił pański kolega, aspirant Krzywy?

- Aspirant Krzywy mnie ubezpieczał - odparł szybko Drobek, nie wyczuwając jeszcze podstępny.

- Ubezpieczał pana? - powtórzył jak echo Bielik.

- Tak - potwierdził raz jeszcze.

- Na sali jest wielu laików nieobeznanych z policyjnymi procedurami. Czy mógłby pan pokrótce opisać, na czym polegało owe ubezpieczenie?

- Stał w bezpiecznej odległości od leżących na ziemi mężczyzn - policjant zaczął się domyślać, w którym kierunku jest prowadzony i bynajmniej mu się to nie uśmiechało, nie miał jednak wyjścia, musiał dalej brnąć w bagno.

- Tylko stał? - Bielik udał ogromne zdziwienie. - Był nieuzbrojony?

- Trzymał w dłoniach broń - gdyby mógł, nie odpowiadałby już na żadne pytanie, ale wyboru nie było.

- Zabezpieczoną czy gotową do strzału? - niechęć świadka nie robiła na Bielikowi najmniejszego wrażenia. Poradziłby sobie nawet, gdyby ten przestał mówić.

- Odbezpieczoną, gotową do strzału - potwierdził cicho Drobek.

- Czy mógłby pan powtórzyć do mikrofonu? - w tym momencie tysiące policjantów oglądających relację z sali sądowej gotowe było wziąć Bielika na prywatne przesłuchanie z opcją *all inclusive*.

- Aspirant Krzywy ubezpieczał mnie z bronią gotową do strzału.

- Czym było to spowodowane? - pytał dalej Bielik. - Bo chyba nie jest normalną procedurą w sprzeczkach parkingowych przed marketami, że podejmujecie interwencję z bronią na amunicję ostrą gotową do strzału?

- Nie, nie jest to normalna procedura - wyjaśnił niechętnie.

- Po przyjeździe na miejsce zdarzenia, zanim jeszcze rozpytałem ratownika medycznego, jedna z kobiet stwierdziła, że ci dwaj leżący na ziemi mężczyźni na nich napadli.

Dlatego aspirant Krzywy mnie ubezpieczał.

- Kobieta to stwierdziła... - Bielik się zamyślił. - A jakim tonem mówiła? Spokojnym? Opanowanym? A może zdenerwowanym?

- Krzyczała - zazgrzytał zębami.

- Krzyczała, ach tak! - grał dalej swoje. - Czy oprócz podniesionego tonu głosu coś innego wskazywało na to, że jest ona niezwykle mocno zestresowana i przestraszona?

- Płakała - ściszył głos.

- Płakała? - powtórzył bezwiednie.

- Spazmatycznie szlochała, jeśli to pana zadowoli! - policjantowi puściły w końcu nerwy.

- Tutaj nie chodzi, proszę świadka, o moje zadowolenie - Bielik nie mógł sobie odmówić moralizatorskiego wtrętu - tylko o wyjaśnienie wszelkich okoliczności przedmiotowej sprawy.

Dla spotęgowania efektu, obrócił się na pięcie i podszedł do biurka, następnie zaczął przeglądać rozrzucone na blacie papiery, udając, że czegoś gorączkowo szuka.

- Wróćmy jeszcze na chwilę do pańskiego pytania o udzielenie pierwszej pomocy przedmedycznej dwóm bandytom, którzy bestialsko napadli na mojego klienta i jego rodzinę - rzekł Bielik po dłuższej chwili.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zaprotestował Dobrowolski.

- Ten temat był już poruszany.

- Owszem, ale przez oskarżyciela - zauważyła cierpko sędzia Aldona Ginkowska. - Teraz zaś świadek jest do dyspozycji obrony i ta ma prawo zadawać mu dowolne pytania. Chyba że uznam, iż do niczego nie zmierzają - ostatnie słowa wypowiedziała, patrząc na Bielika.

- Zmierzają, Wysoki Sądzie, zmierzają - zapewnił Bielik błyskawicznie. - Proszę raz jeszcze zacytować mojego klienta.

Drobek udał, że nie wie, o którą frazę chodzi.

- Pytam o odpowiedź mojego klienta na pytanie, czy ktoś udzielił pomocy Stefanowi i Marianowi Grzędowiczom - cierpliwość w głosie Bielika zasługiwała na najwyższe uznanie.

- Cytuję: „Takich chujom się nie pomaga. Dobrze im, gnojom jednym” - tym razem policjanta nie trzeba było zachęcać do mówienia.

- „Takich chujom się nie pomaga. Dobrze im, gnojom jednym” - rzekł Bielik beznamiętnie. - Czy mój klient wypowiedział te słowa tak samo spokojnie jak przed chwilą pan i ja? Czy może był wzburzony?

- Był bardzo wzburzony.

- On to powiedział czy wykrzyczał?

- Wykrzyczał.

- A jakby pan opisał jego stan emocjonalny w chwili, w której wykrzyczał te słowa?

- Nie wiem, w jakim był stanie emocjonalnym - niemal w całej sali było słyhać, jak policjant zgrzyta zębami - ale pamiętam, że płakał.

- Płakał, tak? - Bielik triumfował. - Jaki to był płacz? Miał załzawione oczy? Chlipał? Spazmatycznie szlochał?

- Jego twarz była zalana łzami - Drobek ze zmęczenia potarł dłonią twarz.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań - Bielik opuścił głowę, dostosowując się do nastroju chwili.

- Świadek jest wolny - rzuciła sędzia Aldona Ginkowska.

- Zarządzam piętnaście minut przerwy, po czym wznowimy rozprawę od przesłuchania kolejnego świadka.

Rozdział 28

Przerwa minęła w okamgnieniu, Bielik nie zdążył nawet zamienić z klientem zdania, był zbyt pochłonięty robieniem notatek.

Zeznania aspiranta Tomasza Krzywego potwierdziły wersję Drobka. Za to większym ożywieniem sala zareagowała na profesora Mieczysława Jaracza, lekarza medycyny sądowej, który na polecenie prokuratora oglądał miejsce zdarzenia, a potem wykonał też sekcję zwłok braci Grzędowiczów, szczególnie detaliczne opisy badania poszczególnych narządów

wewnętrznych. Kiedy biegły opisywał wątroby braci, bliźniaczo zniszczone przez nadmierne spożywanie alkoholu, przez salę przebiegła salwa śmiechu i nawet sędzia Aldona Ginkowska nie mogła powstrzymać kącików ust przed mimowolną ucieczką w kierunku oczu.

W pewnym momencie Bielik zaczął się nawet zastanawiać nad celowością powołania takiego świadka przez Dobrowolskiego, ale zrozumiał zamierzenie, gdy biegły przeszedł do obrażeń, które spowodowały śmierć braci. Sformułowania: „Uderzenie w okolice małżowiny usznej z ogromną siłą miękkim przedmiotem przypominającym dłoń ludzką skutkujące krwotokiem wewnątrzczaszkowym”, czy też „Zmiażdżenie tchawicy spowodowane silnym ciosem zadany najprawdopodobniej twardym przedmiotem... Tak, to mogło być podudzie” były aż nadto wymowne.

Ale, kiedy przyszła kolej na pytania obrony, Bielik również nie zamierzał próżnować. Poruszył tylko jedną kwestię, pytając o to, czy można rozróżnić siłę ciosuadanego przez osobę chcącą kogoś zamordować z premedytacją od siły ciosuadanego przez osobę, która jest śmiertelnie przestraszona i walczy o swoje życie.

Z odpowiedzią: „Nie, nie ma takiej możliwości” Bielik pozostawił sędziów przysięgłych sam na sam, sycąc się ciszą, która nastąpiła po jej udzieleniu.

*

Chwilę potem strażnik sądowy wezwał na salę ostatniego świadka oskarżenia zaplanowanego na pierwszy dzień procesu. Był nim Maciej Pająk, 34-letni ochroniarz pracujący feralnego dnia w centrum monitoringu Skalamandry.

- Czy oprócz pana ktoś jeszcze z pracowników ochrony obiektu znajdował się w centrali monitoringu w momencie, gdy doszło do zdarzenia? - spytał Dobrowolski, próbując nie ziewnąć. Chociaż w każdej przerwie dawkował porządną kawę, po kilku godzinach słownej utarczki na sali sądowej - do tak długich przesłuchań nie był zaprawiony - był już mocno zmęczony. Co najgorsze dla oskarżenia, było to widać.

- Nie, byłem tam tylko ja.

- To normalne?

- Co takiego? - Pająk silił się na uprzejmość, zdając sobie sprawę, że właśnie występuje w mediach. Miał nadzieję na dłuższe wystąpienie, a to za sprawą Niny Warszawskiej, która wpadła mu w oko od samego początku przesłuchania.

- Czy obecność tylko jednego pracownika w centrum monitoringu jest rzeczą normalną? - mało brakowało, a Dobrowolski by ziewnął.

- Nie, z reguły jest nas dwóch, mamy do obsłużenia sporo monitorów.

- Dlaczego w tamtej chwili był pan sam?

- Kolega wyszedł do toalety - wyjaśnił Pająk.

- Jak długo go nie było?

- Dobre pół godziny.

- Tak długo? - Dobrowolski zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć planowany przebieg przesłuchania, jednak zmęczenie storpedowało plany w zarodku.

- Kolega ma bardzo dobrą przemianę materii.

- Słucham? - nie dosłyszał poprzedniej myśli, wciąż walcząc z własną niepamięcią.

- Kupę poszedł zrobić - Pająk wyjaśnił rzecz tak, że lepiej wyjaśnić się już nie dało.

Wyznanie świadka pociągnęło za sobą salwę śmiechu, śmiali się wszyscy: publiczność, dziennikarze, sędziowie przysięgli, nawet Kanclerz. Jedyne Bielik i Ginkowska próbowali trzymać fason.

- Aha - Dobrowolski spalił raka, na szczęście kamera nie wychwyciła tej subtelnej zmiany koloru jego twarzy. - Więc był pan sam w centrum monitoringu.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zaprotestował Bielik dla zasady. - Świadek już to mówił.

- Podtrzymuję - sędzia Aldona Ginkowska czuła narastające znużenie. - Panie prokuratorze, proszę przejść do konkretów.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie - w Dobrowolskiego wstąpiły nagle pokłady ożywienia. - Czy mógłby nam pan opisać, co takiego widział na ekranach monitorów?

- Na wszystkich?!
- Interesuje nas incydent związany z oskarżonym.
- Domyślam się - wyrwało się Pająkowi. - Widziałem, jak jeden gość oklepuje dwóch innych.
- Oklepuje?
- Bije - wyjaśnił cierpliwie. - Szybciutko ich unieszkodliwił. Pełny profesjonalizm - w głosie Pajaka pobrzmiwał autentyczny podziw.
- Czy ów gość, jak go pan określił, jest na tej sali?
- Tam siedzi - wskazał palcem na stół obrony.
- Dokładnie którego z nich ma pan na myśli?
- Przecież że nie papugę...
- Sąd poucza świadka, że nie należy używać słów uznawanych za obraźliwe - ton głosu sędzi Aldony Ginkowskiej nie pozostawiał złudzeń, co do dalszych konsekwencji takiego zachowania.
- Przepraszam, proszę pani... - Pajak zaczął się jąkać.
- Proszę się do mnie zwracać: Wysoki Sądzie - sędzia Aldona Ginkowska pouczyła go błyskawicznie.
- Przepraszam, Wysoki Sądzie, wymsknęło mi się - Pajak już się nie jąkał. - To był ten pan, który siedzi obok swojego adwokata.
- Rozumiem - Dobrowolski cmoknął z zadowoleniem.
- Czy pańskie słowa: „Szybciutko ich unieszkodliwił. Pełny profesjonalizm” mogę rozumieć jako bycie pod wrażeniem umiejętności oskarżonego?
- W rzeczy samej - Pajak spojrzał na Kanclerza z uznaniem.
- To była ostra jazda. Coś takiego widywałem co najwyżej na filmach... To znaczy, na niektórych, bo teraz kręcą pełno takich, co to się nawet...
- Dziękuję, nie będziemy poruszać tematów filmoznawstwa - przerwał mu prokurator.
- Wtem Kanclerz nachylił się ku Bielikowi:
- Tak pan to zostawi? - rzucił szeptem.
- Tak - uciał krótko Bielik. - Pozwolimy, aby ta wątpliwość została zasiana w głowach sędziów przysięgłych, by ją potem pieczołowicie pielęgowali, a potem, gdy ich głowy zaczną się

cieszyć efektami pracy, brutalnie wyrwiemy im tę wątpliwość z głów i zostaną z niczym - uśmiechnął się przebiegle.

- Proszę opisać, co pan widział na ekranie monitora - do zadawania pytań przeszedł mecenas Kowalski. - Chodzi mi o samo zajście między oskarżonym a ofiarami.

- Ten pan...

- Proszę mówić oskarżony - przerwał mu bezceremonialnie.

- Ten oskarżony najpierw przyjął pozycję obronną, potem przerzucił ciężar ciała na lewą nogę, wykonał piękny balans i prawym przedramieniem sparował uderzenie bejsbola. Potem znalazł się za jego plecami, prawą chwycił go za nos, a lewą walnął w ucho. I powiem panu, że to był naprawdę silny cios, bo facet zwał się jak kłoda.

- Oskarżony był za plecami ofiary, gdy wykonał uderzenie w głowę, tak? - Kowalski udawał, że się upewnia, podczas gdy manewr był obliczony ewidentnie pod publikę.

- Dokładnie tak.

- Co było dalej?

- Ten pan... Oskarżony - poprawił się natychmiast - zbliżył się do drugiego faceta, który wyjął z kieszeni nóż. Nie wiem, jak on to zrobił, ale kiedy facet z nożem wyprowadził cios, gościa już tam nie było. Zrobił unik w prawo, znowu wykonał balans i wyprowadził uderzenie z lewej nogi, tak spod kolana.

- Gdzie trafił?

- Tutaj - złapał się ręką za gardło. - Chwilę potem facet runął na ziemię.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań - Kowalski był bardzo zadowolony z przesłuchania.

- Panie mecenasie - sędzia Aldona Ginkowska zaprosiła Bielika gestem ręki.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - Bielik zabrał ze sobą garść notatek, oparł się o pulpit ławki, przy której siedział Pająk. - Ma pan świetną pamięć. Tyle szczegółów pan podał, mimo że minęło ponad pół roku - rzekł z niekłamany podziwem.

- Dziękuję - Pająk przyjął komplement z uśmiechem.

- Ma pan dobrą pamięć? - spytał nagle Bielik.

- Słucham?

- Spytałem, czy ma pan dobrą pamięć?
- Przecież pan sam... przed chwilą powiedział...
- Proszę odpowiedzieć na pytanie - wycedził Bielik.
- Mam dobrą pamięć.

- Aż taką, żeby zapamiętać, że mój klient najpierw przyjął pozycję obronną, potem przerzucił ciężar ciała na lewą nogę, wykonał piękny balans i prawym przedramieniem sparował uderzenie bejsbola? - zaakcentował ostatnie słowo. - A może po tym zajściu, już później, oglądał pan to nagranie jeszcze raz?

- Nagranie zarekwirowała policja - Pająk próbował wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, nie mógł wiedzieć, że właśnie wpadł w sidła zastawione przez adwokata.

- A nie macie tam czasem dysku zapasowego? - spytał po-błażliwie Bielik.

- Mamy.
- Na tym dysku było nagranie zapasowe?
- Było - Pająk już wiedział, że poległ na całej linii.
- Oglądał je pan już po zajściu?
- Oglądałem.
- Ile razy?
- Trudno zliczyć...

- Tyle ich było? - Bielik złapał go w sidła i trzymał w nich bezlitośnie. - Więc ile?

- Tak dokładnie to ciężko powiedzieć... - zaczął lawirować.

- To niech pan powie chociaż tak ogólnie - pomocna dłoń wyciągnięta przez Bielika miała tyle wspólnego z dobrym Samarytaninem, co polskie drogi z zachodnimi standardami.

- Proszę przy tym pamiętać, że z dysku można bez problemu odczytać, ile razy dany plik był otwierany lub odtwarzany, a dobry informatyk określi nawet, który z użytkowników tego dokonał.

- Więc...

- To było kilka razy? - naciskał Bielik. - Kilkanaście? Kilkadziesiąt?

- Kilkadziesiąt - przyznał Pająk, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Kiedy oglądał pan nagranie ostatni raz?

- Wczoraj - jęknął.

- Skoro pan tyle razy to oglądał, to pewnie nagranie jest co najmniej tak fajne, jak te niektóre filmy, o których pan wspominał?

- Nawet lepsze - Pająk czuł się już różnie, wróciwszy na znany sobie grunt.

- To w takim razie pańskie uznanie dotyczy tego, że mój klient skutecznie obronił siebie i rodzinę przed bestialskim atakiem dwóch bandytów czy raczej techniki walki, którą do tego faktu wykorzystał?

- Trudno powiedzieć... - zaczął myśleć. - Chyba to drugie.

- Chyba?

- Pewności nie mam...

- Nie szkodzi, zostawmy ten wątek - Bielik uzyskał, co chciał uzyskać. - Proszę mi powiedzieć, czy tamtego dnia oglądał pan na ekranie zdarzenie od samego początku?

- Nie, patrzyłem na różne monitory i jak trafiłem na ten z parkingu, to bójka już trwała.

- Ale potem oglądał pan całość nagrania? - upewnił się.

- Kilkadziesiąt razy?

- Tak - westchnął.

- Więc może pan nam opowiedzieć, co się działo od samego początku?

- Mogę.

- Bardzo proszę - zachęcił Bielik.

- Oskarżony...

- Proszę mówić: ten pan - przerwał mu nagle.

- Ten pan... - Pająk zgłupiał. Jeden prawnik każe mu nazywać miłowskiego Seagala - bo tak ochrzczono Kanclerza

- oskarżonym, a drugi tego zabrania. Istny dom wariatów!

- Więc ten pan razem z drugim facetem pakowali zakupy do samochodu.

- Z jakim drugim facetem? - przerwał mu nagle.

- Zaraz do tego dojdę - zaczął się niecierpliwić. - Więc oni pakowali zakupy do bagażnika, gdy nagle podjechała tamta audica, wyskoczyło z niej dwóch bysiów i jeden z nich walnął tego drugiego...

- Ten drugi nazywa się Paweł Piskorczyk - odpowiedział Bielik. - Łatwiej nam będzie rozpoznać się w sytuacji - dodał wyjaśniająco, widząc Dobrowolskiego zrywającego się do lotu.

- Jeden z tych bysiów walnął Piskorczyka bejsbolem centralnie w twarz, facet upadł. Wtedy do akcji wkroczył ten pan - pokazał ręką na Kanclerza. - Resztę już mówiłem.

- Rozumiem, nie ma potrzeby powtarzania - zrobił pauzę. - Ile osób, oprócz pana i kolegi, który ma bardzo szybką przemianę materii, pracowało wtedy na zmianie w całym kompleksie?

- Nie pamiętam dokładnie, ale zwykle na tej zmianie pracuje dwanaście osób.

Pan pełnił wtedy funkcję nadzorcą? - spytał Bielik.

- Nadzorował pan pracę kolegów z centrum monitoringu, kierował ich na newralgiczne odcinki, że użyję wojskowego terminu?

- Coś w ten deseń - Pająk zaczął intensywnie myśleć. - Nawet nazywamy to centrum dowodzenia.

- Wysłał pan kogoś na miejsce zdarzenia, które zaobserwował na ekranie monitora?

Pająk milczał.

- Czy wysłał pan... - Bielik zaczął powtarzać pytanie.

- Słyszałem - przerwał mu Pająk. - Nie, nikogo nie wysłałem.

- Czy parking przy galerii handlowej Skalamandra nie należy do obiektu?

- Należy - przyznał po chwili.

- Dlaczego więc nie wysłał pan tam nikogo, kto mógłby pomóc wyjaśnić sytuację? Sam pan stwierdził, że - sięgnął do notatek - to była ostra jazda. Coś takiego widywał pan co najwyżej na filmach.

Pająk milczał.

- Do dyspozycji miał pan jakieś dwanaście osób, a na zewnętrznym parkingu mocno kryzysową sytuację - Bielik kontynuował przesłuchanie. - Dlaczego więc nie wysłał pan nikogo, kto pomógłby rozwiązać ten kryzys i pomóc klientom,

którzy znajdowali się w potrzebie?

- Nie wiem.

- Nie wie pan czy nie chce powiedzieć?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Dobrowolski zerwał się jak oparzony. - Obrona próbuje wpłynąć na zeznania świadka.

- Podtrzymuję - zawyrokowała sędzia Aldona Ginkowska.

- To chyba nie jest zabawa przedszkolaków w piaskownicy?

- Bielik obdarzył prokuratora kpiącym spojrzeniem. - Ale dobrze, wycofuję pytanie. Zadam inne - wstrzymał oddech.

Sala czekała z napięciem.

- Czy, oglądając nagranie w czasie rzeczywistym, rozpoznał pan marki samochodów? - spytał Bielik po dłuższej chwili.

- Tak - odpowiedział Pająk, nie spodziewając się ataku, który miał za chwilę nastąpić.

- Proszę je podać.

- Daewoo matiz i audi A8.

- Audi A8 to raczej rzadki model.

- Raczej tak - Pająk wciąż nie wiedział, dokąd zmierza Bielik.

- Ten był do tego wyjątkowy, z bardzo charakterystycznymi spojlerami, prawda?

-No.

- Proszę nie odpowiadać: „No” - pouczyła go sędzia Aldona Ginkowska. - Proszę odpowiedzieć tak lub nie.

- Tak - rzekł Pająk.

- Czy widział pan ten samochód wcześniej, przed tym zajęciem? - spytał Bielik.

- Tak - Pająk już wiedział, dokąd zmierza przesłuchanie i jedyną rzeczą, na którą miał teraz ochotę, to jak najszybsze jego zakończenie.

- Często?

- Bardzo często.

- Znał pan użytkowników tego pojazdu? - dopytywał Bielik.

- Znałem - westchnął Pająk.

- Dobrze ich pan znał?

- Bardzo dobrze, często ćwiczyliśmy na jednej siłowni.

- Znał pan ich z imienia i nazwiska?

- Na mieście młodych Grzędowiczów wszyscy znają z imienia i nazwiska - Pająk prychnął lekceważąco. - Tak samo jak wszyscy wiedzą, że im się nie podskakuje.

- Rozumiem - Bielik ze wszystkich sił starał się ukryć radość z faktu, że udało się świadka zapędzić do narożnika.

- Spytam więc tak: czy dlatego nie wysłał pan nikogo z pracowników ochrony na pomoc klientom, bo nie chciał się pan angażować w konflikt spowodowany przez młodych Grzędowiczów, którym na mieście nikt nie podskakiwał?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - ryknął Kowalski. - Obrona zadała pytanie zamknięte...

- Trwa przesłuchanie przed Wielką Ławą Przysięgłych, panie mecenasie - odparła sędzia Aldona Ginkowska. - Niektóre pytania mają prawo być pytaniami zamkniętymi, o ile wnoszą coś nowego do sprawy. Oddalam sprzeciw - odwróciła wzrok w kierunku świadka. - Proszę odpowiedzieć na pytanie - poleciała.

- Tak - Pająk chciał już tylko jednego: być teraz daleko stąd.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań - Bielik skierował się do stołu obrony.

Rozdział 29

Sędziowie przysięgli, czekając w oddzielnym pomieszczeniu na transport do hotelu, nudzili się niemiłosiernie, nie próbowali przy tym kryć zmęczenia. To był długi i wyczerpujący dzień, nic więc dziwnego, że marzyli tylko o obiedzie i prysznicu, niekoniecznie w tej kolejności.

Czekali tak kwadrans - strażnik sądowy miał problem ze znalezieniem kierowcy busa, który miał ich zawieźć na Kosynierów Gdyńskich, gdzieś zniknął - i zdążyli się już podzielić na grupki, cicho rozmawiając o pogodzie, sporcie i równie pasjonujących tematach zastępczych. Wszyscy, jak jeden mąż, chcieliby w tym momencie móc się podzielić wrażeniami z pierwszego dnia procesu, ale bali się zakazu. Wszyscy, oprócz Niny Warszawskiej i Niewiadomskiego, którym wymiana

kurtuazji szybko się znudziła.

- Jak oceniasz dzisiejsze przesłuchania? - szepnęła Nina Warszawska, nachylając się nad uchem Niewiadomskiego. Kiedy poczuła delikatną woń perfum, wciągnęła powietrze nosem, rozszerzając lekko nozdrza.

- W sumie to nie wiem - odpowiedział Niewiadomski zgodnie z prawdą, bardziej pochłonięty próbą zajrzenia koleżance w dekolt niż przebiegiem rozprawy.

- Proszę państwa! - Józef Łapek wyrósł nagle zza ich pleców. - Rozmowy na temat toczącego się procesu są surowo zabronione!

- Ja tylko pytałam w kontekście atmosfery na sali sądowej

- Nina Warszawska nie dała się zbić z tropu. - Strasznie tam duszno, mimo klimatyzacji. Czy pan, jako nasz samozwańczy przywódca, mógłby poprosić sędzinę o otwarcie okien albo dodatkowe wiatraczki? W końcu jak mamy wydać sprawiedliwy wyrok, jeśli więcej uwagi będziemy poświęcać próbom niespocenia się niż przesłuchaniom świadków, którzy, tak na marginesie - uśmiechnęła się kpiąco - też się niemiłosiernie pocą i mam takie wrażenie - ściszyła konspiracyjnie głos

- wcale nie ze względu na to, żeby kłamali?

- Werdykt - rzekł Łapek dostojnie. - Jako Wielka Ława Przysięgłych wydamy werdykt, nie wyrok. Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej wyda sędzia Aldona Ginkowska.

- Jak sobie chcesz, mistrzu - parsknęła lekceważąco. - Jak sobie chcesz...

- Proszę nie mówić do mnie mistrzu - Łapek zaczął się denerwować. - A tak w ogóle, to kobiecie w pani wieku nie przystoi zachowanie jak z przedszkolnej piaskownicy...

- Z dwojga złego wolę się zachowywać jak przedszkolak niż jak gnuśny emeryt - przerwała mu bezceremonialnie.

Łapek spojrzał na nią groźnie, zaciskając przy tym usta. Chwilę potem przeniósł wzrok na Niewiadomskiego, jakby czekając na reakcję chłopaka, ten jednak przyjął taktykę milczenia.

- Dotknęłam czulej struny? - pastwiła się dalej Nina Warszawska, nie powstrzymało jej nawet pojawienie się strażnika

z listą obecności. - Józef Łapek, lat 63. Służbista i legalista, pilnuje sędziów przysięgłych, aby przestrzegali obowiązujących procedur. Jakbym się urodziła kilka lat wcześniej, to bym pana pewnie spotkała na komendzie milicji albo na jakimś marszu niepodległościowym, jako esbeka po cywilu wtopionego w tłum - mówiła wolno i wyraźnie, to nie był żaden spontaniczny wybuch złości. - A dzisiaj tacy, co to kiedyś ciemnieżyli rodaków, są policjantami lub strażnikami miejskimi i dalej gnębią niewinnych obywateli.

Cała trójka nawet nie spostrzegła, że starciu przypatruje się kilka innych osób, nawet ci, których strażnik zaczął już wyczytywać.

- Skończyła panienka z dobrego domu? - nad wyraz spokojna reakcja Łapka zaskoczyła wszystkich, łącznie z Niną Warszawską. - Każdy średnio mądry niewinny obywatel wie doskonale, że społeczność mająca aspiracje rozwijać się mentalnie i technologicznie, musi posiadać policję. Inaczej takim społeczeństwem będzie rządził chaos. A wtedy nie mogłaby pani prowadzić tej swojej świetnie prosperującej firmy.

Nina Warszawska milczała, łypiąc na niego oczami.

- Ale wróćmy do sedna sprawy - Łapek już wiedział, że z tego starcia, chyba najważniejszego, ustawiającego hierarchię w grupie raz na zawsze, wyjdzie zwycięsko. - Gdyby to pani była w sytuacji człowieka oskarżonego o popełnienie czynu zagrożonego karą wieloletniego więzienia - sprawnie ominął zakaz poruszania konkretnej sprawy Damiana Kanclerza - chciałaby, żeby przysięgli mający wydać werdykt w pani sprawie omawiali ją przy piwku i chipsach, opowiadając przy tym sprośne kawały i narzekając na przedłużające się postępowanie? - obdarzył ją dobrotliwym spojrzeniem.

- Chciałaby pani? - powtórzył po dłuższej chwili.

Nina Warszawska nic nie odpowiedziała, dalej łypiąc na Łapka. Podeszła do strażnika, który niezrażony sytuacją nadal odczytywał listę nazwisk, zgłosiła swoje i ruszyła w głąb korytarza, mając przy tym nadzieję, że Niewiadomski jest dwa kroki za nią. Za nic nie chciała być w tym momencie sama, ale odwrócić się też nie mogła, bo inni mogliby to odebrać jako

przyznanie się do porażki, czego Nina Warszawska nie miała zamiaru robić.

Wierny wielbiciel był tuż za nią i to nawet bliżej niż na dwa kroki. Potulnie dreptał, niemal wchodząc obiektowi westchnień na plecy.

*

Po wymianie zdań z Łapką Nina Warszawska nie miała nastroju do umizgów, w busie się nie odzywała, a już w hotelowym korytarzu rzuciła Niewiadomskiemu krótkie: „Zobaczymy się później” i poszła od razu do pokoju. Z szafy wyciągnęła walizkę, otworzyła ukryty schowek i wyjęła komórkę. Włączyła ją w trybie bez dźwięku, od razu przyszło kilkanaście SMS-ów, w tym informujący o kilku nieodebranych połączeniach od Jakubowskiego. Zaczęła się zastanawiać, czy oddzwonić. W końcu doszła do wniosku, że to przecież tylko niewinna rozmowa, o której i tak nikt się nie dowie. Sytuacji Kanclerza nie zmieni, za to wpływ na jej przyszłość będzie mogła mieć znaczący. Upewniwszy się w myślach, że robi dobrze, wcisnęła odpowiedni klawisz.

- Gdyby nie to, że jesteś zamknięta w tym hotelu w odosobnieniu jak jakaś księżniczka w zamkowej wieży, przybiegłbym do ciebie z bukietem pięknych róż - Maziarz vel Jakubowski vel Misiak chyba warował przy komórcie, bo odebrał już po drugim dzwonku.

- To jakaś uboższa wersja mojej ulubionej bajki - Nina Warszawska mówiła takim tonem, że trudno było wyczuć, czy kpi, czy jest poważna.

- Uboższa? - był zbity z tropu, nie mógł bowiem wiedzieć, że w jej głosie pobrzmiwają smutne tony spowodowane zajęciem z sądu.

- Rycerz do księżniczki przyjeżdża zawsze na białym koniu, nie biega na piechotę - humor zaczął jej błyskawicznie wracać.

- A! - oczami wyobraźni widziała, jak Jakubowski puka się w czoło. - Mogę przyjechać na koniu.

- Masz coś pilnego? - spytała ni to obcesowo, ni prowo-

kacyjnie.

- Tak tylko chciałem pogadać... Powspominać tamtą niezapomnianą noc - silił się na romantyzm, ale szło mu kiepsko.

- Jakby było co - rzekła w myślach, a na głos powiedziała:

- Może powspominamy innym razem, bo wiesz, że nie wolno mi rozmawiać. I tak narażam tyłek, dzwoniąc do ciebie.

- Wiem - rzucił szybko, bojąc się przerwania połączenia.

- Jak wrażenia po pierwszym dniu procesu? Pytam z czystej troski - wyjaśnił szybko i niepotrzebnie, bo szczerości w głosie miał tyle, co działacze piłkarskiej centrali rozumu w głowach, czyli ilości mniej niż śladowe.

- Nie mogę o tym mówić - wycodziła, coraz bardziej podenerwowana.

- Ja nie pytam o twoje odczucia jako sędziego - pośpieszył z równie szczerym zapewnieniem.

- To o co pytasz? - zmieniła ton na przyjemniejszy, strofując się w myślach, że jest dla niego zbyt surowa. A to mogło się obrócić na niekorzyść w walce o kontrakt! - Pełny profesjonalizm, Nina! - skarciła się ponownie.

- Jak to jest być przysięgłym? - przymilał się dalej.

- Powiem ci, że nawet dość fajnie - zaczęła mówić. - Gdyby nie to, że tracę konkretną kasę, to by mi się nawet podobało. Do tej pory kojarzyłam salę sądową tylko z telewizji, przy okazji jakichś głośnych spraw, a teraz biorę w tym udział osobiście.

- To musi być spore przeżycie...

- Żebyś wiedział - potwierdziła, wzdychając głęboko.

- Z drugiej strony to też wielka odpowiedzialność: wydać na kogoś wyrok i zadecydować, czy ma trafić do więzienia...

- Pociesz się, że będziesz tylko jedną z dwunastu osób, które podejmą tę decyzję - przerwał jej momentalnie, nie chcąc, żeby zdążyły ją ogarnąć większe wątpliwości. - A tak naprawdę to nie wy będziecie decydować, tylko dowody, które w tej sprawie moim skromnym zdaniem są ewidentne.

- Ewidentne? - zdziwiła się niepomiernie. - Skąd wiesz? Masz dojścia do prokuratury? - spytała podejrzliwie.

- Mam znajomego policjanta, który był zaangażowany w dochodzenie - skłamał gładko. - Ale zostawmy ten wątek, nie powinnaś o tym rozmawiać - zagrał chytrze, zostawiając ją sam na sam z niedopowiedzeniem.

- Masz rację - przyznała.

- Jak żarcie? - zmienił temat na dużo bezpieczniejszy.

- Dobrze, chociaż zdążyłam dopiero skosztować obiad - odrzekła. - Podobno na kolację ma być coś specjalnego.

- To już życzę smacznego - zaśmiał się. - A jak inni przysięgli? Spoko ludzie? Da się z nimi wytrzymać?

- W większości tak, tylko jest jeden taki cerber, co to w poprzednim życiu musiał być naczelnikiem więzienia albo kapo w obozie koncentracyjnym - prychnęła ze złością.

- Który to? - podpytywał dalej.

- Łapek, emerytowany nauczyciel. Czepia się każdego, kto tylko pójdzie na bok zamienić z kimś słówko - krótko opowiedziała o starciu. - Gdyby mógł, to by nas wszystkich przykuł łańcuchami do kaloryfera w jednym pokoju, żeby mieć na oku.

- A to menda...

- Kij mu w oko! - warknęła. - Słuchaj, muszę kończyć. Jestem zmęczona, chcę się wykapać...

- Rozumiem - powiedział. - Szkoda, że weźmiesz tę kąpiel beze mnie...

- Może następnym razem? - uśmiechnęła się szelmowsko, oczami wyobraźni widząc jednak muskularne ciało Patryka Niewiadomskiego, nie tego wymoczka. - Na razie!

- Trzymaj się!

*

Od razu po zakończeniu rozmowy z Niną Warszawską, Maziarz vel Jakubowski vel Misiak wybrał numer do Niewiadomskiego. Komórka budowlańca była wyłączona, znowu. Zaklął siarczyście w myślach, po czym wysłał SMS-a z dobitnie wyrażoną prośbą o kontakt.

Pół godziny później chłopak oddzwonił, przepraszając za zwłokę, tłumacząc się braniem prysznic. Człowiek

Grzędowicza już miał popisać się ciętą uwagą o nagłej tendencji do odświeżania się, ale w porę się powstrzymał. Budowlaniec mógłby go zacząć ciągnąć za język, a wtedy trudno byłoby się wytłumaczyć. Postanowił więc, tak na wszelki wypadek, nie przeciągać rozmowy, tylko od razu przejść do rzeczy. Rzucił kilka grzecznościowych uwag, następnie - co Niewiadomskiego najbardziej interesowało - stwierdził, że jego sprawa jest na dobrej drodze i że Grzędowicz oglądał transmisję z sali sądowej, bacznie mu się przyglądając. W tym miejscu pochwalił chłopaka za prezencję podczas rozprawy, jakby powstrzymywanie się od ziewania i rozłożenia na niewygodnej ławie zasługiwało na nadzwyczajny podziw. Ten jednak wpuścił komplementy jednym uchem, drugim je wypuszczając. I nie chodziło nawet o to, że nie potrafił ich przyjąć, po prostu bardziej ciekawiły go wieści związane z kontraktem, a nie dobrym zachowaniem w sali 207.

Niewiadomski aż tak się podekscytował wzmianką o swoim przyszłym potencjalnym zleceniodawcy, że do głowy mu nie przyszło, aby spytać o jedną konkretną rzecz: jakie to zdanie Grzędowicz mógł sobie o nim wyrobić na podstawie oglądania go na szklanym ekranie? To mogło być przecież przydatne szefowi agencji modeli i modelek, a nie deweloperowi. O tym jednak nie myślał, a jedyny związek z modelin- giem był w tej chwili gotów znaleźć tylko i wyłącznie w towarzystwie Niny Warszawskiej, z którą to zamierzał spędzić nie tylko najbliższy wieczór, ale, jeśliliby dobrze poszło, noc.

Rozdział 30

Człowiek Grzędowicza natychmiast zadzwonił do mecenasa Kowalskiego i zdał drobiazgową relację. Szczególnie duży nacisk położył na udział Łapka w incydencie, przytaczając wszystko, co powiedziała Nina Warszawska. Pozwolił sobie przy tym na uwagę, że jego zdaniem emerytowany nauczyciel przysposobienia obronnego mógł się okazać graczem wybitnie niebezpiecznym. Co więcej, był w stanie pokrzyżować im szyki.

Po zakończeniu rozmowy Kowalski błyskawicznie skontaktował się z Grzędowiczem, który gościł akurat u zaprzyjaźnionego prokuratora i nie mógł swobodnie rozmawiać. Kowalski stwierdził jednak, że sprawa jest pilna.

- Ja będę mówił, a ty odpowiadaj tak lub nie - rzekł Kowalski.

- Mów - Grzędowicz uśmiechnął się przymilnie w stronę gospodarza domu, postawionego i urządownego z równie dobrym smakiem, co posiadłość dewelopera w Chwałęcicach.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym nauczycielu, który się nazywa Łapek?

- Tym, który tak wszędzie węszy?

- Miałeś odpowiadać monosylabami!

- U siebie jestem - prychnął lekceważąco.

- Jak chcesz - Kowalski cmoknął z niezadowoleniem.

- Więc właśnie ten Łapek przyssał się do Niny Warszawskiej i Patryka Niewiadomskiego.

- Coś podejrzewa?! - zaniepokoił się.

- Nie - odparł. - Raczej nie... Zainteresował się nimi, bo zaczęli się do siebie kleić.

- Gówniarze! - Grzędowicz gestem ręki przeprosił prokuratora, pokazując na taras, wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. - Teraz mogę już swobodnie rozmawiać.

- Co robimy?

- Że też ten smarkacz nie potrafi trzymać fiuta na wodzy! - zamyślił się. - A może nasz człowiek by z nim pogadał?

- I co mu powie: „Słuchaj, dzwonię co pół godziny nie tylko do ciebie, ale i do twojej tymczasowej dupy i wiesz, tak sobie myślę, żebyś trzymał fiuta na wodzy do końca procesu, bo możesz nam pokrzyżować nasze plany? - Kowalski kpił w żywe oczy.

- Racja - przyznał skwaszony, bo najchętniej przywołałby gówniarza do porządku. - Szansy na urobienie innych sędziów też nie ma...

- Zapomnij!

- Pozostaje nam tylko unieszkodliwienie Łapka - rzekł nagle Grzędowicz. - Trzeba mu nadepnąć na nos, żeby go przestał

wsadzać tam, gdzie nie trzeba.

- Masz jakiś pomysł? - spytał czujnie. - Wtedy, jak rozmawialiśmy, mówiłeś coś o jego neutralizacji. Miałeś coś konkretnego na myśli?

-Nie.

- Kurwa!

- Zadzwoń do naszego człowieka - polecił Grzędowicz.

- Niech pogrzebie w przeszłości nauczyciela i znajdzie jakieś brudy. Coś, co da się wykorzystać... Zresztą, chyba nie trzeba mu będzie tłumaczyć, w czym rzecz?

- To profesjonalista - odpowiedział Kowalski. - Zaraz do niego zadzwonię.

*

Tego wieczoru Bielik pierwszy raz miał okazję odwiedzić klienta w jego własnym domu. Mieszkanie na dziewiątym piętrze wieżowca przy ulicy Staszica już na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie przytulnego i urządzonego ze smakiem, ale jednocześnie takiego, w którym próżno szukać mebli i sprzętów AGD innych niż niezbędne. Widok trzech pawlaczy zlokalizowanych w przedpokoju pozwalał sądzić, że albo gospodarz lubi majsterkować i zagospodarowywać każdą wolną powierzchnię, albo też była to lokalowa konieczność. Słyszając dziecięcy gwar za jednymi z drzwi - oklejonymi mnóstwem plakatów, o dziwo obok Avatara i Hannah Montana widniał Reksio oraz Bolek i Lolek - wszystko stało się jasne. W trzypokojowym mieszkanku w wielkiej płycie przy trojgu dzieciach każda, nawet najmniejsza szafka, była na wagę złota.

Od razu, gdy tylko Bielik wszedł do dużego pokoju, gdzie odbywało się rodzinne spotkanie, poczuł się mocno nieswojo, widząc, że nikt oprócz niego nie ma na nogach butów.

- Chwileczkę - Bielik uśmiechnął się nieco zmieszany, obrócił na pięcie i wyszedł z powrotem do przedpokoju. Zdjął buty, po czym błyskawicznie wrócił do pokoju, krzywiąc się przy tym żartobliwie.

Marta Kanclerz obdarzyła go badawczym spojrzeniem,

zastanawiając się, na ile zachowanie adwokata było wystudiowane, a na ile spontaniczne. Nie mogąc samej sobie odpowiedzieć na to pytanie, uznała, że zrobił to naturalnie. Najważniejsze, że tym mocno swojskim zachowaniem w ułamku sekundy usunął barierę, którą poczuli w momencie jego pojawienia się, szczególnie siostra ze szwagrem.

- Możemy zaczynać - rzucił Bielik ciepło, zajmując jedyne wolne miejsce na fotelu pod oknem. - Jestem gotowy - dodał po chwili, bezskutecznie próbując odsunąć od siebie rozłożysty liść rododendrona, usilnie łaskoczący go po karku.

- Przetawię - Damian Kanclerz zerwał się z kanapy - inaczej nie da panu spokoju.

- Właściwie, to myśmy już zaczęli bez pana - wtrąciła Marta Kanclerz, przyglądając się, jak mąż walczy z ciężką donicą. - Jakoś tak wyszło niechcący... Siostra ze szwagrem przysli nieco wcześniej... Nie pamiętam już które z nas poruszyło temat... - uśmiechnęła się przepraszająco.

- Nic się nie stało - zapewnił Bielik, w duchu zastanawiając się, czy podjęli już decyzję. Rzucił szybkie spojrzenie na twarz Pawła Piskorczyka. Jedynym śladem po ciężkim pobiciu była niewielka blizna u nasady nosa. - Śladem zewnętrznym, bo ciekawe, jakie blizny Grzędowiczowie zostawili po sobie w środku tego faceta - zastanawiał się w myślach.

- Nie jest źle - odezwał się nagle Paweł Piskorczyk, wpatrując w twarz adwokata.

- Słucham? - Bielik zbaraniał.

- Powiedziałem, że nie jest źle - powtórzył Piskorczyk.

- Słyszałem - prawnik czuł się mocno niezręcznie. - Chodziło mi o kontekst pańskiej wypowiedzi...

- Jest pan zdenerwowany - Marta Kanclerz zaprezentowała szeroki uśmiech.

- Skąd ta myśl? - Bielik zaczynał czuć się jak na diabelskim młynie.

- Zawsze, kiedy się pan zdenerwuje, zaczyna mówić tym swoim specyficznym prawniczym językiem - wyjaśniła spokojnie. - „Chodziło mi o kontekst pańskiej wypowiedzi” - przedrzeźniała.

- To zostałem zdemaskowany w całej rozciągłości - Bielik westchnął przesadnie.

- Pewnie się pan zastanawiał, jak się czuję - rzekł Piskorczyk po chwili. - Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie jest źle.

- Akurat - jego żona włączyła się do rozmowy znaczącym prychnięciem. - A o nocnych koszmarach zapomniałeś?

Bielik z bocznej kieszeni marynarki wyjął notesik i mały ołówek, zaczął notować.

- Każdy ma nocne koszmary - odciął się Piskorczyk, ale nerwowy ruch ramion świadczył o czymś zupełnie odwrotnym: jego senne mary nie były tymi, które miewa większość ludzi, choćby w wyniku przejedzenia się późną porą tuż przed położeniem spać.

- Akurat - kolejne prychnięcie jego żony.

- Faktycznie, dyskusja w waszym gronie zaczyna się samostannie - Bielik polizał rysik ołówka, aby lepiej pisał. - W takim razie może przejdziemy do sedna?

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

- Panią - Bielik spojrzął na Martę Kanclerz - przesłuchamy jutro. Siostrę także. Natomiast wciąż mam wątpliwości, czy pan Paweł też powinien zeznawać.

- Ze względu na jego zdrowie psychiczne? - Dorota Piskorczyk nie owijała w bawełnę.

- Dorota! - Paweł Piskorczyk skrzywił się mocno. - Jestem dużym chłopcem, poradzę sobie.

- Jasne - westchnęła głęboko. - Pamiętasz, co mówił psychoterapeuta?

Mężczyzna przygryzł nerwowo wargę.

- Po pierwsze, chciałbym wiedzieć, dlaczego nikt mi nie powiedział, że korzysta pan z pomocy psychologa? - Bielik ponownie włączył się do rozmowy. - Po drugie, co panu powiedział psychoterapeuta?

- Po pierwsze, nie wiedzieliśmy, że to jest ważne - odcięła się Dorota Piskorczyk. - Po drugie, po takiej traumie niejeden trafiłby do pokoju bez klamek. Paweł, na szczęście dla siebie i dla całej naszej rodziny, od razu po operacji skorzystał z

pomocy specjalisty. Jeszcze pół roku sesji i powinien wyjść na prostą.

- Rozumiem, nie miałem niczego złego na myśli - zapewnił Bielik. - Ale przyznacie państwo, że w obliczu tych informacji określenie, że nie jest źle, brzmi nieco na wyrost?

Zgodzili się milcząco.

- Ale ja naprawdę czuję się dobrze - rzekł po dłuższej chwili Piskorzycy. - Powiem szczerze, że jest mi łatwiej dzięki temu, że Damian załatwił tych obu skurwieli.

- Aha - z Bielika w jednym momencie zeszło powietrze.

Adwokat nie powiedział niczego więcej, nie musiał. Wszyscy obecni w pokoju w okamgnieniu zrozumieli przekaz.

*

Niewiadomski mógł się założyć, że z kolacji chyba też będzie transmisja na żywo w telewizji, bo przygotowano tak wyszukane dania, jakie do tej pory widział tylko w kulinarnym programie „Perturbacje w piekarniku”. I tak, jak najczęściej nie potrafił rozpoznać jedzenia na ekranie telewizora, tak miał z tym problemy teraz, w sali restauracyjnej hotelu „Pod Pałkami”.

- Jak mam się najeść, skoro nie wiem nawet, co nabrać na talerz? - denerwował się, chodząc wokół szwedzkiego stołu.

- Jakby nie mogli dać schabowego z kapustą.

- Brakuje ci obycia przy stole - zaśmiała się Nina Warszawska, stojąc obok. - Polecam polędwiczki w sosie kurkowym i szpinak w cieście francuskim - widelcem wskazała wymienne potrawy.

- Mięso biorę, szpinakiem to mogę co najwyżej zamknąć Łapkowi uszy - odpowiedział z uśmiechem.

Usiedli razem przy stoliku. Wszyscy pozostali, którzy siedzieli pojedynczo - co Łapek skrzętnie zapisał w pamięci - koncentrowali się na jedzeniu. Tylko tych dwoje młodych nawijało jak katarynki, co chwilę śmiejąc się głośno. Łapek już zebrał się w sobie, aby wstać i zwrócić im uwagę, że nie są tu sami, ale oni skończyli właśnie jeść i wstali od stołu.

- Nawet nie odsunął jej krzesła - zanotował w myślach nie

bez satysfakcji. - W oczach prawdziwej damy oznaczałoby to dyskwalifikację pretendenta do ręki.

Ninie Warszawskiej to jednak nie przeszkadzało, oczami wyobraźni była już w pokoju a jedyna męska ręka, o której była teraz w stanie myśleć, błędziła właśnie zmysłowo po jej karku.

Rozdział 31

W tym samym czasie, gdy niewidzialna dłoń Niewiadomskiego błędziła zmysłowo po karku Niny Warszawskiej, detektyw Rut przeciągał się szeroko, wpatrując w przestronne okno pokoju gościnnego Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej imienia Zbigniewa Herberta. Budynek ksiąznicy stał po sąsiedzku z hotelem, a akurat z pokoju gościnnego rozściierał się na niego idealny widok.

Pierwotnie Rut planował dostać się tutaj nieoficjalnie, koniec końców jednak porozumiał się z portierem i za małą opłatą wynajął lokal w pełni legalnie. Specjalną kamerę, która pozwalała filmować nawet ciemną nocą, a którą pożyczył od zaprzyjaźnionych przyrodników, ustawił już dwie godziny wcześniej tak, aby obejmowała zasięgiem pokój Niny Warszawskiej. Był również przygotowany na wariant z obserwacją gniazdka chłopaka, ale stawił na to, że wylądują u niej.

Kolejny raz sprawdził obiekt obserwacji, był pusty. - Pewnie jeszcze ćwierkają na kolacji - uśmiechnął się, wpatrując w treść SMS-a otrzymanego kwadrans wcześniej od recepcjonisty hotelu „Pod Pałkami”, opłaconego sownie nie tylko za przydzielenie tych pokoi. - Swoją drogą - mówił dalej w myślach - jego właściciel musiał mieć mocno specyficzne poczucie humoru, żeby tak nazwać hotel stworzony w przebudowanej siedzibie komendy miejskiej milicji.

Zdziwienie Ruta byłoby jeszcze większe, gdyby wiedział, że owym właścicielem jest były wysoki oficer Służby Bezpieczeństwa, który, po negatywnym zweryfikowaniu w nowej rzeczywistości politycznej, zajął się przemytem papierosów przez granicę. Dorobiwszy się znacznej sumy, zainwestował w

miłowskie nieruchomości, jak choćby w byłą komendę, gdzie tyle razy przesłuchiwał działaczy niepodległościowych, których dzisiaj nie było nawet stać na to, by w miejscu dawnej kaźni skorzystać z toalety, nie mówiąc o noclegu.

*

- Przesadził? - milczenie przerwała dopiero Marta Kanclerz.

- I to jak - Bielik kiwnął twierdząco głową. - Wyobraźcie sobie państwo, jakie wrażenie zrobi na sędziach przysięgłych świadek stwierdzający, że to dobrze, iż „Damian załatwił tych skurwieli”?

- Zagalopowałem się - Paweł Piskorzycy próbował ratować sytuację. - Przeszkoli mnie pan, przygotowujemy pytania i odpowiedzi i na pewno będzie git.

- Git? - Bielik czuł się jak balon przebity w tyłu miejscach, że łatanie dziur nie miało najmniejszego sensu. - Nawet, gdybyśmy wyreżyserowali moją część przesłuchania co do sekundy i co do jednego spójnika, to pozostaje jeszcze druga strona. Prokurator szybcierutko trafi w jakiś czuły punkt i prędzej czy później wymysknie się panu taki gwóźdź programu.

- Raczej gwóźdź do trumny - skwitował gorzko Damian Kanclerz.

- Ale przecież przysięgli to też ludzie - Dorota Piskorzycy przysłała mężowi w sukurs. - Powinni Pawła zrozumieć...

- Zrozumieją, ale i tak w ich głowach powstanie obraz pani męża cieszącego się ze śmierci Grzędowiczów - tłumaczył cierpliwie Bielik. - To, co sobie myślimy, to jedno. To, co wolno nam powiedzieć na głos na sali sądowej, to drugie.

- Dlatego szwagier nie będzie zeznawał - rzuciła Marta Kanclerz.

- Tak jest - potwierdził Bielik. - Nie będzie pan zeznawał.

- Ale jego zeznanie mogłoby być bardzo cenne - Dorota Piskorzycy nie dawała za wygraną.

- Mogłoby - zauważył Bielik. - Ale równie dobrze mogłoby bardziej zaszkodzić niż pomóc. Będziemy ryzykować?

- I tak ryzykujemy - rzekł nagle Damian Kanclerz. - Jeśli my wezwiemy go na świadka, pan zdąży go przygotować i

wycisnąć z niego tyle, ile się da. Co zrobi prokurator, to zrobi. Ale jeżeli szwagra nie wezwiemy, to zrobi to prokurator, a my nie będziemy na to przygotowani.

- Nie - Bielik machinalnie oblizal dolną wargę. - Prokurator jest na to zbyt szczwany. Wie, że gdyby wezwał pana Pawła na świadka jako pierwszy, przysięgli odnieśliby wrażenie, że pastwi się nad brutalnie pobitym człowiekiem. A przecież nie wie, jakie myśli roją się w głowie szwagra i jak by mu to pasowało do koncepcji - mówił dalej. - Tak więc nie robi tego i poczeka, aż my się tym zajmiemy. A gdy się zorientuje, że rezygnujemy z tego świadka, będzie już za późno.

*

Cierpliwość Ruta została nagrodzona już dziesięć minut później. Najpierw rozbłysło światło w obu pokojach, potem w każdym pojawiły się sylwetki lokatorów. Rut już miał zakląć w myślach, zawiedziony, gdy dostrzegł Niewiadomskiego uchylającego drzwi na taras. Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy ktoś go nie widzi, w tym momencie detektyw instynktownie odsunął się od rolet zasłaniających biblioteczne okno. A potem już tylko podziwiał umiejętności chłopaka, który wszedł na murek okalający taras, chwycił się imitacji kolumny wyrzeźbionej na narożniku budynku i zwinnie przeskoczył na daszek znajdujący się dokładnie pod oknem Warszawskiej. - Skubany - wyraził w myślach podziw dla budowlańca. - Ciekawe tylko, czy tędy wróci.

To jednak nie było już jego zmartwienie. Sprawdził, czy sprzęt nagrywa, nie mogąc się przy tym powstrzymać przed szelmowskim uśmiechem na widok scen, których był świadkiem. Zanosilo się naprawdę na gorącą noc.

- W sumie dobrze, że załatwiłem sobie legalny nocleg - pochwalił się w myślach. - Nie będę musiał przynajmniej drzeć z obawy, że zjawi się tutaj jakiś tancerz, performer czy pisarz kryminałów, jak ostatnio Koziółek, i mnie wyrzuci na zbity pysk - pochwalił się jeszcze raz, po czym podszedł do lodówki. Otworzył drzwiczki, jego oczom ukazały się oszronione już butelki piwa z małego browaru w pobliskiej Wit-

nicy. Miał do wyboru lubuskie naturalne, lubuskie wiśniowe i miłowiaka ciemnego miodowego. Które pierwsze? Chwycił za miłowiaka, po czym rozsiadł się wygodnie na krześle, pilnując, aby kamera rejestrowała to, co miała rejestrować.

*

Marta Kanclerz zaproponowała kawę, ale tylko z grzeczności, było już bowiem późno. Wszyscy wybrali więc herbatę. Gdy ruszyła do kuchni, Bielik zaoferował pomoc.

- Chce pan porozmawiać? - spytała bez zbędnego wstępu, nastawiwszy czajnik na gaz.

- Myślę, że to pani ma kilka pytań do mnie, których nie chciała pani zadawać w obecności pozostałych - odparował z delikatnym uśmiechem, opierając się o blat.

- Dlaczego nie poprosił pan o odtworzenie nagrania z monitoringu? - przesunęła w jego kierunku otwartą paczkę paluszków.

- Czekam, aż zrobi to prokuratura - wyjaśnił, chwytając za kilka paluszków. - Jeżeli Dobrowolski zechce zrobić z tego show - zaczął głośno chrupać - to mu je zepsuję.

- Skoro do tej pory nie wnosił o prezentację, to by znaczyło, że nagranie nie jest po jego myśli...?

- Też tak pomyślałem - kolejne chrupnięcie. - Ale poczekajmy jeszcze trochę, jeśli dalej nie będzie o to wnioskował, to ja to zrobię.

Przygryzła nagle wargę.

- Tak? - zachęcił ją gestem ręki.

- Nurtuje mnie jedna sprawa... - zaczęła mówić. - Dlaczego prokurator upiera się przy takiej kwalifikacji czynu?

- Ma pani na myśli fakt, że stoi to w dużej rozbieżności z oceną mediów, które okrzyknęły męża bohaterem?

W odpowiedzi potaknęła nerwowo głową.

- Prokurator Dobrowolski, jak każdy prokurator okręgowy w naszym kochanym kraju, ma nad sobą wydział kontroli, który rozlicza go z ilości aktów oskarżenia skierowanych do sądu - tłumaczył cierpliwie. - A w prokuraturze jest jak w telewizji: najważniejsze są słupki oglądalności, czyli

statystyka. Krótko mówiąc: o pozycji danego prokuratora w hierarchii decydują liczby.

- Więc Damian jest dla niego tylko cyferką?

- Można to tak obrazowo ująć - chrupał dalej. - Chociaż obrońcy praw człowieka mogliby się poczuć urażeni tak przedmiotowym traktowaniem...

- Ale przecież prokurator może tę sprawę przegrać.

- To nie ma znaczenia - Bielik uśmiechnął się krzywo.

- Dla prokuratury ważne jest, żeby sprawy nie umarzać na wczesnym etapie, tylko zakończyć ją aktem oskarżenia. A jeśli wyrok będzie uniewinniający - rozłożył wymownie ręce

- to będzie już wina tylko i wyłącznie sądu.

- „Proces” Kafki czytałam bardzo dawno temu, ale wrył mi się w pamięć...

- I teraz ma pani wrażenie, że to, co było w książce, dzieje się naprawdę? - wszedł jej w słowo, przestając chrupać.

- Tak - odparła smutno.

- Nie dziwię się - westchnął. - Mąż wpadł w trybiki systemu, który najchętniej by go przemielił, a potem wypluł na śmietnik. Moim zadaniem jest wyciągnąć go, zanim zostanie wciągnięty na dobre.

Wtem czajnik zaczął gwizdać, gospodyni odczekała chwilę, wyłączyła gaz i zalała kubki z herbatą.

- Dzieciaków prawie nie słyhać - rzekł nagle Bielik.

- Państwo macie trójkę, prawda? - upewnił się.

- Dwóch synów i córeczkę - potwierdziła radośnie Marta Kanclerz. - Mają 6, 5 i 3 lata.

- Najstarszy poszedł już do szkoły? - zainteresowanie było autentyczne, nie wystudiowane.

- Nie, bo, przepraszam za wyrażenie, to debilizm posyłać dzieci w tym wieku do szkoły. Szkolna sprzątaczką ma więcej wiedzy na ten temat od pani minister.

- Zgadzam się w całej rozciągłości - uśmiechnął się szeroko.

- Ale wracając do państwa dzieciaków, to są bardzo dobrze wychowane. No i posłuszne, skoro kazaliście im państwo być cicho, to są.

- Na pewno nie mamy z nimi takich problemów, jak ci,

którzy wychowują swoje pociechy bezstresowo - wyjęła taczkę i zaczęła stawiać na niej kubki z parującą herbatą. - Proszę wziąć cukierniczkę, jest w ostatniej szafce pod oknem.

*

- To teraz państwo nas zostawiaj - Bielik spojrzał na Damiana Kanclerza i Piskorczyków, gdy herbata została już wypita.

- A my z panią Martą jeszcze raz przećwiczymy pytania.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - rzucił Paweł Piskorczyk.

Nagle wszyscy zaczęli się śmiać i tylko ktoś mający wykształcenie psychologiczne mógłby zauważyć, że niektórzy z nich może i się śmiali, ale nie potrafili przy tym ukryć pewnej nerwowości.

- Jak długo jeszcze będą walczyć z potworami przeszłości? Chyba nie całe życie? - Bielik zastanawiał się w duchu, jednak na głos nic nie powiedział.

Zostali sami w pokoju.

- Wyłączę telewizor - Marta Kanclerz sięgnęła po pilot.

- Nie trzeba! - zaprotestował adwokat gwałtownie.

- Będzie nam przeszkadzał - zaczęła tłumaczyć.

- Wręcz przeciwnie - uśmiechnął się szeroko. - To mój ulubiony lektor: Jarosław Tomasz Łukomski - odrzekł.

- Uwielbiam filmy, w których on czyta kwestie. Nieważne jakie, mogą być nawet klasy „Z”.

- Naprawdę? - Marcie Kanclerz trudno było w to uwierzyć.

- Naprawdę - potwierdził bez zmrużenia oka. - Gdyby to on podkładał głos w „Modzie na sukces”, oglądałbym każdy odcinek! Parsknęła śmiechem.

- Jego głos jest dla mnie jak natchnienie - mówił dalej Bielik. - Przy nim będzie mi się lepiej myślało - zatarł ręce radośnie. - Właśnie wpadłem na pewien pomysł!

Rozdział 32

Drugi dzień procesu rozpoczął się od wezwania na świadka obrony lekarza medycyny sądowej, innego niż dzień wcześniej

powołała prokuratura. Bielik już wcześniej zlecił Rutowi znalezienie takiego specjalisty, który byłby konkurentem profesora Jaracza. Detektyw długo nie szukał, w środowisku znany był konflikt między nim a profesorem Wiesławem Hładkim, obaj panowie nie dość, że od lat walczyli o laury na polu naukowym, to jeszcze rywalizowali o względy tej samej kobiety. Oczywiście o tych faktach Bielik nie zamierzał informować ani przysięgłych, ani dziennikarzy, za to zamierzał je bezlitośnie wykorzystać na sali sądowej.

Jak zaplanował, tak zrobił. Już pierwsze pytanie o ocenę obrażeń, jakich doznał Paweł Piskorzyczek rozochociło profesora Hładkiego tak mocno, że zaprezentował krótki wykład na temat trudności w prawidłowym wzroście kości nosowych i łzowych. Potem, po kolejnym pytaniu adwokata, płynnie przeszedł do rozpatrywania problematyki uszkodzeń oczu jako następstwa silnego uderzenia twardym przedmiotem. W trakcie tego drugiego wykładu Bielik wymownie trzymał w dłoniach dowód rzeczowy w postaci kija bejsbolowego.

- Panie profesorze, bardzo gorąco dziękuję za wyczerpujące przedstawienie nam tematu - Bielik przerwał mu w pewnym momencie, czując, że uwaga sędziów przysięgłych nieco się stępiła zbyt długim wystąpieniem świadka. - Prosiłbym jeszcze o krótkie przedstawienie najważniejszych zagadnień dotyczących rehabilitacji Pawła Piskorczyka i procesu leczenia lewego oka.

- Pokróćce? - upewnił się profesor Hładki.

- Dokładnie tak - Bielik odpowiedział uśmiechem skierowanym w stronę przysięgłych.

- Obrażenia lewego oka spowodowane uderzeniem tęnym narzędziem, którym pan mecenas bawi się od dłuższej chwili - naukowa tendencja do dygresji zwyciężyła - były tak poważne, że istniało prawdopodobieństwo niemal 90-procentowej utraty zdolności widzenia. Leczenie tego typu urazów jest tak trudne, że w naszym kraju nikt się go nie podjął. Dlatego też Paweł Piskorzyczek skorzystał z usług lekarzy niemieckich specjalizujących się w leczeniu tego typu urazów.

Ponieważ jednak nasz fundusz zdrowia nie zwraca pieniędzy

za takie procedury medyczne, pacjent musiał je opłacić z własnej kieszeni. Jeśli mnie pamięć nie myli, kosztowało to 80 tysięcy złotych.

- Dokładnie 80 tysięcy 926 złotych i 16 groszy - uściślił natychmiast Bielik, po czym zrobił dłuższą pauzę. - Teraz, panie profesorze, chciałbym podjąć wątek obrażeń odniesionych przez Mariana i Stefana Grzędowiczów. Zacytuję wynik autopsji zwłok obu - sięgnął po plik kartek leżący na stole. - „Uderzenie w okolice małżowiny usznej z ogromną siłą miękkim przedmiotem przypominającym dłoń ludzką skutkujące krwotokiem wewnątrzczaszkowym ” - przewrócił kartkę. - „Zmiażdżenie tchawicy spowodowane silnym ciosem zadany najprawdopodobniej twardym przedmiotem”. Ten ostatni cios został zadany podudziem - doprecyzował szybko. - Panie profesorze, czy można rozróżnić siłę ciosu zadanego przez osobę chcącą kogoś zamordować z premedytacją od siły ciosu zadanego przez osobę, która jest śmiertelnie przestraszona i walczy o swoje życie?

- Tak, ale tylko w „CSI Kryminalnych zagadkach Miami”

- odpowiedział profesor Hładki z typową dla siebie swadą, która przyciągała tłumy studentów na jego wykłady, mimo że były nieobowiązkowe. - Przepraszam za ten żart, Wysoki Sądzie - dodał natychmiast - ale irytują mnie tego typu pytania. W takich przypadkach o stopniu obrażeń może decydować nawet taki drobiazg jak to, czy osoba, która wyprowadza uderzenie jądła dwie czy trzy godziny temu! Dlatego odpowiedź na pańskie pytanie może być tylko jedna: taki cios może zadać zarówno zawodowy zabójca, jak i ktoś, kto walczy o swoje życie.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Dobrowolski i Kowalski pytań do profesora Hładkiego nie mieli.

*

Drugim świadkiem obrony tego dnia była Marta Kanclerz. Gdy tylko weszła na salę, od razu dało się wyczuć jej ogromne zdenerwowanie, nie pomógł nawet kojący uśmiech zapre-

zentowany przez obrońcę.

Stała na miejscu przeznaczonym dla świadków, przytrzymując się mównicy.

- Zanim rozpoczniemy przesłuchanie świadka, sąd przypomina świadkowi, że jako osoba bliska oskarżonemu ma prawo do odmowy zeznań - wyjaśniła sędzia Aldona Ginkowska. - Czy rozumiała pani treść pouczenia?

- Tak, rozumiałam. Chcę zeznawać. Nie mam niczego do ukrycia - rzekła dobitnie Marta Kanclerz.

- Rozumiem - sędzia potaknęła dostojnie głową. - Ma pani także prawo do uchylenia się od odpowiedzi na pytanie, gdyby odpowiedź mogła narazić pani męża na odpowiedzialność karną. Zrozumiała pani treść pouczenia?

- Tak jest - potwierdziła.

- Panie mecenasie, proszę zadawać pytania - poleciła sędzia Aldona Ginkowska.

- Na początku proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło na parkingu marketu Skalamandra feralnego wieczoru - Bielik mówił wolno i wyraźnie, jakby w ten sposób chcąc uspokoić cały czas zdenerwowaną kobietę.

Marta Kanclerz zaczęła opowiadać, a gdy doszła do momentu, w którym jej szwagier padł jak rażony piorunem pod ciosem bejsbola, zaczęła płakać. Płakała już do samego końca opowieści, mówiąc także o późniejszej interwencji policjantów, wizycie na komendzie, szukaniu adwokata czy też leczeniu szwagra.

- Nie mam więcej pytań - rzekł na koniec Bielik, skinieniem głowy dziękując świadkowi za zeznania.

Zanim zdążył dojść na swoje miejsce, prokurator Dobrowolski był już przy mównicy dla świadków, z chusteczką higieniczną w ręce. Podał ją Marcie Kanclerz.

- Czy mąż był agresywny względem pani lub dzieci? - spytał nagle Dobrowolski, z zaskoczenia.

Kobieta otworzyła usta, ale w ostatniej chwili jakby zmieniła zdanie, zamknęła je, nie wydawszy dźwięku.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - ponaglił prokurator Dobrowolski.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zareagował Bielik. - Zgodnie z...

- Panie prokuratorze - sędzia Aldona Ginkowska nie czekała, aż Bielik wyartykułuje myśl do końca. - Przypominam, że świadek może uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeśli uzna, że mogłaby ona narazić na odpowiedzialność karną jego samego lub osobę bliską.

- Oczywiście - Dobrowolski pośpieszył z zapewnieniem.

- Świadek musi tylko wziąć pod uwagę, że odmowa może zostać potraktowana przez sędziów przysięgłych negatywnie.

- Panie prokuratorze, proszę nie przedstawiać takich sądów! - sędzia Aldona Ginkowska zacisnęła usta ze złością.

- To jest manipulacja - przesyłabizowała ostatnie słowo.

- Proszę świadka, proszę nie brać pod uwagę tego, co powiedział pan prokurator.

- Mój umysł to nie jest pamięć w komputerze, którą można wykasować jednym kliknięciem myszki - Marta Kanclerz wbiła wzrok w Dobrowolskiego. - I pan prokurator świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Jestem gotowa się założyć, że doskonale wiedział, iż jego stwierdzenie zostanie przez Wysoki Sąd zakwestionowane, mimo tego jednak zdecydował się je wygłosić. Zrobił to tylko po to, aby namieszać mi w głowie i sprawić, że moje zeznania staną się mniej wiarygodne dla sędziów przysięgłych - mówiła spokojnie, mocno opanowanym głosem, już nie płakała. - Proszę zabrać swoją chusteczkę - odłożyła ją na pulpit. - Jeśli po moich policzkach znów popłyną łzy, to trudno. Nie da się opowiadać o tym koszmarze, który spotkał mnie, mojego męża i moją rodzinę, bez emocji. To był najgorszy dzień w moim życiu - nagle zrobiła pauzę.

- A odpowiadając na pytanie pana prokuratora, czy mąż był agresywny względem mnie lub dzieci: nie. Nie nazwałabym tego agresywnością - rzekła po chwili, cały czas wciskając spojrzenie w prokuratora. - Czasami mąż się po prostu denerwował i to rzadko na nas, najczęściej z innego powodu...

- Z innego powodu? - podłapał Dobrowolski błyskawicznie.

- Jakiego?

- Bywał zdenerwowany za każdym razem, kiedy oglądał w telewizji mecze naszej reprezentacji piłkarskiej. Wtedy bywał mocno pobudzony... Krzyczał... Nawet wyzywał... - dokończyła cicho.

- Pamięta pani, co to były za wyzwiska? - naciskał prokurator.

- Jedno szczególnie zapadło mi w pamięci - przerwała na chwilę. - Ale jest wulgarnie i obłeśne...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie prokuratora - poleciła sędzia Aldona Ginkowska łagodnie. - Chyba że uzna pani, iż odpowiedź mogłaby narazić męża na odpowiedzialność karną - doprecyzowała natychmiast.

- Ulubionym powiedzeniem Damiana było, że nasi piłkarze grają tak, jakby mieli jaja powiązane drutem kolczastym

- Marta Kanclerz spuściła głowę.

Uwaga wywołała na sali salwę śmiechu, sędzia Aldona Ginkowska przygryzła wargę, ze wszystkich sił próbując nie parsknąć.

- Nie mam więcej pytań - twarz prokuratora Dobrowolskiego poczerwieniała[^] zdał sobie bowiem sprawę, że właśnie z kretesem przegrał kolejne starcie.

Mecenas Kowalski także nie miał pytań.

*

Ostatnim świadkiem drugiego dnia procesu była Dorota Piskorczyk. Jej zeznanie było równie emocjonalne, co siostry, momentami nawet bardziej. Gdy zaczęła opowiadać o chwili, w której mąż został uderzony kijem bejsbolowym, głos jej się załamał i potrzebowała dłuższej przerwy, aby dojść do siebie na tyle, by móc kontynuować. Efekt, jaki wywarło na sędziach przysięgłych zeznanie kobiety, był piorunujący. W głównej mierze stało się to dzięki temu, iż

- nie licząc chwilowego załamania - opowiadała spokojnie, podając mnóstwo drobnych detali, jak to, że Damian Kanclerz próbował akurat zapakować do bagażnika pieluchy, które za nic nie chciały się zmieścić między arbuzem i

zgrzewką wody mineralnej, gdy pojawili się napastnicy, czy też opis szpitalnej sali na oddziale intensywnej opieki medycznej, dopiero co wyremontowanej, pomalowanej na ciepły brzoskwinowy kolor. Takie niuanse sprawiły, że większość odbiorców, w tym sędziowie przysięgli, zaklasyfikowała świadka jako wiarygodnego, a wybuch płaczu, który pociągnął za sobą piętnastominutową przerwę, nikomu nie przyszło wiązać z wystudiowaniem i reżyserowaniem zeznania.

Odpowiadało to zresztą prawdzie, bo Bielikowi nawet przez myśl nie przeszło, aby bawić się w coś takiego w przypadku szwagierki klienta. Nie było po prostu takiej potrzeby, koszmar, który przeżyła tamtego dnia na parkingu marketu Skalamandra, wciąż był żywy, niczym Lenin w sercach rosyjskich komunistów tęskniących za świetnością dawnego Związku Radzieckiego.

Prokurator Dobrowolski, pomny wcześniejszej porażki, nie zadał Dorocie Piskorzycy ani jednego pytania. Podobnie zachował się mecenas Kowalski, a wzięwszy pod uwagę fakt, że był to już kolejny świadek, do którego nie miał pytań, zarówno Dobrowolski jak i Bielik zaczęli się zastanawiać, co za przebiegły plan rodzi się w głowie totumfackiego Grzędowicza. Na razie jednak musieli uzbroić się w cierpliwość.

*

Już po zeznaniach świadków przewidzianych do przesłuchania na ten dzień, przyszła pora na składanie wniosków procesowych. Ku ogólnemu zaskoczeniu, prokurator Dobrowolski zgłosił chęć przesłuchania dyrektorki przedszkola, do którego uczęszczało dwoje najmłodszych dzieci Kanclerzów. Oprócz niej w planach było także zeznanie senseia, trenera karate Damiana.

O ile jednak o trenerze Bielik wiedział wcześniej i skrupulatnie się do tego przygotowywał, o tyle pojawienie się nazwiska dyrektorki przedszkola wywołało niemałą konsternację w obozie obrony. Już po zakończeniu rozprawy, Bielik zwołał szybką naradę z udziałem małżeństwa i Ruta, jednak ci

pierwsi nie mieli zielonego pojęcia, jakich to informacji mógł się doszukać prokurator, że zachciało mu się wzywać dyrektorkę.

Zarówno Bielik, jak i Rut wierzyli Kanclerzom, nie podejrzewali, że ci mają coś do ukrycia, jednak detektyw zaproponował błyskawiczne śledztwo, na co adwokat przystał bez namysłu. Już pod wieczór obaj wiedzieli, w czym rzecz. Otóż ludzie prokuratora weszli w posiadanie informacji o pewnej scysji, do której dawno temu doszło w przedszkolu między Damianem Kanclerzem a panią dyrektor. Wziąwszy pod uwagę fakt, że drugi dzień procesu zakończył się totalną porażką oskarżenia, Bielik gotów był się założyć, że Dobrowolski chwyci się brzytwy, byle tylko nie pogrążyć całkowicie.

Fakt wezwania dyrektorki był - zdaniem adwokata - koronnym tego dowodem.

Rozdział 33

Józef Łapek tradycyjnie już został w sali restauracyjnej do momentu, w którym opuścił ją ostatni przysięgły. Odhaczywszy w notesiku, z którym nie rozstawał się ani na chwilę, że kolacja przebiegła bez zarzutu, wsunął kajet do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wstał, zasunął za sobą krzesło i już miał ruszyć w kierunku drzwi, gdy poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

Obejrzał się, obok stał ochroniarz, ten młody, o którym wiedział, że studiuje budownictwo w Zielonej Górze.

- Coś się stało? - Łapek spytał uprzejmie. - Jakiś problem?

- Żaden problem - ochroniarz rozglądał się nerwowo dookoła. Kiedy nie dostrzegł nikogo, mówił dalej: - Mam coś dla pana.

- Dla mnie? - zdziwił się niepomiernie. - Od kogo?

- Od przyjaciela - uśmiechnął się kwaśno, po czym w zewnętrzny kieszeń marynarki Łapka coś wsunął. - Niech pan to przeczyta dopiero w pokoju. Jasne?

Łapek już miał się odezwać, by powiedzieć, co myśli o strofowaniu dojrzałego mężczyzny przez takiego młokosa, ale coś w

wyrazie twarzy ochroniarza kazało mu porzucić tę myśl.

- Dobrze - odparł Łapek, wpatrując się w zacięte usta chłopaka.

Ten odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali restauracyjnej. Chwilę potem to samo uczynił Łapek.

*

Bielik siedział na ławeczce w Parku Róż i analizował w myślach przebieg dzisiejszej rozprawy, notując skrzętnie wszelkie krytyczne uwagi względem własnej osoby, chociaż trzeba przyznać, że uwag tych było naprawdę niewiele.

- Tylko bez przesady - strofował się. - Proces się jeszcze nie skończył!

- Ja to wiem - Rut, w typowy dla siebie sposób, zjawił się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo skąd.

- Myślałem na głos - wytłumaczył.

- Się chwali - zaprezentował szeroki uśmiech. - Mam dobre wieści z przedszkola.

-Wal.

Rut wyczerpująco opisał wizytę w przedszkolu i rozmowę z pracownikami, w tym z dyrektorką.

- Świetna robota - pochwalił Bielik, gdy tylko detektyw skończył mówić. - Wygląda na to, że uda się zminimalizować skutki planowanego uderzenia Dobrowolskiego.

- Jak to sprytnie przeprowadzisz, to powinno się nawet obrócić na naszą korzyść - zauważył Rut.

- W takim razie muszę się dobrze przygotować do jutrzejszego przesłuchania - Bielik podał Rutowi rękę. - Jeszcze raz wielkie dzięki, dobra robota!

- Pamiętaj o tym przy premii.

*

Łapek zamknął za sobą drzwi pokoju hotelowego, od razu z kieszeni wyjął tajemniczą przesyłkę. Była to kartka papieru, złożona na kilka razy. Rozwinął ją, zaczął czytać.

„Chyba nie chcemy, żeby na światło dzienne wypłynęły informacje o tym, że jeden z sędziów przysięgłych w sprawie

Kanclerza był kiedyś podejrzewany o zdefraudowanie sporej sumki z funduszu zapomogowo-pożyczkowego swojej szkoły? To dopiero byłby smród na całą Polskę. Tak więc, nasz kochany misiu, odwal się od innych i pilnuj swojego nosa.

Pozdrowienia od Joli, koleżanki z pracy”.

Łapek zaklął bezgłośnie, co zdarzało mu się wybitnie rzadko. Jeszcze raz przeczytał list, analizując zawarte w nim informacje.

Groźbę raczej. Tak, to była jawna groźba: albo przestanie zwracać uwagę na poczynania Warszawskiej i Niewiadomskiego, albo ktoś, komu z jakiegoś powodu zależy na kontaktach tej dwójki, dobierze się mu do dupy.

Smród.

Zaklął raz jeszcze. Już raz taki smród wokół siebie przeżył, właśnie wtedy, kiedy wybuchła afera. Pracował wówczas w Nowej Soli, jako członek związku zawodowego nauczycieli nadzorował pracę księgowej zarządzającej funduszem zapomogowo-pożyczkowym niemal wszystkich nowosolskich szkół. Któregoś dnia, po dogłębnej kontroli, okazało się, że w kasie brakuje ponad 250 tysięcy złotych. Sprawą z miejsca zainteresowała się prokuratura, księgowa uciekła na długie zwolnienie chorobowe, a on został sam na placu boju, próbując tłumaczyć oszukany nauczycielom, że nie miał żadnego udziału w tym hochsztaplerstwie. I mimo że prokuratura przesłuchała go tylko w charakterze świadka, a zarzuty postawiła wyłącznie księgowej, to w środowisku nowosolskich nauczycieli był już spalony. Dlatego dwa lata później przeniósł się do Milowa Wielkopolskiego.

Jolanta.

Jolanta Gruszkiewicz, księgowa, która zdefraudowała ponad 250 tysięcy złotych, za które wybudowała sobie okazałą willę i która w trakcie procesu wręcz śmiała się oszukany ludzom w twarz. Jeśli dobrze pamiętał, dostała kilka lat do odsiadki i nakaz zwrotu przywłaszczonych pieniędzy. Jednak wcześniej, dużo wcześniej, przepisała cały majątek na syna i tyle mogli jej zrobić. Był wyrok, był nakaz spłaty ćwierć miliona złotych z odsetkami, było rozgoryczenie oszukanych pedagogów, z

których niektórzy stracili kilkaset złotych, byli też tacy, co utopili kilka tysięcy złotych.

Pozdrowienia od Jolanty. - Co szantażysta chciał tymi pozdrowieniami uzyskać? - Łapek myślał intensywnie.

- A jeśli ten ktoś, komu zależy na kontaktach Warszawskiej i Niewiadomskiego, próbując usunąć mnie w cień, szukał na mnie haków? I znalazł, chociaż tylko mu się tak wydaje, bo ja nie miałem nic wspólnego z tamtą sprawą? Jeśli Jolka, do której pewnie dotarł, naopowiadała mu bredni o moim udziale, próbując oczyścić się z zarzutów, co zresztą czyniła przez wszystkie rozprawy? - analizował dalej. - Jeżeli tak jest, to wydaje mu się, że ma mnie w garści, choć tak naprawdę może mi soli na ogon nasypać - uśmiechnął się szeroko.

W jednej chwili podjął decyzję: trzeba przytemperować swoje zachowanie, ale tylko na pozór, a w rzeczywistości nadal bacznie obserwować innych przysięgłych i o wszystkich nieprawidłowościach donosić Ginkowskiej.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Otworzył je, zobaczył ochroniarza z Zielonej Góry.

- Pański przyjaciel pyta, czy zapoznał się pan z treścią listu? - chłopak mówił, rozglądając się nerwowo na boki.

Łapek milczał z premedytacją.

- Co mam mu przekazać? - rzekł po chwili ochroniarz, ocierając pot z czoła.

- Że zrozumiałem treść listu i dziękuję za pozdrowienia - wycedził Łapek.

- To wszystko? - upewnił się.

- Może mu pan jeszcze powiedzieć, że moja sytuacja jest dla mnie absolutnie jasna.

Ochroniarz bez słowa zamknął drzwi.

*

Bielik, w przypiływie dobrego nastroju po wieściach z przedszkola, postanowił pójść na zakupy. Sprawdzał zasobność portfela, po czym stwierdził z żalem, że jedynym marketem, na jaki go stać, jest Karaluszek. Najbliższy był za katedrą, ruszył więc w tę stronę.

Wolno, spacerując ulicą Sikorskiego, doszedł do skrzyżowania z Chrobrego i uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze nigdy nie udało mu się pokonać przejścia dla pieszych, idąc normalnym krokiem. Zawsze, odkąd sięgał pamięcią, zielone dla przechodniów było tak krótkie, że trzeba było niemal biec, żeby uwinąć się na czas.

Nie inaczej było tym razem. Zanim jednak przebiegł przez Chrobrego, spojrział w prawo, na mural na kamienicy z wielką postacią Tomasza Golloba i napisem „Kibicujemy Stali Miłów”. Podobizna kapitana Staleczki była tak wyraźna, że mógł mu spojrzeć prosto w oczy.

*

- A ja ci mówię, że źle zrobiłeś - Kowalski wbił wzrok w Grzędowicza, miał przy tym taką minę, jakby dopiero co zjadł pół cytryny.

- Mamy nauczyciela w garści! - Grzędowicz triumfował.

- O, tutaj - pokazał palcem na środek dłoni.

- Każdy szantaż emocjonalny pociąga za sobą niebezpieczeństwo zachwiania...

- Ty mi tu nie pierdol o jakiejś psychologii - skrzywił się mocno. - Zrobiliśmy dobrze.

- Nie przekonałeś mnie - Kowalski zacisnął usta. - Mimo że mamy na Łapka spory materiał, to trzeba mu było na dokładkę zaproponować kasę. Pieniądze w dużej ilości nie śmierdzą i mają dużo większą siłę przekonywania niż straszenie.

Grzędowicz go nie słuchał. W końcu sam najlepiej wiedział, jak sobie radzić z problemami.

*

Bielik przeszedł obok katedry, kolejny raz zastawiając się, jakim cudem stojący opodal brzydki kiosk z prasą komponował się ze zwalistym budynkiem z czerwonej cegły o wiele lepiej, niż stojący kilkadziesiąt metrów dalej hipermarket. Pytanie, jak zwykle, pozostało bez odpowiedzi.

Wkrótce dotarł do Karaluszka. Na widok zastawionej samochodami ulicy Pionierów ucieszył się z faktu, że tym

razem zjawił się na piechotę. Problemy z zaparkowaniem były tutaj od zawsze, ale mimo to lubił robić zakupy w tym miejscu. Czasami nawet, jak trafił mu się nastrój nieco melancholijny, zanim ruszał w drogę bez powrotu pomiędzy sklepowe regały, zatrzymywał się po drugiej stronie ulicy, by popatrzeć na tablicę „Pamięci pionierom miasta Miłowa Wielkopolskiego”, i odczytać nazwy wszystkich wymienionych na niej miejscowości, skąd tuż po wojnie do Lansbergu przyjechali ci, którzy na nowo mieli napisać historię tego miasta.

Nie inaczej było tym razem. Nazwy miast znał na pamięć, ale i tak odczytał je cicho: Wilno, Grodno, Lwów, Stanisławów, Białystok, Warszawa, Kraków, Poznań, Wągrowiec, Szczecin, Hamburg, Berlin, Drezno, Kassel.

Oni, przed dziesięcioleciami zmieniali niemiecką historię Lansbergu na polską historię Miłowa. Odetchnął głęboko. Gdyby silić się na analogię, można by powiedzieć, że podobne zadanie przypadło teraz w udziale jemu. W końcu proces, który właśnie zaczął wygrywać, miał odcisnąć piętno na polskim wymiarze sprawiedliwości.

Uśmiechnął się szeroko, spojrzął, czy z Sikorskiego nikt nie wjeżdża pod prąd - co się czasami zdarzało, szczególnie co bardziej leniwym kierowcom - i ruszył w stronę drzwi wejściowych Karaluszka, układając w myślach listę zakupów, które dałyby radę donieść do domu.

Rozdział 34

Pierwszy świadek zaplanowany na trzeci dzień procesu - instruktor karate Mariusz Juckiewicz - z racji sukcesów sportowych był osobą powszechnie znaną w Miłowie. Co za tym idzie, zarówno dziennikarze, jak i publiczność, ostrzyli sobie zęby na jego zeznania. Nie inaczej było w przypadku oskarżenia, w zgodnej opinii Dobrowolskiego i Kowalskiego to mógł być kluczowy świadek.

Ponieważ jednak Bielik zdawał sobie z tego doskonale sprawę, do tego przesłuchania przygotował się pieczołowicie.

Przesłuchanie Juckiewicza zaczęło się od odtworzenia nagrania z monitoringu.

- Od ilu lat trenuje pan karate? - prokurator Dobrowolski leniwie wstał zza biurka.

- Od 25 - Juckiewicz uśmiechnął się delikatnie, tak samo jak zawsze, gdy chwilę potem miał obdarzyć wychowanków kolejną przypowieścią z maty.

- Ile osób pan trenował?

- Musiałbym policzyć - wzruszył ramionami. - Na pewno setki, jeśli nie tysiące.

- Jakby pan je scharakteryzował?

- Nie rozumiem pytania... - Juckiewicz spojrzał badawczo.

- Wśród trenujących jest więcej dziewczyn czy chłopców? Dzieci czy osób starszych?

- Jeśli chodzi o płeć, to minimalnie więcej mamy w klubie dziewczyn - odpowiedział. - Zaś co do wieku... - zamyślił się. - Jeszcze kilka lat temu przyjmowaliśmy tylko dzieci, które potem zdobywały kolejne dany. Oczywiście te, które trenowały systematycznie i się nie wykruszyły...

- Oczywiście - Dobrowolski wszedł w słowo. - A jak sytuacja wygląda obecnie?

- Przychodzą osoby starsze, w większości mężczyźni koło trzydziestki, czasami nawet starsi.

- I to normalne, że zaczynają treningi karate w tym wieku?

- ruchem pełnym dumy odwrócił głowę w kierunku ławy przysięgłych.

- Jak najbardziej - odparł kojącym tonem Juckiewicz.

- Najczęściej ci panowie mają początki brzuszka. Wielu ma problem, aby rękoma dotknąć podłogi, nie zginając przy tym nóg w kolanach. Zrobienie dziesięciu pompek to dla nich wielkie wyzwanie.

- Więc przychodzą na treningi po to, aby polepszyć swoją kondycję fizyczną?

- To jest najczęstszy powód - potaknął Juckiewicz.

- Czyli są także inne? - Dobrowolski zawiesił pytanie w próżni.

-Tak.

- Mógłby pan jakiś podać? - spytał pozornie obojętnym tonem.

- Zdarza się, że na zajęcia przychodzą mężczyźni, jak by to określić... - szukał odpowiedniego określenia - Tacy, których można spotkać na wiejskich dyskotekach, gdy co rusz szukają zaczepki. Czasami nazywa się ich obrazowo bezkar- kowcami.

- Chce pan powiedzieć, że na treningi karate przychodzi tak zwany element, który chce się podszkolić, żeby być skuteczniejszym w bijatykach?

- Nie - uciął Juckiewicz.

- Słucham? - Dobrowolski był kompletnie zaskoczony negacją świadka.

- Gdy taki ktoś zjawi się na treningu, grzecznie go wypraszamy - wyjaśnił szybko. - Karate to sztuka walki, która przeciwstawia się agresji. Nabywane umiejętności mają służyć przede wszystkim obronie w stanie wyższej konieczności.

- Dziękuję - rzucił nagle Dobrowolski, ku zdziwieniu obecnych na sali, szczególnie Bielika, który spodziewał się zdecydowanie ostrzejszego ataku ze strony oskarżyciela.

- To wszystko.

- Dziękuję, panie prokuratorze - sędzia Aldona Ginkowska skierowała wzrok na Kowalskiego. - Panie mecenasie?

- Czy świadek mógłby odpowiedzieć mi na jedno proste pytanie? - Kowalski wstał, zapiał marynarkę, wolno podszedł do mównicy, przy której stał wyprostowany na baczność Juckiewicz. - Czy istnieje taka możliwość, że ktoś, kto chciałby się podszkolić w sztukach walki nie dla używania tych umiejętności w sytuacji wyższej konieczności, tylko dla swoich prywatnych celów, zachowywałby się na treningach tak, że nie podejrzewałby pan go o chęć bycia takim bezkar- kowcem z karkiem?

Juckiewicz się zamyślił, po dłuższej chwili odparł:

- Jest to możliwe. Nie siedzę w głowach wychowanków. Może się trafić ktoś na tyle sprytny, że zamydli oczy mnie czy też innemu instruktorowi i będziemy przekonani, że uczy się karate dla własnej obrony, a on to będzie robił tylko dlatego, żeby móc być skuteczniejszym na ulicy.

- Idźmy dalej w tych naszych dywagacjach - Kowalski zrobił pauzę. - Czy jest możliwe, że oskarżony był właśnie takim przypadkiem? Że zapisał się na treningi karate tylko po to, aby w momencie, kiedy zechce wyładować swoje nieprzebrane pokłady agresji na Bogu ducha winnym człowieku, mógł to zrobić skuteczniej?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Bielik, gdyby tylko mógł, udusiłby Kowalskiego gołymi rękoma. - Pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego dopuszcza się nieuprawnionej manipulacji.

- Panie mecenasie? - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała pytająco.

- Wysoki Sądzie, oskarżenie próbuje tylko uzyskać opinię eksperta na temat mogący mieć kluczowe znaczenie dla sprawy - Kowalski złożył dłonie jak do modlitwy i przyłożył je do ust. - Oskarżony uczęszczał na treningi karate, a podczas zajęcia na parkingu marketu Skalamandra umiejętności nabyte podczas tych treningów wykorzystał do zabicia dwóch mężczyzn. Związek między tymi dwoma zdarzeniami jest niezwykle istotny dla wyjaśnienia wszelkich okoliczności związanych ze sprawą.

- Oddalam sprzeciw - rzekła sędzia Aldona Ginkowska.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - rzuciła w kierunku instruktora.

- Jak już powiedziałem: nie siedzę w głowach wychowanków - na twarzy Juckiewicza pojawił się grymas. - Tak więc nie mogę wykluczyć, że Damian Kanclerz przychodził na treningi w jakimś ukrytym celu.

- Dziękuję - Kowalski zaprezentował szeroki uśmiech.

- Nie mam więcej pytań.

*

Kiedy przyszła kolej na Bielika, wstał, wziął do ręki plik niepotrzebnych mu do niczego kartek i zaczął je przeglądać, szykując się do uderzenia, zupełnie jak pikujący nad celem orzeł.

- Pozwolę sobie dokończyć myśl, którą był uprzejmy rozpocząć oskarżyciel posiłkowy - spojrzał w kierunku Ko-

walskiego. - Nie może pan wykluczyć, że Damian Kanclerz przychodził na treningi w jakimś ukrytym celu.

- Tak powiedziałem.

- Zabrzmiało to tak, jakby chciał pan się zabezpieczyć na wypadek, gdyby faktycznie Damian Kanclerz był bezkarkowcem z karkiem. A ja chciałbym spytać o pańską opinię jako wieloletniego fachowca w tej dziedzinie: z pańskiego wcześniejszego zeznania wynika, że starsi mężczyźni chcący trenować karate dzielą się na dwie grupy: zapuszczonych tatusiów z brzuszkami i wiejskich cwaniaczków od bójek ze sztchetami w rękach. Dobrze zinterpretowałem pańskie słowa?

- Doskonale - Juckiewicz obdarzył Bielika szczerym uśmiechem.

- Do której grupy osób podejmujących treningi karate należał, pańskim zdaniem, Damian Kanclerz?

- Do tej pierwszej - odpowiedział natychmiast. - Gdy przyszedł na pierwsze zajęcia, było widać, że jest mocno zapuszczony.

- Mógłby pan rozwinąć tę myśl?

- Brzuszek piwny był już mocno zaznaczony. Kondycja praktycznie żadna, podczas rozgrzewki zalewał się potem - wyliczał Juckiewicz. - Miał kłopoty ze zrobieniem pompek, brzuszków, przysiadów. Słowem: kawał zapuszczonego faceta - skrzywił się z obrzydzeniem.

- Ale podjął treningi?

- Tak i trzeba przyznać, że dawał z siebie wszystko - obrzydzenie zniknęło bezpowrotnie. - Zdarza się, że niektórzy zawodnicy udają, że ćwiczą, próbując się oszczędzać. Najczęściej skutek jest opłakany, bo podczas zawodów takie braki szybciotko wychodzą.

- Damian Kanclerz był zawodnikiem, który miał startować w zawodach?

- Nie - Juckiewicz uśmiechnął się dobrotliwie. - Nie po sześciu miesiącach treningów. Natomiast nie oszczędzał się i jeśli ćwiczył, to do ostatka sił. Nie zawsze nadał za grupą, ale nigdy nie oszukiwał.

- Jak pan myśli, dlaczego tak się zachowywał?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - prokurator Dobrowolski zerwał się na równe nogi. - Obrona pyta o subiektywne odczucia świadka.

- Świadek jest ekspertem w swoim fachu, w dodatku przez pół roku poprzedzające zdarzenie trenował pana Kanclerza.

Któż więc inny, jak nie sam trener miałby wyrobić sobie zdanie o jego motywacji? - zauważył Bielik. - Przypomnę w tym miejscu, że to prokuratura wezwała go na świadka jako eksperta.

- Sprzeciw oddalony - zawyrokowała sędzia Aldona Ginkowska. - Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Z moich obserwacji wynika, że Damian Kanclerz chciał poprawić swoją kondycję - wytłumaczył. - To pokrywa się z tym, co sam zresztą mówił w szatni: zdawał sobie sprawę, że się zapaścił i postanowił zmienić ten stan rzeczy.

- Czy zawodnicy, których pan trenuje i trenował podczas swojej długoletniej kariery - Bielik mówił takim tonem, jakby zaraz miał świadkowi wręczyć medal za wybitne zasługi dla sportu - bywali agresywni?

- Co pan ma na myśli? - spytał Juckiewicz, marszcząc brwi.

- Karate to sport walki, tysiące godzin treningów uderzeń, bloków, kopnięć - perorował. - Jak każdy sport walki wymaga od swoich zawodników siły i motywacji, czasem wręcz agresji, gdy na macie trafia się na silniejszego zawodnika.

- Pojedyńki sportowe karatecy wygrywają nie samą siłą i agresją, jak pan stwierdził, lecz przede wszystkim umiejętnością chłodnego myślenia i kalkulowania. Można być słabszym, ale umiejętnie wykorzystać większą siłę przeciwnika przeciwko niemu samemu - tłumaczył. - Natomiast agresja rozumiana jako zacięcie i niepoddawanie się, tak. Tacy powinni być karatecy.

- A poza strefą sportową? - padło niewinne z pozoru pytanie. - Na ulicy? Podczas bójki? Bo przecież karatecy uczą się tych wszystkich technik nie tylko po to, aby zdobywać medale, ale także, aby móc się obronić w razie potrzeby, czy tak?

- Oczywiście - zapewnił Juckiewicz. - O ile podczas pojedynków sportowych jest jakiś ułamek sekundy, w którym

zawodnik może przemyśleć taktykę walki, to podczas ataku napastnika na ulicy takiej możliwości już nie ma. Wtedy mózg człowieka przejmuje kontrolę nad sytuacją, a jego ciało zaczyna działać instynktownie. To nie jest tak, że gdy ktoś mnie zaczepia na ulicy i wyprowadza cios nożem w korpus, zaczynam analizować, którym blokiem czy kopnięciem go unieszkodliwić. Nie mam na to czasu, ciało samo reaguje, wyuczone podczas setek godzin treningów i podczas tysięcy powtórzeń danego ciosu czy bloku.

- Ale przecież powiedział pan, że karate walczy z agresywnością - kolejne podchwytliwe z pozoru pytanie ze strony Bielika. - Czy nie ma tu pewnej sprzeczności?

- Nie - odpowiedział z wielką cierpliwością. - Na treningach uczę zawodników, żeby, jeśli nie są zagrożeni, nie używali swoich umiejętności poza matą. Namawiam ich, aby, gdy już zostaną zaczepieni, najpierw próbowali uniknąć konfrontacji.

- Niby jak? - Bielik mówił do świadka, ale zerkał na ławę przysięgłych.

- Wykonując taki gest - Juckiewicz wyciągnął ręce przed siebie, trzymając otwarte dłonie mniej więcej na wysokości twarzy.

- Co on oznacza?

- Ten gest oznacza: „Nie chcę żadnych problemów” - wyjaśnił.

- Wysoki Sądzie - rzucił nagle Bielik. - Chciałbym, aby w tym momencie świadek ocenił nagranie z monitoringu-

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Dobrowolski zaprotestował.

- Nagranie było już odtwarzane.

- Chciałbym, aby ekspert ocenił wybrany fragment zajścia pod marketem Skalamandra - wyjaśnił Bielik spokojnie.

- Oddalam sprzeciw - odparła sędzia Aldona Ginkowska, gestem ręki polecając strażnikowi sądowemu włączenie telewizora, Bielikowi zaś podała pilot.

- Czy o takim gościu pan mówił? - spytał Bielik, zrobiwszy pauzę w momencie, w którym Kanclerz trzymał obie ręce w górze.

- Tak, dokładnie o takim - potwierdził Juckiewicz.

- Jeszcze jedno pytanie do świadka - Bielik wstrzymał głos, spinając się w sobie, aby dobrze to rozegrać. - Czy mógłby pan w skrócie opowiedzieć, jak wygląda finansowanie waszego klubu?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - ryknął Dobrowolski. - To nie ma związku ze sprawą.

- Poproszę obu panów do siebie - grymas na twarzy sędzi Aldony Ginkowskiej nie wróżył nic dobrego. - Panie prokuratorze, proszę powstrzymać się od wydawania takich okrzyków na mojej sali. Rozumiemy się?

- Jak najbardziej - odparł potulnie Dobrowolski. - Najmocniej przepraszam.

- A pan, mecenasie, cóż znowu kombinuje? - spojrzała groźnie na Bielika.

- Zapewniam Wysoki Sąd, że kwestia, którą podjąłem, ma kardynalne znaczenie dla sprawy - Bielik czuł kroplę potu zbierającą się na czole, ale wiedział, że jej otarcie mogłoby zostać źle odebrane.

- Jeśli okaże się to blefem, stracę do pana cierpliwość - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na niego spod byka. Mało brakowało, a pogroziłaby mu palcem.

Dobrowolski i Bielik wrócili na miejsca.

- Sprzeciw oddalony - rzekła po chwili sędzia. - Proszę świadka o odpowiedź na pytanie.

- Około 25 procent naszego rocznego budżetu pochodzi ze składek członkowskich, reszta to dotacja z urzędu marszałkowskiego na krzewienie kultury fizycznej wśród dzieci i młodzieży.

- Czy bez dotacji działalność klubu byłaby możliwa? - pytał dalej Bielik.

- Tylko w bardzo ograniczonej formie - Juckiewicz skrzywił się na samą myśl. - Nie byłoby mowy o żadnych zawodach. Nie byłoby nas na to stać.

- Czy przez ostatnie lata dotacja z urzędu marszałkowskiego była na stałym poziomie?

Dobrowolski już zrywał się, aby wyrazić kolejny sprzeciw, ale gest ręki sędzi Aldony Ginkowskiej go powstrzymał.

- Mniej więcej tak - odparł Juckiewicz.

- Przekazywana jest jednorazowo czy w transzach? - dopytywał Bielik.

- W dwóch transzach, pierwsza wpływa w marcu, druga we wrześniu.

- Czy w ostatnim półroczu przedstawiciel urzędu marszałkowskiego kontaktował się z panem lub innym członkiem władz klubu, w sprawie drugiej transzy dotacji?

Juckiewicz spojrzął na Bielika, wybałuszając oczy ze zdumienia.

- Mam powtórzyć pytanie? - spytał Bielik głosem niewiniątka.

- Nie trzeba - Juckiewicz błyskawicznie otrząsnął się z szoku. - Był taki kontakt.

- Proszę podać, czego konkretnie dotyczył.

- Próbowano wpłynąć na moje zeznania.

- Na zeznania w tej sprawie? - upewnił się Bielik, siłą woli powstrzymując przed wydaniem zwycięskiego okrzyku.

- Tak, na zeznania w sprawie Damiana Kanclerza - potwierdził Juckiewicz. - Zasugerowano mi, że jeśli zeznania będą na korzyść Damiana, urząd zażąda zwrotu drugiej transzy tegorocznej dotacji. Powodem będą nieprawidłowości w sprawozdaniu finansowym za zeszły rok, które wykaże niezaplanowana kontrola...

Przez salę przeszedł pomruk zdziwienia.

- Cisza! - sędzia Aldona Ginkowska zareagowała natychmiast. - Proszę o spokój!

- Czy powiadomił pan o tej rozmowie policję lub prokuraturę? - pytał dalej Bielik.

- To była rozmowa w cztery oczy, bez świadków - tłumaczył Juckiewicz. - Moje słowo przeciwko słowu urzędnika. Nie do udowodnienia, a tylko bym sobie spalił grunt. Pal licho mnie, ale szkoda dzieciaków...

- Nie mam więcej pytań, dziękuję - rzucił Bielik po dłuższej chwili, chcąc, aby słowa zapadły w pamięć sędziów przysięgłych na długo.

*

Po piętnastominutowej przerwie sala rozpraw numer 207 zapełniła się na nowo. Drugim i zarazem ostatnim świadkiem tego dnia miała być dyrektor przedszkola, Joanna Krzakiewicz.

- Czy zna pani oskarżonego Damiana Kanclerza? - zaczął Dobrowolski.

- Znam - Joanna Krzakiewicz potaknęła dostojnie głową w sposób, w jaki potrafią to robić tylko i wyłącznie pedagodzy z wieloletnim stażem, a już kadra dyrektorska w szczególności.

- Czy mogłaby pani coś nam o nim opowiedzieć? - był wyraźnie skrępowany.

- Coś? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Do mojej placówki uczęszcza dwoje jego dzieci: pięcioletni Patryk i trzyletnia Kasia. Najczęściej przyprawdza je pan Damian, a odbiera pani Marta. Dzieci mają bardzo dobry kontakt z rodzicami, widać, że rodzice bardzo je kochają i o nie dbają...

- A czy Damian Kanclerz kiedykolwiek zachował się w sposób urągający rodzicowi? - Dobrowolski przerwał jej bezceremonialnie.

- Nie bardzo rozumiem? - mars na twarzy dyrektor potwierdzał autentyczność reakcji.

- Czy kiedykolwiek doszło między państwem do kłótni, sprzeczki lub innego tego typu zdarzenia? - próbował naprowadzić ją na właściwy trop.

- Nie przychodzi mi nic takiego do głowy - mars zrobił się jeszcze większy.

- Nie pamięta pani reakcji pana Damiana Kanclerza zesłej zimy, kiedy zrobił karczemną awanturę z powodu jednego z dzieci, które było mocno zakatarzone?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Bielik zareagował tylko po to, aby wybić prokuratora z toku myślenia. - Oskarżenie sugeruje świadkowi odpowiedź.

- Podtrzymuję - zawyrokowała sędzia Aldona Ginkowska.

- Panie prokuratorze, proszę zadać pytanie w inny sposób.

- Czy pan Damian Kanclerz kiedykolwiek podniósł na panią głos? Krzyczał na panią? Wyzywał? - Dobrowolski sam był

bliski wybuchu.

- A! O tym pan mówi - Joanna Krzakiewicz uśmiechnęła się delikatnie. - Owszem, zdarzyła się taka sytuacja, że pan Damian podniósł na mnie głos, można nawet określić jego zachowanie jako krzyczenie na mnie, chociaż karczemną awanturą bym tego nie nazwała...

- Co to było za zdarzenie? - szybko zmienił wątek.

- Miał pretensje do mnie i do mojej załogi o to, że przyjmujemy mocno zakatarzone dzieci, mimo że przepisy placówki wyraźnie zabraniają rodzicom przyprowadzania chorych pociech.

- Pamięta pani, jak panią wtedy nazwał? - spytał Dobrowolski z napięciem.

- Głupią krową - westchnęła Joanna Krzakiewicz.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań - Dobrowolski obdarzył Bielika szerokim uśmiechem satysfakcji.

- Panie mecenasie? - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na Kowalskiego.

Kowalski już miał odpowiedzieć, że nie ma pytań, gdy coś go tknęło i postanowił zablefować.

- Czy zdarzyło się w obecności pani lub którejś z przedszkolank, że oskarżony uderzył swoje dziecko? - Kowalski obliznął bezwiednie usta.

- Nie przedszkolank, tylko nauczycieli wychowania przedszkolnego... - Joanna Krzakiewicz zaczęła odpowiadać.

- Czy zdarzyło się w obecności pani lub któregoś z nauczycieli wychowania przedszkolnego, że oskarżony uderzył swoje dziecko? - reakcja Kowalskiego była natychmiastowa.

- Raz, kiedy Patryk nie chciał się rozebrać, a pan Damian śpieszył się do pracy, dał mu klapsa.

- Mocnego? - Kowalski spojrzał badawczo na dyrektorę.

- Mocnego na tyle, że Patryk się rozplakał.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań - odparł Kowalski.

*

Bielik, zanim zaczął zadawanie pytań, zanotował coś skrzątnie w kajecie. Potem wstał i już w drodze do mównicy dla

świadków, zwrócił się do świadka:

- Pani dyrektor, wiem, że kobiet nie pyta się o wiek, ale czy mogłaby pani zdradzić nam, jak długo pracuje w oświacie? - spytał na wstępie Bielik.

- Trzydzieści pięć lat, w tym roku obchodzę jubileusz - odpowiedziała.

- Gratuluję - Bielik skinął głową dostojnie. - A na stanowisku dyrektor przedszkola?

- Funkcję dyrektora przedszkola samorządowego pełnię od osiemnastu lat.

- Czyli można powiedzieć, że ma pani duże doświadczenie?

- Jak najbardziej.

- Czy często dochodzi do utarczek słownych z rodzicami?

- Często - Joanna Krzakiewicz odrzekła bez zastanowienia. - W ostatnich latach nawet bardzo często, wielu rodziców jest nastawionych roszczeniowo.

- Pan Damian Kanclerz zalicza się do tego grona?

- Zdecydowanie nie - zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Nie? - Bielik udał zdziwienie. - Przed chwilą, odpowiadając na pytania pana prokuratora, wspomniała pani, że nazwała panią głupią krową.

- Bo tak zrobił - przyznała niechętnie. - Ale to jeszcze nie znaczy, że jest nastawiony roszczeniowo.

- W takim razie jak by pani oceniła jego zachowanie?

- W jego sytuacji też pewnie puściłyby mi nerwy - stwierdziła.

- Mogłaby pani to wyjaśnić?

- Syn pana Damiana miał problemy zdrowotne, notorycznie chorował na zapalenie oskrzeli. Po którejś kolejnej chorobie dziecko wróciło do przedszkola, akurat gdy tatuś je przyprowadził, natknął się na dwójkę innych dzieci, które mocno kaszlały i były zakatarzone. Zdenerwował się i zarzucił moim pracownikom, że nie powinny przyjmować chorych dzieci od rodziców, tylko odesłać je z powrotem do domu. Doszło do kłótni, zostałam wezwana i właśnie wtedy nazwana głupią krową.

- Ale z tego, co słyszę, wnioskuję, że nie poczuła się pani jakoś mocno obrażona?

- Nie wiem, jak pan, ale ja nie lubię, gdy mnie tak nazywają - rzekła z przekąsem. - Natomiast doskonale rozumiałam zdenerwowanie pana Damiana, który obawiał się, że synek znów zachoruje, zarażając się od chorych dzieci. Niestety, wielu rodziców posyłających chore pociechy do przedszkola nie myśli o tym, że zarażą inne.

- Ale przecież żona pana Damiana nie pracuje zawodowo, zajmuje się prowadzeniem gospodarstwa domowego. Maluch mógł zostać z nią w domu...

- Dzieci w tym wieku, do prawidłowego rozwoju, potrzebują kontaktów z rówieśnikami. Rodzice Patryka i Kasi doskonale o tym wiedzą. Mówię to z pełną odpowiedzialnością, bo rozmawialiśmy o tym problemie.

- A ten klaps - Bielik zmienił nagle temat. - To było jednorazowe zajście?

- Tak - Joanna Krzakiewicz odparła bez namysłu.

- A jak by pani określiła całokształt stosunków ojciec - dziecko w przypadku Damiana Kanclerza i jego dzieci?

- Posłużę się przykładem: Kasia co rusz chwaliła się w swojej grupie, że tatuś codziennie odrabia lekcje z najstarszym bratem.

- Po ośmiu, dziesięciu godzinach spędzonych na harówie w fabryce? - Bielik udał niedowierzanie.

- Godne podziwu, prawda? - Joanna Krzakiewicz odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Zresztą, Kasi i Patrykowi też poświęca mnóstwo czasu, wspólnie wycinają wycinanki, czytają bajki, śpiewają, a nawet tańczą.

- Mam jeszcze jedno pytanie - Bielik zrobił pauzę. - Czy pamięta pani, co stało się dzień po owej utarczce słownej, gdy Damian Kanclerz nazwał panią głupią krową?

- Nazajutrz pan Damian czekał na mnie przed gabinetem

- uśmiech, jaki zaprezentowała dyrektor, rozjaśnił salę.

- Sam?

- Sam.

- W jakim celu się zjawił?

- Przeprosił mnie za swoje zachowanie.
- To wszystko? - pytał dalej Bielik, chociaż dobrze wiedział, co usłyszy.
- Nie - Joanna Krzakiewicz zaprezentowała kolejny rozświetlający uśmiech. - W ramach przeprosin wręczył mi wielki bukiet czerwonych róż. Chyba największy, jaki w życiu dostałam. Nawet mój mąż na trzydziestą rocznicę ślubu dał mi mniejszy...
- Dziękuję - Bielik umiejętnie wszedł jej w słowo. - Nie mam więcej pytań do świadka.

Rozdział 35

Bielik z Rutem wyszli na zewnątrz budynku sądu, stanęli na chodniku na wysokości przystanku tramwajowego, detektyw z wewnętrznej kieszeni szarego prochowca wyciągnął papierośnicę.

- Poszło tak, że chyba lepiej być nie mogło - Bielik zatarł rękę z radości.

- Czyja to zasługa? - Rut zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

- W dużej mierze twoja, panie detektywie - odpowiedział uśmiechem.

- Wyczuwam dobry moment na zadanie trudnego pytania

- wypuścił dym nosem. - Kiedy zapłacisz mi za ostatnie dni? Były pracowite i owocne, jak przed chwilą sam stwierdziłeś.

Bielik z namaszczeniem wymalowanym na całej twarzy zaczął lustrować rozkład jazdy.

- Mówiłem coś - Rut znów się zaciągnął.

- Chwila - powiódł palcem po tabliczce, udając, że szuka godziny odjazdu.

- Niech zgadnę - mówił dalej Rut - jak wygrasz sprawę o odszkodowanie dla Kanclerza?

- Dzięki mnie zyskujesz wizerunkowo - jeśli Bielik chciał tym stwierdzeniem załagodzić sprawę, to osiągnął efekt odwrotny od zamierzonego.

- Wizerunkowo?! - wypalił, coraz bardziej zdenerwowany.

- Dzięki tobie zyskuje wizerunkowo! - powtórzył, śmiejąc się Bielikowi w twarz. - W mediach tylko ty się reklamujesz, nie ja. Mnie od sprawy Kanclerza zleceń nie przybywa i nie przybędzie.

- Mylisz się - powiedział to zdecydowanie, chwilę wcześniej podjąwszy błyskawiczną decyzję, jak zażegnać rodzący się konflikt. - Powołam cię na świadka. Opowiesz o swojej pracy, opiszesz, jak zbierałeś dla mnie informacje. A po tygodniu będziesz miał tyle zleceń, że do odbierania telefonów będziesz musiał zatrudnić sekretarkę.

Rut zdusił papierosa o śmietnik, kątem oka zerkając na adwokata.

- Pasuje? - rzekł Bielik.

- Pasuje.

*

- Do chuja pana! - warknął Grzędowicz, wychylając kolejnego drinka.

Kowalski przypatrywał mu się w milczeniu.

Grzędowicz dopił, podszedł do barku i nalał pół szklanicy.

- Do chuja! - krzyknął znowu.

Kowalski cały czas milczał, czekał, aż wybuch złości minie.

- Gówniarz, tak? - Grzędowicz wziął łapczywego łyka.

- Trędowaty, tak?! - kolejny łyk. - To miała być, kurwa jego mać, prosta sprawa!

Adwokat konsekwentnie się nie odzywał.

- Powinieneś wiedzieć, że Bielik tak dobrze ją poprowadzi!

- Grzędowicz chodził nerwowo wkoło kanapy.

- Tego nikt nie mógł przewidzieć - Kowalski uznał, że przyszedł czas na to, aby przerwać monolog. - Zadzwoń do którego adwokata w mieście chcesz i spytaj, czy przed rozpoczęciem rozprawy dawał Bielikowi większe szanse na wygraną.

- Po jakiego chuja mam dzwonić do innych? - zazgrzytał zębami. - Ty jesteś moim prawnikiem i to ty spierdoliłeś sprawę!

- Jeszcze nie jest spierdolona - bronił się. - Ale - dodał szybko, widząc, że Grzędowicz chce coś powiedzieć - nie jest dobrze.

- Nie jest dobrze? - spojrzał mu prosto w oczy. - Jest przejebane!

Kowalski, zrezygnowany, podszedł do barku i nalał sobie drinka, do połowy szklanki.

- Powiedz mi lepiej, kto jutro zeznaje, bo nie oglądałem relacji do końca, sranie mnie nadusiło - Grzędowicz beknął głośno.

Kowalski westchnął, po czym dolał szklankę niemal do rantu.

- Kto jutro zeznaje? - powtórzył Grzędowicz.

- Ty - upił potężny łyk. - Koniec chłania na dzisiaj, musimy cię dobrze przygotować, żebyś nas jeszcze bardziej nie pogrążył.

*

Bielik pożegnał się z Rutem, po czym skierował się w stronę kancelarii, machając wesoło aktówką. Nie minął kwadrans, odkąd wszedł do biura, zastanawiając się nad wyższością Stali nad Stilonem (lub odwrotnie, w zależności od tego, czy dany kibic preferował żużel czy kopaną), gdy usłyszał pukanie do drzwi. Nie zdążył powiedzieć: „Proszę”, gdy stanął w nich mężczyzna w średnim wieku, pchający przed sobą przestraszonego nastolatka.

- Słucham, w czym mogę pomóc? - Bielik był śmiertelnie zmęczony, ale błyskawicznie przybrał maskę profesjonalnej uprzejmości.

- Pan prowadzi sprawę tego bohatera, który obił mordę Grzędowiczom? - spytał mężczyzna.

- Tak, jestem obrońcą pana Damiana Kanclerza - odparł, zastanawiając się, z kim ma do czynienia. - Proszę, siadajcie panowie - pokazał na krzesła.

- Chciałbym, aby poprowadził pan sprawę mojego syna - rzucił mężczyzna, zajmując miejsce na chybotliwym meblu.

- Muszę panów uprzedzić, że w tej chwili jestem mocno zaabsorbowany sprawą Kanclerza - Bielik wciąż był uprzejmy,

ale już zaczął się zastanawiać, czy lepiej spławić petentów od razu, czy zaproponować im usługi za jakiś czas.

- Ale to się jedno wiąże z drugim - mężczyzna zrobił pauzę.

- Tak? - Bielik już się nie zastanawiał. - W jaki sposób?

- Rok temu mój syn wracał z angielskiego do domu - mężczyzna zaczął opowiadać. - Czekał na przystanku na Gorkczyńskiej, gdy nagle obok zatrzymało się jakieś auto...

- To było audi, ósemka - sprecyzował chłopak.

- Wysiadło z niego dwóch napakowanych osiłków i, zupełnie bez powodu, brutalnie pobiło Mateusza - mówił dalej ojciec. - Syn trafił do szpitala na Dekerta ze wstrząsem mózgu i złamaną nogą w dwóch miejscach...

- Czym ci bandyci pobili syna? - umysł Bielika zaczął intensywnie myśleć.

- Kijami bejsbolowymi - odpowiedział Mateusz.

- Zgłosiliście panowie to pobicie na policję? - pytał dalej Bielik.

- Oczywiście - mężczyzna nerwowo potaknął głową. - Syn podał dokładne rysopisy sprawców, ale policja nie potrafiła ich namierzyć. Dzisiaj, gdy oglądał przypadkiem relację z sądu, zobaczył tych mężczyzn na nagraniu z parkingu.

- To byli bracia Grzędowiczowie? - spytał Bielik, chociaż doskonale znał odpowiedź.

- Ci sami - potwierdził chłopak.

- Ile dostaniemy za zeznania syna? - mężczyzna nie owijał w bawelnę. - Potrzebujemy pieniędzy na rehabilitację - podciągnął lewą nogawkę spodni Mateusza. - Noga wciąż nie odzyskała sprawności.

- Niestety, nie mogę wam zapłacić za zeznania - Bielik rozłożył wymownie ręce. - Ale mam inną propozycję. Poprowadzę sprawę o odszkodowanie za tamto pobicie, za niższą prowizję niż zwykle.

- Sprawę o odszkodowanie? - mężczyzna zaczął liczyć zyski.

- Ale przecież oni już nie żyją.

- Nie szkodzi - uśmiechnął się szeroko. - Zostawili po sobie znaczny majątek, a sprawa spadkowa szybko się nie skończy - wyjaśnił.

- Ozy to będzie duża kwota?
- Możemy zawalczyć o bardzo duże pieniądze - zapewnił Bielik. - Ojciec tych dwóch gnoi trzy lata temu przepisał na nich niemal cały majątek, uciekając przed urzędem skarbowym. To teraz niech zapłaci za to, że tak synalków wychował
- uśmiechnął się chytrze.

Rozdział 36

Zagranie Bielika było przebłyskiem geniuszu. Pierwotnie myślał o tym, aby chęć przesłuchania Mateusza Kropiwnickiego zgłosić na sam koniec czwartego dnia rozprawy, a chłopaka wezwać na dzień następny. Po zastanowieniu stwierdził jednak, że zdecydowanie lepszym rozwiązaniem będzie atak z zaskoczenia. Tak więc jeszcze wieczorem zadzwonił do ojca Mateusza, prosząc, aby obaj zjawili się rano w budynku sądu i byli gotowi do ewentualnego stawienia się przed obliczem Wielkiej Ławy Przysięgłych. Ewentualnego, bo o ile Bielikowi łatwo było przewidzieć reakcję prokuratora Dobrowolskiego i mecenasa Kowalskiego, o tyle decyzja sędzi Aldony Ginkowskiej była wielką niewiadomą.

I faktycznie, Dobrowolski dostał niemal ataku szału, usłyszawszy wniosek Bielika. Sędzia Aldona Ginkowska, tradycyjnie już, wezwała obie strony do stołu sędziowskiego, po czym poprosiła o wyjaśnienia. Bielik, zgodnie z prawdą, odpowiedział, że osoba świadka pojawiła się nagle, wczorajszego wieczora. Mimo dalszych protestów Dobrowolskiego, prowadząca rozprawę zaaprobowwała wezwanie Kropiwnickiego w trybie pilnym.

Wezwanie chłopaka na świadka miało dwa cele: pierwszy, przedstawienie obu braci Grzędowiczów jako bandytów, którzy za nic mieli innych ludzi. Fakt, że kilka miesięcy wcześniej dopuścili się brutalnego ataku na przypadkowego przechodnia potwierdzał wersję obrony, co więcej, przedstawiał obu sprawców w druzgocącym świetle.

Ale równie ważny był cel numer 2: wytrącenie z równowagi

Grzędowicza, który, chociaż nieobecny na sali rozpraw, oglądał relację z zeznania Kropiwnickiego w telefonie komórkowym, siedząc na korytarzu sądowym.

Oba cele udało się Bielikowi osiągnąć w stu procentach. Gdy Grzędowicz wchodził na salę, wezwany przez strażnika sądowego, był niemal purpurowy ze złości. Kiedy Kowalski to zobaczył, wiedział już, że całe misterne przygotowanie świadka do zeznań na nic się zdało.

*

Kowalski, jak na wytrawnego gracza sal sądowych przystało, próbował jeszcze ratować sytuację. Gdy zaprezentowano zdjęcia braci Grzędowiczów, zrobione podczas sekcji zwłok, ich ojciec zaczął płakać rzewnymi łzami.

Jednak na Bieliku nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, uderzył na Grzędowicza niczym hiena na dogorywające jeszcze zwierzę.

- Czy wiedział pan o tym, że synowie byli osiem razy zatrzymywani przez policję? - spytał Bielik

- Ale ani razu nie zostały im postawione zarzuty - odparł Grzędowicz z dumą mieszającą się z butą.

- Za co byli zatrzymywani?

- Nie pamiętam - lekceważąco wzruszył ramionami.

- To ja panu przypomnę: siedem razy za pobicie i raz za gwałt.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Kowalski zareagował, gdy Bielik kończył mówić. - To były jedynie nędzne insynuacje, synom mojego klienta nie przedstawiono żadnych zarzutów pobicia, po wykonaniu czynności byli zwalniani do domu. W przypadku oskarżenia o gwałt zgłoszenie zostało wycofane!

- Podtrzymuję - rzekła sędzia Aldona Ginkowska.

- Tak, dziwnym zbiegiem okoliczności we wszystkich ośmiu przypadkach, w tym gwałtu, ofiary wycofały swoje zeznania... - mówił dalej Bielik.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Kowalski czuł niczym bulterier broniący posesji. - W obliczu wycofania zeznań nie można mówić o ofiarach. Obrona próbuje wytworzyć nega-

tywny obraz synów mojego klienta.

- Podtrzymuję - sędzia Aldona Ginkowska wypowiedziała te słowa ciszej niż zwykle.

- Tak... - Bielik zrobił pauzę. - Dziwnym zbiegiem okoliczności we wszystkich ośmiu przypadkach, w tym gwałtu, osoby zgłaszające wycofały swoje zeznania... Ale zostawmy ten wątek, zanim oskarżyciel posiłkowy zgłosi wniosek o beatyfikację braci Grzędowiczów... - spojrział na biznesmena.

- Czy w dniu 14 kwietnia bieżącego roku spotkał się pan z właścicielem zakładów mięsnych Pol-Mił-Mięs Waławem Masionkiem? - zadał pytanie z wyrazem twarzy tak spokojnym, że nie powstydziliby się go żaden najedzony do syta niemowlak.

- Nie pamiętam - odparł Grzędowicz z fałszywym uśmiechem, którego z kolei nie powstydziliby się bulterier prawicy poseł Jacek Skurski.

- Nie pamięta pan czy nie chce odpowiedzieć na to pytanie? - naciskał Bielik.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - Dobrowolski był tak podenerwowany, że zrywając się z miejsca nie zapiął nawet guzików marynarki. - Obrona próbuje insynuować niechęć świadka do odpowiadania na pytania. Dotychczasowy przebieg przesłuchania nie pozwala na stawianie takiej tezy.

- Przesłuchanie dopiero się zaczęło - protestował Bielik.

- Podtrzymuję - przyznała sędzia Aldona Ginkowska.

- Proszę sędziów przysięgłych, aby nie brali tego pod uwagę.

- W takim razie spróbuję inaczej, Wysoki Sądzie - uśmiech Bielika był równie fałszywy, co Grzędowicza. Adwokat miał taki wyraz twarzy, jaki przybiera urwis chcący pogłaskać kotka tylko po to, aby chwilę później zacisnąć dziecięcą piastkę na jego ogonie. - Może to odświeży panu pamięć - podniósł do góry mocno poplamiony kalendarz tak, aby zobaczyli go sędziowie i świadek. - Proszę o wpisanie na listę dowodów kalendarz biurowy pana Edmunda Grzędowicza.

- Skąd pan to ma? - spytał gniewnie Grzędowicz, wstając z miejsca. - To moja prywatna własność!

- Może i była to pańska prywatna własność, ale tylko do

momentu, w którym któryś z pańskich pracowników wyrzucił go na śmietnik - Bielik jeszcze głaskał kotka, ale w myślach zaciskał już piąstkę. - Spójrzmy na zapisy pańskich spotkań z dnia 14 kwietnia. Jakie nazwisko widnieje pod godziną 9.15? - podsunął kalendarz pod nos Grzędowicza, sycąc się każdą sekundą triumfu.

- Waclaw Masionek - niechęć, z jaką Grzędowicz odpowiedział na pytanie, można było porównać jedynie do wstrętu wypicia tranu. - Ale to nie moje pismo - szybko się zrelektował.

- A czyje? - choć pytanie było z pozoru niewinne, to piąstka zaczęła się właśnie zaciskać.

- Mojej sekretarki.

- Czy to oznacza, że w pańskiej firmie do skutku dochodziły tylko te spotkania biznesowe, które wcześniej zapisywał pan osobiście, a te umawiane przez sekretarkę pan ignorował?

- Bielik uśmiechnął się pobłażliwie. Piąstka została zaciśnięta z mocą wcale nie dziecinną, lecz co najmniej równą imadłu.

- Nie - mruknął Grzędowicz, zgrzytając zębami.

- Czy mógłby pan powtórzyć? - Bielik upajał się każdą nanosekundą zwycięstwa.

-Nie.

- Pełnym zdaniem, proszę.

- W szkole jesteśmy czy co? - warknął Grzędowicz.

- Świadek ma odpowiadać na pytania obrony - sędzia Aldona Ginkowska nie czekała ani chwili z reprimendą. - Odpowiedź ma być na tyle głośna, żeby dosłyszeli ją sędziowie przysięgli. Jeśli będzie pan mówił za cicho, będzie pan proszony o powtarzanie całości odpowiedzi na głos raz jeszcze, pełnym zdaniem. Jak w szkole.

- Sekretarka też mnie umawia na spotkania - rzucił Grzędowicz.

- Spytałem więc ponownie: czy w dniu 14 kwietnia bieżącego roku spotkał się pan z właścicielem zakładów mięsnych Pol-Mił-Mięs, Waclawem Masionkiem?

- Tak - gdyby nienawiść w oczach Grzędowicza mogła zabi-

jać, Bielik padłby trupem. - Ale to jeszcze nie oznacza, że rozmawialiśmy o pracy pana Kanclerza w zakładach mięsnych.

- A skąd pan wiedział, że ja chciałem o to spytać? - kolejne niewinne z pozoru pytanie. - O czym więc panowie rozmawialiście?

- Proszę wybaczyć, ale nie pamiętam - Grzędowicz wzruszył ramionami. - Nie notuję tematyki wszystkich swoich spotkań biznesowych. Czasami są to tylko przyjacielskie rozmowy przy kawie, innym razem przy czymś mocniejszym - najwyraźniej odzyskał już rezon.

- Więc nie pamięta pan, o czym rozmawiał tamtego dnia z Wacławem Masionkiem?

- Nie - skrzywił się. - Przecież powiedziałem przed chwilą. Czy każde pytanie musi pan zadawać dwa razy? Liczy pan na to, że nagle zmienię zdanie tak, aby pasowało do pańskiej koncepcji otaczającej nas rzeczywistości?

- Liczę na to, że dojdziemy do prawdy - Bielik zrobił pauzę. - A prawda jest taka, że pan bezczelnie kłamie.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - reakcja Dobrowolskiego była natychmiastowa. - Obrona w miałki sposób próbuje zdyskredytować świadka w oczach sędziów przysięgłych.

- Proszę obu panów do mnie - tym razem wyraz twarzy sędzi Aldony Ginkowskiej zapowiadał ostrą połajankę.

Dobrowolski wyprzedził Bielika o pół kroku, ten drugi spiął się w sobie, aby nie pozwolić na uśmiech, który sędzia mogłaby zinterpretować jako ironiczny.

- Panie mecenasie, byłoby lepiej dla pana i dla pańskiego klienta, gdyby mi pan teraz powiedział, że zmierza do czegoś istotnego, a nie tylko próbuje grać na emocjach sędziów przysięgłych - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

- Wysoki Sądzie, tak właśnie będzie - zapewnił Bielik solennie.

- Ma pan ostatnią szansę - rzuciła na odchodne. - Proszę nie przeginać.

Dobrowolski wrócił za swój stół, Bielik podszedł do miejsca dla świadków.

- Pan beczelnie kłamie, ale nie jestem na tyle naiwny, żeby liczyć, że się pan sam przyzna - patrzył Grzędowiczowi prosto w oczy. - Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań do tego świadka, natomiast chciałbym powołać kolejnego, Mściwoja Nowaka, kierownika zmiany z zakładów mięsnych Pol-Mił-Mięs...

- Sprzeciw! - tym razem mecenas Kowalski zareagował szybciej niż prokurator. - Świadka nie ma na liście świadków!

- Zgodnie z prawem dowody obalające zeznania świadków można wnosić podczas ich przesłuchania i nie trzeba podawać tego do wiadomości sądu i strony przeciwnej z wyprzedzeniem, jak inne dowody - Bielik wyrecytował z pamięci. - Wnoszę o półtoragodzinną przerwę i doprowadzenie Mściwoja Nowaka.

- Ale tego świadka nie ma na liście! - prokurator Dobrowolski najwyraźniej nie zrozumiał tego, co Bielik chwilę wcześniej powiedział.

- Wysoki Sądzie, wcześniejsze powołanie tego świadka mogłoby skutkować próbą matactwa ze strony Edmunda Grzędowicza, niewątpliwie też jego dzisiejsze zeznanie miałoby inny charakter - Bielik pośpieszył z wyjaśnieniem. - Innymi słowy, gdyby obrona powołała tego świadka z wyprzedzeniem, mogłoby to źle wpłynąć na jego prawdomówność - to ostatnie zastrzeżenie ewidentnie było skierowane do sędziów przysięgłych.

- Proszę o spokój - sędzia Aldona Ginkowska wertowała plik kartek. - Oddalam sprzeciw - rzekła po chwili. - Wniosek o przesłuchanie Mściwoja Nowaka został przyjęty. Sąd zarządza przerwę do godziny 13.30.

Rozdział 37

- 15 kwietnia bieżącego roku był pan obecny podczas przyłapania Damiana Kanclerza na gorącym uczynku „przywłaszczenie mienia w postaci dwóch kilogramów kielbasy krakowskiej suchej, kilograma parówek drobiowych z szynką i kilograma polędwicy parzonej podwędzanej” - Bielik patrzył

świadkowi prosto w oczy.

- Tak, byłem - potwierdził Mściwoj Nowak, machinalnie pocierając dłonią brodę.

- Przypominam w tym miejscu, że za składanie fałszywych zeznań grozi odpowiedzialność karna i kara pozbawienia wolności do lat trzech - Bielik zaprezentował uśmiech z gątku „uścisk ręki, nóż w plecy”.

Na czole Nowaka pojawiła się kropla potu, co adwokat skrzętnie zarejestrował.

- Słucham... - Bielik mówił kojącym tonem, choć tak naprawdę za chwilę zamierzał świadka zjeść na surowo, bez posypywania solą.

- To właściwie nie było tak, jak napisano w protokole... - Nowak ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na pierwszą ławkę dla publiczności, w której miejsce po swoim zeznaniu zajął Edmund Grzędowicz.

- A jak właściwie było? - Bielik oparł dłonie o blat mównicy dla świadków, przybliżając swoją twarz na odległość, która była już złamaniem bariery intymności.

- Te wyroby Damianowi podrzucono do szafki... - jęknął Nowak.

- Czy wiadomo panu, kto to zrobił?

- Tak - mankietem koszuli otarł strużkę potu cieknącą po policzku. - Ja podłożyłem te kielbasy - wyszeptał.

- Czy świadek mógłby wypowiadać się głośniejsze, tak, aby sędziowie przysięgli słyszeli, co mówi? - wycedził Bielik z satysfakcją wymalowaną na twarzy.

- To ja podłożyłem te kielbasy - strużka zmieniła się w rwącą rzekę.

- Dlaczego pan to zrobił? - dopytywał Bielik.

Nowak milczał.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - naciskał obrońca.

- Panie mecenasie - wtrąciła nagle sędzia Aldona Ginkowska. - Sąd w tym miejscu przypomina, że świadek nie musi odpowiadać na pytanie, które mogłoby go narazić na odpowiedzialność karną.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, oczywiście - Bielik pokajał

się natychmiast.

- Dostałem takie polecenie od właściciela zakładu - Nowak odetchnął z ulgą, jakby zupełnie nie słyszał treści pouczenia.

- Nie chciałem się zgodzić, ale wtedy szef mi zagroził, że jeżeli tego nie zrobię, sam wylecę na bruk - teraz, w jednej chwili, podjął decyzję, że przestaje kryć zwierzchników.

- Gdzie odbyła się ta rozmowa? - w głowie Bielika pojawiła się pewna myśl.

- W gabinecie prezesa.

- Prezes firmy to ta sama osoba, co właściciel? - upewnił się.

- Pan Waław Masionek?

- Tak, to on.

- Czy oprócz pana Masionka i pana, podczas tej rozmowy w gabinecie prezesa był ktoś jeszcze? - spytał Bielik z wyczekiwaniem.

- Tak.

- Czy tożsamość tamtej osoby była panu znana? - pytał dalej Bielik.

- Wtedy nie.

- Co pan ma na myśli mówiąc: wtedy?

- Tamtego dnia nie wiedziałem, kim jest gość prezesa - opowiadał Nowak. - Zjawił się w firmie jakieś pół godziny wcześniej. Masionek go przyjął i zaczęli o czymś gorączkowo rozmawiać.

- Skąd pan to wie?

- Podczas kilkunastominutowej rozmowy mocno gestykulowali i wręcz krzyczeli na siebie.

- Proszę mnie wyprowadzić z błędu, ale jeśli dobrze pamiętam, zeznał pan przed chwilą, że wezwanie do gabinetu prezesa miało miejsce dopiero po jakimś czasie - gra Bielika pod publikę była pierwszorzędną.

- Tak, dobrze pan pamięta - Nowak poczuł się o wiele pewniej.

- Czyli podczas tej gorączkowej rozmowy, jak ją pan określił, nie było pana w gabinecie szefa? - Bielik mógłby pobić na głowę niejednego absolwenta szkoły teatralnej.

-Nie.

Adwokat z premedytacją milczał, wpatrując się w świadka.

- Nie było mnie tam - Nowak nie wytrzymał spojrzenia, zaczął mówić dalej - ale widziałem wszystko z hali. Część administracyjna jest zlokalizowana na piętrze, w większości to przeszklone pomieszczenia, z których rozciąga się widok na halę produkcyjną.

- Wspomniał pan, że wówczas tożsamość rozmówcy prezesa Masionka nie była panu znana - Bielik kontynuował popis. - Czyli dobrze rozumiem, że ten stan rzeczy uległ zmianie?

- Tak - potaknął głową.

- Czy ta osoba znajduje się na sali? - spytał z nadzieją w głosie.

- Tak.

- Mógłby ją pan wskazać?

- To ten pan - Nowak wyciągnął rękę przed siebie, pokazując na pierwszą ławkę dla publiczności. - Edmund Grzędowicz.

Bielik odczekał kilkanaście sekund, aby spotęgować efekt.

- Panie mecenasie? - wtrąciła sędzia Aldona Ginkowska po dłuższej chwili. - Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka?

- Tak, Wysoki Sądzie - Bielik pośpieszył z zapewnieniem.

- Mówił pan, że nie chciał się zgodzić na podrzucenie wędlin panu Kanclerzowi. Proszę powiedzieć, dlaczego?

- Po pierwsze, to było złamanie prawa - westchnął Nowak.

- Do dzisiaj mnie to męczy. Ale mam na utrzymaniu żonę, trójkę dzieci i chorego teścia, spłacamy kredyt na dom, tak więc...

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - prokurator Dobrowolski zerwał się na równe nogi. - Zeznania świadka nie mają związku ze sprawą.

Sędzia Aldona Ginkowska spojrzała pytająco na Bielika.

- Jak już przed chwilą udowodniłem, zeznania świadka mogą mieć koronne znaczenie dla tej sprawy - Bielik obdarzył prokuratora uśmiechem politowania.

- Oddałam sprzeciw - zawyrokowała sędzia. - Proszę kontynuować - skierowała tę uwagę do świadka.

- Mimo dość wysokiej pensji, sytuacja finansowa mojej rodziny nie należy do najlepszych, bałem się, że po utracie pracy stracimy też dom, na który harowałem całe życie - Nowak miał łzy w oczach. - Dlatego uległem temu szantażowi. Żałuję... Wiem, że zrobiłem źle...

- Z tej sprawy pewnie będzie pan miał możliwość wytłumaczenia się w czasie późniejszym - głos Bielika w jednej chwili stał się kojący. - Ale teraz proszę się skupić na osobie Damiana Kanclerza. Czy było coś jeszcze, co powstrzymało pana przed tym przekreśleniem?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - mecenas Kowalski podniósł się tak szybko, że uderzył kolaniem w stół. - Użycie takiego sformułowania może źle ukierunkować sędziów przysięgłych - wystękał, pocierając dłonią urażone miejsce.

- A jak pan mecenas nazwałby spreparowanie dowodów przestępstwa i zwolnienie z pracy w trybie dyscyplinarnym na podstawie tychże spreparowanych dowodów? - odciął się Bielik.

Kowalski milczał.

- Panie mecenasie - wtrąciła sędzia Aldona Ginkowska, patrząc na Bielika. - Sąd nadaża za pańskim tokiem myślenia, ale mimo wszystko proszę użyć innego określenia.

- Czy było coś jeszcze, co powstrzymało pana przed spreparowaniem dowodów przestępstwa polegającego na kradzieży kielbas? - Bielik nie owijał w bawełnę.

- Damian Kanclerz nie dość, że był bardzo pracowitym masarzem, to także bardzo dobrze wykwalifikowanym pracownikiem, co się dzisiaj rzadko zdarza - wyjaśnił Nowak.

- Gdyby nie tamto wydarzenie, zostałby rekomendowany na brygadzystę.

- Rekomendowany przez kogo? - dociekał Bielik.

- Przeze mnie, za aprobatą innych członków szczebla kierowniczego - odpowiedział Nowak.

- Czyli Damian Kanclerz był bardzo dobrym pracownikiem, którego zwolniono na podstawie fałszywego oskarżenia o kradzież? - zreasumował.

- Dokładnie tak - potwierdził Nowak.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań.

- Panie prokuratorze? Panie mecenasie - spytała sędzia Aldona Ginkowska, zerkając na ławę oskarżenia.

- Oskarżenie nie ma pytań do świadka - odparł natychmiast prokurator Dobrowolski. - Już nam wystarczająco narządził - pomyślał.

Kowalski tylko wymownie wykonał przeczący ruch głową.

- Czy strony mają wnioski dowodowe?

Kowalski i Dobrowolski odpowiedzieli krótko: „Nie”.

- Obrona chce wezwać na świadka w trybie pilnym prezesa i właściciela zakładów mięsnych Pol-Mił-Mięs Waclawa Masionka - wypowiadając te słowa, Bielik wpatrywał się w Grzędowicza, ten zaklął bezgłośnie pod nosem. - Zgodnie z prawem dowody obalające zeznania świadków można wносить podczas ich przesłuchania i nie trzeba podawać do wiadomości sądu i strony przeciwnej z wyprzedzeniem, jak inne dowody - powtórzył jak echo, tym razem jednak wnosząc o przerwę godziną.

Oskarżenie już nie protestowało, sędzia Aldona Ginkowska wniosek zaakceptowała, ogłaszając wznowienie rozprawy o 15.15.

*

Także teraz Bielik nie zamierzał urabiać świadka ani robić zbędnych wstępów pod publiczność. Od razu przeszedł do sedna. Po chwili było już wiadomo, że Masionek i Grzędowicz znajdują się od lat i że ten drugi zażądał od tego pierwszego, aby Kanclerza wyrzucić z pracy z wilczym biletem.

- Czy Edmund Grzędowicz w zamian za to obiecał panu jakąś gratyfikację? - spytał Bielik.

- Co pan ma na myśli, mówiąc: gratyfikacja? - Masionek nieudolnie próbował wyszarpnąć głowę spod szafotu, który lada chwila miał spaść.

- Na przykład finansową - odparł pozornie niezainteresowany tematem. - Albo - zawiesił głos, wpatrując się w twarz Masionka - pomoc przy załatwieniu kontraktu na dostawę wyrobów zakładów mięsnych Pol-Mił-Mięs do sieci super-

marketów w zachodniej Polsce. Sieci, której współwłaścicielem jest bliski przyjaciel Edmunda Grzędowicza - Bielik za grę aktorską powinien dostać angaż do najnowszej produkcji Georga Lucasa, za to Rut premię za dotarcie do tak istotnych informacji.

W tym momencie Masionek pękł. Chwilę później z najdrobniejszymi szczegółami opowiedział o groźbie ze strony Grzędowicza. Co prawda z jego zeznania nie wynikało, skąd Grzędowicz dowiedział się o walce o ów lukratywny kontrakt, to jednak było kwestią drugorzędną, najważniejszy był fakt posunięcia się do szantażu.

I z tym słowem cisnącym się na usta i wdzierającym w najgłębsze zakamarki podświadomości, sędziowie przysięgli opuszczali salę numer 207 pod koniec czwartego dnia procesu.

Rozdział 38

Ledwie Rut zdążył wyjść z budynku sądu i pożegnać się z Bielikiem, a na przystanek podjechała „trójka”. Wsiadł, zajął miejsce przy tylnych drzwiach, opierając się rękoma o barierkę, wtem poczuł wibrację w kieszeni. Wyjął komórkę, spojrzął na wyświetlacz, odebrał natychmiast.

- Mów - rzucił. Słuchał w skupieniu, najpierw marszcząc brwi, chwilę potem uśmiechając się szeroko. Skończywszy rozmawiać, wysiadł z tramwaju na przystanku przy katedrze, skierował się w stronę bulwaru, wybierając przy tym numer w komórce.

- Mam wieści o naszej pielęgniarce - zaczął mówić, gdy tylko Bielik odebrał. - Grzędowicz jej nie przekupił.

- Rozumiem, że to nie kwestia szóstego zmysłu twojego kumpla, tylko wiedza oparta na żelaznych dowodach?

- Żelazny to jest most, koło którego właśnie przechodzę - zachnął się. - Mój kumpel dokopał się do bardzo ciekawych informacji. Szatkowska, zanim kupiła mieszkanie na kredyt na Prądyńskiego, rozglądała się za innymi lokalizacjami. Upatrzyła sobie nawet jeden apartamentowiec, ale kiedy

pochwaliła się rodzinie, okazało się, że jej siostra miała już do czynienia z deweloperem, który wybudował ów apartamentowiec. Zdążyła nawet wpłacić zadatek, kiedy zaczęły się schody z przesuwaniem terminów, podpisywaniem aneksów na coraz to wyższe kwoty i tak dalej. Koniec końców zażądała zwrotu zadatku, a gdy deweloper nie oddał pieniędzy, oddała sprawę do sądu...

- Niech zgadnę - przerwał mu Bielik. - Owym deweloperem jest Grzędowicz?

- Punktów za odgadnięcie nie dostaniesz, bo to było zbyt proste - rzucił. - Wiele grzechów można Grzędowiczowi zarzucić, ale na pewno nie to, że się nie przygotował do procesu. Musiał wiedzieć o tym, że siostra Szatkowskiej ma z nim na pieńku, a tym samym pośrednio i Szatkowska. Tylko ostatni dureń próbowałby kogoś takiego przekupić. Tak więc piguła odpada.

- Ale zawsze mógł się posunąć do szantażu - Bielik nie był przekonany. - Pamiętasz, że trafiła na listę do zwolnienia?

- Pamiętam - odciął się natychmiast Rut. - A ty pamiętasz, że podpadła dyrektorowi, meldując o nieprzestrzeganiu higieny na oddziale przez niektóre koleżanki?

- Pamiętam - mruknął w odpowiedzi. - Ale i tak miej ją na oku.

- A co z Warszawską i Niewiadomskim?

- To nie jest rozmowa na telefon.

- To wpadnij do mnie, właśnie wchodzę do nowego biura

- Rut podyktował adres.

*

- Jest coraz gorzej... Coraz, kurwa jego mać, gorzej! - Grzędowicz tym razem nie pił, ale za to klął w dwójnasób.

Kowalski przyjął sprawdzoną taktykę i milczał.

- Języka w gębie zapomniałeś? - rzucił gniewnie Grzędowicz.

- Zastanawiam się, co robić - Kowalski wykonał słowny unik.

- Się nie zastanawiaj, tylko rób!

- Moim zdaniem zostało nam tylko jedno wyjście...
- Gołąbeczki?
- Tak - potaknął głową. - Jutro będą mowy końcowe i, jak widzę po Ginkowskiej, nie będzie czekała do poniedziałku, tylko zechce, aby sędziowie przysięgli wydali werdykt już jutro.
- To dzwoń do Maziarza i daj mu zarobić na chleb.

*

Bielik zdecydował się na spacer. Gdy doszedł do bulwaru zachodniego, zaczął się bacznie rozglądać, szukając właściwego miejsca. Doszedł do sklepu z tapetami, między nim a sklepem ze śrubami dostrzegł witrynę opisaną przez Ruta.

- Lepszej lokalizacji na taki interes to chyba nie można w Miłowie znaleźć? - wszedł do środka, pokazał palcem na Wartę.

Rut skomentował to pobłażliwym uśmiechem.

- Koszty wynajmu muszą być chyba horrendalne? - mówił dalej Bielik. - Dużo wyższe niż poprzedniego biura?

- Nie jest tak źle - ziewnął szeroko. - Znajomi wyjechali na trzyletni kontrakt do Arabii Saudyjskiej, zawiesili swoją działalność i udostępniłi lokal mi. Płacę jedynie za media.

- Idealny układ.

- W rzeczy samej.

Bielik patrzył w dal, za okno, dostrzegłszy pomnik pionierów z orłem z rozpostartymi skrzydłami, wspomniął o tablicy pamiątkowej na ulicy Pionierów. I pomyśleć, że tyle lat musiało minąć, zanim doceniono ich wkład w rozwój miasta.

- Nie odleci - rzekł nagle Rut, parszając śmiechem.

- Kto nie odleci?

- Orzeł, w którego wbiłeś ślepie.

- Nie widzę żadnych papierków - skontrolował Bielik, pokazując palcem na biurko. - Nie robisz notatek?

- Wszystko jest tutaj - palcem wskazującym prawej ręki dotknął skroni. - Bezpieczniejszego miejsca dla wrażliwych danych nie ma - zaprezentował szeroki uśmiech.

- To mogliśmy się spotkać u mnie - skrzywił się, chociaż tak naprawdę nie żywił urazy, lubił przychodzić nad Wartę.

- Nie chciałem spotykać się u ciebie w kancelarii - wyraz twarzy Ruta był już śmiertelnie poważny.

- Klimat ci nie odpowiada? - spytał nerwowo.

- Klimat mam głęboko w dupie - poprawił pozycję, oparł się łokciami o blat biurka, po czym położył brodę na splecione dłonie. - Chodźmy na świeże powietrze, to sobie zapalę.

Wyszli, usiedli na ławeczce, Rut z kieszeni prochowca wyjął papierosy, podczas gdy Bielik podziwiał zachodzące słońce skrzące się tysiącami iskerek na wodzie, widok, którego nigdy nie miał dość i dla którego specjalnie przychodził nad Wartę nawet kilka razy w tygodniu.

- Dupnijmy ich na samym początku jutrzejszej rozprawy - zaproponował Rut, wciągając dym z zadowoleniem.

- To cię kiedyś zabije - Bielik wymownie zakaszłał, gdy dym wypuszczony przez Ruta doleciał do jego twarzy.

- Przesadzasz.

- Przesadzam? - uśmiechnął się pobłaźliwie. - W jednym pecie masz cztery tysiące związków chemicznych, w tym czterdzieści rakotwórczych.

Rut wyjął papierosa z ust, rzucił go na ziemię.

- Wystawną kolację z prezydentem byś potrafił obrzydzić

- wycedził po chwili.

- Z tym prezydentem od byków ortograficznych? - Bielik kpił w najlepsze. - Moglibyśmy się z nim połączyć w bólu i nadziei!

- Jak cię bierze na zabawy, to idź się popluskać w wodzie - uciął. - Dupniemy ich jutro?

- Nie - Bielik zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

- Dlaczego? - autentycznie się zmartwił. Zupełnie jakby widok płaczących się w wyjaśnieniach Warszawskiej i Niewiadomskiego miał mu zapewnić nieśmiertelność.

- Przecież już mówiłem, że nie możemy wykorzystać tych dowodów przeciwko nim - tłumaczył cierpliwie Bielik.

- Mielіśmy zgodę na podsłuchiwanie?

Rut skrzywił się kwaśno.

- Tak więc nie możemy się na nie powołać - zauważył Bielik, marszcząc brwi. - Ale możemy to sprytnie rozegrać i

dupniemy skowronki.

- Jak? - zainteresował się.

- Chodzi nam tylko o wygryzienie tych dwojga, tak?

Rut potaknął głową.

- Tak więc wcale nie musimy udowadniać im stuprocentowej winy.

- Nie nadażam - mruknął Rut.

- Wystarczy, jeżeli zasygnalizujemy Ginkowskiej fakt, że ci dwoje mogą być umoczeni. A już ona weźmie ich w obroty i szybciotko przyznają się do winy - cmoknął wymownie.

- Załatwimy ich w białych rękawiczkach, co więcej, wcale nie naszymi rękoma - uśmiechnął się przebiegle.

- Gdy ochłoną na tyle, by porozmawiać z jakąś papugą, to się z wszystkiego wycofają - skontrolował Rut.

- Ale będzie już za późno - Bielik nie dał po sobie znać, że epitet użyty przez detektywa go uraził. - Dla tej sprawy będą straceni. Uwierz mi, Ginkowskiej wystarczy cień uprawdopodobnionego zarzutu i skreśli ich w tej samej nanosekundzie, w której w jej głowie uwije się takowa myśl.

- Ty tu rządysz - Rut wykonał stary jak świat gest wzruszenia ramionami. - Więc jak to rozegramy?

Bielik uśmiechnął się szeroko i zaczął mówić.

*

Dwie godziny później Kowalski odebrał telefon od Maziarza. Rozmawiał krótko, gdy skończył, podszedł do barku, wyjął dwie szklance zrobione na zamówienie, po czym sięgnął po karafkę.

Widząc wyrób włoskiej manufaktury w rękach adwokata, Grzędowicz szeroko się uśmiechnął.

Rozdział 39

Kolejny dzień rozprawy rozpoczął się tak sennie, że niektórzy z obsługujących ją dziennikarzy zaczęli się poważnie zastanawiać, czy przyniesie cokolwiek na tyle ciekawego, aby

warto było wstrzymać zaplanowane wcześniej czołówki gazet. Tylko kilku starych wyjadaczy wyczuło pismo nosem, oni doskonale wiedzieli, że takie momenty ciszy nie zapowiadają nic innego jak potężne burze z piorunami. Oczywiście nie podzielili się spostrzeżeniami z młodszymi kolegami, uświęcając odwieczną dziennikarską tradycję walki o wierszówkę za wszelką cenę.

Bielik, jak zwykle, zjawił się tuż przed rozpoczęciem rozprawy. Rut, również stałym zwyczajem, zajął miejsce w pierwszej ławce za obrońcą tak, aby w każdej chwili być do dyspozycji. Kątem oka zauważył Grzędowicza, który tym razem zajął miejsce obok swojego adwokata. Chociaż nie mógł widzieć twarzy dewelopera, gotów był się założyć, że ten zerka wymownie w kierunku ławy przysięgłych, konkretnie na dwie osoby.

Kiedy na salę weszła sędzia Aldona Ginkowska, od razu było widać, że z całych sił próbuje nie poddać się senności.

- Czy strony mają jakieś wnioski? - sędzia Aldona Ginkowska z trudem panowała nad ziewaniem.

- Oskarżenie nie ma żadnych wniosków - prokurator Dobrowolski pośpieszył z zapewnieniem. Był chyba jedynym człowiekiem na sali, któremu ciśnienie nie dawało się we znaki. Ale tak to jest, jeżeli zaczyna się pracę od 7.00 i od dwóch filiżanek bardzo mocnej kawy.

- Oskarżyciel posiłkowy również nie - odezwał się Kowalski.

- Obrona chciałaby złożyć wniosek formalny - Bielik udał znużenie, maskując nadzwyczajne podekscytowanie.

- Słucham - tym razem sędzi Aldonie Ginkowskiej nie udało się powstrzymać ziewnięcia.

- Obrona weszła w posiadanie informacji wskazujących na to, że dwoje sędziów przysięgłych w trakcie procesu utrzymywało kontakty z osobami postronnymi mogącymi działać w porozumieniu z oskarżycielem posiłkowym - Bielik wbił spojrzenie w ławę przysięgłych, przez co nie mógł zobaczyć reakcji ani Kowalskiego, ani Grzędowicza. Twarze obu mężczyzn nagle pobladyły.

W tle dało się słyszeć skrobanie dziennikarskich długopisów i

wymieniane między sobą szepty. Kilka osób zapuszczało żurawia w notatki sąsiadów, nie zdążyli bowiem zapamiętać frazy wypowiedzianej przez Bielika.

- Proszę obie strony do mnie - warknęła sędzia Aldona Ginkowska. Po wcześniejszej senności nie było nawet śladu.

Dobrowolski jak zwykle zjawił się pierwszy przy stole sędziowskim.

- Panie mecenasie, jeśli to ma być kolejne zagranie pod publiczność, to przekroczył pan granicę - sędzia Aldona Ginkowska zawiesiła groźbę w powietrzu. Chociaż do śniadania tym razem nie wypila kawy, jedynie mocną herbatę, to krew w jej żyłach buzowała teraz znacznie mocniej niż w krwiobiegu prokuratora.

- Wysoki Sądzie, zapewniam, że jedynym celem jest zapewnienie bezstronnego procesu mojemu klientowi - oświadczył Bielik prosto z mostu. - A kontakty dwojga sędziów ze stroną przeciwną są pogwałceniem elementarnych zasad...

- Nie musi mi pan o tym przypominać - ucięła nerwowo sędzia Aldona Ginkowska, jednak bardziej zła na siebie niż na mecenasa, jakby mogła mieć wpływ na sprzeniewierzenie się sędziów przysięgłych. - Panie prokuratorze - zwróciła się do Dobrowolskiego - czy wiadomo panu cokolwiek na ten temat?

- Nic a nic - zaprzeczył gwałtownie Dobrowolski, zastanawiając się, czym jeszcze zaskoczy go ten dzień.

- Proszę oskarżyciela posiłkowego o podejście do stołu prezydialnego - sędzia Aldona Ginkowska rzuciła Grzędowiczowi ostre spojrzenie.

Sposób, w jaki Grzędowicz podszedł do stołu, najlepiej oddałoby określenie „człapać”. Dreptał jak kacuszka zmierzająca dostojnym krokiem z szuwarów do wody.

- Czy wiadomo coś panu na temat zarzutów, które właśnie postawiła obrona? - sędzia Aldona Ginkowska patrzyła Grzędowiczowi prosto w oczy.

- Proszę powtórzyć pytanie - Grzędowicz nieudolnie grał na zyskanie czasu.

- Słyszał pan dobrze - syknęła sędzia. - Czy kontaktował się pan z którymkolwiek z sędziów przysięgłych?

- Ja? - Grzędowicz udął zdziwienie. - Nie! - nagle wróciła mu pewność siebie.

- A może kontaktował się z nimi ktoś w pańskim imieniu?

- naciskała dalej.

- Słabo mi - Grzędowicz w teatralnym geście złapał się za serce. - Duszno... Wody!

Sędzia Aldona Ginkowska zacisnęła gniewnie usta. W tym momencie Grzędowicz osunął się na podłogę.

*

Zdaniem lekarza pogotowia wezwanego do sądu, Grzędowicz był w dobrej formie i nic mu nie dolegało poza tym, że uskarżał się na ból w klatce piersiowej. Niby drobiazg i sędzia Aldona Ginkowska - tylko pełny profesjonalizm nie pozwalał jej na podzielenie się myślami na temat Grzędowicza - najchętniej wróciłaby na salę i rozpoczęła rozprawę, jednak nawet laik wiedział, że ból w klatce piersiowej może zwiastować zawał serca. I chociaż wszyscy, włącznie z Dobrowolskim byliby się gotowi założyć, że senior rodu Grzędowiczów udawał, by przeciągnąć sprawę, wiedzieli, że nie ma innego wyjścia jak wizyta w szpitalu i zestaw szczegółowych badań.

- Proszę zabrać pana Grzędowicza do szpitala - poleciała sędzia Aldona Ginkowska lekarzowi.

- Odraczamy rozprawę, pani sędzio? - spytał Dobrowolski.

- Nie - odparła krótko sędzia Aldona Ginkowska.

- Obecność oskarżyciela posiłkowego w trakcie rozprawy jest kluczowa - Dobrowolski uniósł wysoko brwi.

- Sądowni znany jest ten ogólnie dostępny fakt, panie prokuratorze - z ust sędzi łały się litry sarkazmu. - Zanim rozpoczniemy rozprawę, zajmiemy się sprawą domniemanych kontaktów sędziów przysięgłych z przedstawicielami oskarżyciela posiłkowego.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Dobrowolski zachowywał się, jakby znajdowali się na sali sądowej, a nie w gabinecie sędzi.

- Oskarżyciel posiłkowy powinien mieć możliwość ustosunkowania się do takich zarzutów.

- Przecież jeszcze żadnych zarzutów oskarżycielowi posił-

kowemu nie postawiono - zauważyła z satysfakcją sędzia Aldona Ginkowska. - Może najpierw utniemy sobie pogawędkę z Wielką Ławą Przysięgłych, a potem, jeśli pan Grzędowicz będzie chciał wnieść coś od siebie, to umożliwimy mu to?

Gdyby Rut był obecny przy tej wymianie zdań, Bielik posłałby mu spojrzanie pełne triumfu.

- Dobrze, Wysoki Sądzie - Dobrowolski poddał się bez walki.

- Skoro mowa o panu Grzędowiczu... - sędzia zamyśliła się na dłuższą chwilę. - Jeśli mnie pamięć nie myli, lekarz, który zabrał go do szpitala, jest na liście biegłych naszego sądu...

- Trzeba by to sprawdzić - rzekł Dobrowolski niepewnie.

- Chwileczkę - sędzia Aldona Ginkowska załapała za słuchawkę telefonu, wydała krótkie polecenie. Po minucie denerwującej ciszy rozległ się jeszcze bardziej denerwujący dźwięk dzwonka. - Tak? To świetnie! Proszę podać mi numer jego komórki.

Dobrowolski spojrział na sędzię z wyczekiwaniem wymalowanym na twarzy, podczas gdy Bielik patrzył w dal przez okno, wciąż nie mogąc się nasycić zbliżającą się chwilą zwycięstwa.

- Poproszę naszego biegłego, aby od razu po wykonaniu badań wydał opinię, czy pan Grzędowicz może uczestniczyć w dalszym procesie - mówiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Mało brakowało, a Bielik z radości podskoczyłby pod sam sufit.

- Idziemy do przysięgłych - rzuciła, a w jej głosie próżno było szukać zwiastunów jakiegokolwiek miłosierdzia dla tych, którzy wkrótce mieli się okazać judaszami wymiaru sprawiedliwości. - Nie - stanęła nagle w drzwiach. - Najpierw pan mecenas podzieli się ze mną swoimi rewelacjami.

Bielik przełknął ślinę.

- Słucham - sędzia Aldona Ginkowska wróciła za biurko, usiadła wygodnie w fotelu.

*

- Panie prokuratorze - rzekła sędzia Aldona Ginkowska, gdy Bielik skończył mówić. - Moje informacje również

potwierdzają fakt utrzymywania przez tych dwoje sędziów przysięgłych zażyłych kontaktów ze sobą i prowadzenie długich rozmów.

- Ale same rozmowy nie są chyba zabronione? - prokurator Dobrowolski wczuł się w rolę adwokata sędziów przysięgłych.

- Rozmowy nie - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na niego twardo. - Ale już rozmowy poza terenem hotelu w godzinach późnowieczornych już chyba tak? I to nie tylko ze sobą, ale również z osobami postronnymi.

- W takim razie żądam przesłuchania osoby, z którą tych dwoje miało utrzymywać domniemane kontakty - rzekł Dobrowolski, próbując grać na zwłokę. - A może obrona w ogóle nie ma pojęcia, kim ta osoba jest?

Sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na adwokata pytająco.

- Według moich informacji to Grzegorz Maziarz vel Zygmunt Jakubowski vel Kuba Misiak - Bielik dostojnym gestem otworzył teczkę, wyjął plik fotografii, podał sędzi. - Na tych zdjęciach rozmawia z Niną Warszawską już po wybraniu jej na sędziego przysięgłego. Krótco potem spotkał się z Patrykiem Niewiadomskim - obdarzył prokuratora spojrzeniem pełnym satysfakcji.

- Wyznaczenie do funkcji sędziego przysięgłego nie oznacza chyba równocześnie zakazu kontaktowania się z innymi przedstawicielami gatunku ludzkiego? - zżymał się Dobrowolski. - Mogli na przykład rozmawiać o kontrowersjach związanych z usunięciem godła narodowego z koszulek piłkarskiej reprezentacji Polski. Albo...

- Czy wiemy, o czym rozmawiali? - sędzia weszła mu w słowo.

- Wiemy - Bielik zrobił pauzę - ale tej wiedzy nie zdobyliśmy metodami, które upoważniałyby nas do zakwalifikowania tego w poczet dowodów.

- I w takiej sytuacji pan śmie imputować uczciwym obywatelom korupcję? - Dobrowolski postanowił przystąpić do ataku. Moment wybrał jednak nie najlepszy.

- Panie prokuratorze, poproszę pana o głos w stosownej chwili - sędzia Aldona Ginkowska usadziła go jednym spoj-

rzeniem. - Rozumiem, że to zdjęcie też czegoś dowodzi? - stuknęła wymownie palcem w fotografię, na której było widać czarne luksusowe bmw na tle willi zdominowanej przez ganek z trzema schodami i kolumnami stylizowanymi na greckie. Całości obrazka - który aż się prosił, wręcz krzyczał, aby podpisać go: „Totalne bezguście” - dopełniały posągi dwóch wielkich lwów.

- Wracając jeszcze do myśli pana prokuratora... - Bielik nie zamierzał pozostawić ataku bez reakcji. - Osoba, która spotkała się z tymi krystalicznie uczciwymi obywatelami, chwilę po rozmowie z panem Niewiadomskim udała się do posiadłości Edmunda Grzędowicza - wstrzymał głos dla zwiększenia efektu. - Grzegorz Maziarz vel Zygmunt Jakubowski vel Kuba Misiak, bo o nim właśnie mówimy, spędził tam ponad godzinę. W tym czasie w willi szanowanego - niemalże parsknął, wypowiadając ostatnie słowo - miłowskiego przedsiębiorcy przebywał jego osobisty prawnik i doradca Stanisław Kowalski. Najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy, o czym panowie rozmawiali, ale pan prokurator pewnie stawiałby, że o ociepleniu klimatu? - nawet nie starał się ukryć jawnej kpiny.

Sędzia Aldona Ginkowska przygryzła delikatnie wargę, aby nie dać po sobie poznać, że jedyną reakcją, jaką chciałaby skomentować wywód Bielika, jest perlisty wybuch śmiechu.

- Dlaczego mielibyśmy się tego nie dowiedzieć? - Dobrowolski panicznie próbował ratować sytuację. - Skoro obrona jest tak pewna swego, niech powoła tego Maziarza na świadka - zagrał va banque.

- Jestem niezwykle wdzięczny panu prokuratorowi za troskę o przyjętą linię obrony - mało brakowało, a Bielik pokłoniłby się w pas. - Niestety, wczoraj Grzegorz Maziarz vel Zygmunt Jakubowski vel Kuba Misiak zniknął. Zapadł się pod ziemię. Dlatego nie zadam mu pytania, czy na polecenie Edmunda Grzędowicza i Stanisława Kowalskiego pośredniczył w próbach skorumpowania dwojga sędziów przysięgłych: Niny Warszawskiej i Patryka Niewiadomskiego. Nie usłyszymy też odpowiedzi, którą, naprawdę, proszę mi wierzyć, chciałbym,

żeby usłyszała ława przysięgłych - Bielik chciałby tego, fakt, ale nawet tylko to, że mógł tym podejrzeniem rzucić niczym asem z rękawa, siejąc wątpliwość w Ginkowskiej, było na wagę złota.

- Zrobimy tak - sędzia podjęła już decyzję. - Panowie sąd wyjdą, a ja zaproszę po kolei obu sędziów i sobie z nimi pokonwersuję.

*

Rozmowa z Niną Warszawską trwała 10 minut, z Patrykiem Niewiadomskim poszło jeszcze szybciej. Oboje, wobec kalibru oskarżenia i potęgi dowodów, przyznali się do winy. Warszawska co prawda próbowała na początku lawirować, ale zobaczywszy zdjęcia z restauracji „Sajdak”, poddała się bez dalszej walki.

Sędzia Aldona Ginkowska wykluczyła oboje ze składu ławy przysięgłych, informując przy tym, że zostanie wobec nich wszczęte postępowanie wyjaśniające w sprawie złamania przepisów o funkcji sędziego przysięgłego. Następnie wznowiła rozprawę, przekazała wiadomość o wykluczeniu i poprosiła o zajęcie miejsc przez sędziów rezerwowych.

Natychmiast po wznowieniu rozprawy Bielik poprosił o głos.

- Wysoki Sądzie - adwokat mówił donośnym głosem.

- W obliczu zaistniałych faktów, obrona pragnie zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na możliwość popełnienia przestępstwa przez Edmunda Grzędowicza polegającą na próbie wpływania na sędziów przysięgłych - zrobił szybki obrót w stronę publiczności.

- Sąd dziękuje panu mecenasowi za tę uwagę, ale sam doskonale zdaje sobie z tego sprawę - cierpki uśmiech na twarzy sędzi Aldony Ginkowskiej nie pozostawiał złudzeń, jak ocenia tyradę mecenasa. - Proszę zapisać do protokołu: sąd kieruje oficjalne zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa wpływania na sędziów przysięgłych przez Edmunda Grzędowicza, syna...

Rozdział 40

Gdyby tempo wydania opinii przez biegłego lekarza przeniosło się na cały polski wymiar sprawiedliwości, kilkuletnie oczekiwanie na wyroki poszłoby raz na zawsze w niepamięć. Niestety, zarówno wyjątkowość procesu Damiana Kanclerza jak i błyskawiczność decyzji medyka w żaden sposób nie miały się przełożyć na uzdrowienie chorego do szpiku kości systemu.

Bądź co bądź, przynajmniej w tej jednostkowej sprawie procedury szły jak po maśle. Zadowoleni byli niemal wszyscy, oczywiście z wyjątkiem oskarżyciela posiłkowego. Kiedy sędzia Aldona Ginkowska oznajmiła, że badania lekarskie wykonane w szpitalu wykazały, że stan zdrowia Edmunda Grzędowicza zezwala na jego dalszy udział w procesie, mecenas Kowalski złożył wniosek o jego odroczenie. Sędzia odrzuciła go natychmiast, oceniając jako próbę przeciągania sprawy. Zaproponowała przy tym, aby adwokat skontaktował się telefonicznie z klientem i dowiedział, czy ten zamierza wrócić na salę sądową. W przypadku pozytywnej decyzji, rozprawa zostałaby odroczone o godzinę. Ponieważ jednak Grzędowicz nie zamierzał pojawiać się przed kamerami, nie było potrzeby wyznaczania przerwy. Jego interesy miał nadal reprezentować Kowalski.

*

Od razu po wznowieniu rozprawy Bielik zgłosił wniosek o przesłuchanie Dawida Ruta. Ku zaskoczeniu widowni, nie protestował ani prokurator Dobrowolski, ani mecenas Kowalski.

Samo przesłuchanie detektywa było majstersztykiem w wykonaniu adwokata. Najpierw zadał standardowe pytania o przebieg służby w policji, szczególnie mocno wypytyując o doświadczenie zdobyte podczas wieloletniej pracy w pionie kryminalnym. Potem Rut zdał relację ze śledzenia Niny Warszawskiej, Patryka Niewiadomskiego i Grzegorza Maziarza vel Zygmunta Jakubowskiego vel Kuby Misiaka. Podczas detalicznych opisów na wielkim ekranie prezen-

wano fotografie wykonane przez detektywa. Niektóre były powiększone do tego stopnia, że z drugiego końca sali można było zobaczyć pory na skórze. Furorę wśród publiczności zrobiła seria zdjęć wykonana z pokoju gościnnego biblioteki wojewódzkiej, na których było widać, jak Niewiadomski najpierw przedostaje się do pokoju Niny Warszawskiej, a potem oboje zaczynają się migdalić. Oczywiście Bielik zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że najpikantniejszych zdjęć pokazać nie może i tego nie zrobił, nie chcąc prowokować sędzi Aldony Ginkowskiej.

To, co zaprezentowano Wielkiej Ławie Przysięgłych, wystarczyło jednak w zupełności.

*

Przesłuchanie Ruta okazało się być ostatnim w tym dniu, żadna ze stron nie zgłosiła nowych świadków. Pozostały już tylko zeznania Damiana Kanclerza. Sędzia Aldona Ginkowska, po konsultacji z oskarżeniem i obroną, podjęła decyzję, aby nie przedłużać postępowania i przesłuchanie przełożyć na jutro, mimo że była to sobota. Także mowy końcowe i werdykt miały zapaść tego dnia. Zadowoleni byli wszyscy, a najbardziej sędziowie przysięgli, którzy dzięki temu w rodzinnych domach mieli się znaleźć szybciej niż pierwotnie przypuszczali.

Rozdział 41

Kiedy Kowalski zajechał przed willę w Chwałęcicach, Grzędowicz już na niego czekał, pijany w sztok. Mimo upojenia, był nad wyraz kontaktowy.

- Ten pierdolony Bielik z tym chujem Rutem zrobili nam tak koło dupy, że lewatywa robiona przez nedorobioną pielęgniarkę to przy tym niewinne pieszczoty - Grzędowicz beknął głośno, ulewając przy tym drinka.

- Oglądałeś przesłuchanie detektywa? - spytał Kowalski.

- Oglądałem - kolejne beknięcie.

- Topienie smutków w kieliszku nam nie pomoże - spojrzał znacząco na zwykłą szklanę.

- Ale i nie zaszkodzi - odciął się natychmiast. - Nic mu nie możemy zrobić? - spytał po chwili, już spokojnie.

- Możemy wynająć kogoś, kto obije mu mordę. Ale nie radziłbym.

- Bo? - zainteresował się propozycją.

- Będziesz miał wystarczający smród za przekręt ze zwolnieniem Kanclerza z zakładów mięsnych - Kowalski tłumaczył cierpliwie. - Ciesz się, że wysłałem Maziarza daleko stąd, dzięki temu sprawa Niewiadomskiego i Warszawskiej ma szanse przyschnąć, trzeba tylko będzie nad nimi popracować, żeby umiejętnie wycofali się z tego, do czego się przyznali sędzi. Ale gdyby jutro Bielik wszedł na salę z podbitymi oczami i wybitymi zębami, to... - zrobił pauzę, szukając odpowiedniego określenia. - Ginkowska nie jest w ciemną bita. Sędziowie przysięgli także. Nawet jeśli Bielik nic by nam nie udowodnił, uzyskalby taki efekt, że nie byłoby nawet potrzeby prezentowania mów końcowych - cmoknął z niesmakiem.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że ta łachudra, o której mówiłeś, że sznurowadeł nie potrafi sobie sama zawiązać, wydymała nas jak jakąś tanią dziwkę? - Grzędowicz opadł zrezygnowany na fotel obity prawdziwą skórą, żadnym tam materiałem identycznym z naturalnym. - Że po prostu nas wyruchał...?

Kowalski nic nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy mówił, że chciałby sprecyzować: nie nas, tylko ciebie. Po błyskawicznym namyśle wybrał jednak wariant milczący.

- Ja cię, kurwa, pierdołę! - Grzędowicz znowu zaczął się miotać po salonie.

*

Grzędowicz przestał pić, próbując uporządkować myśli, za to Kowalski pił drinka za drinkiem. Po pół godzinie deweloper przestał dreptać w kółko, podszedł do adwokata.

- Dzwon do ministra - Grzędowicz trzymał w dłoniach telefon komórkowy Kowalskiego.

- Słucham?
- Dzwon do Drabczego.
- Pojebało cię całkiem?
- Mamy inne wyjście? - podsunął komórkę pod nos adwokata.
- Zaraz - warknął Kowalski. Wstał, poszedł do łazienki, przemył twarz zimną wodą, wytarł ręcznikiem.

*

Wróciwszy do salonu, Kowalski wziął telefon do ręki.

- Dzień dobry, panie ministrze - rzucił ciepło do słuchawki.
- Tutaj wiceprezes Naczelnej Rady Adwokatury Stanisław Kowalski.
- Staszku - w słuchawce dało się słyszeć jowialny głos Drabczego. - Daj spokój z tym ministrowaniem. Powiedz lepiej, co tam u ciebie...

Kowalski zaczął opowiadać o tym i owym, jak to interesy kiepsko idą, rachunki za życie rosną, a znikąd nadziei na lepsze jutro. Słuchając go, można było mieć wrażenie, że trwa wojna domowa i ludzie żyją o chlebie i wodzie. W pewnym momencie adwokat postanowił zakończyć kurtuazyjne gierki i przeszedł do sedna sprawy, skarżąc się na przebieg procesu przed Wielką Ławą Przysięgłych.

Reakcja ministra była jednak natychmiastowa.

- Staszku, złóż oficjalny wniosek, już ci damę mojego asystenta - Drabczy rozegrał rzecz pierwszorzędnie. - Inaczej będę zmuszony potraktować tę rozmowę jako próbę korupcji i powiadomić organa ścigania. To jak, złożysz oficjalny wniosek?

- Tak, daj mi asystenta - jęknął Kowalski.

- Artur Starosta, słucham - po drugiej stronie słuchawki rozległ się głośny zgrzyt. Gdyby Kowalski nie był tak zaafekowany tematem rozmowy, domyśliłby się, że włączono nagrywanie.

Kowalski zaczął się skarżyć, że show przed ławą przysięgłych podlega zbyt wielkim emocjom i powinno się ten instrument prawny zlikwidować, włącznie ze sprawą Damiana Kanclerza.

- W tej chwili niczego nie da się zrobić, panie mecenasie -

rzekł Starosta. - Sprawa jest w toku, dopiero gdy się zakończy, będzie pan mógł w imieniu swojego klienta złożyć odwołanie.

- To ja złożę wniosek do Trybunału Konstytucyjnego! - Kowalski wrzasnął w geście rozpaczy.

- Bardzo proszę, panie mecenasie, ale w takim razie wybrał pan zły numer telefonu - uśmiechnął się Starosta.

- To jest pogwałcenie zasad praworządności w Polsce! - krzyczał dalej Kowalski.

- Nie, mój drogi Staszku - Drabczy ponownie włączył się do rozmowy. - Jest wręcz przeciwnie: to stanie na straży praworządności. I pamiętaj: sprawiedliwość powinna karać zbrodnię.

Kowalski się rozłączył, jednak w głowie, jak echo, dudniło mu: „Sprawiedliwość powinna karać zbrodnię”.

*

- W takim razie mamy tylko jedno wyjście - rzekł Kowalski, nalawszy sobie pokaźnego drinka.

- Jakie? - Grzędowicz nie był dłużny, swoją szklankę również dołał do pełna

- Nie spodoba ci się.

- Mów! - warknął, wylewając trunek na dywan. - Kurwa!

- zaklął. - Wiesz, ile on kosztował? - bełkotał. Klęknął, nieudolnie próbując wytrzeć plamę chusteczką.

- Nie wiem i gównu mnie to obchodzi - burknął w odpowiedzi. - Skoro już mówimy o kosztach. Musisz przygotować się na spory wydatek.

Grzędowicz oprzytomniał w jednej chwili.

Rozdział 42

Bielik drzemał, gdy natarczywy dźwięk komórki wyrwał go z błogiego snu, w którym był głównym bohaterem programu „U Kuby Powiatowego”, obok znanej celebrytki, autorki best-sellerowego poradnika „Jak trzy lata po porodzie odkurzyć

dywan w dużym pokoju”.

- Słucham - Bielik rzekł półprzytomnie do słuchawki.

- Mecenas Stanisław Kowalski z tej strony.

- W czym mogę pomóc, panie mecenasie? - w jednej chwili odzyskał pełnię świadomości.

- Więc... Panie mecenasie... Jakby to powiedzieć...

- Właściwie - wtrącił Bielik - spodziewałem się pańskiego telefonu.

- Naprawdę? - w jednej chwili przestał się jąkać. - Chciałbym z panem porozmawiać o pewnej bardzo ważnej dla nas obu sprawie.

- Domyślam się, że to pilne.

- Czyta pan w moich myślach - Kowalski uśmiechnął się szeroko.

Bielik też się uśmiechnął.

- Moglibyśmy się spotkać za godzinę? - mówił dalej Kowalski. - Ponieważ to rozmowa z gatunku tych, które nie powinny mieć świadków, proponuję Cmentarz Świętokrzyski.

- Za godzinkę? - upewnił się Bielik. - Pasuje mi idealnie.

*

Cmentarz Świętokrzyski położony przy ulicach Głowackiego i Warszawskiej, jak przystało na nekropolię mającą za sobą 150 lat historii, był miejscem, w którym czas się zatrzymywał, a ludzkie myśli zaczynały krążyć wokół nieuniknionego. Klimat tworzyły oczywiście same groby, wśród których uwagę najmocniej przykuwały pomniki z gotyckimi, niemieckimi napisami, ale też fakt, że położony był na wzgórzu ze stromo opadającymi stokami. To potęgowało efekt przemijania, bo wspinając się ku odpowiednim kwaterom i pocąc przy tym niemilosiernie, człowiek przypominał sobie o pokorze, którą cywilizacyjna zawierucha wywiewała niczym halny resztki śniegu z tatrzańskich szczytów.

Bielik zaparkował fiestę na nowym parkingu wzdłuż Głowackiego, wszedł boczną bramą, wdrapał się - nie bez wysiłku - na stromą górkę. Gdy rzucił spojrzeniem w lewo i dostrzegł kapliczkę, od razu ruszył w tę stronę.

Ta część nekropolii z jednej strony sprawiała wrażenie smutne, najbardziej wyszukane pomniki były zrobione z lastriko, na wielu grobach stały tylko same krzyże, zardzewiałe, zmurszałe, chylące się ku ziemi. Z drugiej jednak strony w tym ascetycznym wyglądzie było coś wzniosłego. Jakby groby pochowanych tu ludzi chciały swoim wyglądem przypomnieć żyjącym, że na tamten świat żadnych dóbr doczesnych nikt ze sobą nie przewiezie, bo rzeki Hadesu wyrównują ostatecznie i nieodwracalnie wszelkie ziemskie nierówności: finansowe, społeczne czy zdrowotne...

Bielik szedł alejką brzożową, minął ósmą stację drogi krzyżowej, potem dziewiątą, dziesiątą, tuż przed cerkwią greckokatolicką pod wezwaniem Świętego Jozafata spojrzął w prawo, szukając wzrokiem charakterystycznych figurek aniołków.

- Musiał wybrać akurat groby dzieci? - zżymał się, mrużąc pod nosem, odczytując daty śmierci.

- Dzieci sprzed lat nikt nie pamięta - głos Kowalskiego rozbrzmiał za plecami. - Dorosłych, owszem. Moglibyśmy trafić na wścibską sąsiadkę, która zaczęłaby wypytywać, kim jesteśmy.

- I co z tego? - przerwał mu gwałtownie, czując się mocno nieswojo i bynajmniej nie ze względu na miejsce spotkania. Nagle, w dali, zza Warty, dał się słyszeć pomruk żużlowych motorów, chwilę potem zaczął siąpić drobny deszcz.

- Wolałbym, żeby nikt nam nie przeszkadzał - skrzywił usta w grymasie, który w zamierzeniu miał być uśmiechem pełnym zawodowej uprzejmości. - Sprawa jest...

- Niezwykle subtelnej materii - Bielik dokończył myśl.

- Lepiej bym tego nie ujął - grymas był nieco bliższy uśmiechowi. - Panie mecenasie, wśród kolegów z branży ma pan opinię niezwykle skutecznego.

- Akurat - Bielik prychnął w myślach, a na głos powiedział: - Panie mecenasie, dziękuję za komplement.

- Ale jest pan znany także z innego powodu - Kowalski spojrzął wyczekująco.

Bielik zmarszczył brwi, patrząc na figurkę aniołka trzymającego w dłoniach bukiet kwiatów, pilnującego grobu dzie-

sięcioletniego chłopca.

- Powszechnie wiadomo, że pańska sytuacja finansowa nie jest, delikatnie mówiąc, najlepsza - mówił dalej Kowalski.

- Przed kolegami nic się nie ukryje - na twarzy Bielika pojawił się autentyczny szeroki uśmiech. Bynajmniej niespowodowany uwagą rozmówcy, co raczej satysfakcją wynikającą z tego, że teraz był już całkowicie pewny, w którym kierunku zmierza rozmowa.

- A ja wiem, jak to zmienić - Kowalski spojrzał z napięciem.

W odpowiedzi Bielik uśmiechnął się jeszcze szerzej. Gdyby teraz spojrzał na aniołka, zobaczyłby, jak krople deszczu spływające po betonowej figurze tworzą na jego policzkach nieme łzy.

*

Kwadrans później Bielik zaparkował auto na Spichrzowej. Było już późno, nie miał więc problemu ze znalezieniem wolnego miejsca, dzięki czemu nie musiał stawać na zakazie. Wszedł do biura i zaczął opowiadać. Gdy doszedł do komplementów, Rut chwycił paczkę papierosów leżącą na krześle i pokazał wymownie na drzwi. Wyszli na zewnątrz, detektyw zapalił, Bielik kontynuował opowieść.

- Ile ci zaproponował? - Rut strzyknął śliną, trafiając dokładnie w środek granitowej płyty chodnikowej.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych - odparł Bielik, wzdychając na samo wspomnienie.

- Dużo.

- Dużo? - uniósł lewą brew. - Bardzo, kurwa jego mać, dużo!

- Ale nie przyjąłeś oferty - to było stwierdzenie, nie pytanie.

- Nie - zaprzeczył ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

Rut spojrzał pytająco.

- Jeśli wygram tę sprawę, a wygram na pewno, bo teraz poradziłby sobie z tym nawet nieopierzony student pierwszego roku prawa - Bielik uderzył zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń - to zarobię znacznie więcej, niż zaoferowała mi ta menda.

- Dużo więcej...

- Bardzo, kurwa jego mać, dużo!

Rozdział 43

Sobota przywitała Bielika promieniami słońca. Wziąwszy to za dobrą monetę - chociaż po prawdzie, to nawet burza z gradobiciem nie zepsułaby mu nastroju - przygotował na śniadanie omlet, po czym zasiadł do posiłku, ostatni raz przeglądając notatki i przygotowując się na przesłuchanie Damiana Kanclerza.

*

Jego przesłuchanie zaczęło się tak rutynowo, jak nudnie: pytaniami o wiek, wykształcenie, pracę zawodową i rodzinę. Potem przysła kolej na opis zdarzenia z parkingu marketu Skalamandra. W momencie, gdy Kanclerz wspomniał o szaliku, Bielik mu przerwał.

- Wysoki Sądzie, proszę o pokazanie sędziom przysięgłym dowodu w postaci szalika klubowego Stali Miłów - Bielik podszedł do stołu sędziowskiego, wziął szalik podany przez sędzię Aldonę Ginkowską, po czym podszedł do ławy przysięgłych i rozpostarł go zupełnie tak, jakby witał stalowców wyjeżdżających do prezentacji na stadionie przy Śląskiej. - Mógłby mi pan wyjaśnić, skąd pomysł, aby w obronie przed napastnikami posłużyć się akurat tym przedmiotem? - odwrócił się w kierunku mównicy dla świadków.

- Nie - Kanclerz zaprzeczył ruchem głowy.

- Słucham?!

- Do dzisiaj się nad tym zastanawiam i nie przypominam sobie momentu, w którym podjąłem decyzję, aby do obrony użyć szalika. To był impuls.

- To szalik pańskiego szwagra?

- Tak. Mój spadł na siedzenie, kiedy podniosłem klapę bagażnika.

- Swój szalik od kiedy pan wozi? - dopytywał Bielik.

- Od lat - uśmiechnął się Kanclerz. - Moja przygoda z

żużlem zaczęła się, gdy byłem szkrabem i na mecze zabierał mnie nieżyjący już mój ojciec.

- Pewnie teraz zabiera pan tam swoje dzieci? - pytał dalej Bielik.

-Nie.

- Słucham? - udał zdziwienie, bo przecież doskonale wiedział, co powie klient.

- Zabrałem na kilka meczów mojego najstarszego syna, Rafała, ale od kilku lat już tego nie robię.

- Dlaczego? - zdziwienie było jeszcze większe.

- Sprzeciw! - prokurator Dobrowolski zerwał się z miejsca. - Pytania obrony nie wnoszą nic istotnego do sprawy.

- Panie mecenasie? - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała pytająco.

- Obrona wywiedzie wniosek przeciwny - odpowiedział krótko Bielik.

- Oddalam sprzeciw - zawyrokowała sędzia Aldona Ginkowska. - Ale proszę zmierzać do konkluzji, panie mecenasie.

- Dlaczego od kilku lat nie zabiera pan syna na żużel? - Bielik ponowił pytanie.

- Bo po derbach z Falubazem Zielona Góra, kiedy doszło do regularnej bitwy między kibicami obu drużyn, stwierdziłem, że stadiony żużlowe w Polsce przestały być miejscem spokojnej rodzinnej rozrywki. I nie chodzi tylko o stadion przy Śląskiej u nas w Miłowie czy przy Wrocławskiej w Zielonej Górze. Podobnie jest też w innych miastach. Trybuny zaczęły opanowywać kibole, a normalni kibice zastanawiają się, czy ryzykować zdrowiem i życiem...

- Ale mimo że przestał pan chodzić na mecze, to szalik w samochodzie woził pan nadal.

- Tak, bo przecież nie przestałem kochać Staleczki - Kanczlerz uśmiechnął się szeroko.

Wyznanie spotkało się z głośną aprobatą miejscowych dziennikarzy obecnych w klatce, wielu, notując wyznanie o miłości do klubu, uśmiechało się z sympatią.

- Stał to cały czas jest mój ukochany klub i wciąż mam nadzieję, że działacze żużlowi w Polsce zrobią coś, żeby przy-

wrócić bezpieczeństwo na stadionach - kontynuował Kanclerz. - Nie rozumiem tych bijatyk między kibicami Stali i Falubazu czy też między fanami innych zwaśnionych zespołów. Ja uważam, że nawet jeśli ukochana drużyna przegrywa, to rywalowi należy się szacunek i trzeba docenić jego klasę, choć oczywiście wolę, gdy wygrywają nasi...

Tym razem z klatki dla dziennikarzy dało się słyszeć głośny pomruk dezaprobaty.

- Ale ja naprawdę uważam, że przeciwnikowi należy się szacunek i nie można rywalizacji na torze sprowadzać do poziomu: zabij obcego...

Kolejny pomruk, który dobiegł z klatki, był już znacznie głośniejszy, ktoś nawet próbował buczeć.

- Proszę państwa - uśmiech, jaki sędzia Aldona Ginkowska przybrała, kierując spojrzenie w kierunku przedstawicieli mediów, nie miał niczego z uśmiechu matczynego, pełnego miłości i zrozumienia dla wad ukochanego dziecka. Właściwie nic więcej nie musiałaby dodawać, bo dziennikarze w lot zrozumieli, o co chodzi, jednak wołała wyartykułować ostrzeżenie wprost. - Jeszcze jedno takie zachowanie z państwa strony i na sali zostanie jedynie kamerzysta.

- Operator kamery - syknął pod nosem wywołany. - Kamerzysta to jest na wiejskim weselu.

- Widzi pan, panie mecenasie? - rzekł Kanclerz smutno.

- Nawet dziennikarze, którzy mają ogromny wpływ na kibiców i ich podejście do czysto sportowej rywalizacji, w większości przypadków nie potrafią wznieść się ponad lokalny szowinizm.

- Wróćmy do momentu, w którym chwyta pan szalik w ręce

- Bielik wrócił na pewniejszy grunt. Nabrał głęboko powietrza, szykując się do zadania jednego z najważniejszych pytań. - Pamięta pan, co działo się później?

- Nie - Kanclerz przygryzł nerwowo wargę. - Nie pamiętam.

- Nie pamięta pan, jak się bronił przed atakiem tych dwóch mężczyzn?

- Nie pamiętam - odparł zrezygowany

- Widział pan nagranie w telewizji? - kolejny istotny wątek.

- Widziałem - Kanclerz potaknął głową.
- Co pan czuł, kiedy oglądał pan siebie, broniącego się przed atakiem?
 - Zdziwienie - odparł po krótkiej chwili zastanowienia.
 - Słucham? - zaskoczenie na twarzy Bielika wyglądało na autentyczne, bo tak miało wyglądać.
 - Byłem bardzo mocno zdziwiony swoimi umiejętnościami.
 - Ale przecież trenował pan karate od pół roku...
 - Trenowałem, ale gdy sensei kończył zajęcia kondycyjne i techniczne i zaczynały się walki, trafiałem do grupy najmniej zaawansowanej, a i tak najczęściej dostawałem tęgie baty - Kanclerz spuścił wzrok, jakby ten fakt był powodem do wstydu.
 - Chciałbym jeszcze spytać o moment wcześniejszy, przed samym atakiem - Bielik podszedł do stołu, wziął kartkę papieru. - „Alarm bezpieczeństwa”, takich słów użył pan w rozmowie ze szwagrem tuż przed tym, jak tych dwóch mężczyzn wysiadło z audi. A wcześniej kazał żonie i szwagierce wsiąść do auta. Może nam pan to wyjaśnić?
 - Pamiętam, że zobaczyłem to audi zbliżające się do nas, dostrzegłem twarze tych dwóch mężczyzn i poczułem, że wydarzy się coś złego. Dlatego kazałem dziewczynom wsiąść do samochodu i ostrzegłem szwagra.
 - Słowami: alarm bezpieczeństwa?
 - Kilka lat temu mieliśmy nieprzyjemną przygodę z osobami, które oferują odprowadzenie wózków w zamian za monetę włożoną do koszyka. Zabrakło komunikacji między mną i szwagrem i właśnie po tym zajściu umówiliśmy się, że w razie niebezpiecznej sytuacji ostrzegamy się sformułowaniem: alarm bezpieczeństwa.
 - Rozumiem - rzucił Bielik dostojnie. - Ma pan wyrzuty sumienia spowodowane zabiciem tych dwóch mężczyzn? - pytanie zaskoczyło wszystkich, włącznie z Kanclerzem, który nie był na nie wcześniej przygotowywany.
 - Miałem - mimo braku przygotowania Kanclerz odpowiedział bez namysłu.
 - Użył pan formy przeszłej... To znaczy, że już pan wyrzutow

sumienia nie ma?

- Już nie mam - potwierdził stanowczo.

- Pamięta pan moment, w którym nastąpiła ta diametralna zmiana w pańskim sumieniu?

- Pamiętam doskonale - rzekł twardo.

- Mógłby pan nam to bliżej opisać? - Bielik mówił dalej, instynktownie konstruuując pytania.

- Myślałem nad tym, co się stało i zastanawiałem się nad faktem, że pozbawiłem życia dwóch ludzi... - Kanclerz wstrzymał głos na chwilę. - Pomyślałem sobie, że tylko Bóg ma takie prawo i że nikomu tu, na ziemi, nie wolno odbierać życia innemu człowiekowi... Zacząłem się modlić, żeby dobry Bóg przebaczył mi to, co zrobiłem... I właśnie wtedy przed oczami pojawiła się twarz mojego szwagra zalana krwią i ten jego charczący oddech... Pęcherzyki powietrza wydostające się z ust... Bąble krwi pękające... - przygryzł wargę. - I właśnie wtedy sobie uświadomiłem, że tak samo mogła wyglądać moja twarz. I twarz mojej żony. I twarz mojej szwagierki...

Bielik obrócił się w stronę stołu sędziowskiego, aby rzucić krótkie: „Nie mam więcej pytań”, gdy nagle w głowie pojawiła się myśl szybka jak błyskawica.

- Czy to pański garnitur? - spytał Kanclerza, obróciwszy się ponownie w kierunku mównicy dla świadków.

Pytanie było tak irracjonalne, tak oderwane od sądowej rzeczywistości, że obecnych na sali замуrowało, także prokuratora Dobrowolskiego i mecenas Kowalskiego, którzy, swoim zwyczajem, powinni zgłosić sprzeciw, tym razem jednak milczeli.

- Słucham? - Kanclerz również był kompletnie zdezorientowany, tym bardziej że to była już druga kwestia, której wcześniej nie przećwiczyli.

- Czy to pański garnitur? - powtórzył Bielik. - Ten, który ma pan na sobie.

- A czyj?! - zaczynał wątpić w zdrowie psychiczne obrońcy.

- Pytam, bo nie wygląda ani na najnowszy, ani na zgodny z obowiązującymi trendami mody.

- To mój garnitur - wydukał Kanclerz. - Ślubny.

- To jedyny pański garnitur? - pytał dalej Bielik, niezrażo-

ny tym, że uwaga wszystkich była skupiona na jego osobie.

- Jedyne - Kanclerza korciło, żeby w odpowiedzi spytać Bielika, czy wszystko z nim w porządku.

- Kiedy się pan ożenił? - pytał dalej Bielik.

- Siedem lat temu - odparł Kanclerz.

- Szmata czasu - ocenił Bielik, kątem oka zerkając na Ginkowską, sprawdzając, czy aby nie traci cierpliwości. Nie traciła, podobnie jak inni czekała na puentę. W takiej sytuacji nie mógł ich zawieść. - Dlaczego od tamtej pory nie kupił pan sobie nowego garnituru?

- Nie stać mnie - chrząknął Kanclerz. - Większość domowego budżetu pochłaniają koszty utrzymania mieszkania i wydatki na dzieci.

- Dziękuję, nie mam więcej pytań - Bielik wrócił do stołu.

*

Przesłuchanie Kanclerza przez prokuratora Dobrowolskiego było jedną wielką kompromitacją. Pytania w stylu: „Co pan robił w markecie Skalamandra 13 kwietnia bieżącego roku?“, „Kim jest dla pana Paweł Piskorzycy?“, „W jaki sposób wszedł pan w posiadanie szalika klubowego Stali Miłów?“ i - najlepsze - „Czy podczas zajścia na parkingu marketu Skalamandra konieczne było podjęcie tak drastycznych kroków w celu obrony swojej osoby i bliskich członków rodziny?“ zdecydowana większość dziennikarzy prasowych następnego dnia skomentowała w sposób mocno niewybredny. Wystarczyło przytoczyć jedną z opinii, opublikowaną na łamach „Super Faktu“: „W trakcie przesłuchania głównego oskarżonego było wyraźnie widać, że prokurator nie ma konceptu na to, jak podważyć wiarygodność Damiana Kanclerza i sprawić, by sędziowie przysięgli zobaczyli w nim nie przykładnego ojca rodziny, ale bezwzględnego zabójcę. Zadanie, patrząc na przebieg procesu, było karkołomne, z czego zdawali sobie sprawę wszyscy, tylko nie prokurator“.

Mecenas Kowalski miał przynajmniej na tyle zdrowego rozsądku, że powstrzymał się od zadawania pytań i tym samym zachował nędzne resztki honoru.

Rozdział 44

Po przesłuchaniu Damiana Kanclerza, sędzia Aldona Ginkowska zarządziła kwadrans przerwy, po czym wznowiła rozprawę, prosząc strony o przedstawienie mów końcowych.

- Wysoki Sądzie, Wielka Ławo Przysięgłych - zaczął prokurator Dobrowolski. - Zarówno dzisiejszego dnia, jak i podczas wcześniejszych dni tej rozprawy, byliśmy świadkami rzeczy niespotykanej w historii polskiego wymiaru sprawiedliwości. I nie mam tu bynajmniej na myśli faktu, że pierwszy raz w naszym kraju werdykt w procesie karnym wyda dwunastu sprawiedliwych - zrobił pauzę dla spotęgowania efektu. - Nie, owa niepowtarzalność dotyczy spektaklu, który obrona oskarżonego przedstawiła na deskach Sądu Okręgowego w Miłowie Wielkopolskim. Sądu, który do tej pory nigdy nie był areną wydarzeń tak miałych, tak aroganckich, jak te w wykonaniu obrony. A wszystko po to, aby wykreować obraz oskarżonego jako przykładnego ojca i męża, który 13 kwietnia bieżącego roku około godziny 21.33 na parkingu marketu Skalamandra w Miłowie Wielkopolskim tylko bronił siebie i swojej rodziny - kolejna pauza. - Obrona robiła, co mogła, aby ukazać oskarżonego jako trzydziestolatka z brzuszkiem, który w trosce o zdrowie i kondycję zapisuje się na treningi karate, a potem, cudownym zbiegiem okoliczności, wykorzystuje umiejętności nabyte podczas tychże treningów karate do zabicia dwóch mężczyzn - podniósł palec wskazujący prawej ręki do góry.

- Czy przeciętny trzydziestolatek z brzuszkiem w trosce o zdrowie i kondycję zapisuje się na treningi sportu walki, jakim jest karate? - pytanie zawisło w próżni tylko na moment. - Nie! Przeciętny trzydziestolatek z brzuszkiem w trosce o zdrowie i kondycję chodzi z kijkami, biega, gra w piłkę nożną na jednym z 2012 orlików czy pływa na basenie - kolejna teatralna przerwa. - Obrona w trakcie całego procesu chciała udowodnić, że oskarżony nie miał innego wyjścia, jak

zabić braci Grzędowicz. Czy tak było naprawdę? Zdaniem oskarżenia, to tylko nieudolna próba obrony człowieka, który zabrał życie innym ludziom. Przecież większość z nas w takim przypadku zechciałaby wyjaśnić powody nieporozumienia. Gdyby tak samo zachował się oskarżony - ręka prokuratora powędrowała w kierunku oczu Kanclerza - do tej tragedii by nie doszło, a zrozpaczony ojciec nie straciłby bezpowrotnie dwóch synów. Dzisiaj, sędziowie przysięgli, musicie ocenić, czy każdemu z nas wolno samemu wymierzać sprawiedliwość, czy też pozostawimy to, jak każde cywilizowane społeczeństwo, odpowiednim organom - podszedł do stołu, chwilę szperał w papierach, po czym donośnym głosem rzekł: - Oskarżenie żąda dla oskarżonego Damiana Kanclerz, syna Bolesława, kary pozbawienia wolności w wymiarze lat pięciu oraz pozbawienia praw obywatelskich na okres lat trzech.

- Panie mecenasie? - sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na Kowalskiego.

- Oskarżyciel posiłkowy nie będzie się oddzielnie wypowiadał w tej kwestii, popiera stanowisko prokuratora - rzekł krótko Kowalski.

- W takim razie proszę o zaprezentowanie mowy końcowej obrony - sędzia kiwnęła głową w kierunku Bielika.

Ten wstał, zabierając z blatu biurka plik kartek, zaczął mówić:

- Zgodnie z wykładnią prawa granice obrony koniecznej powinny odpowiadać narzędziom przestępcy w zakresie siły i rodzaju użytego środka - patrząc na sędziów przysięgłych ręką wskazał na Kanclerza. - Damian Kanclerz użył gołych rąk do odparcia ataku kijem bejsbolowym i nożem. Zgodnie z przepisami, środki użyte przez osobę broniącą się przed atakiem mogą być niezbędne do odparcia tegoż ataku, ale nie wolno ich używać do zabicia bezbronnego przeciwnika, którego udało się unieszkodliwić. Damian Kanclerz zastosował chwyt obronne, których uczył się podczas treningów karate. Nie kopał leżącego. Nie zadał ani jednego ciosu, który nie byłby obroną przed tym bandyckim atakiem, do którego doszło na parkingu marketu Skalamandra 13 kwietnia bieżącego roku około godziny 21.33 - wstrzymał na chwilę głos, kątem oka zerkając

na zaskoczonego Kowalskiego.

- Idźmy dalej: odpierając atak w ramach obrony koniecznej należy działać tylko w momencie ataku, ani przed jego zaistnieniem, ani już po. Reakcja przedwczesna czy spóźniona jest przekroczeniem obrony koniecznej. Damian Kanclerz, co sędziowie przysięgli doskonale widzieliście, interweniował wtedy, gdy jego szwagier, Paweł Piskorzycy, leżał zalany krwią, pobity do nieprzytomności. Oczywiście pan prokurator - obdarzył Dobrowolskiego pobłażliwym spojrzeniem - chciałby, aby w tym momencie mój klient nic nie robił, tylko rozpoczął konwersację z napastnikami. Z napastnikami, którzy bez żadnego powodu skatowali jego szwagra. Gdyby wtedy, gdyby około godziny 21.33 tamtego feralnego dnia Damian Kanclerz nie zareagował, nie stanąłby na ławie oskarżonych, za to z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że leżałby jeszcze w szpitalu, o ile w ogóle udałoby mu się przeżyć ten bandycki napad - zrobił kolejną pauzę, upajając się tembrem własnego głosu. - Według wizji oskarżenia jedną z największych przewin mojego klienta jest fakt, że zapisał się na treningi karate, a nie na zajęcia z piłki nożnej, siłownię czy basen, jak zrobiłby - szybkie zerknięcie w notatki - przeciętny trzydziestolatek z brzuszkiem w trosce o zdrowie i kondycję - rzucił spojrzeniem w kamerę.

- Wychodzi więc, że Damian Kanclerz nie jest przeciętnym trzydziestolatkiem z brzuszkiem. Tak, sędziowie przysięgli, Damian Kanclerz nie jest przeciętnym trzydziestolatkiem. Jest przykładnym mężem i ojcem, który ciężko pracuje, który haruje od rana do nocy po to, aby zapewnić swojej rodzinie godziwe życie, żadne tam luksusy, które dwóm bandytom w osobach Mariana i Stefana Grzędowiczów fundował ich tatuś. Tatuś, dodajmy - spojrzał na Grzędowicza, który był kompletnie zdezorientowany - który od samego początku tego procesu starał się zrobić wszystko, aby Damiana Kanclerza uznać za winnego. Nie zawahał się przy tym sięgnąć po metody niemające nic wspólnego z uczciwością i praworządnością - wrócił do biurka, nagle walnął pięścią w blat, aż kilka kartek upadło na podłogę. - I dzisiaj, na tej sali,

prokurator żąda dla Damiana Kanclerza kary pięciu lat więzienia! Sędziowie przysięgli, prokuratura chce ukarać męża i ojca tylko za to, że bronił się przed bandytami, degeneratami, którzy nie zasługują na to, aby nazywać ich ludźmi. Szczecin, rok 2008 - podniósł jedną kartkę z podłogi.

- Prokurator okręgowy żąda kary sześciu lat więzienia za zabójstwo współnika w firmie przewozowej. Nowy Targ, rok 2009, prokurator okręgowy żąda pięciu lat więzienia za dwukrotny gwałt na uczennicy ogólniaka. Elbląg, rok 2010, prokurator okręgowy żąda czterech i pół roku więzienia za porwanie dla okupu sześciolatniego dziecka. Miłów Wielkopolski, rok bieżący, prokurator okręgowy żąda pięciu lat więzienia za to, że ktoś miał czelność i odwagę bronić się przed bandytami - kucnął, bez słowa zebrał pozostałe kartki z podłogi, po czym usiadł za stołem.

- Odraczam rozprawę do czasu wydania werdyktu przez Wielką Ławę Przysięgłych - rzekła po krótkiej chwili sędzia Aldona Ginkowska. - Rozprawa zostanie wznowiona piętnaście minut po wydaniu werdyktu, o czym strony i publiczność zostaną poinformowane przez pracowników sądu.

Epilog

Narada Wielkiej Ławy Przysięgłych trwała zaledwie kwadrans. Już pierwsze głosowanie przyniosło jednomyślny wynik. Kiedy strażnik sądowy przekazał tę informację sędzi Aldonie Ginkowskiej, ta dopijała właśnie kawę. Zadowolona z szybkiego zakończenia sprawy, poleciła poinformować strony oraz przedstawicieli mediów i publiczność o wznowieniu rozprawy.

Dokładnie 16 minut później sędzia Aldona Ginkowska weszła do sali 207.

Przywitała ją absolutna cisza.

- Czy Wielka Ława Przysięgłych wydała werdykt? - spytała sędzia Aldona Ginkowska.

- Tak - odpowiedział Józef Łapek, wcześniej wstając z miejsca.

- Proszę o przekazanie werdyktu.

Łapek podszedł do stołu sędziowskiego, podał złożoną na czworo kartkę, po czym wrócił na miejsce. Sędzia Aldona Ginkowska rozłożyła kartkę, rzuciła okiem na jedno krótkie słowo wypisane drukowanymi literami, których nie powstydziliby się mistrz kaligrafii.

- Proszę oznajmić werdykt - poleciła Łapkowi.

- W sprawie Rzeczypospolita Polska przeciwko Damianowi Kanclerzowi o przekroczenie obrony koniecznej i nieumyślne spowodowanie śmierci Mariana Grzędowicza, lat 32 oraz Stefana Grzędowicza, lat 34 - Łapek czytał z kartki - to jest o przestępstwo z artykułu 155 kodeksu karnego, Wielka Ława Przysięgłych wydała werdykt - spojrział w kierunku Damiana Kanclerza - niewinny.

Przez salę przetoczył się pomruk zadowolenia, ktoś zaczął klaskać, chwilę później brawa bili już wszyscy widzowie i nawet część dziennikarzy. Kanclerz odetchnął z ulgą, odebrał gratulacje od Bielika, po czym otarł łzy ciekące po policzku.

Adwokat triumfował, niemal aż trząsał się z radości. Nie mógł się powstrzymać, aby nie rzucić spojrzeniem w stronę stołu dla oskarżenia, najpierw na wciąż niedowierzającego Grzędowicza, potem na rozumiejącego już, co się stało Kowalskiego, w końcu na prokuratora Dobrowolskiego, obojętnie pakującego notatki. Wściekłość na twarzach tych dwóch pierwszych była nad wyraz czytelna. Bielik patrzył to na jednego, to na drugiego, chcąc wyrzeć sobie ten widok w najgłębszych pokładach pamięci.

- Media proszą panów o kilka słów - obok stołu dla obrony pojawił się strażnik sądowy.

- Oczywiście - Bielik obejrzał się za siebie, dziennikarze zaczęli powoli wychodzić z klatki. - Proszę przekazać, że za dziesięć minut będziemy dostępni przed głównym wejściem do budynku.

*

Dziennikarze, jak to dziennikarze, niezbyt się przejęli zakazem palenia, o którym informowała stosowna tabliczka zawieszona na murze po lewej stronie wejścia głównego do

budynku. A może przeczytali treść dokładnie? „W budynku sądu obowiązuje zakaz palenia tytoniu.”. Skoro w budynku, to nie na zewnątrz. A że tuż obok widniała kierunkowa tabliczka „Do palarni”, wskazująca miejsce do oddawania się wątpliwej przyjemności wdychania dymu? Żurnaliści tym drobnym szczegółem głowy sobie nie zwracali.

Kiedy więc Kanclerz z Bielikiem wyszli na zewnątrz budynku, wpadli w śmierzdzącą mgłę.

- Witamy państwa - adwokat zaprezentował biel zębów.

W jednej chwili przed mężczyznami wyrósł las mikrofonów i dyktafonów.

- Czy jesteście panowie zadowoleni z werdyktu? - padło.

- Oczywiście - odparł Bielik, zastanawiając się, w której redakcji pracuje autor błyskotliwego pytania.

- Czy wierzyliście panowie w sukces?

- Od samego początku wierzyliśmy w sprawiedliwość i mądrość sędziów przysięgłych - Bielik cały czas się uśmiechał.

- Co pan teraz zrobi? - pytanie skierowano w stronę Kanclerza.

- Powiniennem powiedzieć, że spróbuję żyć normalnie, tak jak żyłem jeszcze kilka miesięcy temu - Kanclerz zamyślił się na moment. - Ale to nie będzie już chyba możliwe... Podejrzewam, że jeszcze długo potrwa terapia u psychoterapeuty, którą przechodzę zarówno ja, jak i cała moja rodzina. Traumą, jaką przeżyliśmy, niełatwo usunąć z pamięci.

- Dlatego też - wtrącił natychmiast Bielik - wytoczmy sprawę cywilną spadkobiercom obu panów Grzędowiczów o zadośćuczynienie za wyrządzone krzywdy. Będzie to kwota co najmniej sześciocyfrowa. Razem z panem Damianem pozew złożą także jego szwagier Paweł Piskorzycy, który, jak państwo wiecie, został przez jednego z braci brutalnie pobity. Sama operacja okulistyczna w specjalistycznej klinice w Niemczech kosztowała 80 tysięcy 926 złotych i 16 groszy. Do pozwu dołączą się także rodzice Mateusza Kropiwnickiego, nastolatka pobitego przez braci Grzędowiczów rok temu...

- Obaj bracia od lat byli figurantami, na których Edmund Grzędowicz przepisał swój pokaźny majątek - padło z tłumy. -

To jego pozwie pan o odszkodowanie? Przecież jego synowie nie żyją, czy nie został już ukarany przez los?

- W imieniu swojego klienta odpowiem najgrzeczniej, jak umiem - wycedził Bielik. - Pan redaktor chyba powinien zmienić zawód i zostać adwokatem specjalizującym się w bronienu bandytów. W tej sprawie ofiarami są Damian Kanclerz i jego rodzina, jak również rodzina państwa Piskorczyków, a nie rodzina tych dwóch bandytów, która wychowała ich tak, jak ich wychowała, na gnoi, którzy nie powinni chodzić po tej samej ziemi, co uczciwie pracujący i żyjący w zgodzie z innymi ludźmi - zrobił pauzę. - Co najwyżej mogliby chodzić po ziemi na spacerunku, spędzając swoje nędzne życie za kratkami. A to, że bracia Grzędowiczowie już nie żyją, nie znaczy wcale, że nie zniszczyli życia pana Damiana i jego rodziny.

- Czy po takiej wygranej sprawie, która odbiła się medialnym echem nie tylko w naszym kraju, ma pan więcej zleceń?

- następne pytanie.

- Byłem zaszczycony móc prowadzić pierwszą w Polsce sprawę karną z udziałem ławy przysięgłych - Bielik zaczął odpowiadać. - Jeśli chodzi o zainteresowanie usługami mojej kancelarii, to faktycznie, zainteresowanie wzrosło niebotycznie - uśmiechnął się nieznacznie. - Nie widzę więcej pytań do mojego klienta - rzucił po chwili. - Pozwólmę mu nacieszyć się tą chwilą. Do państwa dyspozycji zostaję ja, chętnie przedstawię zarys sprawy, którą wytoczymy przeciwko spadkobiercom braci Grzędowiczów...

Kanclerz już tego nie słuchał. Spojrzał na drugą stronę ulicy, szukając wzrokiem żony i dzieci, ale widok zasłaniał tramwaj. Rozglądał się nerwowo, czując jakiś dziwny niepokój. Wtem tramwaj odjechał z przystanku i oczom Kanclerza ukazała się Marta, machająca ręką, dzieciaki wołały: „Tato!”. Na ten widok uśmiechnął się szeroko, spojrział w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w lewo, upewniając się, że droga jest wolna, po czym szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy.

Bielik rozmawiał z dziennikarzami jeszcze długo, udzielił też kilku obszernych wywiadów. Kiedy konferencja prasowa zaimprovizowana przed budynkiem sądu się skończyła, poczuł ogromne zmęczenie. Wtem spostrzegł taksówkę nadjeżdżającą od strony Roosevelta, już miał machnąć na kierowcę, ale w ułamku sekundy się zreflektował: spacer będzie tańszy.

Ruszył przed siebie wolnym krokiem, jak człowiek wolny, . nieśpieszący się donikąd, niebiorący udziału w codziennej zawierusze, niezależny od pogoni za czymś, czego większość nie umie nawet nazwać.

Doszedł do skrzyżowania z Krasieńskiego, do miejsca, o którym chciałby raz na zawsze zapomnieć, ale którego - zdawał sobie doskonale z tego sprawę - wyrzucić z pamięci nie będzie w stanie nigdy. Zatrzymał się w pół kroku, rzucił spojrzeniem w dal ulicy, westchnął głęboko. Nagle, ruchem pełnym gwałtowności odwrócił wzrok, opuścił powieki, oczami wyobraźni widząc 80 tysięcy dolarów ulokowane na numerycznym koncie Private Second Banku na Wyspach Marshalla. W tej chwili nie mógł się zalogować na stronę internetową banku, żeby sprawdzić, czy każdy z 80 tysięcy zielonych leży na swoim miejscu, ale wiedział doskonale, że są tam i czekają na dzień, w którym będzie mógł z nich skorzystać.

Uśmiechnął się szeroko. Wolnym krokiem ruszył w kierunku kancelarii.

*Nowa Sól,
22 grudnia 2011*

Od Autora:

Wszystkie wydarzenia opisane w tej książce są co prawda fikcyjne, ale w każdej chwili mogą się wydarzyć...

Damian Kanclerz razem z rodziną robią zakupy w osiedlowym marketcie. Już na parkingu zostają brutalnie zaatakowani przez dwóch mężczyzn. Jeden z nich ciężko rani szwagra, wtedy Kanclerz, walcząc o życie swoje i rodziny, zabija obu napastników.

Mimo że następnego dnia media okrzykują go bohaterem, to jednak prokuratura stawia mu zarzut przekroczenia obrony koniecznej i nieumyślnego spowodowania śmierci.

Sprawą Kanclerza zaczyna się interesować minister sprawiedliwości, który postanawia wykorzystać ją w walce o schedę po ustępującym prezesie partii rządzącej. Receptą na sukces ma być poparcie opinii publicznej. Aby to osiągnąć, minister postanawia wprowadzić do polskiego prawodawstwa instytucję ławy przysięgłych. Pierwszym procesem będzie sprawa Kanclerza.

Gdy już ruszy rozprawa, nagle się okaże, że jest ktoś, komu bardzo zależy na tym, aby wielka ława przysięgłych wydała werdykt: winny...

Tę powieść polubiłem od pierwszej strony. Polubiłem ją za wartką akcją, za miejski koloryt, za bohaterów z krwi i kości oraz za to, że prowokuje do zadawania pytań na temat wymiaru sprawiedliwości i polskiego kapitalizmu. Czy taki, który śpi na pieniądzach, może wszystkich przekupić? Czy milioner z legitymacją partii rządzącej w portfelu może czuć się panem sytuacji? Czy początkujący adwokat jest w stanie sprawić, że zatriumfuje sprawiedliwość?

Alfred Siatecki, powieściopisarz

**MANUFATURA
TEKSTÓW**

www.krzysztofkoziolok.pl

CENA: 30 ZŁ (5% VAT)

ISBN 978-83-934831-7-4



9 788393 483174

PATRONAT MEDIALNY

PORTAL UNIWERSYTECKI
WZIELONEJ.PL

Rzepinonet

granice.pl
wszystko o literaturze

nowa
czytelnia.pl

lesiojot